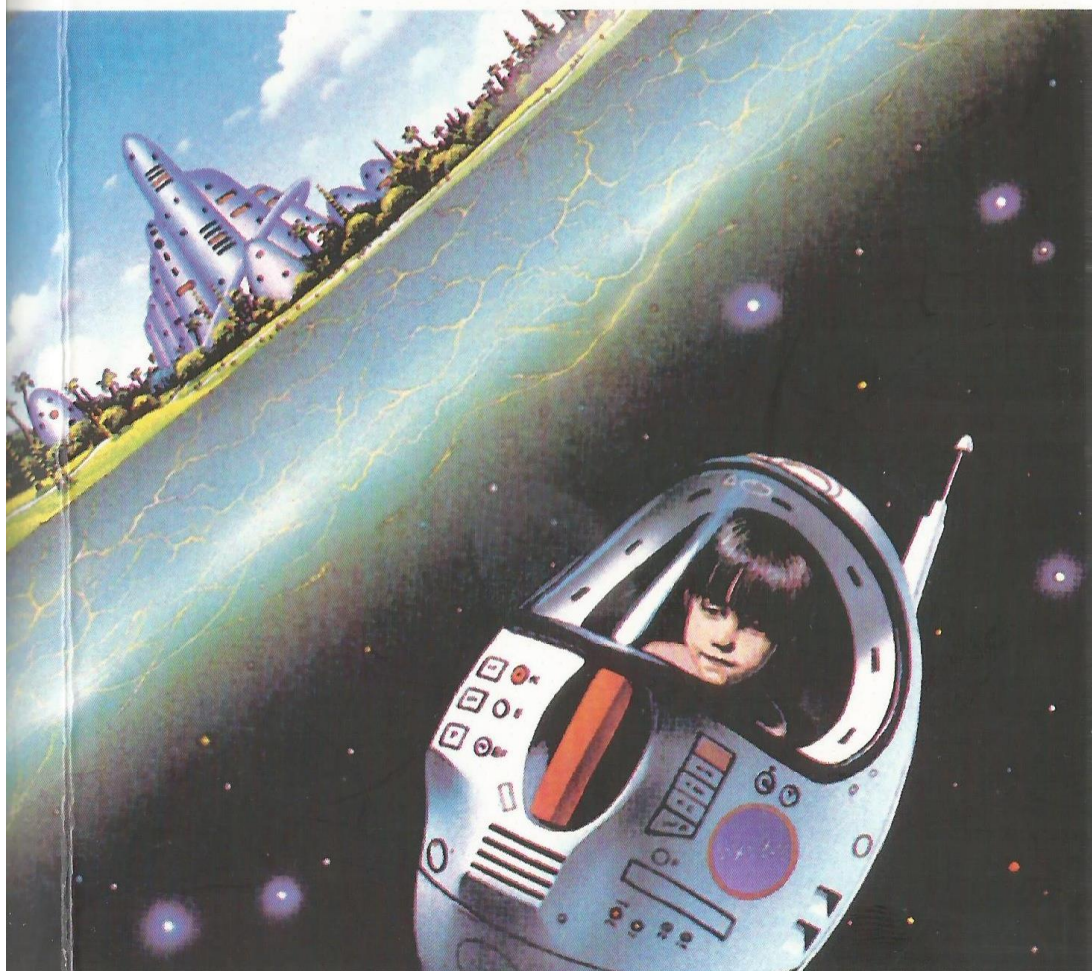


 GALAKTYKA GUTENBERGA

BOB SHAW



Orbitsville 3

WYROK

Bob Shaw

Orbitsville 3

Wyrok

SERIA GALAKTYKA GUTENBERGA:



1. Harry Harrisem „Planeta śmierci”
2. H. Beam Piper „Kudłacz”
3. H. Beam Piper „Kudłacz rozumny”

GALAKTYKA

GUTENBERGA

4. H. Beam Piper „Kudłacze i inni ludzie”
5. Siergiej Śniegów „Galaktyczny zwiad”
6. Siergiej Śniegów „W Perseuszu”
7. Siergiej Śniegów „Pętla wstecznego czasu”
8. antologia „Złoty Wiek SF tom 1”
9. antologia „Złoty Wiek SF tom 2”
10. antologia „Złoty Wiek SF tom 3”
11. antologia „Złoty Wiek SF tom 4”
12. antologia „Klasyka rosyjskiej SF tom 1”
13. antologia „Klasyka rosyjskiej SF tom 2”
14. antologia „Klasyka rosyjskiej SF tom 3”
15. Clifford D. Simak „Imperium”
16. James Schmitz „Plazmoidy”
17. E.E. „Doc” Smith „Lensman 1: Trójplanetarni”
18. E.E. „Doc” Smith „Lensman 2: Pierwszy Lensman”
19. E.E. „Doc” Smith „Lensman 3: Patrol Galaktyczny”
20. E.E. „Doc” Smith „Lensman 4”
21. E.E. „Doc” Smith „Skylark 1”

Orbitsville 3

22. E.E. „Doc” Smith „Skylark 2”
 23. E.E. „Doc” Smith „Skylark 3”
 24. John W. Campbell „Broń ostateczna”
 25. Murray Leinster „Pierwszy kontakt”
 26. Murray Leinster „Samotna planeta”
 27. Kir Bułyczow „Ostatnie sto minut”
 28. Kir Bułyczow „Nieziemsko piękna szafa”
 29. Władimir Michajłow „Stróż brata mego”
 30. Barrington J. Bayley „Upadek Chronopolis”
 31. Clifford D. Simak „Bractwo Talizmanu” tylko dla subskrybentów
 32. Bob Shaw „Orbistville 1” tylko dla subskrybentów
 33. Bob Shaw „Orbistville 2” tylko dla subskrybentów
 34. Bob Shaw „Orbistville 3” tylko dla subskrybentów
 35. Robert Sheckley „Zwiadowca minimum” tylko dla subskrybentów
 36. Robert Sheckley „Bezgłośny pistolet” tylko dla subskrybentów
 37. Robert Sheckley „Złodziej w czasie” tylko dla subskrybentów
 38. antologia „Maszyna sukcesu”
 39. antologia „Czterodniowa planeta”
 40. antologia „W pałacu władców Marsa”
 41. antologia
 42. antologia
 43. antologia
 44. H. Beam Piper „Kosmiczny wiking”
 45. H. Beam Piper „Policja czasu”
 46. H. Beam Piper
 47. James H. Schmitz
 48. James H. Schmitz „Wiedźmy z Karres”
 49. Herbert G. Wells „Niewidzialny człowiek. Wehikuł czasu. Wyspa doktora Moreau”
 50. Herbert (!. Wells „Wojna światów”
Bob Shaw
- Orbitsville 3 Wyrok

Przełożyli:

Grażyna Grygiel i Piotr Staniewski

Stawiguda 2014

Orbitsville 3: Wyrok tyt. oryginału: *Orbitsuille Judgement*

***Orbitsuille Judgement* copyright © 1990 by Bob Shaw**

A gdybyśmy tak weszli w tajny układ z Losem?
Lad Wszechrzeczy uchwycę i w garści przyniosę
-Najpierw go rozbijemy na drobne skorupy,
By potem przy sklejaniu iść za Serca Głosem.
Omar Chajam

CZĘŚĆ PIERWSZA

MŁOT SIĘ WZNOSI

ROZDZIAŁ 1

Starożytne konstelacje - grupy gwiazd, które od zarania dziejów towarzyszyły ludzkości - zniknęły w ciągu jednej, cichej chwili i natychmiast zostały zastąpione przez inne gwiazdy, układające się w nieznajome wzory.

Kroniki astronomiczne nie notowały dotychczas tak niezwykłego wydarzenia, ale tylko nieliczni ludzie byli jego świadkami. Jedynie ci, którzy pracując przy portalach, wyjrżeli przez nie akurat w tym krytycznym momencie, zobaczyli, że Kosmos uległ zmianie. Oczywiście, wiadomość o tym rozprzestrzeniła się i po pewnym czasie dotarła do głębokiego interioru Orbitsville. Kiedy mieszkańcy Orangefield, zadowolonego z siebie, targowego miasteczka, dowiedzieli się o całym wydarzeniu, nie wywarło to jakiegoś zasadniczego wpływu na ich codzienny byt. Większość mieszkańców miasteczka nigdy nie podróżowała do portali - dlatego nigdy nie widzieli żadnej gwiazdy - i wydarzenia w otaczającym wszechświecie uważali za drugorzędne.

Możliwe, że odległe słońca zmieniły swe położenie, a oddalone galaktyki przesunęły się dziwnie, ale przecież nadal należało zbierać plony z pól otaczających miasto. Handel i miejscowy przemysł musiały wciąż działać; nikogo nie zwolniono z jego codziennych obowiązków. Niemowlęta nadal wymagały karmienia, kąpania i talkowania przed snem. Podczas godzin ciemności, niebo Orbitsville, na którym nigdy nie było gwiazd, wciąż pokrywały setki delikatnych, jakby namalowanych akwarelą prążków, błękitnych i ciemnobłękitnych na przemian, rozpiętych jak luki na sklepieniu niebieskim. Wszystko wskazywało, że życie toczy się zupełnie tak jak dawniej...

Na północnym krańcu miasta, w uroczej okolicy, stał drewniany budynek, w którym mieściły się równocześnie mieszkanie, wypożyczalnia książek oraz warsztat Jima Nicklina. Dom był z drzewa fortowego, miejscowego budulca, które nawet nie malowane miało przyzwoity wygląd i było trwałe jak kamień. Architektura domu pozostawiała wiele do życzenia, gdyż w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat uzupełniano go wielokrotnie przypadkowymi przybudówkami. Nicklinowi to jednak odpowiadało, pasowało do jego stylu życia i potrzeb. Dom, choć obszerny, dawał się łatwo sprzątać i remontować. Nicklin miał blisko do wszelkich uroków miasta, a jednocześnie z każdej strony widok na pola i dalekie sawanny.

Jakieś sto kroków od frontowego ganku prowadziła dobra droga ze stopionej ziemi, ale posiadłość była od niej oddzielona szerokim strumieniem. W czystej wodzie pływało kilka gatunków ryb, które przywieziono z Ziemi ponad sto lat temu. Teraz zadomowiły się tak, jakby mieszkały tu od najdawniejszych czasów. Nicklinowi udawało się czasem coś złowić dla sportu, a ponadto strumień stwarzał wygodne poczucie odizolowania od świata zewnętrznego.

Jeśli klienci lub goście chcieli dostać się do budynku, musieli przejść po małym drewnianym mostku, na końcu którego znajdowała się furtka. Nicklin mógł ją zamknąć, gdy akurat miał ochotę być sam. Nieważne, że strumień był bardzo płytki i w dodatku znajdowało się w nim wiele kamieni, umożliwiających łatwe przejście. Kiedy ewentualni goście widzieli zamkniętą furtkę, rozumieli, że wybrali nieodpowiedni moment na wizytę i jeśli tylko ich sprawa nie była szczególnie pilna, zawracali. Na Orbitsville obowiązywała podstawowa zasada: respektować cudzego pragnienie samotności.

Chociaż Nicklin miał reputację osobnika humorzastego, jego niechęć do towarzystwa przejawiała się jedynie pod wieczór. „To dlatego, że jest kawalerem”- tak uważała większość kobiet z okręgu Orange-field. Wielu mężczyzn podzielało ten pogląd. To niestosowne, żeby normalny, zdrowy młody człowiek mieszkał sam, a w nocy kładł się samotnie do łóżka. Jednak, mimo że wolne kobiety miały zastrzeżenia do kawalerskiego stanu Nicklina, rzadko która myślała poważnie o przekonaniu go do akceptowanego społecznie statusu małżonka.

Nicklin nie skończył jeszcze trzydziestki. Był wysoki, jasnowłosy i dość przystojny. Nad sprzączką pasa ledwie zaczęła się rysować niewielka wypukłość. Lecz jego chłopięca twarz z małym nosem i niebieskimi oczami była trochę za bardzo chłopięca. Często gościł na niej wyraz lekkiego filozoficznego zaskoczenia, jakby Nicklin właśnie obliczył, ile diabłów mieści się na końcu szpilki i był rozczarowany odpowiedzią. W jego oczach pojawiała się czasami rozbawienie, kiedy widział ludzi pogrążonych w poważnej debacie, albo też głęboka troska, gdy wokół słyszał jedynie śmiech. Doceniano jego smykałkę do napraw urządzeń domowych i lekkich maszyn, a mimo to robił wrażenie, że jest w jakiś sposób niepraktyczny. Ludzie uważali go za mięczaka,

za marzyciela nieuodpornionego na kuksańce, jakich obficie dostarczało wiejskie życie. Kobiety z miasta i powiatu Orangefield miały wrodzony szacunek dla twardych, praktycznych mężczyzn - niestruudzonych robotników i dobrych gospodarzy. Wybierając więc mężów, przeoczały na ogół Jima Nicklina.

Ta sytuacja w zupełności odpowiadała Nicklinowi. Społeczność Orangefield była słabo rozwinięta technicznie. Wzór dla niej stanowiło modelowe amerykańskie miasteczko na Środkowym Zachodzie, około roku 1910. Niektóre elementy zaczerpnięto z równie wyidealizowanej wsi angielskiej z tego samego okresu. Poziom życia był wysoki - pewne znaczenie miał tu fakt, że, w razie nagłej potrzeby, zawsze można było odwołać się do zaawansowanej techniki z zewnątrz - ale Nicklin zauważył, że żonaci zawsze musieli ciężiej pracować od kawalerów, a ich egzystencję od czasu do czasu utrudniały kłopoty domowe. Nie należał do wielkich miłośników pracy i odpowiadał mu aktualny stan rzeczy, zwłaszcza że wielokrotnie sam przysparzał sobie kłopotów nawet bez pomocy współmałżonka.

Gdy Cort Brannigan przekroczył mostek i skierował się do wejścia warsztatu, Nicklin zaczął niejasno podejrzewać, że jeden z tych kłopotów właśnie się zbliża. Był wczesny wiosenny poranek, kiedy to na ogół ludzie czują się podniesieni na duchu, ale Brannigan, wysunąwszy naprzód szczękę, kroczył w taki sposób, że miało się wrażenie, iż jego duch jest w mniej radosnym nastroju niż zwykle.

Brannigan, sześćdziesięcioletni farmer, posiadał wielotowarowe gospodarstwo osiem kilometrów na północ od miasta. Ten otyły mężczyzna cieszył się reputacją zawiadyki. Jego wielki brzuch zdolny był przyjąć najmocniejsze ciosy miejscowych siłaczy. Teraz, gdy Cort szedł w dużym kapeluszu na głowie, brzuch wznosił się i opadał, i za każ-

dym razem gdy wyłaniał się z cienia, rzucanego przez szerokie rondo, jaśniał w słońcu. Kilka lasek cynamonu, którego Cort zwykle używał, aby zabić zapach alkoholu, wystawało mu z kieszonki koszu-
li. Brannigana nie interesował Nicklin jako taki. Zadawał się z nim tylko dlatego, że w okolicy nie było lepszego warsztatu naprawczego.

Jakieś dziesięć dni temu przyniósł maszynę do szycia, żona kazała mu ją zreperować - trzeba było zespawać lub zlutować wspornik. Cort zażądał naprawy ekspresowej. Nicklin bał się tego potężnego mężczyzny, chociaż starał się jak mógł nie pokazywać tego po sobie. Obiecał, że przeprowadzi naprawę w ciągu paru dni. Miał zamiar natychmiast przekazać maszynę Maxowi Miliomowi, którego zatrudniał w warsztacie, ale Max nie pokazał się tamtego popołudnia. Następnego ranka zarzucono go pilną robotą i maszyna do szycia została zapomniana. Kiedy Brannigan zadzwonił, aby o nią zapytać, Nicklin zbył go skleconym naprędce usprawiedliwieniem, a potem znów całkowicie o niej zapomniał - choć gdy teraz o tym pomyślał wydawało mu się to niewiarygodne.

Właśnie w tej chwili Max pracował nad nią w szopie, w której zwykle przeprowadzali prace spawalnicze. Robota miała zająć tylko kilka minut, więc Brannigan nie odejdzie z pustymi rękami, ale gdy wręczą mu maszynę, będzie z pewnością pachniała rozgrzanym metalem i olbrzym zorientuje się, jak ekspresowo potraktowano jego ważne zamówienie...

- Dzień dobry, Cort - rzekł Nicklin, zdobywając się na uśmiech, kiedy Brannigan, wszedł do warsztatu i zbliżył się do niskiej lady. - Piękny mamy ranek, prawda?

- Nie zauważyłem. - Brannigan, ponad głową Nickli-na, rozejrzał się po półkach. - Gdzie to jest?

- To? A, maszyna do szycia! Max za minutkę ją przyniesie.
- Nie jest jeszcze gotowa?
- Jest gotowa od wieków, Cort... Sterczała tutaj i czekała na odbiór... - Nicklin włączył w swoim mózgu wysokie obroty. - Po prostu zobaczyłem nierówne miejsce na szwie po spawaniu, dosłownie minutę temu, więc kazałem Maxowi, żeby wyrównał ten szef. Nie chcemy, żeby szanowna małżonka zadrapała się w rękę, prawda?

Brannigan uporczywie przyglądał się Nicklinowi, jak jakiemuś prymitywnemu zwierzakowi.

- Natknąłem się wczoraj wieczór na młodego Maxa w barze Hotelu Wiktorii. Gadałem z nim przez chwilę.

Brannigan patrzył przeszywająco, jakby właśnie powiedział coś bardzo ważnego.

-Naprawdę? - Nicklin bawił się nerwowo pustym kubkiem po kawie, zgadując, co teraz nastąpi. - To miło.

-Kiedy zapytałem go o moją maszynę, nawet nie wiedział, że ją przyniosłem. Co masz na ten temat do powiedzenia?

Nicklin przeklął w myślach swego pomocnika za to, że nie wykazał on dostatecznego rozsądku ani lojalności.

-Nie można wierzyć żadnemu słowu Maxa, kiedy sobie popije. Wszystko się myli biedakowi. Traci pamięć.

- Wczoraj wieczór z pewnością ją utracił - warknął Brannigan, przeszywając wzrokiem Nicklina aż do głębi duszy. - Nie mógł sobie nawet przypomnieć, że ma jakichkolwiek krewnych w Poynting, nie mówiąc już o ukochanym wuju, który właśnie umarł, a Max właśnie miał wrócić z jego pogrzebu.

- Stale mam kłopoty przez to, że za bardzo ufam ludziom.

Nicklin przybrał pełen rozczarowania wyraz twarzy, zastanawiając się jednocześnie, co mu strzeliło do głowy, by wymyślić tanto kłamstwo. Co gorsza, zupełnie o tym zapomniał. Inaczej skaptowałby Maxa.

- Przymykam oczy na to, że Max wymyśla różne powody, gdy chce dodatkowo trochę czasu wolnego - ciągnął. - Wiesz co? Pójdę teraz do warsztatu spawalniczego i przyniosę twoją maszynę, a kiedy tam będę powiem chłopakowi, co...

Głos Nicklina załamał się, kiedy wyjrzał przez okno i zobaczył zbliżającą się gruszkowatą postać Maxa z maszyną do szycia pod pachą. Butelkowane ramiona Maxa i szerokie, okrągłe biodra sprawiały, że z daleka wyglądał na więcej niż dziewiętnaście lat. Jak wielu z lekka zdeformowanych mężczyzn odznaczał się wielką siłą fizyczną i marszerował tak energicznie, jakby wyskakiwał w górę przy każdym kroku. Miał do przejścia tylko krótki odcinek między obydwojma budynkami, nie chciało mu się wobec tego wkładać kapelusza. Jego czaszka, ogolona, aby zapobiec przedwczesnemu łysieniu, biała w słońcu jak smalec.

Nicklin niemal jęknął, gdyż miał nadzieję, że uda mu się utrzymać z dala od siebie Maxa i Braningana. „O, Gazowy Kręgowcze” - modlił się w duchu - „proszę Cię, spraw, by okazało się, że od zeszłej nocy Max jest zdolny do wykazania odrobiny zdrowego rozsądku, dyplomacji, lojalności lub współczucia. Uczyń, żeby trzymał gębę na kłódkę w sprawie śmierci swego wuja. Nie proszę przecież o wiele...”

Max wparował do warsztatu z nadmierną energią, patrząc gniewnie na Nicklina wrogimi oczyma.

- Po co powiedziałeś panu Branniganowi, że mam wuja w Poynting, który zmarł? - zapytał.

„Co za straszny styl wypowiedzi, Max” - pomyślał Nicklin. Gdy uświadomił sobie, że nie ma już wyjścia z pułapki, jego myśl szukała ucieczki ku rzeczom drugorzędnym. Czoło pokrył mu zimny pot.

- Taa, tego właśnie chciałbym się dowiedzieć. - Pod szronem srebrnego zarostu twarz Brannigana wyglądała jak twarz człowieka gotowego dokonać morderstwa.

Nicklin stał naprzeciw swych oskarżycieli, zaskoczony i zdziwiony, że są aż tak zagniewani. Zachowywali się, jakby popełnił przeciwko nim jakąś ohydną zbrodnię... jakby zawiódł ich zaufanie w sprawach najwyższej wagi... a przecież, jeśli się zastanowić, to kimże oni byli? Zerami! Nie potrzebowali ich. W rzeczy samej, to oni go potrzebowali! Teraz, gdy o tym myślał, miał przed oczami scenę procesu z „Alicji w Krainie Czarów”, kiedy Alicja nabiera rozsądku i uświadamia sobie, że istoty, które się nad nią tłoczą i dręczą ją, są jedynie kartami do gry. Absolutnie nic nie mogło mu przeszkodzić, żeby, jak to zrobiła Alicja, wstać i wyrzucić z siebie irytację jednym głośnym krzykiem:

„A któż się z wami liczy? Jesteście tylko zwykłą talią kart!”

- Z czego się śmiejesz? - Brannigan rzucił Maxowi spojrzenie typu „to nie do wiary!” i nachylił się nad ladą, na tyle blisko, że Nicklin poczuł cynamonową woń jego oddechu. - Nie widzę w tym nic zabawnego.

Nicklin, który nie zdawał sobie sprawy, że jego rozbawienie jest widoczne, starał się jak mógł, by wydobyć z siebie ten jeden niszczący krzyk, który rozproszy jego dręczycieli, jakby byli liśćmi porwanymi przez huragan.

Otworzył usta, ale mimo wysiłku nie mógł wydobyć z siebie dźwięku. Ze wzrastającą rozpaczą uświadomił sobie, że ta prosta czynność - tak naturalna dla każdego, kto ma jaki taki kręgosłup mo-

ralny - leżała poza granicami jego możliwości. Był osaczony, zamknięty w pułapce, za chwilę miał zostać upokorzony - i nie przychodziło mu do głowy żadne wyjście z tej sytuacji.

-To musi być jakieś nieporozumienie, panowie -rzekł. Mózg pracował mu równie szybko i nadaremnie jak lokomotywa ze złamanym wałem napędowym. - Nie wydaje mi się, żebym kiedyś rzeczywiście coś mówił o...

Przerwał, gdyż dostrzegł na scenie nowy element, który przy odrobinie szczęścia mógł zakończyć bieżące nieprzyjemności. Za szerokim, cienistym okapem budynku pojawiła się żwawa figurka trzynastoletniego dziewczęcia, Zindee White. Zindee biegła przez murawę, która oddzielała jej dom rodzinny od posiadłości Nicklina. Miała na sobie jasnoczerwoną koszulkę z krótkimi rękawami i pomarańczowe szorty. Poruszała się tak prędko, że dookoła niej widziało się wirujący obłok kurzu i pyłków traw. Była najwierniejszym klientem biblioteki Nicklina i - mimo różnicy wieku - chyba jego najlepszym przyjacielem. Chciała się teraz zapewne podzielić z nim jakimiś ważnymi wiadomościami. Nicklin z doświadczenia wiedział, że pod słowem „ważne” można rozumieć wszystko: od nabycia wymarzonej zabawki po znalezienie żuka z nietypowymi wzorami na skrzydełkach. Nicklin przyrzekł sobie w duchu, że cokolwiek to jest tym razem, uczyni z tego swoją przepustkę do wolności.

„Dzięki, Gazowy Kręgowcze” - myślał, kiedy z teatralną przesadą drgnął ze zdziwienia.

- Nasza mała Zindee! - wykrzyknął. - I zobaczcie, jak szybko biegnie. Mam nadzieję, że w domu nie stało się nic złego.

Zanim Brannigan i Max zdążyli odpowiedzieć, Zindee wpadła przez otwarte drzwi warsztatu. Jej trampki stuknęły w podłogę, gdy zahamowała z całą siłą.

-Jim! Słyszałeś....?

Uświadamiając sobie, że Nicklin nie jest sam, przerwała, założyła ręce na plecy i weszła za ladę, stając obok Nicklina. Ten przyjął to za gest solidarności i był wdzięczny. Zindee dyszała głośno po biegu i Nicklin poczuł od niej maślany zapach czystego potu.

- Czego, dziecko, chcesz? - zapytał Max z irytacją.

Zindee zmierzyła chłodno wzrokiem starego przeciwnika.

- Od ciebie nic, łysoniu.

Na twarzy Maxa pojawił się wyraz urażonej dumy, a Nicklin pozazdrościł, że nie potrafiłby rzucić zniewagi z taką dziecięcą niedbałością. Wpojono mu zasadę, że nie wypada robić obraźliwych uwag na temat żadnych cech, które bliźni dostali przy narodzinach od natury. Jeśli ludzie mieli nieprzyjemne cechy osobowości - coś, za co byli odpowiedzialni - to inna sprawa. Jedyne szkopuły polegały na tym, że nawet wówczas Nicklin nie potrafił zadać słownego ciosu.

- Tę smarkułę trzeba nauczyć manier - rzekł Brannigan.

Zindee obserwowała go przez moment, doszła do wniosku, że skrzyżowanie mieczy byłoby niebezpieczne, i przysunęła się bliżej do Nicklina.

- Słyszałeś wiadomość, Jim? - szepnęła.

Max, zaintrygowany, zwinął przy uchu dłoń w trąbkę.

- Jaką wiadomość? Mów dziecko trochę głośniej.

Zindee zawahała się, lecz Nicklin postanowił wpłynąć na bieg wydarzeń i skinął głową z zachętą.

- No, Zindee, o co chodzi?

- To było właśnie w naszej telewizji: świat się poruszył.

Nicklin uśmiechnął się półgębkiem, spoglądając na

Zindee. Miała okrągłą, piegowaną twarz, z drobnym, ale wyraźnie zaznaczonym podbródkiem, i szeroko rozstawione oczy, promieniujące inteligencją i prawością. Jej rysy były doskonałe, rysy ideału dziewczynki, malowanego przez pokolenia malarzy. W ciągu lat Nicklin nauczył się czytać w jej twarzy. Przestał się uśmiechać, gdy znalazł tam niepokój.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Zindee? - rzekł. - Jak świat mógł się poruszyć?

- Ktoś to załatwił - wtrącił z rechem Max i przełączył się na fałset. - Czy świat poruszył się dla ciebie, skarbie?

- Właśnie było o tym w telewizji - nalegała Zindee.

Wszystkie gwiazdy są inne, Jim. Wszystkie statki przycumowane na zewnątrz portali, znikły. Pokazywali kobietę, która dopiero co przybyła z Ziemi... Chyba nazywa się Sylwia London... i bardzo płakała... i mówiła, że jej statek zniknął...

- Rada nigdy nie powinna była zezwolić na wprowadzenie telewizji w Orangefield - rzekł Brannigan, potrząsając swą olbrzymią głową. Mimo skłonności do awantur i alkoholu, miał przeważnie purytańskie i zasadnicze poglądy co do innych życiowych spraw. - To tylko mąci ludziom w głowach, te wszystkie gówniane programy trójwymiarowe. Dziewczynka jest tego doskonałym przykładem: nie wie co jest, a co nie jest rzeczywistością.

Nicklin nie był nawet abonentem programu radiowego przesyłanego kablem z Weston Bridge, ale w ostatnich dniach słyszał, jak mówiono o dziwnym zjawisku, które jakoby zachodziło na wielkiej po-

włoce Orbitsville. Mówiono, że świetliste, zielone linie przesuwają się po obu powierzchniach sfery. Nie mógł w żaden sposób sprawdzić tych doniesień osobiście, ponieważ w rejonie Orangefield gleba i pokłady skał zalegały na ponad tysiąc metrów. W każdym razie podświadomie chciał zapomnieć, że mieszka wewnątrz skorupy z hilemu, która ma 320 milionów kilometrów średnicy i tylko osiem centymetrów grubości.

Dwieście lat migracji, podczas której praktycznie cała ludność Ziemi przeniosła się do Orbitsville, sprawiło, że ktoś taki jak Nicklin - potomek emigrantów - myślał o swoim środowisku po prostu jako o „świecie” i pędził swe życie dokładnie tak, jakby je wiódł na normalnej planecie. Ale jaśniejące zielone linie to coś zupełnie nowego i niektórzy ludzie w mieście zastanawiali się, czy nie jest to wstępny znak, preludium, do jakichś wielkich wydarzeń...

- Chodź, Zindee. - Nicklin wziął dziecko za rękę i pomaszerował z nią ku drzwiom warsztatu. Bardziej czuł ulgę z powodu swej szczęśliwej ucieczki, niż troskę z powodu jakiegoś domniemanego zagrożenie swojej miłej, monotonnej egzystencji. - Pójdziemy do ciebie i zorientujemy się lepiej w tym wszystkim.

- Nie skończyliśmy rozmawiać - powiedział Brannigan, chmurząc się.

Nicklin, mijając Maxa, klepnął go po ramieniu.

- Zajmij się w moim imieniu panem Branniganem. I nie zapomnij wypisać mu rachunku.

ROZDZIAŁ 2

Cham i Nora White'owie - rodzice Zindee - prowadzili praktykę weterynaryjną w swoim domu, położonym na parceli sąsiadującej z posiadłością Nicklina. Zajmowali się wyłącznie małymi zwierzętami i przez to wielu mieszkańców gminy uważało, że są takimi samymi dziwakami jak Nicklin. Okoliczni farmerzy gotowi byli uznać, że dbanie o zdrowie trzody jest godnym zajęciem, ale poświęcanie swojej energii chorowitym kotom, chomikom i podobnym stworzeniom oceniano - mówiąc łagodnie jako zachowanie nieco ekscentryczne.

Fakt, że opinia publiczna traktowała ich jako dziwaków, stwarzała pewną więź między Nicklinem i dorosłymi White'ami, ale to prawie wszystko, co ich łączyło. Jak na parę niespokrewnionych ze sobą ludzi White'owie byli bardzo do siebie podobni: średniego wzrostu, z tendencją do tycia, mieli ostre nosy, rumieńce na policzkach i ogólnie czerwono-złoto-brązowy koloryt. Nicklinowi podobał się wiewiórczy wygląd White'ów, ale ich niezawodna pracowitość i brak poczucia humoru przeszkadzały w nawiązaniu bliższej przyjaźni.

Wbrew temu, czego należało się spodziewać - zważywszy ich kalwiński światopogląd - White'owie należeli do nielicznych w Orangefield abonentów telewizji, transmitowanej za parę groszy kablem z Weston Bridge. Nicklin wiedział, że Cham i Nora nałożyli sobie pokutę za pobłażanie zachciankom i oglądali program jedynie w godzinach wieczornych. Dlatego zdziwił się, widząc ich siedzących przed odbornikiem w salonie. Była to wskazówka, że Zindee miała powód do niepokojów i że dzieje się coś ważnego.

- Dzień dobry, Jim - zawołał Cham, zapraszając gestem, by usiadł.
- Co sądzisz o tej całej hecy?

Nicklin skinął głową, pozdrawiając uśmiechającą się niewyraźnie Norę White.

- Nie wiem jeszcze, co o tym sądzić. Zindee poinformowała mnie jedynie pobieżnie.

-To Zindee nas zawiadomiła - dlatego właśnie siedzimy tutaj o tej porze dnia - rzekł Cham, broniąc się przed ewentualnym oskarżeniem o grzeszną gnuśność. - Czy możesz w to uwierzyć? Mówią, że Orbitsville przeniosło się gdzie indziej!

Nicklin puścił dłoń Zindee i opadł na mięciutki fotel.

- Skąd o tym wiesz?
- Wygląda na to, że coś się stało albo ze wszechświatem, albo z nami. Posłuchaj!

Nicklin zaczął obserwować wideopodium, które zajmowało jeden z rogów pokoju. Skala obrazu została ustawiona mniej więcej na jedną drugą, skutkiem tego na wideopodium widziało się doskonale uformowane karzełki obu płci. Niektóre z nich były najwyraźniej zdeorientowane. Stały na trawiastej płaszczyźnie, wokół walały się porzucone skafandry kosmiczne, przypominające martwe ciała. Teren najwyraźniej nie był zurbanizowany - w tle, prócz rozproszonych jednopiętrowych baraków, królowała jednolita zieleń wszechobecnych sawann Orbitsville.

- Gdzie to jest? - spytał Nicklin.
- Portal 36. Nic tam nie ma oprócz rolniczej stacji badawczej. - Cham przerwał, kiedy seria zmarszczek przepłynęła przez podium, zniekształcając na chwilę ludzkie figury i przypominając, że te na pozór rzeczywiste i solidne postacie są tylko projekcjami laserowymi - holomorfami. - Ostrzegali nas, że jakość obrazu może być chwilami zła. Widocznie wszystkie zewnętrzne satelity odbijające i anteny zniknęły. Technicy telewizyjni pracują na prowizorkach.

- I tak jest to jakaś audycja amatorska - dodała Nora White, kiedy Zindee usiadła na jej kolanie. - Sieć to transmituje, ponieważ ci ludzie właśnie wysiadali, kiedy ich statek zniknął. Naprawdę widzieli, jak to się działo.

Cham machnął dłonią, prosząc o ciszę.

- Posłuchajcie tego faceta; już raz go pokazywali.
- Za chwilę jeszcze raz porozmawiamy z Rickiem

Renardem, właścicielem *Dziobu Jastrzębia*, frachtowca, który usiłował zadokować przy Portalu 36, i wtedy dosłownie rozpląnął się w nicości - oznajmił niewidoczny komentator. Obraz na wideopodium zmienił się, i postać Renarda zajęła samo centrum. Był to młody mężczyzna o kędzierzawych włosach, pulchny, acz krzepki, znać było, że ma dobrze rozwiniętą muskulaturę.

- Jak tu już wspomiano - Renard przeciągał słowa w sposób charakterystyczny dla ludzi majątnych - mój statek usiłował zadokować normalnie, ale kapitan Lessen nie mógł dokończyć manewru. Wydawało się, że na statek działają jakieś siły odpychające, które przeszkadzają mu w podejściu do skorupy Orbitsville bliżej niż na trzydzieści metrów. Sama skorupa była w niezwykłym stanie: świeciła zielonkawym światłem, które gasło i zapalało się kilka razy na sekundę. Możliwe, że to promieniowanie miało coś wspólnego z odpychaniem statku. Może nie miało - naprawdę nie wiem. To było takie... To znaczy...

Nicklin zobaczył, że rozchylone w smutnym uśmiechu wargi Renarda drżą. Mężczyzna wyglądał na takiego, który w normalnych okolicznościach zachowuje się z ugrzecznioną arogancją, cechującą często ludzi bardzo zamożnych. Teraz jednak najwyraźniej był w stanie szoku. Potrząsnął głową, kończąc przedwcześnie wywiad i odwrócił się

do stojącej tuż za nim niezwykle atrakcyjnej, czarnowłosej kobiety, która wyglądała na równie oszołomioną. Objął ją, a ona powoli opuściła głowę na jego ramię.

-Widziałem tę kobietę już wcześniej - oznajmił triumfalnie Cham White, jakby zgłaszając się po nagrodę. - Jest związana z jakąś organizacją naukową, która utrzymuje, że znalazła dowód na życie po śmierci. Nazywa się Sylwia... Sylwia...

- London - odpowiedziała Zindee.

-Właśnie. Z... uhm... Fundacji Anima Mundi. Ciekaw jestem, co robiła na tym statku.

-Jeśli uważasz, że jest taka fascynująca, dlaczego po prostu nie udasz się do Portalu 36 i jej o to nie zapytasz? - rzekła zgryźliwie Nora.

- Nie musisz być zazdrosna - odparł Cham. Wyglądało na to, że uważa tę uwagę za komplement i jest z niej zadowolony. - Poza tym, z tego, co dotychczas słyszeliśmy, wynika, że upłynie dość dużo czasu, zanim ktokolwiek będzie mógł podróżować między portalami.

- Czemuż to? - spytał Nicklin.

- Nie ma statków! Nie zwracasz uwagi na to, co mówią, Jim. Wszystko, dosłownie wszystko, co znajdowało się na zewnątrz skorupy, zniknęło - więc również statki międzyportalowe.

- Nie pomyślałem o tym - wymamrotał Nicklin, lekko wzruszając ramionami w odpowiedzi na współczujące spojrzenie Zindee.

Zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie uważa, by ta sensacyjna wiadomość była prawdziwa. Portale, te koliste dziury w skorupie Orbitsville, każda o kilometrowej średnicy, były oddalone od siebie o prawie pięć milionów kilometrów. Bezpośrednia podróż we wnętrzu, od portalu do portalu, nawet gdyby miało się do dyspozycji samoloty osiągające dwukrotną szybkość dźwięku, zajęłaby dziewięćdzie-

siąt dni nieprzerwanego lotu. Taka odyseja nie wchodziła w rachubę z powodów logistycznych i ekonomicznych.

- Mam nadzieję, że ktoś odkryje, iż to wszystko jest oszustwem lub pomyłką - wyjaśnił Nicklin. - Dwieście ozy trzysta lat temu, na Ziemi, ktoś zrobił audycję radiową o inwazji z jakiejś pobliskiej planety i spowodował, że wielu ludzi wpadło w panikę.

- H. G. Wells - stwierdził uczenie Cham. - To H. G. Wells zrobił tę audycję.

- Ktokolwiek to był, przestraszył masę ludzi bez żadnej przyczyny.

- To jest co innego, Jim - rzekła Nora White. - Szkoda, że nie darują sobie tych wszystkich „reakcji naocznych świadków” i znów się nie połączą z naukowcami z Beachhead. Oni przynajmniej mają jakieś pojęcie o tym, co mówią.

Jakby reagując na jej życzenie, obraz na telepodium zniknął, zamigotały barwy i pojawiła się projekcja grupy osób siedzących wokół okrągłego stołu. Żeński głos zapowiedział powrót do głównego studia OTTV w Beachhead, skąd miano nadać dalsze komentarze ekspertów, a potem przedstawił dyskutantów i wymienił ich kwalifikacje. Pierwszy mówca, nazwiskiem Carpenter, był młodym profesorem astronomii obserwacyjnej przy Uniwersytecie Garamonda.

- Wydarzenia ostatnich godzin są wyjątkowe w historii Optima Thule - rozpoczął. - Chociaż mogą się wydać niewiarygodne...

- Od razu widać, że ten facet to naukowiec - zauważył głośno Cham. - Nikt inny nie mówiłby tak pompatycznie: „Optima Thule”, z Wielkim O.

- Bądź cicho - zbeształa go Nora. - Chcemy posłuchać, co mówi.

- ... rozumieć, że jeśli mówimy, iż wszystko na zewnątrz skorupy zniknęło, to mamy na myśli naprawdę wszystko! Tuż przy skorupie wszystkie statki kosmiczne i międzyportalowe, jakie znajdowały się w dokach, zniknęły, a nadto kilka z tych, które akurat były w drodze między portalami. I nie tylko statki - również kołyski do dokowania, urządzenia rozładowujące, rękawy dla pasażerów, nawet anteny radiowe i telewizyjne. Wszystko, co wystawało za zarys powierzchni Optima Thule, zostało zgolone - nawiasem mówiąc, na obciętych częściach metalowych powstała doskonale gładka powierzchnia - i zniknęło z pola naszej świadomości.

Profesor Carpenter przerwał, by napić się trochę wody.

- Co się tyczy wydarzeń w odległości, którą nazwalibyśmy średnią, to zewnętrzna planeta naszego lokalnego systemu - Napier - również zniknęła. Te zjawiska są jednak banalne, gdy zestawić je z faktem, że - w skali kosmicznej - nie możemy zaobserwować ani jednej znajomej gwiazdy, nawet ani jednej galaktyki. Dla mnie istnieje tylko jedna możliwa do przyjęcia interpretacja tych laktów, choćby wydawała się niewiarygodna - a mianowicie Optima Thule została przemieszczona.

- Nie mogę w to uwierzyć - wtrąciła siwowłosa kobieta, smutno potrząsając głową. - Twierdzi pan, że jest pan kompetentnym naukowcem, a jednak ośmiela się pan nam wmawiać, że ktoś poruszył nasz świat - Orbitsville!

- Istotnie, jestem kompetentnym naukowcem - odparł Carpenter zrównoważonym tonem człowieka, który postanowił nie dać się sprowokować. - I nie mówiłem, że ktoś poruszył Orbitsville. Słowo, którego użyłem, brzmiało „przemieszczenie”. Oczywiście nie wchodzi w grę żaden ruch w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa - przemieszczenie dokonało się momentalnie.

Po jego słowach nastąpił zgiełk, jakby wszystkie holomorfy chciały mówić wypowiedzieć jednocześnie. Nicklin zrezygnował ze śledzenia tyłu rozmaitych wątków dyskusji i zatonął w rozmyślaniach. W tym czasie telepodium uległo zmianie. Grupa przy stole zniknęła, zamiast niej pojawiło się ujęcie w plenerze - widok Portalu 1, w centrum Beachhead. Można go było rozpoznać po pomniku Vance'a Garamonda, odkrywcy Orbitsville. Pomnik stał na brzegu czegoś, co wyglądało na okrągłe, czarne jezioro.

Kamera sunęła naprzód, aż zawisła na brzegu otworu, a potem wykonała obrót i przesunęła się, symulując łagodny skok w przestrzeń kosmiczną. Kiedy znieruchomiała, róg salonu White'ów napełniła intensywna czerń upstrzona setkami żarzących się plamek. W tle słychać było profesora Carpentera, komentującego fakt całkowitej nieobecności znanych gwiazd i obecności zupełnie obcych konstelacji.

Nicklin przyjął widok zewnętrznego wszechświata tak jak zwykle - z niejakim rozczarowaniem. Orangefield leżało mniej niż tysiąc kilometrów od Beachhead - dość łatwo było się tam dostać samolotem - ale on nigdy nie zadał sobie trudu, by pojechać, nigdy więc nie widział gwiazd bezpośrednio. Dla niego wszystkie te oddalone plamki świetlne miały niewiele wspólnego ze sprawami, stresami i satysfakcjami życia codziennego. Jego rodzina od sześciu pokoleń mieszkała na Orbitsville i jej losy nie były w żaden sposób związane ani z gwiazdami, ani z konstelacjami gwiazd...

- A co z Ziemią? - dał się słyszeć głos innego mężczyzny.

- Nie wiemy już, gdzie jest Ziemia. Nie wiemy, jak tam się dostać. - Głos Carpentera brzmiał tak, jakby astronom czerpał z tych zaprzeczeń przewrotną satysfakcję. - Dlatego wszelkie kontakty z Ziemią są

zerwane, prawdopodobnie na zawsze. To samo oczywiście dotyczy Terranovy.

„Kogo obchodzi Ziemia czy Terranova” - pomyślał Nicklin. - „Eksponaty muzealne”.

Patrzył na prawie jednolitą czerń, że poczuł się bardzo senny. Postanowił poczekać jeszcze pięć minut, żeby mieć pewność, że Cort Brannigan opuścił jego włości, po czym miał zamiar pożegnać się z White'ami i wrócić do spraw ważniejszych. Wyjaśnienie, dlaczego wszechświat wygląda inaczej, to zajęcie dla astronomów - jego tymczasem oczekiwała sokowirówka i koło rowerowe, które przyrzekł naprawić jeszcze dzisiaj.

Nicklin bezwolnie przymknął powieki. Poczuł, jak oczy odprężają się w rozkoszny sposób. Uczucie to było tak przyjemne, że natychmiast uświadomił sobie ryzyko zaśnięcia, a to byłoby żenujące w obecności niestrudzonych White'ów...

- Popatrz tylko na staruszkę Jima - rzekł głośno Cham White. Jego głos dotarł do Nicklina poprzez rozkoszny szum letniej łąki zadowolenia. - Dziesięciominutowa praca go wykończyła.

Nicklin ocknął się raptownie.

- Przepraszam, przepraszam, ostatniej nocy spałem bardzo mało. - Kłamstwo wymknęło mu się samo.

- Dlaczego - spytała Nora z sąsiedzką życzliwością. - Kłopoty z brzuszkiem?

- Tak jest. - Nicklin uchwycił się tej sugestii z wdzięcznością i zaczął ją rozwijać. - Zjadłem przed ;; niem kawałek szarlotki, ale popełniłem błąd, kładąc na nią kawałek sera.

- Szarlotka, he? Zacząłeś brać lekcje kucharzenia?

- Nie... to był prezent od May McVickar.

Nicklin słuchał swoich słów z rosnącym przerażeniem. Dlaczego wpakował się w taką sytuację? I co go opętało, by uczynić z May McVickar mniemaną dobrodziejkę. Mieszkała ona tylko parę kilometrów stąd i była nawet zaprzyjaźniona z White'ami. Zupełnie prawdopodobne, że za dzień czy dwa obie kobiety spotkają się na pogawędce i zaczną porównywać informacje. Co gorsza, zważywszy na prześladowającego go pecha, ta głupia stara jędza może się pojawić za chwilę na progu White'ów...

Nicklin zaczął się nerwowo wiercić, próbując zakończyć temat szarlotki, kiedy do jego świadomości dotarł niezwykle, dochodzący z zewnątrz dźwięk, który zaczął zakłócać głosy z telepodium. Dźwięk stawał się coraz donośniejszy i tak nie pasował do wiejskiej ciszy, że minęło kilka sekund, zanim Nicklin zdołał rozróżnić oddzielne składniki tego hałasu. Orkiestra dęta grała muzykę marszową, a na to nakładał się wzmocniony męski głos, który, chociaż nie można było jeszcze rozróżnić poszczególnych słów, brzmiał jak głos polityka lub kaznodziei.

-Zdaje się, że mamy gości - rzekł Nicklin wstając z miejsca i kierując się ku drzwiom. - Muszę to zobaczyć.

Niedbale machnął ręką na pożegnanie i wybiegł z budynku. Znalazł się pod pionowymi promieniami słońca Orbitsville, którego ciepło przesączyło mu się przez włosy i rozlało jak gorący olej na czubku czapki. Żałował przez chwilę, że nie wziął kapelusza. Przysłonił oczy i patrzył w rozświetloną przestrzeń, w której gdzieś unosiły się chmury muszek. Drogą za strumieniem przesuwawa się powoli kawałkadeka około dziesięciu pojazdów - ciężarówek i wozów kempingowych. Wszystkie były w kolorze ultramaryny. Po obu stronach każdego wozu

pulsował napis, wymalowany fotoaktywną, pomarańczową farbą: „COREY MONTANĘ prowadzi cię do domu”.

- Oby tylko nie to - szepnął Nicklin - oby nie kolejny grzmot biblijny. Proszę cię, O, Gazowy Kręgowcze, tylko nie kolejny święty walec!

Modły zostały odrzucone, czego potwierdzeniem było dudniące obwieszczenie, podane przez megafon. Kaznodzieja Corey Montanę miał zagościć w Orangefield przez trzy dni, gdyż chce przynieść zbawienie wszystkim miejscowym, którzy mają dość rozsądku, by kierować się jego naukami. Wszyscy inni zostaną naturalnie potępieni.

Gdy procesja znikła z pola widzenia za zagajnikiem fujarkowców, słowa mówcy zatarły się i trudno je było odcyfrować. Ale nim stały się całkowicie niezrozumiałe, do uszu Nicklina dotarł fragment: „Orbitsville jest narzędziem Szatana”.

„To po prostu wspaniałe” - myślał Nicklin, zmierzając ku swej posiadłości.

Zawisła nad nim groźba, że w ciągu najbliższych 1 rzech dni w jego zaciszu wtargnie grupa napuszonych oszołomów. Co gorsza, terapeutyczny spokój wiejskiej zieleni, którym napawał się podczas wieczornych przechadzek, będzie prawdopodobnie zniszczony przez hałaśliwe kazania, przerażającą muzykę i zbieraczy gotówki. Wszystkie misje religijne, wszyscy dostawcy duchowego spokoju i wszyscy wyrzekający się przyziemnych zysków mieli jedną cechę wspólną: zawsze ktoś z nich musiał zbierać gotówkę.

Z umysłu Nicklina zniknęły jakiegokolwiek myśli o tym, co dzieje się w zewnętrznym wszechświecie. Nachmurzony, ze strapioną miną, jak przystało człowiekowi, który znalazł prawdziwy powód do zmartwień, poszedł do domu przez bujną zieloną trawę.

ROZDZIAŁ 3

Corey Montanę pomagał przy ustawianiu wielkiego namiotu i trochę go to zmęczyło. Czuł się nieco osłabiony. Siedział teraz na płóciennym krześle przed swoim wozem kempingowym i pokrzepiał się filiżanką ulubionej herbaty. Sącząc wonny napar, błądził wzrokiem po sklepach, zajazdach i nielicznych budynkach mieszkalnych, które stały wokół centralnego skweru Orangefield. Importowane dęby i kasztanowce wzmacniały atmosferę idyllicznego, nostalgicznego spokoju.

Na przestrzeni dziejów różne odłamy społeczności stworzyły własne wizje, jak powinna wyglądać idealna oprawa dla klejnotu życia: jedną skrajnością był sentymentalny Nowy Jork Franca Capiy, drugą - jasne an-tarktyczne włości Richarda Caine'a, poety z dwudziestego pierwszego wieku. Jednak dla zdumiewająco wielu ludzi ideał był bardzo zbliżony do tego, co rozciągało się właśnie przed oczyma Montane'a, do tej odtworzonej tu z pietyzmem, cudownej epoki, kiedy papierosy nie powodowały raka, jedzenie masła i śmietany nie było grzechem, nigdy nie słyszano o broni jądrowej, a praca stanowiła źródło satysfakcji, a nie stresów. Muskularni, brodaci gracze w krykieta mogli właśnie zdążyć do pociągu ciągniętego przez parowóz, by udać się na mecz z miejscową drużyną; odległe brzęczenie jakiegoś urządzenia mogło pochodzić z blaszanego warsztatu braci Wright, majstrujących przy którejś ze swych niepraktycznych maszyn.

W podobnych chwilach Montanę mógł łatwo zrozumieć, dlaczego tak wielu mieszkańców Orbitsville wybierało życie we wspólnotach o niskim poziomie technicznym. Przeto sprawiała mu ból świadomość, że jego normalna ludzka reakcja na to wszystko, co widzi, jest częścią

czegoś straszliwie niebezpiecznego, czegoś, co Orbitsville gotowało wszystkim bożym dzieciom. To była przynęta w pułapce Orbitsville...

- Dobrze się czujesz, Corey? - spytał Nibs Affleck, Idóiy nadszedł od strony wielkiego namiotu, gdzie ciągle jeszcze poprawiano napięcie lin.

Nibs był młodym człowiekiem o poważnych oczach i rumieńcach na twarzy - następstwo długotrwałego alkoholizmu. Dołączył on do krucjaty rok temu i znalazł tu oparcie, co pozwoliło mu wyzwolić się z nałogu. Dlatego w stosunku do Montanę'a wykazywał ogromną lojalność i wdzięczność, troszcząc się o zdrowie swego mistrza, co było czasami krępujące.

- Doskonale, Nibs - odrzekł Montanę, spoglądając spod płaskiego kapelusza przeciwsłonecznego. - Po prostu jestem trochę zmęczony, to wszystko.

- Powinieneś zostawić nam takie prace jak rozbijanie namiotu.

- Może będzie dla ciebie interesująca informacja, że mam sześćdziesiąt lat, nie kwalifikuje mnie do wózka inwalidzkiego - Montanę uśmiechnął się na dowód, że nie żywi urazy. - Poza tym, znasz nasze zasady: nikt nie jest tak wielki i potężny, by mógł być zwolniony z przypadającej nań części pracy - te zasady dotyczą i również mnie.

Affleck zaszurał nogami i zrobił nieszczęśliwą minę.

- Nie chodziło mi o to, że miałbyś...

- W porządku, Nibs. Okazałeś po prostu troskę i dziękuję ci za to.

Czy można prosić cię o pewną przysługę?

- Jasne, Corey! - Powiedział z zapałem Affleck, a jego krągła twarz pojaśniała. - Cokolwiek zechcesz!

-To miasto, wyobraź sobie, ma swój dziennik. Zdaje się, że jest to prawdziwy dziennik w stylu Marka Twaina. Myślę, czy by nie dać w

nim ogłoszenia. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś poszedł i przyniósł mi egzemplarz.

- Jasne, Corey!

Affleckowi oczy zajaśniały z zadowolenia. Odwrócił się i podążył przez skwer.

Montanę patrzył za nim zatroskany. Affleck był pracowity i życzliwy, ale prostoduszny - nie takich uczniów brakowało rozpaczliwie krucjacie. Montanę zdecydowanie potrzebował zespołu bystrych, wygadanych ludzi, mających talent do zbierania wielkich sum pieniędzy. Potrzebował takich osób, które potrafiłyby stworzyć hipnotyzującą kombinację daru do interesów z ferworem ewangelicznym i umiały nakłonić bogaczy do rozstania się ze swoimi fortunami. Na Orbitsville dość trudno było znaleźć milionerów, ponieważ gromadzenie wielkich bogactw związane jest z manipulacją i kierowaniem innymi ludźmi, a niełatwo to robić w stosunku do osobników, którzy posiadają przyrodzone prawo do wędrowania i za każdym razem, kiedy mają do tego nastrój, mogą wyruszyć w drogę i zagarnąć obszar równy hrabstwu, krajowi albo nawet kontynentowi. I nawet jeśli wywabi się takich bogaczy z ich twierdz, nie będą oni skłonni przekazać wielkich sum pieniędzy komuś, kogo uważają za naiwnego Jezusowego pomyleńca.

Kiedyś Montanę wierzył, że sam osobiście będzie w stanie przyciągnąć fundusze niezbędne do zapewnienia krucjacie sukcesu, że Bóg przemówi przez niego i poruszy ludzkie serca - ale to było sześć lat temu. Omal nie jęknął głośno, kiedy pomyślał, jak wiele czasu upłynęło od chwili jego przebudzenia i jak mało zostało osiągnięte...

Przez pierwsze pięćdziesiąt lat swego życia Corey Montanę był typowym, niczym nie wyróżniającym się mieszkańcem Pewterspear 97. Przyrostek numeryczny, dodawany do nazwy każdego miejsca, odnosił się do najbliższego portalu i stanowił najlepszą aproksymację kodu pocztowego, na jaką zdobyło się Orbitsville. Fakt, że Pewterspear miał numer zbliżony do 100, oznaczał, że miasto było oddalone od Beachhead prawie najdalej, jak to możliwe, ale Montanę nie przejmował się tym. Lubił znaczne oddalenie od wielkomiejskich centrów handlowych i przemysłowych. Prowadził małą, domową piekarnię. Dawała ona skromny, ale wystarczający dochód ze sprzedaży pikantnych pasztecików i słodkiego pieczywa, jego żona, Milly, i dorosła córka, Tara, pomagały w prowadzeniu interesu, co na ogół odbywało się w wielkiej harmonii. Wolny czas Montanę poświęcał ulubionym zajęciom na wolnym powietrzu - głównie pilotowaniu małego samolotu - i był w mieście powszechnie lubiany.

Wyglądało na to, że Montanę przeżyje te swoje przypisane pięćdziesiąt lat w taki sam miły i niezobowiązujący sposób, ale wszystko zmieniło się w ciągu kilku sekund...

Był wilgotny poranek w pierwszych miesiącach roku, jednak Montanę nie traktował deszczu jako czegoś przykrego. Spadały duże, czyste, gęste krople. Każda z nich tworzyła miniaturową przejrzystą kolczastą koronę, kiedy rozbijała się o chodnik. Montane'owi wydawało się, że widzi nienaturalnie ostro - tak jak to często bywa przed migreną - i niesłychanie wyraźnie rozróżnia wszystkie szczegóły tych koron, tak jak widywał je w dzieciństwie. Zastanawiał się, czy to właśnie wpływa na jego obecny nastrój chłopięcego optymizmu, gdyż zła pogoda kojarzyła mu się zaiusze z Wigilią. Ulica, której część widział, zatłoczona była ludźmi robiącymi zakupy. Chodzili z parasolami i podniesionymi kołnierzami,

mimo deszczu zdecydowani nabyć w ostatniej chwili prezenty gwiazdkowe. Na wilgotnym gruncie widać było wesołe odbicia oświetlonych okien sklepów, co dodatkowo podkreślało gwiazdkowy nastrój.

Montanę uśmiechnął się, kiedy zauważył jeszcze jedno podobieństwo do sezonu świątecznego - panował wyjątkowy ruch w interesie, szło tak dobrze, że musiał już uzupełnić towary na wystawie. Postanowił wziąć się za to od razu, gdy tylko strumień klientów ustał na chwilę, i pokroić wielki pasztet cieleńco-szynkowo-jajeczny oraz może kilka battenbergów, które dobrze się sprzedawały pod miejscową nazwą „marcepanowe okna”.

*- Milly - zawołał, wyjmując prostopadłościenny pasztet z lodówki.
- Co zrobiłaś z nożami?*

- Są tutaj, w sterylizatorze.

Jego żona przebywała w tym momencie w kuchni na zapleczu.

- Czy mogłabyś je przynieść?

Milly ledwie słyszalnie parsknęła ze zniecierpliwienia, a Montanę przypomniał sobie, że właśnie wybiera się ona do Canterbury, na poranną kawę z przyjaciółmi. Chwilę później weszła pośpiesznie do przedniej części sklepu, niosąc noże na tacy. I jakimś cudem - później przypuszczano, że z powodu wilgoci, przyniesionej na butach przez klientów - poślizgnęła się i przewróciła do przodu.

Tego nastrojowego, szarego poranka, Montanę mógł spodziewać się wszystkiego, ale nie tragedii. Jednak Milly, uderzając o podłogę, wydała taki odgłos, że natychmiast pojął, iż stało się coś strasznego, coś zupełnie bezsensownego i niesprawiedliwego. Był to przerażający dźwięk - jakby charknięcie, jakby westchnienie - odgłos wyrażający ból, zdziwienie i trwogę.

- Milly!

Montanę podbiegł do krańca lady, spojrział w dół i zobaczył swą żonę, leżącą twarzą ku podłodze. Ciałem przykrywała tacę. Przerażony Montanę opadł na kolana i odwrócił Milly. Nóż, który musiał stanąć sztorcem, zanim wbił się w jej opadające ciało, sterczał trochę poniżej lewej piersi.

Umarła w jego ramionach, patrząc nań nieprzytomnym wzrokiem, a trzonek noża, poruszony ostatnimi skurczami jej serca, zatańczył, zakreślając koło w środku powiększającej się wciąż plamy na pomarańczowej bluzce.

Montanę odrzucił głowę do tyłu i zawył z rozpacz.

Godziny i dni, które po tym nastąpiły, były prawie tak samo koszmarnie, jak tamto tragiczne wydarzenie. Kiedy policja ukończyła wstępne dochodzenie i karetka odjechała z ciałem, Montanę w głębi swojej rozpacz zwrócił się do córki, szukając podpory i pocieszenia. Ku jego zdziwieniu, córka zareagowała z cichą, lodową wściekłością, tak jakby to on spowodował śmierć matki. Nie mógł przebyć bariery, którą córka wzniosła między nimi, a ona natychmiast po pogrzebie spakowała manatki i odeszła, odmawiając udzielenia jakichkolwiek wskazówek, dokąd się udaje...

Powrót myślami do tych traumatycznych dni sprzed sześciu laty stał się dla Montanę'a źródłem filozoficznego zadziwienia, że przyczyną jego przebudzenia duchowego była nie strata żony i córki, ale osobliwość geologiczna obszaru, na którym leżało Pewterspear.

Miasto położone było w szerokiej depresji w kształcie półmiska, którą na starych mapach zwiadowczych oznaczano jako Dno MacIntosha. Montanę zawsze znał tę nazwę, ale nie znaczyła ona dla niego wiele, co najwyżej była inspiracją uczniowskich dowcipów. Zdawał sobie również sprawę, chociaż nie poświęcał temu szczególnego zainte-

resowania, że kamienista gleba, na której zbudowano miasto, ma w wielu miejscach nie więcej niż dwa metry grubości. Przy wznoszeniu bardziej masywnych budynków, podpierano je zazwyczaj krótkimi słupami, sięgającymi do skorupy Orbitsville. Na to również Montanę nie zwracał szczególnej uwagi... aż do pierwszych odwiedzin grobu żony.

Kłęczał przy świeżej jeszcze mogile, usiłując czerpać jakieś pocieszenie z faktu, że żona zjednoczy się z ziemią. Śmierć była częścią naturalnego cyklu... wychodzenie z ziemi, powracanie do ziemi...

Wtedy doznał szoku, uświadamiając sobie, że ciało Milly - to święte ciało - spoczywało zawieszona tylko na grubość dłoni nad szarą warstwą hilemu, który tworzył rozległą skorupę Orbitsville. A za nią, tylko o parę centymetrów, ziała surowa pustka przestrzeni międzygwiazdnej! Nigdy nie osiągną spokoju ani Milly, ani on w tych wysoce nienaturalnych okolicznościach; nie nastąpi łagodna absorpcja w odwieczną jedność świata darowanego przez Boga; płytki pochówek Milly był nieprawy...

Montanę wspominał, jak kłęczał przy grobie ponad godzinę - czuł, że jego umysł balansuje jak szybująca pustułka, w połowie drogi między boską inspiracją i szaleństwem - i kiedy wreszcie powstał na zdrewniałe nogi, był już innym człowiekiem.

Ludzie, znający się na medycynie, powiedzieli mu później, że jego przemiana była raczej konsekwencją opóźnionego szoku a nie głębokim przeżyciem religijnym, ale Montanę wiedział lepiej. Znacznie lepiej. O niebo lepiej.

Nawet teraz, kiedy tak siedział w Orangefield na popstrzonych słonecznymi plamami błoniach i popijał sobie herbatę, w jego myślach dominowało zaskoczenie faktem, że oprócz niego nikt nie uświada-

miał sobie, iż wpadł w diabelską pułapkę. Cóż za masowe szaleństwo, jakąż powszechną ślepotą dotknięta została nagle ludzkość po odkryciu Orbitsville?

Ludzie sprzed dwustu lat byli produktem cywilizacji, która zawsze musiała zębami i pazurami walczyć po prostu o przetrwanie. Byli twardzi, cyniczni i podejrzliwi; wiedzieli na pewno, że Kosmos nie dostarcza darmowych obiadów - a jednak, gdy znaleziono Orbitsville, zlecieli się jak osy do garnka miodu.

Nikt nie powiedział:

„Poczekajcie chwileczkę! Lepiej przemyślmy to, zanim zrobimy coś zbyt pośpiesznie. To, co tutaj mamy, to olbrzymia sfera, zrobiona z jakiegoś materiału, który opiera się wszelkim analizom, ale który wytwarza sztuczną grawitację. Wokół swego słońca ma również linie pola siłowego w formie wspaniale zaprojektowanej klatki, by zapewniać następowanie dni, nocy i kolejnych pór roku. Ta rzecz z całą pewnością jest artefaktem! Kusi nas obietnicą zaspokojenia wszystkich naszych potrzeb, spełnienia naszych wszystkich marzeń. To zbyt piękne, by było prawdziwe - dlatego to musi być PUŁAPKA!”

Montanę nie miał pojęcia, kto zbudował Orbitsville, ale wiedział w głębi duszy, że jego twórcy - ci, którzy zaplanowali zmianę losu ludzkości - nie byli przyjaciółmi Boga. Orbitsville pozostawała spokojna przez okres, którzy ludziom wydawał się długi, przez dwa pełne wieki, ale w kontekście historii wszechświata była to krótka chwilka. Mięsożerny kwiat zawsze pozostaje nieruchomy, nim ofiara znajdzie się głęboko w jego kielichu, pozbawiona wszelkich możliwości ucieczki.

Ostatnio napływały sprawozdania o jarzących się zielonych liniach, mknących po powierzchni wielkiej sfery. Montanę uważał to za

pierwsze, wygłodniałe drgnięcia muchołówki, tuż przed zamknięciem się jej pułapki...

Montanę powrócił myślami do spraw bardziej przyziemnych, gdy w pewnej odległości zobaczył Nibsa Affiecka. Biała plamka wskazywała, że udało mu się dostać gazetę, a szybka zmiana miejsca oznaczała, że Nibs wciąż biegnie. Montanę uśmiechnął się półgębkiem, kiedy przypomniał sobie czasy, kiedy on również cieszył się nadmiarem energii, tak że mógł sobie pozwolić na spalenie jej części w bezużytecznych ćwiczeniach fizycznych. Mając sześćdziesiątkę wciąż wyglądał na człowieka pełnego wigoru - błyszczące, ciemne włosy, twarz bez zmarszczek i prosty grzbiet - ale ostatnio jego zdolność do pracy fizycznej znacznie się zmniejszyła. Nie podejrzewał, żeby potajemnie zżerała go jakaś choroba - po prostu z każdym mijającym rokiem brzemień duchowe przygniatało go chyba coraz bardziej. Nazwał to „zmęczeniem misją”. Duch może zostać zatruty toksynami zmęczenia w ten sam sposób, jak przepracowane ciało.

Affleck z poślizgiem zatrzymał się obok niego. Bieg w upale spowodował, że jego cera zdradzała jeszcze większe objawy gorączki niż zazwyczaj.

- Tutaj masz swój dziennik, Corey. Przyniosłem ci egzemplarz.
- Widzę, że przyniosłeś - Corey postawił filiżankę na ziemi. - Ile kosztował?
- Nie wzięlbym od ciebie pieniędzy, Corey - rzekł Affleck, robiąc obrażoną minę. - Zresztą były to grosze tylko ćwierć monita.
- Dziękuję, Nibs.

Montanę zastanawiał się, czy nie wcisnąć Affleckowi pieniędzy, lecz doszedł do wniosku, że dla chłopaka największą wartością będzie przyjemność dawania. Affleck ruszył w kierunku namiotu. Montanę

pożegnał go gestem i skupił uwagę na dzienniku. Był wielki i nieporęczny, jak te na filmach historycznych, ale drukowany urządzeniem laserowym, z użyciem czcionki innego, wyraźnego kroju - wydawcy nie przesadzali zbytnio w swoim przywiązaniu do przeszłości i jej obyczajów. Montanę, nie lubiący nadwerężyć oczu, kiwnął głową z aprobatą.

Wstępniak, zatytułowany GŁÓWNA ULICA POZOSTANIE CIEMNA, był długim artykułem o kłótni w Radzie Miejskiej, spowodowanej przez jakichś miejscowych biznesmenów, którzy zwrócili się o pozwolenie na umieszczenie oświetlonych znaków na fasadach swych sklepów. W innym tekście informowano o znalezieniu na jednej z farm nieznanego gatunku rośliny płożącej, a w jeszcze innym o otwarciu przez żonę burmistrza wystawy jej własnych akwareli.

Montanę przeglądał kolumny z pobłażliwym zainteresowaniem i właśnie miał przejść do następnej strony, kiedy zobaczył bardzo zwięzłą notatkę na samym dole szpalty. Uwagę jego zwrócił podtytuł - wspominał coś o astronomach, a Montanę od dawna był wyczulony na wszystko, co tyczyło związków Orbitsville z naturalną galaktyką. Notatka głosiła:

ZASKOCZENI ASTRONOMOWIE

Jeśli ktoś zauważy dziś wieczorem na horyzoncie różowy blask mniej więcej z kierunku Beachhead, nie będzie on spowodowany nadmiarem światła na skrzyżowaniach. Będzie on natomiast emanował z czerwonych lic naszych przepłacanych wypatrywaczy gwiazd, którzy w dniu dzisiejszym byli zmuszeni przyznać, że stracili kontakt wzrokowy z znanym wszechświatem!

Profesor Carpenter z Uniwersytetu Garamonda próbował zbyć ten drobny akt nieuwagi -przecież każdemu może się zdarzyć, że zapodzieje

gdzieś kilka miliardów galaktyk - wyjaśnieniem, że Orbitsville przeniosła się na nowe miejsce w Kosmosie!

Niech nie martwią się ci, którzy w nocy poczuli jakieś drgania. To nie fundamenty waszych domów się zatrzęsły - to po prostu fundamenty nauki!

Montanę opuścił gazetę na kolana i spojrzał nie-widzącym wzrokiem przed siebie. Serce waliło mu jak młotem. Antynaukowy, demaskatorski ton artykułu nie zwiódł go ani nie uspokoił. Będzie musiał oczywiście sprawdzić tę opowieść, ale było dla niego jasne, że zaszło jakieś zadziwiające zdarzenie kosmiczne. Najważniejsze pytania były następujące: „Czy pułapka Orbitsville zatrasnęła się zupełnie, czy też jest to jakiś etap wstępny? Czy wszyscy mieszkańcy Orbitsville są skazani na zagładę, czy też może jest jeszcze czas, by kilku z nich uciekło statkiem kosmicznym na naturalną, daną przez Boga planetę? Czy on osobiście, przez to, że nie uczynił dosyć w ciągu sześciu lat swego świadomego życia, był odpowiedzialny za ostateczną zagładę rasy ludzkiej?

Szarpany poczuciem winy i trwogą, wstał i poszedł szybkim krokiem ku namiotowi, gdzie jego uczniowie śmieli się wesoło, gdyż skończyli właśnie dzień pracy.

ROZDZIAŁ 4

- Według naszych starych kryteriów - stwierdził Corey Montanę - całkiem nieźle nam dzisiaj poszło.

Słuchacze, około czterdzieści osób, wyłącznie jego własni pracownicy, wyrazili zadowolenie, jednak w sposób stonowany i niepewny. Rzadko zdarzało się, żeby Montanę zwoływał tak późno ogólne zebranie, więc wszyscy wiedzieli, że szykuje się coś poważnego. Siedzieli w zwartej grupie w rogu namiotu. Klapy drzwi zamknięto i zasznurowano, a jedyne oświetlenie, pochodzące od pojedynczej kuli u góry, tylko podkreślało ciemność w cienistych zakamarkach olbrzymiego namiotu. Atmosferę konspiracji wzmacniał fakt, że Montanę usadowił się pośrodku swych uczniów i mówił ściszym głosem. Najwyraźniej nie chciał, by ktokolwiek przyczajony na zewnątrz mógł go usłyszeć.

- Zebraliśmy dzisiaj prawie sześćset orbów - ciągnął Montanę. - A sześćset orbów to powód do chluby - według naszych starych kryteriów. Kłopot polega na tym, że naszych starych kryteriów nie można już stosować. Straciły rację bytu. Są dla nas zupełnie bez znaczenia.

Montanę przerwał, spoglądając posepnie na słuchaczy. Byli dość przypadkową grupą mężczyzn i kobiet. Kochał ich wszystkich. Niektórzy - jak elektrycy Petra Davies i stary Jock Craig - przyłączyli się do niego, wiedząc, że mogą ofiarować użyteczne kwalifikacje. Inni doszli, nie mając szczególnych umiejętności, ale gotowi byli wykonywać - lub nauczyć się wykonywać - wszystko, o co ich poproszą. Łączyła ich wspólna lojalność i zaufanie do Montane'a oraz wiara w jego posłannictwo.

A teraz, w tej złowrogiej chwili, wymagano od niego, żeby poddał próbnie te ich wszystkie zalety.

- Wiecie już z dzisiejszych wiadomości, że nasz świat przeniesiono do jakiejś obcej części przestrzeni w miejsce tak dalekie, że astronomowie nie mogą nawet odnaleźć Grupy Lokalnej - dwudziestu, a

może więcej, galaktyk, które tworzyły nasze kosmiczne sąsiedztwo. To wydarzenie potwierdza wszystko, co mówiłem ludziom przez ostatnie sześć lat, ale niestety - to niewiarygodne - oni wciąż mi nie wierzą. Ślepotą trwa. Lecz my nie jesteśmy ślepi. My wiemy, że żelazne szczęki Szatańskiego potrzasku zadrgały i właśnie zaczęły się zamykać!

Muszę wyznać, że cały czas byłem zanadto zadowolony z siebie. Mija prawie dwieście lat od chwili, gdy rozpoczęła się migracja na Orbitsville. Według ludzkich norm to bardzo długo, ale dla Boga to jedynie mgnienie oka i dla Szatana to też jedynie mgnienie oka.

Te dwa wieki uśpiły moją czujność - sądziłem, że mamy znacznie więcej czasu do dyspozycji, niż było go w rzeczywistości. Zacząłem swą misję, mając wielkie plany zebrania funduszy na budowę floty statków kosmicznych. Pieniądze wpływały znacznie wolniej, niż oczekiwałem w tamtych dniach, gdy byłem taki naiwny. Zdołałem jednak przystosować się do tego. W najgorszym wypadku, powiadałem sobie, wystarczy, jeśli założę fundację. Będę mógł spokojnie umrzeć, wiedząc, że pewnego dnia flota pożegluje ku Nowemu Edenowi, choć ja sam nie będę na pokładzie.

Montanę obdarzył słuchaczy smętnym, żalonym uśmiechem.

- Jednak dzisiejsze wiadomości wszystko zmieniły i my też musimy się zmienić. Jestem teraz gotów przystać na jeden tylko statek, jedną arkę, która zachowa kiełki nowego odgałęzienia ludzkości. Trzeba go zbudować jak najszybciej. Może nawet zabraknie czasu na zakończenie budowy, ale musimy spróbować. To nasza jedyna nadzieja zbawienia i dlatego powinniśmy w to włożyć jak największy wysiłek.

Do dnia dzisiejszego zadawaliśmy się zbieraniem pieniędzy w małych ilościach, ale musimy zmienić sposób naszego postępowania.

Musimy odłożyć na bok nasze zasady moralne, stłumić głos naszego sumienia. Krótko mówiąc, musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, by dostać te pieniądze, nawet jeśli to oznacza zníženie się do środków, które - w innych okolicznościach - uznalibyśmy za odrażające.

Wzdragam się przed użyciem słów, które kojarzą się z najciemniejszymi epizodami w historii ludzkości... jednak, w tym wyjątkowym przypadku, cel uświęca środki.

Zapadła pełna napięcia cisza, a potem Mace Winnick, chudy jak szkielet mężczyzna o pomarszczonej twarzy, który odbył karę w klinice korekcyjnej, odchrząknął:

- Corey, czy mówisz w tej chwili o kradzieży?

Montanę potrząsnął głową.

- O kradzieży - nie. Kradzież wykluczam, nie z pobudek moralnych, ale z powodu wysokiego prawdopodobieństwa wpadki.

Ponownie nastąpiła chwila ciszy. Zgromadzeni utkwili w Montanie zamyślane spojrzenia, starając się ocenić tego obcego mężczyznę, jakim stał się ich przywódca. Dee Smethurst, naczelną kucharką, wyglądająca dokładnie tak, jak powinna wyglądać kucharka: pulchna, różowa, stateczna, podniosła rękę.

- To brzmi prawie... - jej twarz skrzywiła się boleśnie. - Prawie tak, jakbyś przyzwalał na prostytutkę.

Montane starannie unikał patrzenia w stronę, gdzie siedziały kobiety - zwłaszcza Danae Farthing, Christine McGivern i Audrey Lightfood - które były wyposażone przez naturę tak, że dobrze zarobiłyby, zaczepiając mężczyzn na ulicy.

- Usprawiedliwię prostytutkę, mężczyzn bądź kobiet, jeśli dzięki temu zbudujemy statek.

- Coreyu Montanie!

Dee obrzuciła zgorszonym spojrzeniem sąsiadów i ściągnęła usta w sposób świadczący o tym, że później będzie miała znacznie więcej do powiedzenia.

Montane uprzytomnił sobie, że prawdopodobnie straci część swego zespołu wskutek wprowadzenia nowych zasad postępowania, ale z tym po prostu trzeba było się pogodzić. Jego misja stała się nazbyt podobna do przytuliska dla ludzi społecznie nieprzystosowanych. Nadszedł czas, by przerwać zabawę i każdy, kto nie był gotów poświęcić sprawie wszystkich swych atutów, będzie traktowany jak zbędny balast.

- Powiniennem uściślić mą ostatnią uwagę - dodał. - Jestem gotów usprawiedliwiać zwykłą, doraźną prostytutkę, ale wnoszenie pięćdziesięciu czy stu orbów dziennie - nie jestem zorientowany w bieżących stawkach - to jedynie drobny krok we właściwym kierunku. Jednakże będę pochwalał prostytutkę strategiczną, dzięki której skłoni się klienta, by dołączył do naszego ruchu lub poparł go do tego stopnia, by sprzedał - lub sprzedała - swój majątek i ofiarował uzyskaną sumę na nasz fundusz.

Nie jest dla mnie miłe zwracać się do was w ten sposób... - stawką jest jednak nieśmiertelność naszych dusz. Stawką jest ni mniej ni więcej, ale przyszłość całej rasy ludzkiej!

Montane zaprosił swoich słuchaczy, by wzięli udział w otwartej dyskusji i został z nimi ponad godzinę. Trwała debata, podczas której emocje jak fale wznosiły się i opadały. W końcu, kiedy był już zbyt zmęczony, by ciągnąć dalej, pożegnał ich i poszedł w ciemności do swego wozu kempingowego. Kiedy znalazł się w środku przestronnego pojazdu, nie zapalił świateł, jedynie małą lampkę do czytania na

biurku. Brązowy abażur dawał ciepły blask i Montane mógł przyrządzić sobie herbatę, którą pił zawsze przed snem. Jego umysł pracował, próbując przetrwać wszystko, co wydarzyło się podczas tego przełomowego dnia, ale uczucie głębokiego zmęczenia mówiło mu, że nie będzie miał kłopotów z zaśnięciem.

Kiedy skończył pić herbatę, rozebrał się i umył zęby. Wyłączył lampę na biurku i po drodze do łóżka przeszedł koło srebrnej trumny, która stała na środku pomieszczenia.

Położył obie dłonie na zimnym metalu, zamknął oczy i cichym głosem rzekł:

- Przepraszam, że tak się wszystko składa, Milly, ale kiedyś znajdziemy oboje spokój.

ROZDZIAŁ 5

Przed wyjściem z biblioteki Nicklin przejrzał swoją listę dostaw i zobaczył, że idąc do miasta może po drodze podzucić książki trzem czytelnikom. Zamówili u niego broszury - western Jacka Schaefera; cienki tom na temat projektowania i konstrukcji różnokształtnych papierowych szybowców; wreszcie ładnie ilustrowany traktat o kolei w wiktoriańskiej Anglii. Książki były teraz troszkę grubsze, niż wtedy, gdy opuściły drukarnię. Powodował to permatom, który powlekał kartki i czynił je praktycznie niezniszczalnymi. Jeśli jednak pominęło się ten szczegół, trudno byłoby orzec na podstawie wyglądu, że książki liczą sobie dobrze ponad dwa stulecia.

Nicklinowi wpadło na myśl, że bibliotekarstwo może ucierpieć, jeśli astronomowie w miarę szybko nie pozbierają się ze swoim sprzętem i nie nawiążą ponownie kontaktu z Ziemią. Jak większość bibliotekarzy, Nicklin miał do czynienia głównie z przeszłością. W gruncie rzeczy na Orbitsville nie stworzono żadnej wybitnej literatury ani nawet książek, wzbudzających przelotne zainteresowanie. Według ekspertów było to konsekwencją zniknięcia wszelkich społecznych napięć i ograniczeń. Konkurencja i konflikty zawsze napędzały wielką sztukę, a na Orbitsville, gdzie dostępne były tereny równe powierzchni pięciu miliardów Ziemi, nie istniało zbyt wiele powodów, by ludzie konkurowali o cokolwiek, a jeszcze mniej, by toczyli wojny. Nieuniknionym następstwem, jak twierdzili eksperci, był fakt, że te kilka osób, które zechcą przyłożyć pióro do papieru czy palec do klawiatury, jest w stanie stworzyć jedynie rzeczy banalne, płytkie i pozbawione emocji.

Nicklin wątpił, czy jego klienci z parafialnego Orangefield zadawali sobie trud, by aż tak głęboko analizować literaturę, ale wiedział, że znacznie większym powodzeniem cieszą się wśród nich książki opublikowane na Ziemi, przed migracją. Czytelnicy tęsknili nie tyle za Starym Światem jako takim, ile za nastrojem, jaki panował w tamtym okresie przytulnego bezpieczeństwa i wygodnej pewności. Rynek był zbyt rozproszony i nie interesował wydawców na Orbitsville, więc ta mała próżnia handlowa została wypełniona przez CPB - Cech Posiadaczy Bibliotek - który importował kontenery rozmaitych książek wyszabrowanych w opuszczonych miastach i miasteczkach na Ziemi.

Nicklin powrócił do swych bezpośrednich problemów. Przypiął kartkę, na której powinni się wpisać ci, którzy przyjdą wziąć książki

podczas jego nieobecności. Ostatni raz wytarł ściereczką ladę i, nie zamykając drzwi na klucz, wyszedł poczekać na Zindee.

Musiała wyglądać przez okno, ponieważ natychmiast się zjawiała, skacząc przez trawę ze swą zwykłą energią. Za pozwoleniem jej rodziców Nicklin zabierał Zindee do miasta na melbę. Dziewczynka chcąc podkreślić, jak ważne to wydarzenie, założyła swój najlepszy kapelusz od słońca: różowy z wizerunkami Żółwia Toby, pędzącego dokoła ronda tak, jak żaden rzeczywisty przedstawiciel jego gatunku by nie potrafił. Nicklin założył swój własny kapelusz - płaski stożek z lustrzanego złota - natychmiast jak wyszedł spod okapu domu i cieszył się, że ma zapewnioną ochronę przed promieniami. Słońce Orbitsville świeciło zawsze dokładnie nad głową, noc zapadała jedynie wtedy, kiedy przysłańały je pręty klatki słonecznej. Skutkiem tego przez cały dzień narastał upał. Kto wychodził z domu o jakiegokolwiek porze dnia bez należytego nakrycia głowy, prowokował ciężki przypadek porażenia słonecznego, jednak największe ryzyko występowało w okresie, który wciąż nazywano „wieczorem”.

- Cześć, Jim! - Zindee pojawiła się przy jego boku wywołując wyczuwalny wir prądów powietrza. - Wiesz co? Mogę zjeść największą melbę, jaka istnieje na świecie.

- Będziesz musiała na nią zapracować - rzekł Nicklin zdecydowanym tonem, kiedy wręczał jej trzy książki. - Mam zamiar powierzyć ci ich dostawę i za każdy raz, gdy którąś upuścisz, odliczy ci się gałkę lodów. Czy to jasne?

- Tak jest, szefie! - Zindee zasalutowała z udanym przestraczem.

Ruszyli w kierunku centrum miasta. Przeszli przez most i maszerowali w cieniu rosnących po obu stronach drogi wysokich fujarkowców, kiedy Nicklin zorientował się, że dziecko jest nieco przygnębione.

Modląc się w duszy, żeby nie było to związane z domniemaną zmianą położenia Orbitsville, zapytał, co ją dręczy.

- Wciąż myślę o tych dziwacznych rzeczach, o których mówili dziś rano w telewizji - odparła.

Prychnął z rozbawieniem.

- Nie przejmowałbym się tym.
- Ale to naprawdę jest straszne, Jim. Nie martwi cię to?
- Że świat się przeniósł? - znów piychnął. - Mam lekki sen, Zindee; zauważyłbym coś, gdyby w nocy świat się gdzieś przenośli.

- Ale co z gwiazdami? Są zupełnie inne.
- Skąd to możemy wiedzieć na pewno? - Nicklin, który nigdy w życiu nie widział gwiazd i dysponował tylko bardzo ogólnikową wiedzą astronomiczną, zaczął wymyślać nowe teorie fizyki kosmicznej. - Czytałem, że astronomowie czasami odkrywają grupę kilkunastu, bardzo odległych galaktyk. Potem przyglądają się temu trochę dokładniej i okazuje się, że tak zwana grupa jest w gruncie rzeczy po prostu jedną galaktyką. Światło, które stamtąd dochodzi, ugina się tak i siak, zanim dotrze do oczu tych mędrców. Więc biegają oni w kółko, skrzecząc z podnieceniem o odkryciu jedenastu galaktyk, których tak naprawdę wcale nie ma!

Zindee nachmurzyła się.

- Co to ma wspólnego z...?
- Dowodzi to, że jeśli chodzi o gwiazdy i tym podobne rzeczy, nie można po prostu wierzyć własnym oczom. Światło może się wygiąć. Może się zdarzyć, że przestrzeń... że przestrzeń... - Nicklin poczuł przyływ znajomego, gwałtownego i niepokojącego podniecenia, które go często opanowywało, kiedy okazywało się, że to co początkowo wyglądało tylko jak słowny tłuczeń, cementuje się i zlewa w wyniosłą bu-

dowlę. -... jest niejednorodna, nie wszędzie taka sama. Mogą być w niej wtrącenia, obszary anomalne, gdzie światło jest naprawdę pokręcone, kiedy wszystko, co widzisz, jest całkowicie pomieszane. Jeżeli Orbitsville zawędrowała w jeden z takich obszarów, wszechświat zewnętrzny musi wyglądać inaczej. To całkowicie naturalne.

- Jim - Zindee spojrzała na niego z absurdalnie poważną miną trzynastoletniego profesora logiki. - Twoje wyjaśnienie wydaje mi się ekskrementem wolowego samca.

- Jest to lepsze wyjaśnienie, niż ta cała gadanina, że Orbitsville przeniosło się w nocy o miliony lat świetlnych.

- Taa? A co ze statkami i dokami, które zniknęły?

- Anomalia nie ogranicza się jedynie do działania na

światło - ciągnął Nicklin, wciąż czując przyływ twórczego natchnienia. - To rodzaj burzy, tornada przestrzennego, które pogania cząsteczki międzygwiazdne, aż osiągną prawie szybkość światła. To zwiększa ich masę, rozumiesz... ich energia wzrasta... Cząsteczki w takim stanie mogą wyszorować do czysta Orbitsville w ciągu kilku sekund, jak gigantyczna polerka piaskowa.

- A co z...? - Zindee na chwilę zamknęła oczy i potrząsnęła głową. - Ciekawe, czy pan Chickley dostał świeży transport łupanych orzechów włoskich. Nie miał ich ostatnio, pamiętasz? - a bez włoskich orzechów melba nie jest warta złamanego szeląga.

- Bardzo zręczna zmiana tematu - zauważył Nicklin. - Niemal niedostrzegalna.

- Znudziła mnie rozmowa o... o tamtych sprawach.

- Od początku ci mówiłem, że to nudy.

Nicklin szturchnął Zindee łokciem, wybijając ją z rytmu marszu, a ona oddała mu, popychając go ramieniem. Posuwali się wciąż ku cen-

trum miasteczka. Od czasu do czasu przepychali się i trzy razy zboczyli z trasy, by oddać książki, co opóźniło trochę ich marsz. Szli przez typową dzielnicę Orangefield: ciche aleje i masa roślin ozdobnych zasłaniających niskie domki o zielonych dachówkach. Nicklinowi przyszło na myśl, że mogłaby to być typowa sceneria w jakimś bogatym kraju na Ziemi, gdyby nie słońce, które o tej porze dnia byłoby już nisko, opadając ku zachodniemu horyzontowi. Próbował sobie wyobrazić życie w środowisku, w którym słońce wędruje w ciągu dnia przez kopułę niebios, ale wywołało to u niego jedynie uczucie mdłości, jakby balansował na powoli nachylającej się platformie.

- Coś słyszę? - rzekła Zindee. - Co to jest?

Mieli jeszcze kilka minut marszu do miejskich błoni, ale kiedy Nicklin się skoncentrował, poczuł mruczenie powietrza, drgającego z małą częstotliwością. Zakłócenia takie nie występowały normalnie wśród sennych przedmieść Orangefield.

- To święte walce. Niezbyt długo przygotowywali się do swojej gadki, ale ode mnie nie wyciągną ani grosza, powiadam ci to.

- Co to jest gadka?

- To wtedy, kiedy jakiś typ usiłuje cię przekonać, że wszystko znacznie się dzieć znacznie lepiej, jeśli przeniesiesz pieniądze ze swojej kieszeni do jego kieszeni.

Ku zdziwieniu Nicklina Zindee spojrzała na niego z niespodziewanym zapałem.

- Chodźmy i posłuchajmy, co mówią.

- A twoje lody?

- Nie roztopią się. - Wyprzedziła go nieco i pociągnęła za rękę. -

Chodźże, Jim!

Nicklin wzruszył ramionami i posłusznie przyśpieszył kroku. Zbliżali się do błoni i coraz wyraźniej słyszeli odgłosy wzmocnionego przemówienia, a gdy ukazała się przed nimi otwarta przestrzeń, zobaczyli wzniesiony pośrodku wielki namiot. Zdaje się, że namiot rozstawiono na wypadek deszczu, ponieważ przed nim wznosiło się niskie rusztowanie, podpierające pomost. Na pomoście stał wysoki, ciemnowłosy mężczyzna i przemawiał do czterystu mniej więcej widzów. Większość z nich siedziała na składanych krzesłach. Pozostali ustawili się w kręgu. Woleli stać, chociaż sporo krzesel było wolnych. „Asekurowają się” - pomyślał Nicklin z aprobatą. - „W ten sposób słyszą, co się dzieje, a mimo to mogą szybko dać dyla, kiedy kwestujący będą próbowali ich capnąć”.

Kiedy doszli do brzegu zgromadzenia, Zindee zrobiła ruch, jakby chciała się precyzyjnie i zająć krzesło, ale Nicklin powstrzymał ją. Przez moment patrzyła na niego gniewnie, chociaż na jej ustach błąkał się dobroduszny uśmiešek. Po chwili przesunęła się tam, gdzie tłum był na tyle rzadki, że mogła dobrze widzieć mówcę. Nicklin stanął za nią i dopiero wtedy mógł wyłowić treść wygłaszanego przemówienia.

- ... wieczorne wydanie „Kroniki Orangefield”. Kawałek, o którym mówię, był bardzo dowcipny. Dobrze go napisano, sarkastycznie. Może autor jest tu dzisiaj z nami? Nie? To w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, czy jest, czy go nie ma, ponieważ nie będę się spierał z anonimowym gryziopiórkiem. Dziennikarz po prostu zrobił to, co do niego należało. Przedstawił redakcyjny punkt widzenia na coś, co bez wątpienia jest klasycznym przykładem uczonego męża, który nie ma dość rozsądku, by trzeźwo spojrzeć na sprawy.

U nas w Pewterspear mamy powiedzenie: „Wykształcenie nie zapobiega głupocie”. Podzielam więc częściowo potoczną wizję uczonego jako tego, kto rozbija filizanki równie często, jak rozbija atomy.

Mówca zrobił przerwę, czekając, aż ustanie aprobujący śmiech na widowni, i zmienił nastrój przemówienia. Postawę miał wciąż tę samą, nawet wyraz twarzy pozostał niezmienny, ale wszyscy obecni wiedzieli od razu, że żarty się skończyły i nadszedł czas, by przejść do poważnego, zasadniczego tematu spotkania. Wbrew sobie, Nicklin był pod wrażeniem. Przypuszczał, że ten kaznodzieja to Corey Montane i uderzył go fakt, że ubrany był on bardzo zwyczajnie: zwykły szary, chiński kapelusz, niebieska koszula z krótkimi rękawami, szare, luźne spodnie. Nie była to szata kapłana, ani nobliwy garnitur - stroje z jakimi kojarzą się zwykle handlarze wiarą. Montane mówił normalnym głosem, jego przemówienie nie zawierało ani śladu krzykliwej teatralności. Niklinowi podobało się to i, wbrew swym własnym przewidywaniom, czekał z prawdziwym zainteresowaniem na główną treść posłania Montane'a.

- Ale w związku z tym, przyjaciele, muszę powiedzieć wam coś, czego nie chcielibyście usłyszeć - głos Montane'a zwielokrotniony przez skierowane na zewnątrz głośniki, niosąc się w dal, krążył po starannie utrzymanych ogrodach i owijał się wokół zbędnych kominów Orangefield.

- W związku z tym, przyjaciele, muszę wam powiedzieć: tym razem zaniepokojenie astronomów w Beachhead było całkowicie usprawiedliwione. Co więcej - absolutnie nie docenili oni strasznego niebezpieczeństwa, wobec którego stanęli wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci na tej olbrzymiej bańce, którą w swojej naiwności nazywają „światem”.

Skąd o tym wiem? Powiem wam to. Wiem o tym, ponieważ od sześciu lat oczekiwałem wydarzenia tego rodzaju. Oczekiwałem tego od czasu, gdy uświadomiłem sobie, że Orbitsville to pułapka Szatana. Szatan zastawił ją starannie, och, jak starannie umieścił w niej przynętę - a teraz sam Szatan ją zatrzaskuje!

Publiczność wydała pomruk, wyrażający równocześnie zdziwienie, zatroskanie i szyderstwo. Jaśniejące pole kapeluszy przeciwnych - różnokolorowych elips - zafalowało przez krótką chwilę.

Montane uniósł ręce w górę i czekał, aż wzburzenie opadnie.

- Nie jestem wszechwiedzący. Nie rozmawiam bezpośrednio z Bogiem przez telefon, przez który opowiada mi, jaką przyszłość zaplanował dla swych dzieci. Nie znam również dokładnych planów Szatana - wiem tylko, że dzięki Bożej ogromnej łasce ofiarowano nam chwilę zwłoki. Bóg mógłby zostawić nas z naszym kłopotem - i zasługiwaliśmy na to, ponieważ to właśnie nasza samowola sprawiła, że opuściliśmy świat, który On specjalnie dla nas stworzył. Odwróciliśmy się od Edenu, który On nam ofiarował, i w naszej ślepej arogancji pomknęliśmy stadem do tej metalicznej bańki. Pozwoliliśmy, by zwabiono nas w pułapkę.

Jednak, jak już mówiłem, pozostało nam wciąż trochę czasu. Bóg da, że starczy nam czasu, by niektórzy z nas wymknęli się diabelskim sidłom. W tym celu musimy zbudować statki kosmiczne. Musimy opuścić Orbitsville. Być może pobyt na Ziemi będzie już nam wzbroniony - właściwa kara za nasze występki - ale możemy polecieć na inny dany przez Boga świat, nowy Eden, i stworzyć nowe początki rasy ludzkiej.

Wśród publiczności ponownie nastąpiło przytłumione poruszenie. Tym razem nie uspokoiło się tak szybko. Słysząc było głosy protestu i sceptycznego śmiechu.

„Budowa statków wymaga masy pieniędzy” - pomyślał Nicklin - „i nie trzeba być Gazowym Kręgowcem, by się zorientować, skąd oni oczekują tych pieniędzy”.

Rozejrzał się czujnie wkoło, ciekaw, jak wiele czasu upłynie, zanim rozpoczną kwestę.

- Nie proszę was, byście cokolwiek zaakceptowali ze ślełą wiara - ciągnął Montane, podnosząc głos, by zagłuszyć protesty. - Wiem nazbyt dobrze, że w naszych czasach wiara jest bardzo rzadkim dobrem. Tak więc proszę was tylko o rozważenie dowodów. Beznamiętnych, twardych, bezdyskusyjnych dowodów. Rozpatrzmy na przykład dziwaczny fakt, że środowisko Orbitsville jest tak dokładnie przystosowane do...

Nicklin uświadomił sobie, że Corey Montane musi być obłąkany, mimo że zachowuje się rozsądnie, i to sprawiło, że natychmiast stracił zainteresowanie przemówieniem. Potrząsnął głową, czując jedynie smutek, i właśnie miał klepnąć Zindee po ramieniu, kiedy ta odwróciła się ku niemu. Zgięła palec, dając mu znak, by nachylił się do niej.

- Jim - szepnęła - to następna porcja ekstrementów wolego samca. Sądzę, że powinniśmy pójść do sklepu pana Chickleya.

- Doskonały pomysł!

Nicklin przyłożył palec do warg i rozpoczął manewr „wymykania się po cichu”, tak jak bohaterzy filmów rysunkowych. Zanim postawił stopę na ziemi, wykonywał nią dwa koła w powietrzu. Zindee zarechotała w zwiniętą dłoń i dogoniła go, demonstrując swoją wersję manewru. Wykonali zaledwie kilka groteskowych kroków, gdy Nicklin zorientował się, że obserwuje ich z bliska jakaś młoda kobieta. Trzymała płaski wiklinowy koszyk, co wskazywało, że jest jednym z kwestarzy Montane’a. Patrzyła z rozbawieniem i łagodnym wyrzutem.

- Tak szybko nas opuszczacie? - spytała niskim, przyjemnym głosem. - Nie poruszyło was absolutnie nic z tego, co mówił Corey?

Nicklin usłyszał głos, który wydobył się z jego ust.

- To było fascynujące, naprawdę fascynujące, ale mamy do załatwienia ważną sprawę rodzinną na drugim końcu miasta. Widzi pani, mój wujek zakłada sobie ogródek skalny i chce, żebym mu pomógł podnieść...

Upiększenia podstawowego kłamstwa - w tym fragmenty życiorysu wymyślonego wujka - tłoczyły mu się w mózgu i właśnie wybierał najbardziej obiecujące z nich, kiedy, poniewczasie, jego wzrok padł na kobietę.

Był zupełnie nie przygotowany na to, co miało nastąpić.

Widok tej zadziwiającej istoty zalał mu falą oczu i w tej samej chwili - całkiem po prostu - Nicklin stał się innym człowiekiem.

Wybuchł w nim fajerwerk emocji, w którym jaśniało przede wszystkim bezpośrednio, fizyczne pożądanie. Nicklin chciał pójść z nią do łóżka, tu i teraz. Zapragnął razem z nią poddać się wszystkim znanym mężczyźnie i kobiecie aktom namiętności, uznanym metodom dawania i otrzymywania przyjemności. Ale było w tym coś znacznie więcej. Pragnął spać z tą kobietą, pragnął przeżywać tę aseksualną przyjemność, gdy będzie budzić się w nocy obok niej, obejmować ją ramieniem i tulić, zakochany do szaleństwa, czekając na powtórne zaśnięcie. Chciał robić z nią zakupy, przeganiać sprzed domu komiwojażerów, chciał wyjmować z jej oczu drobinki kurzu, chciał dowiedzieć się, co ona sądzi o współczesnej muzyce i o hodowli pstrągów, przekonać się, jak daleko potrafi przebiec, jak rozwiązuje krzyżówki, jakie przechodziła choroby w dzieciństwie...

„To naprawdę coś poważnego” - pomyślał Nicklin z paniką. - „Powinienem być uodporniony na ten rodzaj bzdur”.

Próbował ocenić, która z jej cech wywarła na niego taki niszczący wpływ. Kobieta miała około trzydziestki, podobnie jak on sam, i od razu uznał, że nie była wcale piękna: twarz kwadratowa, zwyczajna, jej powieki sprawiały wrażenie ociężałych, usta szerokie, górna warga pełniejsza od dolnej, jak gdyby napuchła od uderzenia. Dziewczyna była czarnowłosa i wysoka, a jej ciało pod czarną sylkonową bluzką i czarnymi obcisłymi spodniami wyglądało na szczupłe i umięśnione, jak gdyby utrzymywane w kondycji raczej ćwiczeniami fizycznymi niż dietą. Zamiast standardowego chińskiego, przeciwsłonecznego kapelusza, nosiła czarny stetson - detal, który wskazywał, iż cały strój został świadomie dobrany, by wywołać pewien efekt. Nicklin nie był pewien, o jaki by tu efekt miało chodzić w języku mody, ale wiedział, że na niego działała ta kombinacja - myśl o odpinaniu guzików w tej bluzce naprawdę sprawiała, że miękły mu kolana.

- Oczywiście, że musi pan pójść pomóc wujkowi - rzekła kobieta - ale może wróci pan tutaj i posłucha Coreya, kiedy czas nie będzie pana tak naglił. On naprawdę ma do powiedzenia coś bardzo ważnego.

- Z pewnością poważnie się nad tym zastanowię.

- To wspaniale. Nawiasem mówiąc, mam na imię Dana.

- A ja Jim - odrzekł Nicklin, głęboko poruszony, gdy zdał sobie sprawę, że kobieta nie musiała podawać mu swego imienia. - Jim Nicklin. Myślałem właśnie...

Spojrzał na ludzi stojących i siedzących w pobliżu, którzy zaczęli się na nich oglądać z zaciekawieniem lub z niechęcią, gdyż przeszkadzały im niepożądane odgłosy rozmowy. Nicklin wskazał palcem na

swe ucho, a potem na obszar wydeptanej trawy, z dala od widzów, ale jeszcze wewnątrz pierścienia utworzonego przez umieszczone na słupach głośniki, przekazujące słowa Montane'a światu zewnętrznemu. Danae skinęła głową i na swych czarnych szpilkach ruszyła we wskazanym kierunku. Nicklin złapał Zindee za rękę i poszedł za nią.

- Tak jest lepiej. Tam trzeba było przekrzykiwać zbyt wiele decybeli - stwierdził, kiedy zatrzymali się. - Niech pani posłucha, przemyślałem wszystko jeszcze raz. Zaraz się ściemni i prawdopodobnie nie wystarczy czasu na jakąś konkretną pracę w ogródku skalnym. Myślę, że po prostu chwilowo zostanę tutaj i... - Przerwał, zorientowawszy się, że Zindee złapała go obydwoma rękami za przegub i próbuje go odciągnąć.

- Jim - szeptała gniewnie - Jim!

Danea spojrzała na nią przyjaźnie.

- Czy to pańska córka?

- Nie! - Nicklin uświadomił sobie, że zaprzecza zbyt energicznie. - Nie, nie jestem żonaty. To moja przyjaciółka, Zindee. Mieliśmy pójść na melbę... to znaczy, po drodze do mego wujka.

- Cześć, Zindee - rzekła Danae. - Nie martw się o tę melbę. Wiemy, jakie ważne są melby i jestem pewna, że Jim nie myślał na serio, gdy powiedział tę straszną rzecz, że tu zostanie. - Podnosiła głowę i jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Nicklina. - Przecież może tu wrócić w każdej chwili.

- Tak jest - Nicklin energicznie kiwał głową, kiedy Zindee zdwoiła swoje natarczywe wysiłki, by zbić go z nóg. - Tak zrobię. Z pewnością tak zrobię.

- Cóż, więc zobaczymy tu pana jeszcze.

Danea uśmiechnęła się, a on dostrzegł, że ma idealne zęby. Kiedy się śmiała, ociężałość powiek zniknęła - oczy jej zrobiły się żywe, promienne i śmiałe. Nicklin czuł, że kolana znów mu drżą. Podniósł dłoń pożegnalnym gestem i pozwolił Zindee, by go powlekła w kierunku lodziarni pana Chickleya.

- Dlaczego nie odpowiedziałaś Danei, kiedy cię przywitała? - zapytał, gdy tylko odeszli na tyle daleko, by czuć się swobodnie.

- Ty mówiłeś wystarczająco dużo za nas dwoje - odparła Zindee. Wysunięty podbródek wskazywał, że jest na niego wściekła. - I cóż to za główniana gadka z wujem i jego ogródkiem skalnym?

Fakt, że nie użyła swego zwykłego eufemizmu - „ekstremement wolego samca” - utwierdził Nicklina w przekonaniu, że będzie miał z nią kłopot.

- Nie rozumiałabyś tego - stwierdził wymijająco.

- Rzeczywiście, nie rozumiem, dlaczego ciągle opowiadasz jakieś kłamstwa. Co cię do tego zmusza, Jim?

„Sam chciałbym to wiedzieć” - pomyślał Nicklin, a policzki zaczęły go palić z zakłopotania.

- Wciąż nie odpowiedziałaś, dlaczego byłaś niegrzeczna dla Danei.

- Ona mówiła do mnie jak do dziecka. Melby są ważne. Też coś!

Nicklin milczał przez cały czas, gdy szli do skraju błoni, przecinali Aleję Dylizansu i zajmowali dobre miejsca przy oknie u Chickleya. Lokal był dość wąski, ale długi, ciągnął się w głąb budynku, a w tyle, przy końcu, miał błyszczącą ladę z chromu i szkła. Gruby pan Chickley był dumny, że sam zaprojektował to stylowe wnętrze, chociaż można by się spierać, jaki styl miał na myśli. Tu i ówdzie, pośród pseudowiktoriańskich lamp gazowych, ze ścian wystawały kępami kolorowe świe-

tlówki. Po obu stronach lokalu ciągnęły się dwa bliźniacze rzędy łóż dla klientów. Teraz siedziało w nich tylko kilka osób - prawdopodobnie skutek konkurencji, jaką było zgromadzenie Montane'a.

Zindee przy ladzie składała skomplikowane zamówienie, a tymczasem Nicklin robił przegląd swego ducha i ciała, i wcale nie był zdziwiony, stwierdziwszy, że ręce ma wciąż nieco niepewne. Co się z nim stało tam, na błoniach? Kiedy zaprosił tę kobietę, by poszła z nim w spokojniejsze miejsce, był to - według jego standardów -bardzo śmiały krok. Nigdy wcześniej nie zachowywał się tak wobec obcych. Najbardziej jednak wytrącało z równowagi to, że kobieta zdawała sobie sprawę ze śmiałości tego kroku i kilkakrotnie przesyłała mu pozytywne sygnały. Żadna z miejscowych kobiet nie zareagowałaby w ten sposób na jego zaloty.

Nicklin był świadom, że większość mieszkańców Orangefield nie tylko uważała go za ekscentrycznego nieudacznika, ale też podejrzewała o homoseksualizm. Mógłby zdobyć poważanie wielu mężczyzn i prawdopodobnie również niektórych kobiet, gdyby widywano, jak odwiedza pewne domy w mieście, gdzie gospodyni, żeby użyć popularnego zwrotu, uciekała się do starodawnych sposobów zarabiania na życie. Nicklin nie dawał tym domom zarobić, a to dlatego, że był bardzo skryty i nie chciałby, aby miasteczkowi plotkarze znali dokładne daty, kiedy on uznawał za stosowne uwolnić się od napięć biologicznych. Dlatego ograniczał się do tych okazji, gdy jechał do Weston Bridge po książki czy części zamienne.

Nicklin przyjął to jako cudowny zbieg okoliczności, że jedyna kobieta, która tak na niego podziałała, była również pierwszą, która zachęcająco odpowiedziała na okazane zainteresowanie. I nie istniała już dla niego ważniejsza rzecz, niż być razem z Daneą. Dlatego właśnie

wymyślił tamto kłamstwo o ogródku skalnym na oczach Zindee - nie postrzegając dziewczynki, efektywnie przestała dla niego istnieć. A teraz myśl, że gdyby nie jej natrętna obecność, rozmawiałby w tej chwili z Daneą, napełniła go niechęcią w stosunku do dziecka.

- Oto są - ogłosiła Zindee, podchodząc do stołu z dwoma imponującymi deserami w balansujących na tacy wysokich szklankach. - Popatrz tylko na nie! Nasyć swój wzrok, Jim! Jak ci się podoba taka wizja rajów?

- Zupełnie niezła.

- Niezła! - usiadła, a z wyrazu jej twarzy można było wywnioskować, że jest znów w dobrym humorze. - Prostack! Faryzeusz! Czy nie ma w tobie za grosz podziwu dla prawdziwego dzieła sztuki?

- Może i nie ma - odparł Nicklin, biorąc łyżeczkę i z wahaniem próbując bładozielonej strefy swojej melby.

- Kto teraz jest niemiły?

- Przykro mi.

Był trochę zdziwiony, że wcale nie jest mu przykro. „Dlaczego nie pójdziesz na długi spacer i nie zostawisz mnie na chwilę w spokoju?”

- Wiem, co się z tobą dzieje - Zindee obdarzyła go uśmiechem osoby dobrze poinformowanej. Puszek na górnej wardze miała już umazany kremem. - Wiem, co cię gryzie, Jim.

- Naprawdę?

- Zakochał się! Serce biednego chłopaka całe dygocze z powodu Damy w Czerni.

- Jedz swoje lody, Zindee - odparł Nicklin, łypiąc na nią ze wzrastającą niechęcią. - Mówisz bzdury.

- Och, wcale nie! Obserwowałam cię. - Zindee wsadziła do ust wiśienkę i żuła ją w zamyśleniu. - Ma niezłe przednie zderzaki.

Nicklin czuł, że powinien skarcić Zindee za używanie zwrotów, które nie przystoją dobrze wychowanemu dziecku, ale jej uwaga ponownie rozpałała ogień. Jak się zastanowić, to Danae rzeczywiście miała dosyć pełne piersi, zważywszy szczupłość reszty ciała. Na sylkonowej bluzce tworzyły się dwie pionowe fałdy. A do tego ten uśmiech! Sam Nicklin uśmiechał się jak najrzadziej, ponieważ kiedy to robił, kąciki jego ust podjeżdżały zbyt do góry, nadając twarzy wyraz głupkowaty i prostacki. Natomiast uśmiech Danei był zupełnie prosty, a może nawet kąciki ust opuszczały się trochę - cecha, która zawsze była przedmiotem zazdrości Nicklina i która była dla niego znamieniem dojrzałej i wyszukanej kultury osobistej. Jakie nosiła nazwisko? I czy ociężałość powiek oraz opuchnięcie górnej wargi nie świadczyły przypadkiem o tym, że większą część ostatniej nocy spędziła ona na wyczerpanej działalności seksualnej? Z Montanem? Nicklin czytał, że przywódcy różnych dziwacznych grup religijnych mieli w zwyczaju pakować do łóżka najbardziej atrakcyjne ze swych akolitek. Być może ta właśnie grupa uprawiała seks na wielką skalę, jako rytuał i tym podobnie. Być może Danae robiła to ze wszystkimi! Jeśli tak się sprawy miały, Nicklin chciał również swojej doli - nawet gdyby oznaczało to przyłączenie się do wyznawców tej zwariowanej religii...

Wyobrażenie promiskuitycznej Danei spółkującej ze wszystkimi mężczyznami, z którymi podróżowała, napełniło Nicklina bolesną żądzą, zazdrością i oburzeniem, tak mocnym, że aż zwinął się na krześle. W tej właśnie chwili powinien być tam, z nią, zamiast bawić się w niańkę przedwcześnie rozwiniętego berbecia, który z uporem czepiał się go jak pijawka. Wyjrzał na zewnątrz ponad firanką, która zasłaniała połowę okna w lodziarni, dzięki czemu miejsca przy oknie sprawia-

ły wrażenie odosobnionych. Wypatrywał Danei, jednak drzewa i spacerujące grupy mieszkańców zasłaniały Nicklinowi widok.

- Jim, mam pomysł - rzekła Zindee. - Ty w gruncie rzeczy nie masz ochoty na tę melbę, prawda?

- Chyba nie. Chyba nie jestem w nastroju na lody.

- To najbardziej oględne oświadczenie, jakie wygłoszono w tym stuleciu. Słuchaj, a gdybyś oddał mi melbę? Będę mogła zjeść dwie porcje - żaden problem - ale zajmie mi to trochę czasu. - Zindee mówiła poważnym tonem generała, planującego większą kampanię. - To da ci czas, by polecieć na drugą stronę ulicy i sprawdzić, czy zdołasz załatwić randkę z Damą w Czerni. Co ty na to?

- Ja... - Nicklin wlepił w nią wzrok w przypiływie afektu tak silnego, że graniczył on z uwielbieniem. - Czy jesteś pewna, że to będzie w porządku? Żebyś siedziała tutaj tak zupełnie bez opieki?

Zindee wzruszyła ramionami.

- Co może stać się dziewczynie w lodziarni?

Nicklin wstał, wystukał na czubku jej przeciwsłonecznego kapelusza wyrazy podziękowania i wybiegł na ulicę. Kiedy przechodził przez błonia, zdał sobie sprawę, że znowu ogarnia go ta jego przekłeta nieśmiałość, a przedtem tylko widok Danei pobudzał jego brawurę. Nie miał pojęcia, co jej powie i teraz, wbrew swym poprzednim odczuciom żałował, że nie został z Zindee. Spojrzał na niebo i zobaczył, że wschodni kraniec słońca schował się za najbliższym pasem pola siłowego. Za chwilę zapadnie noc. Pomyślał, iż pod osłoną nocy może odzyska swą zdumiewającą zuchwałość, lecz wcześniej będzie jednak musiał wrócić do Zindee.

Idąc ku napływającym falom dźwięku z głośników, zbliżał się do zgromadzenia. Montane wciąż wygłaszał swe straszliwe ostrzeżenia,

ale zawarte przesłanie nie dochodziło już do mózgu Nicklina. Okrążył trzy razy słuchaczy, biały namiot i wszystkie stojące obok pojazdy, jednak nie dostrzegł ani śladu Danei. Pograżony w ponurym, gorzkim rozczarowaniu - lecz jednocześnie z dziwną ulgą - skierował się z powrotem do lokalu pana Chickleya. Ze skraju błoni zobaczył małą, nieposkromioną figurkę Zindee, rysującą się ostro w brzoskwiniowych światłach, które właśnie włączono w sklepie. Pilnie pracowała nad melbami.

Uśmiechnął się, kiedy pomyślał, jak przyjemnie będzie odprowadzić ją do domu i napawać się jej bezpiecznym, niewymagającym towarzystwem.

ROZDZIAŁ 6

Nicklin stał za ladą swojego warsztatu i rozglądał się dokoła ze zdziwieniem i smutkiem. Był poranek, dokładnie taki jak poprzedni - słoneczny, bezchmurny, ciepły i ożywczy. Ostatnio codziennie były takie poranki i Nicklin rozkoszował się każdym z nich, dziś jednak czuł się przytłoczony i miał wrażenie, że coś nie gra. Dotyczyło to nie tyle otaczających go, znajomych sprzętów, ile sposobu, w jaki on sam na nie reagował.

Może po prostu się nie wyspał? Długie chwile leżał bezsennie i przeżywał swoje spotkanie z Damą w Czerni, myśląc sobie, jaki też może być wynik tej krótkiej rozmowy. Chwilami z wymuszoną szczerością gratulował sobie, że uniknął głębszego kontaktu z tą kobietą; przeważnie jednak gubił się w dynamicznych scenariuszach, zakończonych sceną w łóżku z udziałem ich dwojga. Takie epizody wywoływały

u niego niepohamowaną, twardą jak skała erekcją. Jego członek, jakby samorzutnie, tarł o materac, a on przeklinał, że tak karygodnie marnotrawi swą młodość, samotnie spędzając długie noce.

Niespokojne noce zdarzały mu się i poprzednio, lecz zawsze z radością witał poranek i powrót do jasnych, solidnych realiów rzeczywistości. Jednak tego ranka życie było płaskie i nudne. Nie tak po prostu płaskie i nudne, ale płaskie i nudne nie do zniesienia. Rzeczy, którymi się przedtem interesował, już go nie interesowały. Sympatyczne otoczenie warsztatu i biblioteki miało w sobie nastrój kostnicy, a sama myśl, że musi przestroić jeszcze jeden impulsowy silnik magnetyczny, wystarczała niemal, by usiadł i zapłakał.

„Co mam robić, Gazowy Kręgowcze? ” - myślał. - „Nie wyobrażam sobie, jak przetrwam choćby jeden dzień taki jak ten - nie mówiąc już o następnych sześćdziesięciu latach...”

Z wysiłkiem woli wziął książkę zamówień i sprawdził, jakie prace na nim wiszą. Pierwsze dwa zapisy, dokonane pedantycznym, wyraźnym pismem Maxa Milioma, dotyczyły piły tarczowej i kosiarki. Przy każdym stało objaśnienie „PS”, co oznaczało, że zgodnie ze wstępną diagnozą Maxa ich silniki wymagały przestrojenia. Max nawet nie zaczął uczyć się tej pracy, gdyż żywił niemal przesądny lęk przed wadliwym silnikiem, który na różne sposoby mógł wypuszczać energię giromagnetyczną, powodując, że narzędzia zeskakiwały z warsztatu jak przestraszone zwierzaki.

Nicklin zawsze uważał, że dostrajanie semi-rozumnych bloków paramagnetycznych silnika, namawianie ich, by wydawały swe impulsy energii w dokładnie określonych chwilach, jest najnudniejszym zajęciem, jakie kiedykolwiek wymyślono - taki pogląd miał nawet w chwilach dobrego humoru. Dzisiaj perspektywa wykonywania tej pra-

cy wydawała mu się straszliwa. „Szkoda, że ludność Orbitsville żyje w takim rozproszeniu, brakuje powszechnych norm technicznych i nie można przeprowadzić reperacji po prostu przez wymianę części” - pomyślał Nicklin i zamknął z hukiem książkę zamówień.

W tym momencie wyblakły bezruch za oknem został zakłócony przez ruchomy wir kurzu przy moście. To Max Miliom, jak zwykle spóźniony, przybywał do pracy na swoim starym skuterze „Bronco”. Zbliżając się do warsztatu, Max stanął na podnóżkach pojazdu i zsalutował Nicklinowi po wojskowemu. Zachowując postawę jeźdźca podczas parady, minął okno, cały czas zwalniając i - jak to mu się już przedtem kilkanaście razy zdarzyło - wjechał prosto na kamień, którego część o rozmiarach piłki futbolowej wystawała ze spieczonej słońcem gliny. Skuter zatrząsł się i przewrócił na bok wraz z Maxem. Ten zerwał się klnąc, kopnął skuter kilka razy, karząc go za posłuszeństwo prawom grawitacji i podniósł swój jaskrawy kapelusz przeciwśoneczny. Zostawił „Bronca” na miejscu upadku i ruszył w kierunku warsztatu groteskowym krokiem, próbując obydwoma rękami wyciągnąć siedzenie spodni z rowka w swojej okazałej tylnej części ciała.

Nicklin patrzył na niego wrogo, zastanawiając się, jak w ogóle można być tak tępy, żeby tyle razy powodować ten sam wypadek i nie nauczyć się go unikać.

„Pomyśleć tylko” - powiedział sobie przerażony - „jeśli nie uczynię jakiegoś zdecydowanego kroku, możemy zestarzeć się razem, Max i ja, a on będzie stopniowo wycierał ten głąz do rozmiarów kamyczka”.

- Dobry dzionek, Jim - Max wszedł do warsztatu uśmiechając się całą gębą. - Widziałeś to? Omal mi jaj nie obcięło.

„Szkoda, że tylko omal,, - pomyślał Nicklin. - Znów się spóźniłeś.

- Taa. - Max nie tracił kontenansu. - Wczoraj położyłem się spać bardzo późno. Poszedłem z kilkoma chłopakami obejrzeć objazdowe przedstawienie, chcieliśmy po prostu, |y zobaczyć, co tam się dzieje, a potem poszliśmy do Białej Plamy na kilka piw. Widzieliśmy cię na przedstawieniu.

- Ja cię nie widziałem.

- Możliwe, ale ja ciebie widziałem doskonale - oznajmił Max triumfalnie. - Niezłe się bawiłeś. Już się chciałem wtrącić i powiedzieć tej wężowobiodrej, że traci na ciebie czas i że powinna pójść raczej na parę piw ze mną i chłopakami, ale powstrzymało mnie wrodzone, tradycyjne w mojej rodzinie dobre wychowanie.

„Ta kreatura powiedziała mi właśnie, że sądzi, iż jestem homoseksualistą - prosto w twarz! - a ja stoję i nic nie robię”.

- Jestem pewien, że Danae będzie głęboko rozczarowana, kiedy usłyszy, co straciła - rzekł Nicklin. - Zawiadomię ją o tym dziś wieczór - oczywiście tak delikatnie, jak tylko zdołam. Nie możemy przecież pozwolić, by biedna kobieta nam się rozszłochała.

- Czy to znaczy, że spotykasz się z nią wieczorem?

- Nie, komunikujemy się za pośrednictwem gołębi pocztowych! Słyszałeś przecież, co mówię. Oczywiście, że spotkam się z nią wieczorem.

Max przeskoczył z nogi na nogę, uśmiechając się ze złośliwą niewiarą.

- Mówisz serio, Jim? Rzeczywiście masz randkę? Ja i chłopcy będziemy przy tobie - może czegoś się nauczymy.

Nicklin wzruszył ramionami i odwrócił się. Wiedział, że Max ma wyjątkowo mało rozrywek i jest skłonny śledzić go przez cały wieczór. Jak tego uniknąć? Może udać chorego i zostać w domu? Rozmyślając

nad tą nową niedogodnością, wstąpił na metr kwadratowy powierzchni roboczej, który nazywano kuchnią, i zaczął parzyć kawę w obecności Maxa; zdawał sobie sprawę, że tamten potraktuje to jako zaproszenie do wspólnego wypicia kawy. Nicklina niezbyt zachęcała taka perspektywa, ale z dwojga złego było to lepsze niż pozwolić Maxowi na przyrządzanie napojów. Miał on bowiem nieprzyjemny zwyczaj pakowania dwóch palców głęboko do filizanki, nawet jeśli była pełna. Nicklin sądził, że gdyby obejrzeć te palce pod mikroskopem, roiłyby się od bakterii.

- Tego mi właśnie brakowało - stwierdził Max, idąc za Nicklinem. - Hej! Czy wiesz, co jeszcze widziałem, na tym targu osobliwości wczoraj wieczór?

- Nie wiem, ale może będziesz na tyle uprzejmy, że mi to powiesz.

Max, zupełnie niewrażliwy na sarkazm, kiwnął energicznie głową.

- Czarnego człowieka! Jak rany, Jim - pracuje dla nich czarny dziwadło! Jest tak czarny jak... jak...

„Jak twoje paznokcie” - odpowiedział w myśli Nicklin.

- ... jak twoje buty - zakończył Max.

Nicklin nie okazywał nawet najmniejszego zainteresowania, nie chcąc zachęcać Maxa, był jednak dosyć zaintrygowany. Tylko raz w życiu widział Murzyna, jeszcze jako dziecko. Teraz nie wyobrażał sobie nawet, jak wygląda osoba o czarnej skórze.

„Znów ten stary syndrom Orbitsville” - myślał. - „To wszystko, co zostało z zamierzchłych gadek o powszechnym braterstwie! Do dyspozycji była przestrzeń równa pięciu miliardom globów i w zieloną dał ruszyły grupy „jednakowych”. Nikt się nie ociągał, gdyż nikt nie chciał być prześladowanym, dyskryminowanym w stosunku do innych, tolerowanym czy nawet otaczanym opieką przez liberałów, je-

dynie dlatego, że miał niewłaściwy odcień pigmentu czy przekonań politycznych, mówił niewłaściwym językiem, miał niewłaściwe poglądy na religię, urodził się w niewłaściwej rodzinie czy w jakimś niewłaściwym miejscu. Nie zważając na te wszystkie nauki i kazania, przeciętny Joe postanowił, że najlepiej jest razem ze swoimi... ”

- W każdym razie - oświadczył Max - uznałem, że nie lubię czarnych ludzi.

- To szybka decyzja - Nicklin wziął z automatu dwa plastikowe kubki. - Czy mogę spytać, czemu?

- Są zbyt popędliwi, zbyt przewrażliwieni. Ja i chłopcy po prostu staliśmy sobie, patrzyliśmy - niby przyjaźnie - na faceta, a on nagle, bez żadnej przyczyny, powiedział nam, żebyśmy zjeżdżali. - Ziemista twarz Maxa wyrażała oburzenie, kiedy w myślach przeżywał ponownie całe zajście. - Tak jakby nie można było po prostu stać i przyglądać się komuś!

- Świat schodzi na psy. Stale to powtarzam.

Nicklin nalał kawy do kubków, wziął swój i poszedł na front warsztatu. Z tego miejsca miało się widok na strumień, mostek i drogę. Za szerokimi okapami budynku światło słoneczne jak bezgłośna, pionowa ulewa platynowych promieni spadała na wybieloną scenerię z niemal dotykającą siłą. Świat był zanurzony, zakonserwowany i szczelnie zatopiony w przezroczystym, sztywnym plastiku światła. Dayton, Ohio, z utrwalonym na zawsze rokiem 1910. Nic nigdy nie zdarzy się w Orangefield, a on tu będzie żyć stale, razem z tym wszystkim. Na tę myśl miał ochotę usiąść i zapłakać. Przestraszony, że dolna warga zaczyna mu wstępnie drżeć, pociągnął łyk kawy i poczuł jak parząca ciecz spływa mu w dół przetyku.

Nicklin patrzył melancholijnie przez dłuższą chwilę na nadjeżdżający kabriolet „Unimot”, zanim zorientował się, że ma on zamiar stanąć przy jego posesji. Zginął z pola widzenia za grupą fujarkowców, pojawił się znowu i skręcił na prawo, przystając przed kładką dla pieszych. W chwilę później kierowca wysiadł, a Nicklinowi serce podskoczyło szaleńczo, bo zobaczył kobietę. Właśnie tę kobietę.

Nie była już Damą w Czerni, choć miała strój podobnego fasonu - połyskującą bluzkę, obcisłe spodnie, buty na szpilkach i płaski stetson. Dominował jednak w tym stroju kolor bladożółty. Kobieta poszła w kierunku warsztatu, rozglądając się wokół z widocznym zainteresowaniem. Poruszała się prawie jak baletnica na scenie, stawiając jedną stopę dokładnie przed drugą w sposób podkreślający oszczędne zaokrąglenia ud, łydek i kostek.

Nicklin uczył na czole zimny dreszcz; analizował możliwości. Prawie zerowe były szanse, że kobieta przyszła tu po to, by pożyczyć książkę albo naprawić ubijacz jaj - a zatem to wizyta osobista. Czy możliwe - czy naprawdę możliwe - że pragnęła kontynuować znajomość przerwana zeszłego wieczoru?

„Ale w gruncie rzeczy wczoraj nic między nami nie zaszło” - przypomniał sobie Nicklin. - „To był tylko produkt mojej rozgorączkowanej wyobraźni. Tego rodzaju rzeczy zdarzają mi się tylko na samym początku snów erotycznych”.

Postawił kubek, znalazł w sobie dość przytomności umysłu, by mrugnąć do Maxa i wyszedł ze sklepu, nie tracąc czasu na wkładanie kapelusza przeciwsłonecznego. Kiedy kobieta zobaczyła, że idzie jej naprzeciw, obdarzyła go uśmiechem tak przelotnym, że można było go wcale nie dostrzec, po czym przybrała poważny wyraz twarzy.

- Co się wczoraj z tobą stało? - spytała nagle.

- Ja... - Nicklinowi zabrakło słów. - Co masz na myśli?

- Jim, wiesz bardzo dobrze, co mam na myśli.

To, że zwróciła się do niego po imieniu, podnieciło go i dodało mu odwagi.

- Zapewniam cię, Daneo, że nie wiem, o czym mówisz.

- Przynajmniej pamiętasz, jak mam na imię - powiedziała, i popatrzyła mniej surowo. - Przypuszczam, że to już coś, ale niech ci się nie wydaje, że daruję ci tak łatwo, Jimie Nicklin. Dlaczego nie powróciłeś, by znowu się ze mną zobaczyć, jak to ustaliliśmy?

Nicklin poczuł w sobie pulsujący gejzer radości, który jeszcze nie wybuchał, ale już kipiał. To rzeczywiście była pierwsza część marzenia erotycznego, ale marzenia, które staje się rzeczywistością - i Nicklin musiał jedynie zyskać ostateczną pewność, że nie spotka go miażdżące upokorzenie albo rozczarowanie.

- Montanę musi mieć w sobie sporą domieszkę krwi poborcy podatkowego, skoro każe ci jechać tak daleko za miasto po parę orbów - powiedział, zmuszając się do uśmiechu. - Gdzie twoja taca na pieniądze?

- Nie ma się z czego śmiać, Jimie - Danea poważnie patrzyła na niego spod ciężkich powiek. - Nigdy przedtem nie przydarzyło mi się nic podobnego, a ty nie ułatwiasz mi sytuacji. Może jesteś do tego przyzwyczajony, ale ja nie.

- Nie jestem przyzwyczajony do... Daneo, wczoraj wieczór nic sobie praktycznie nie powiedzieliśmy.

- Czy myślisz, że tego nie wiem? - odpowiedziała, patrząc mu błagalnie prosto w oczy. - Czy myślisz, że nie drzę jak galareta w obawie, że jestem w błędzie i pakuję się w niezręczną sytuację?

- Nie jesteś w błędzie - odrzekł zachwycony, ujmując jej dłoń w swoje ręce. Gejzer wytryskiwał teraz fontanną z ziemi, wyrzucając aż pod niebiosa to, co pozostało z dawnego Jima Nicklina.

- Dzięki Bogu! - Uśmiechnęła się i przesunęła dłoń w ten sposób, że kostki jego palców ugniatały jej lewą pierś. - Niewiele spałam tej nocy, Jim, dlaczego do mnie nie wróciłeś?

- Wróciłem. Zostawiłem Zindee nad lodami na kilka minut i wróciłem cię poszukać.

- Weszłam do namiotu, by się trochę uspokoić. -Nicklin miał wrażenie, że dotyka wierzchem dłoni obnażonych piersi, mimo że okrywała je bluzka z sylkonu. - I tak kilka minut by nas nie zbawiło. Pragnę cię aż do bólu, Jim. Chcę poczuć cię w sobie. Czy brzmi to okropnie?

- To brzmi wspaniale. - Po takim pytaniu poprzedni Jim Nicklin byłby w rozsypce, ale ten nowy panował jakoś nad sobą i robił co mógł, by zachowywać się jak zimny rozpusznik, za którego miała go Danae. - Nad biblioteką mam mieszkanie. Chodźmy tam.

- Nie - Danae spojrzała przez ramię w kierunku warsztatu. - Ten straszny typ - ten, który wczoraj wieczorem kręcił się na zebraniu, obserwuje nas. Nie mogłabym się odprężyć, gdybym wiedziała, że jest obok... nadśłuchuje... Czy on pracuje dla ciebie?

- W pewnym sensie. - Nicklin spojrzał na okno, w którym tkwił Max jak jakaś rzeźba z rozdziawionymi ustami. - Tylko Gazowy Kręgowiec wie, dlaczego go ciągle trzymam. Mogę go wysłać do domu.

Danae potrząsnęła głową.

- Czy chcesz poczekać do wieczora? - spytał Nicklin, a jego radość zaczął przyćmiewać niepokój. Miał całkowitą pewność - gdyż taka jest natura tych rzeczy - że jeśli przepuści okazję, nie powtórzy się ona już nigdy. Wieczór był oddalony o eony i zanim nadejdzie, Danae mogłby

powrócić rozsądek, albo zaczęłyby miesiączkować, albo zostać odwołana do opieki nad chorą ciotką. A on mógłby potknąć się i złamać obie nogi lub też - rzecz najgorsza - eliksir pana Hyde'a przestanie działać, a Nicklin będzie miał takiego monstrualnego pietra, że nie odważy się wychylić nosa z domu.

- Chodźmy na spacer - rzekła Danaea, wskazując w kierunku niskich wzniesień za budynkami Nicklina. - Co jest z drugiej strony tego pagórka?

„Dzięki ci, dzięki, O, Gazowy Kręgowcze” - recytował Nicklin w myślach.

- Nic tam nie ma - rzekł, starając się zachować spokojny głos. - W każdym razie nie ma tam ludzi. Po prostu małe wzgórza i mnóstwo dalszych wzgórz. To doskonały teren do spacerów.

Danaea obdarzyła go uśmiechem spiskowca.

- Może zechciałbyś pójść po kapelusz?
- Nie, słońce nie przeszkadza mi zbytnio - skłamał, nie chcąc ryzykować opuszczenia jej nawet na kilka sekund.

Mając świadomość, że Max wciąż ich obserwuje, wziął Daneę za rękę i pomaszerował z nią ku trawiastemu wzniesieniu. Milczeli, wchodząc na zbocze. Nicklin zastanawiał się, czy nie powinien podtrzymywać wyrafinowanej i lekkiej rozmowy, ale chyba słowa nie były naprawdę potrzebne. Kątem oka widział w dole stożki pełnych piersi Danei - „miałaś rację, Zindee, wspaniałe zderzaki” - i swobodny, powolny, naprzemienny ruch jej szczupłych ud. I za każdym razem, kiedy sobie uświadamiał, że dzieje się to naprawdę, że nie jest to część snu, miał wrażenie, iż jego stopy tracą kontakt z ziemią.

„Stąpam po obłokach, jak to się mówi. Chcę, żeby trwało to zawsze. Miłość długo musiała mnie szukać, ale kiedy w końcu mnie dopa-

dła, załatwiła to w klasycznym stylu *nic prócz niej się nie liczy* i chcę, żeby trwało to stale i stale... ”

Przeszli na drugą stronę grani i stracili z oczu posiadłość Nicklina i kilka innych budynków rozsianych wzdłuż Cork Road, a wtedy Danae odwróciła się do niego i pocałowali się. Jej zapach, smak i dotyk zalały mu zmysły.

- Nie tutaj - szepnęła łagodnie. - To za blisko twego domu. Ta osoba może nas podglądać.

Nicklin uświadomił sobie z opóźnieniem, że właśnie próbował osunąć się z Danae na ziemię.

- Masz zupełną rację - powiedział. - To do niego podobne. Tam dalej jest lepsze miejsce.

Poprowadził ją dokoła owalnego pagórka, na północny stok, skąd bezkresne zielone łąki ciągnęły się aż po wygięty w górę horyzont. Wzgórek otaczały kępy bananowców, których sezon kwitnienia właśnie nadszedł. Ciągące się czerwono-pomarańczowe kwiaty, którym krzak zawdzięczał swoją nazwę, tworzyły kolorowy przyczółek na brzegu oceanu trawy. Jedna z większych kęp miała kształt litery „U” i jej rozmiar wystarczał, by zasłonić leżącą parę oraz dawał niejaką osłonę przed słońcem. Nicklin zauważył ten liściasty buduar podczas jednego z poprzednich spacerów i jego wyobraźnia, dla której pożywkę stanowiła samotność, zaludniła go parami kochanków. Nicklin nie przypuszczał, że sam stanie się jednym z nich.

- Jak ci się tu podoba? - spytał.

Zamiast odpowiedzi Danae zaczęła się rozbierać, wpatrzona w Nicklina poważnymi brązowymi oczyma. On rozbierał się równocześnie, rzucając ubranie między krzaki, by powstało zaimprovizowane

legowisko. Kiedy obydwójce byli nadzy, pocałowali się jeszcze raz ze-
tknięci piersiami, brzuchami, udami.

A potem razem legli na ziemię...

Minęła może godzina - Nicklin stracił poczucie czasu -gdy powoli,
po spirali, opuścił się znów na przyziemny świat. Leżał na Danei, ale
większość ciężaru rozłożył na swych łokciach i kolanach. Patrzył w
oczy Danei, ale były tak blisko, że nie mógł zogniskować swego wzro-
ku. Widział je jako migotliwe brązowo-białe plamy, bez żadnych
szczegółów, ale po chwili spostrzegł, że ona płacze. Pośpiesznie stoczył
się na ziemię z lewej strony - zaniepokojony kochanek - i dotknął zim-
nych przezroczystych wstęg na jej policzku.

- Co się stało, Daneo? - zaszeptał. - Nie jest ci chyba przykro,
prawda?

Przygryzła zębami dolną wargę, by powstrzymać jej drżenie.

- Jest mi przykro, ale to nie ma nic wspólnego z nami. Nie z tego
powodu.

- Więc dlaczego?

- Corey... Jego misja opuszcza Orangefield pojutrze. Muszę z nimi
jechać, a to znaczy... - Załkała i przycisnęła twarz do jego ramienia. -
Nie chcę cię opuszczać, Jim. Nie chcę, żeby to się skończyło.

- A czy musi? - Myśli Nicklina, dotychczas całkowicie zaprzątnię-
te terażniejszością, nagle sięgnęły w przyszłość i w odległości zaledwie
paru godzin napotkały barierę z czarnego gagatu, ciemną ścianę, przy
której szczęście się kończyło, a gdzie rozpoczynała stara rozpaczliwa
samotność i jałowość. - Czy naprawdę musisz wyjeżdżać? Czy nie mo-
żesz zostać tu ze mną?

Danea potrząsnęła głową, a on poczuł na swej skórze rozmazujące
się łzy.

- Jestem oddana misji - powiedziała stłumionym głosem. - To coś, w co wierzę, Jim. Nie mogę zapomnieć ślubów, które... Poza tym, nie sądzę, bym mogła znieść życia w takim mieście jak Orangefield.

- Muszę ci coś powiedzieć, Danae. - Przez myśli Nic-klina przelatywały zygzakami białe błyskawice. - Ja też nie mogę znieść życia w Orangefield.

Poczuł, że ciało jej sztywnieje. Uniosła głowę i pocałowała go lekko kilka razy, zwilżając mu twarz łzami.

- Jesteś bardzo kochany - powiedziała cicho. - Czuję się tak bardzo zaszczycona tym, że w ogóle pomyślałeś o zostawieniu domu i wszystkiego, co znasz i o wyruszeniu ze mną w drogę. Czy o tym właśnie myślałeś, czy po prostu...?

- Właśnie to miałem na myśli, i ty o tym wiesz.

Obdarzyła go drżącym uśmiechem i delikatnie potarła łonem o jego biodro.

- Jesteś strasznie kochany, Jim, ale są sprawy, o których nie wiesz.

- Co to za sprawy?

- Corey nie pozwala, aby ludzie dołączali do nas tylko tak, by się przejechać. Jeśliby na to pozwolił, zostalibyśmy zalani przygodną masą ludzką i rozpuścilibyśmy się -w każdym sensie tego słowa. Wszyscy, którzy do nas dołączają, muszą być całkowicie zaangażowani, a to znaczy...

Próbowała znowu spuścić głowę, ale położył dłoń na jej czole, zmuszając ją, by dalej na niego patrzyła.

- Mów dalej - rzekł.

- Oznacza to, że musiałbyś sprzedać wszystko, co posiadasz... dom, interes, polisę ubezpieczeniową... naprawdę wszystko... i wszystko, co za to otrzymasz, darować misji.

- Czy naprawdę tylko to cię trapi? - Nicklin zaśmiał się z prawdziwą ulgą. - Możesz uważać to za załatwione, moja mała! Załatwione!

Cała ociążałość zniknęła z oczu Danei.

- Czy naprawdę chcesz to zrobić, Jim? Naprawdę chcesz to zrobić? Moglibyśmy dostać mały wóz kempingowy tylko dla siebie - i nawet nie musisz się ze mną żenić, jeśli nie chcesz.

- Chcę.

- Będziemy mieli mnóstwo czasu, aby o tym porozmawiać - powiedziała siadając. Jej twarz, promiennie podekscytowana przez kilka sekund, przybrała zamyślony wyraz.

Nicklin czuł się teraz pewniej, nie dźwięczał mu w mózgu sygnał alarmowy.

- O co chodzi tym razem?

- Właśnie o czymś pomyślałam. - W jej oczach malował się namysł i dziwne skupienie, kiedy patrzyła mu w twarz. - Nie wiem co inni, zwłaszcza Corey, pomyślą o mnie, kiedy wrócę dumna jak paw i powiem, że wprowadzam się z mężczyzną, którego dopiero wczoraj spotkałam. Prawdopodobnie brzmi to dla ciebie głupio, Jim. Prawdopodobnie jesteś przyzwyczajony do tego, że mnóstwo kobiet przewija się przez twoje łóżko i nie musisz się troszczyć o to, co mówią o tobie inni, ale w misji moje sprawy wyglądają trochę inaczej. To wszystko jest trochę purytańskie, trochę staroświeckie, ale naprawdę cenię sobie szacunek ludzi, z którymi pracuję.

Danea przerwała, jakby zakłopotana.

- Co za przemowa. I nawet nie wiem, czy to, co powiedziałam, ma dla ciebie jakiś sens.

- Rozumiem. - Nicklin odczuwał niejaki rozczarowanie, ale ponieważ uważał, że ma pewne prawa w stosunku do Danei, jego rozczar-

rowanie było co najmniej zrównoważone wiadomością, że wyznawcy Montane'a nie są rzecznikami zbiorowego czy choćby luźnego życia erotycznego. - Chcesz mi powiedzieć, że nie będziemy mogli natychmiast zamieszkać ze sobą. Potrafię to znieść.

- Dziękuję ci, Jim, dziękuję. - Przytuliła go, naciskając mocno pierśmi. - Będziemy musieli tylko trochę poczekać, po tym, jak Corey cię zaakceptuje. I wcale nie musimy być rozdzieleni przez cały czas, mój ty namiętny chłopcze - od czasu do czasu pójdziemy sobie na spacer.

Ton, jakim Danae wypowiedziała ostatnie słowo, nadając mu specjalne, sekretne znaczenie, sprawił, że gardło Nicklina ścisnęło się boleśnie z uczucia czystego szczęścia. W przyszłości, kiedy znajdą się w towarzystwie innych, któreś z nich zaproponuje tylko „spacer” i nikt nie zrozumie, co to oznacza, ale on i Danae będą wiedzieć, i nastąpią po tym chwile miłości równie ekstatyczne, jak te, których przed chwilą doświadczył. Świat to wspaniałe miejsce do życia - i jak kiedykolwiek mógł uważać, że Danae nie jest piękna?

Kiedy wkładali ubrania, skrzywił się na widok wilgotnej plamy u dołu koszuli. Wpakował ją szybko w spodnie, a Danae zaśmiała się i rzekła, że powinien mieć tylko do siebie pretensję o to, że jest taki męski.

Już ubrani, pozostali jeszcze chwilę między banda-nowcami, a Nicklin wymyślając nie znane sobie szczegóły, próbował opowiedzieć, w jaki sposób spienięży swoje dobra w tak krótkim czasie. Danae wyglądała na zakłopotaną i poprosiła go, by nie mówił o takich rzeczach, dopóki nie spotka się z Coreym Montane'em. Nicklin kochał ją jeszcze bardziej za to, że chciała, by ich stosunki osobiste nie zostały skalane kwestiami finansowymi.

Potem wracali do domu. On trzymał rękę na jej ramieniu, a ona obejmowała go w pasie. Nicklinowi wpadła do głowy pewna myśl.

- Skoro mamy się pobrać - powiedział lekko - przypuszczam, że nie będzie to z mojej strony nietakt, jeśli spytam cię o nazwisko.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wzięłaś mnie do swego miłosnego gniazdka i nawet nie znałaś mojego...! - Odsunęła go ze zgorzonym śmiechem. - Farthing! Nazywam się Farthing - mówiłam ci to wczoraj wieczorem.

- Wcale nie! Przysięgam ci na Gazowego Kręgowca, że nie mówiłaś. - Potrząsnął głową w zamyśleniu. - Przynajmniej nie sądzę, żebyś mówiła.

- Widzisz! Nie jesteś tego nawet pewien! - Danea znów się przysunęła i zarzuciła mu ręce na szyję. - Powiedz prawdę, Jim, jak wiele kobiet brałeś już tam na spacer?

- Jesteś jedyną - zaprotestował Nicklin, ale nie mógł się oprzeć pokusie, by jego protest brzmiał nieprzekonująco. Jej ciągłe sugestie, że jest erotycznym konkwistadorem, pochlebiały mu bardziej, niż chciał przed sobą przyznać. Jeśli mężczyźni o bogatym doświadczeniu robią na niej wrażenie, warto się trudzić, by zmienić o nim zdanie. Nieoczekiwanie jego perspektywy życiowe zaczęły się wspaniale rysować. Teraz, kiedy miał już Daneę, mógł przyznać, że kobiety z Orangefield, zbywając go i traktując pobłaźliwie, zawsze sprawiały, iż czuł się niepełnowartościowy seksualnie. Ale cały czas wina leżała po ich stronie! Drobnomieszczanki o ciasnych poglądach, ograniczone przez to wychowanie w Pipidówce. On natomiast jest urodzonym światowcem, którego mogą ocenić tylko inni światowcy.

Kiedy tak szli w słońcu, a biodro Danei lekko tręcało jego biodro, pomyślał przez chwilę, że oto za chwilę sprzeda wszystko, co ma, tylko

dlatego, że pragnie być z nią razem. Ale nie czuł skrpułów, wątpliwości ani lęków. Miał zamiar wyzwolić się ze swych kajdan i stać się wolnym, by rozpocząć prawdziwe życie.

- Powiedz mi coś - poprosiła Danaea. - Co to jest ten Gazowy Kręgowiec, o którym ciągle wspominasz? Co masz na myśli?

Nicklin zdziwił się.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że ja... To nazwa, którą ktoś - myślę, że to jeden ze starych niemieckich filozofów - wymyślił dla Boga.

- Boga? Nazwa brzmi dziwnie. Nie wyraża szacunku.

- Miała być zupełnie pozbawiona szacunku. Miała wyrażać niewiarę. Według Biblii Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo. Tak więc, jeśli wyglądamy jak On, On musi wyglądać tak jak my, co znaczy, że ma kręgosłup. Ale jeśli jest duchem - z definicji istotą nieważką - po co mu kręgosłup do podpierania ciężaru?

- Proszę cię, zrób coś dla mnie - rzekła Danaea, a między jej brwiami pojawiła się ledwo widoczna zmarszczka. - Nie wyrażaj się w ten sposób o Bogu w obecności Coreya. Jestem pewna, że zraniłoby to jego uczucia.

Nicklin ulegle przytaknął i przyszło mu do głowy -choć w zgiełku swych myśli nie potrafiłby znaleźć przyczyny, dlaczego - że jest coś ważnego, coś bardzo ważnego, o czym powinien był porozmawiać z kobietą, którą kocha.

ROZDZIAŁ 7

Nicklin spędził godzinę z kierownikiem orangefieldskiej filii Banku Portalu Jeden i czuł się emocjonalnie wyczerpany. Nie wiedział dokładnie, dlaczego rozmowa z Dixonem Figgiem działa na niego w ten sposób, ale zawsze tak było i Nicklin cieszył się, że opuścił wreszcie ciche, gołębioszare biura banku. Dla odprężenia poszedł na spacer do Parku Mumforda.

Zawód pośrednika w handlu nieruchomościami prawie zniknął w czasie dwóch stuleci pobytu człowieka na Orbitsville - ostał się tylko w wielkich miastach. To ironia losu - myślał często Nicklin - że ci pośrednicy zniknęli właśnie z powodu nadmiaru towaru, którym handlowali. Gdy do dyspozycji były za darmo całe kontynenty, niewielu zostało klientów skłonnych zapłacić choćby symboliczną sumę za hektar.

Banki, zawsze gotowe do wypełnienia próżni na rynku, włączyły w zakres swojej działalności zarządzanie własnością ziemską. W rezultacie Figg dokładnie orientował się w interesach swego klienta. Nicklina zawsze denerwowało to, że Figg traktował go z ledwie ukiwaną dezaprobatą, mimo iż Nicklin rozsądnie prowadził interesy, unikał długów i zdołał zgromadzić jakieś 40000 orbów na swym rachunku. Jak się domyślał, postawa Figga odzwierciedlała jedynie uprzedzenia tutejszych ludzi, ale z pewnością kierownik banku powinien okazywać więcej grzeczności niż miejscowy lump.

Kiedy Nicklin powiadomił go, że chciałby zmienić na gotówkę wszystkie swoje wkłady, gdyż za dwa dni wyjeżdża z miasta, na twarzy Dixona Figga pojawiały się kolejno zaskoczenie, oburzenie i głęboka podejrzliwość. Ta mimika tak przestraszyła Nicklina, że nie śmiał on podać prawdziwych powodów swojego radykalnego kroku. Zamiast tego zapuścił się w ciąg kłamstw o kuzynie w Beachhead, który zawi-

domił go o niebywałej okazji wykupienia się do rodzinnej firmy zajmującej się wentylacją. Poddane przebiegłym pytaniom Figga, kłamstwa stawały się coraz bardziej złożone, a ich struktura coraz bardziej krucha, wreszcie bankier, obrażony, że nie docenia się jego inteligencji, przybrał postawę lodowatą i wrogą, po czym zakończył rozmowę.

Teraz, spacerując po parku wśród zieleni, Nicklin wyrzucał sobie, że nie był w stosunku do Figga twardy i zimny. Twardy, zimny i - jeśli byłoby to niezbędne - brutalny. Kiedy zaczęło się wypytywanie, powinien był przeciąć śledztwo Figga słownym pałaszem. Może zrobi to rano, kiedy przyjdzie zabrać swój czek bankierski na 82000 orbów, ale najprawdopodobniej będzie tak nieporadny, jak zawsze. Tylko kiedy Dana była przy nim, ujawniała się ta lepsza, śmielsza strona jego charakteru, podbudowana siłą jej uczucia do niego.

Świadomość, że wkrótce opuści na zawsze to przytłaczające Orangefield i uda się w nieznaną z Daną, dodała mu energii i pomogła usunąć z głowy myśli o opryskliwym panu Figgu. Dwukrotnie okrążył skwerek, głęboko oddychając i świadomie odprężając się, aż nadeszła jedenasta - termin wyznaczonego spotkania z Co-reyem Montane. Nicklin opuścił park wschodnią bramą i szedł po Telegraficznej. Poruszał się szybko naprzód, ponieważ o tej sennej porze dnia, pod koniec przedpołudniowej ciszy, było bardzo mało kupujących. Wynurzył się na ulicy Najtyczanki, biegnącej skrajem błonia. Było na niej stosunkowo mało pojazdów i łatwo dało się przejść na drugą stronę.

Namiet misji rysował się jak zaspą za zasłoną drzew. Kiedy Nicklin podszedł do niego bliżej, zauważył, że prostokątny placyk zastawiony samochodami, ciężarówkami i przyczepami kempingowymi był prawie bezludny. Kilko mężczyzn i kobiet siedziało na schodach platformy, dyskutując ze sobą z powagą, ale Nicklin wiedział, że nie ma

wśród nich Danei. Z przyczyn, których w pełni nie rozumiał, uważała, że najlepiej jeśli nie będzie się ona pokazywać, dopóki Nicklin nie skończy rozmowy z Montanem. O informacje najłatwiej było poprosić opartego o drzewo mężczyznę, którego głowę skrywał ogromny słomiany kapelusz z obwisłym rondem. Mężczyzna był odwrócony do Nicklina tyłem i chyba jadł baniabłko.

- Cześć! - powitał go Nicklin. - Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie może być w tej chwili Corey Montane?

Mężczyzna odwrócił się i Nicklin zobaczył, że to ten sam Czarny, o którym mówił Max.

- Nie powiem, gdzie może być! Mogę panu powiedzieć, gdzie Corey jest na pewno.

- To nawet lepiej - odrzekł Nicklin, uśmiechając się w odpowiedzi i usiłując, w miarę możliwości, nie przyglądać się ciemnym dłoniom i twarzy mężczyzny.

- To tam. W tym czymś srebrnym bez napisów po bokach.

- Dziękuję.

Nicklin skinął głową i poszedł we wskazanym kierunku. Było mu przyjemnie, że czarny mężczyzna traktował go sympatycznie i uprzejmie. Rzadko który miejscowy go tak traktował. Nicklin był coraz bardziej pewien, że łączy swój los z pokrewnymi duszami - podróżnikami, światowcami, ludźmi, którzy niejedno widzieli w życiu.

Kiedy podchodził do srebrnej przyczepy, Corey Montane pojawił się w otwartych drzwiach i zszedł na stopień, by go powitać. Nicklina uderzyło przede wszystkim to, że zniknęło wrażenie zwykłości, jakie Montane roztaczał, będąc na scenie. Sprawiała to twarz Montane'a, oglądana z bliska. Przystojna, według konwencjonalnych kryteriów, jej rysy były tak dokładnie określone, jak rysy postaci z filmu ry-

sunkowego. Choć Nicklin nie uczył się rysować, błyskawicznie mógłby wykonać rozpoznawalny szkic twarzy Montane'a: nos prosty jak linijka, kwadratowy podbródek, błyszczące czarne włosy, opadający na czoło kosmyk - wymagałoby to zaledwie kilku pociągnięć węgla. Tylko oczy sprawiałyby trudność, nawet mistrz portretu by sobie nie poradził. Były szare, głęboko osadzone, pełne żywej ciekawości, ale jednocześnie Nicklin miał wrażenie, że są zogniskowane na jakimś punkcie bardzo daleko za nim. Tak jakby mózg przy pomocy oczu ocenił go i uznał, że gozdzien jest tylko przelotnej uwagi. Skoro Nicklin był tu obecny ciałem, Montane będzie usiłował okazać mu całkowite i szczerze zainteresowanie, ale naprawdę troszczył się on tylko o rzeczy nieskończone i wieczne.

Nicklin natychmiast go polubił i - na przekór swym oczekiwaniom - poczuł do niego znaczny szacunek.

- Jestem Jim Nicklin - przedstawił się wyciągając rękę.

- Cześć, Jim. - Montane podał mu suchą dłoń i krzepko uścisnął. - Danae mówiła mi o panu. Czy zechciałby pan wejść do środka i napić się herbaty? W starym autobusie będzie nam wygodniej rozmawiać i jest tam chłodniej - przynajmniej powinno być, gdyby klimatyzacja pracowała właściwie.

- Mogę ją panu wyregulować - powiedział Nicklin, podążając za Montane'em do wnętrza pojazdu. - To prawdopodobnie kwestia... - Przerwał widząc długie, srebrzyste pudło spoczywające na podłodze pośrodku pomieszczenia.

Montane rzucił mu taksujące, lekko rozbawione spojrzenie.

- Tak, to jest to, na co wygląda - trumna. Chwilowe miejsce spoczynku mojej żony. Czy Danae nie mówiła panu o moim nietypowym umeblowaniu?

- Ach... nie.

- Prawdopodobnie nie chciała, by pan myślał, że mam hysia. - Montane wskazał miękką ławkę, zapraszając Nicklina do zajęcia miejsca. - Widzi pan, prowadzimy misję według zasad ściśle demokratycznych. Jedną z nich jest to, że przestrzeń mieszkalna powinna być równo dzielona, ale chociaż w moim pojeździe jest miejsce dla jeszcze kilku ludzi, nikt nie dawał do zrozumienia, że chce się tu wprowadzić. Udają, że to z powodu szacunku, jaki żywią dla mnie, ale któżby chciał mieszkać razem z trumną? Zwłaszcza z trumną już zajęta...

Nicklin próbował się uśmiechnąć.

- Przypuszczam, że niewielu.

- To zrozumiałe, ale okoliczności, w których się znajduję, bardzo odbiegają od normalnych.

„To chyba najbardziej ogłędne oświadczenie, jakie wydano w tej dekadzie” - pomyślał Nicklin, a do jego opinii o Montanie wkradły się pewne dwuznaczności. Ciągle czuł początkowy, intuicyjny szacunek, ale czy człowiek zupełnie normalny woziłby wszędzie ze sobą ciało swojej zmarłej żony? A nawet czy w ogóle by je gdziekolwiek woził? Z pewnością stało to w niezgodzie z jakimiś przepisami i gdyby na Wielkim O w ogóle skutecznie egzekwowano prawo - zamiast akceptować panującą powszechnie umiarkowaną anarchię - Montane miałby kłopoty. Jeszcze coś w słowach kaznodziei powodowało, że Nicklin gdzieś w tle świadomości czuł się trochę nieswojo. Nie miał jednak czasu, by określić, co to takiego.

- Decyduje się pan na bardzo poważny krok - stwierdził Montane, przygotowując herbatę. - Zakładam, że rozumie pan w pełni, że przekaz pieniędzy dla misji będzie miał formę darowizny?

- Jaką jeszcze mógłby mieć formę?

- Chodzi mi o to, że nie nabywa pan czegoś w rodzaju akcji przedsiębiorstwa komercyjnego - powiedzmy kompanii budowy statków kosmicznych - akcji, których mógłby pan się kiedyś pozbyć, jeśli by przyszła panu na to ochota.

- Mówi mi pan, że nie będę mógł odzyskać swoich pieniędzy.

- Dokładnie to mówię. - Montane ustawił dwie antycznie wyglądające porcelanowe filiżanki ze spodeczkami. - I suma, o którą chodzi, ma być całkiem spora.

- No cóż, jak się powiedziało „a” trzeba powiedzieć „b” - stwierdził Nicklin i zobaczywszy poważny wyraz twarzy Montane’a, natychmiast pożałował tego, że próbował obrócić całą sprawę w żart.

- Tu chodzi o coś znacznie więcej niż tylko o abecadło - odrzekł Montane. - Oczywiście cieszę się z powodu pana i Danei, i życzę wam jak najwięcej szczęścia we dwoje, ale...

- Moje uczucia w stosunku do niej nie ulegną zmianie, a nawet jeśli - co na pewno nie nastąpi - nie widzę powodów, dla których miałyby to mieć jakiś wpływ na umowy finansowe między mną a panem.

Nicklin ze zdziwieniem słuchał samego siebie mówiącego z takim zdecydowaniem, jakie w przeszłości rzadko osiągał i stwierdził, że to chyba jeszcze jeden przejaw wpływu Danei.

Montane przestał na chwilę otwierać słoik z kapsułkami z mlekiem.

- Proszę o wybaczenie, Jim, nie miałem zamiaru czynić obraźliwych uwag o tobie i Danei. Wierzę, że się kochacie, chociaż według mojego osobistego rytmu nastąpiło to trochę za szybko. Czy udzielisz mi jednak jasnej odpowiedzi na jasno postawione pytanie?

- Ma się rozumieć.

Montane odstawił słoik i odwrócił się do Nicklina.

- Czy jesteś wierzący, Jim? Czy naprawdę wierzysz w Boga i w posłanie, które głoszę ludzkości w Jego imieniu?

- Ja... - Nicklin spojrział w spokojne szare oczy i po raz pierwszy w życiu zrozumiał, że wszelkie kłamstwa są bezcelowe. Zaprzeczył wolnym ruchem głowy.

Wbrew przewidywaniom Montane obdarzył go szerokim uśmiechem.

- Jeśli chciałbyś mnie nabrać w tej kwestii, Jim, natychmiast wyrzuciłbym cię za drzwi, bez względu na to, ile pieniędzy straciłaby przez to misja. Mogę pracować jedynie z ludźmi, których szanuję i którzy szanują mnie. Mleka?

- Jedno - rzekł Nicklin, kiedy Montane uniósł mały słoik. - Cieszę się, że wyjaśniliśmy tę sprawę, ale jestem nieco zdziwiony.

- Że przyjmuję niewierzącego? To bardzo szczególne czasy, Jim. Oczywiście wolałbym, żeby wszyscy, z którymi się kontaktuję, byli wyznawcami Pana, ale świat ten jest niedoskonały i muszę używać wszelkich narzędzi, jakie On stawia mi do dyspozycji. Gdy się do nas przyłączysz, misja będzie miała z tego podwójny pożytek: po pierwsze z powodu twego hojnego daru; po drugie z powodu twoich umiejętności praktycznych. Danae mówiła, że jesteś doskonałym inżynierem.

- Lepiej pasowałoby słowo „technik” i to też na niewielką skalę.

Nicklin wziął filiżankę herbaty i zaczął ją saczyć. Ponownie czuł, że coś jest nie tak. Czyż Danae nie ostrzegła go, by nie mówił Montane'owi o swym ateizmie? Podkreślała, że będzie on z tego głęboko niezadowolony, ale w rzeczywistości zareagował zupełnie inaczej. Powiedziała też, że „goście płacący za siebie” nie są przyjmowani na prze-

jażdżkę i również w tym się myliła. Chyba nie znała poglądów swego przywódcy w takim stopniu, jak można tego było oczekiwać...

- Cóż, cieszę się, że mogę cię przyjąć do swego zespołu i jestem pewien, że zostaniesz jego użytecznym członkiem, bez względu na to, czy będziemy cię uważali za inżyniera czy za technika - rzekł Montane.

- A teraz musimy omówić pewne niezbędne szczegóły. Czy nie krępuje cię rozmowa o pieniądzach?

- To jeden z moich ulubionych tematów.

- Doskonale! Pieniądze są dla nas bardzo ważne.

Montane usiadł naprzeciw Nicklina na starym regulowanym fotelu i znalazł się tuż przy metalowej trumnie. Postawił na niej filiżankę i naregulował siedzenie w wygodniejszej pozycji. Nicklin, zagorzały materialista, próbował nie okazywać żadnej reakcji, ale wykorzystywanie trumny z ukochaną osobą jako podręcznego stołu napełniło go nieokreślonym niesmakiem. Niestety, postrzegał ten mały rodzinny absurd jako coś bardzo zabawnego - zwłaszcza że chodziło o religijnego przywódcę - i nie miał pewności, czy zdołał skryć swe rozbawienie.

- Milly zaakceptowałyby to, że się tu przydaje - wyjaśnił Montane, biorąc z powrotem swoją filiżankę. Widocznie posiadał dar zbliżony do telepatii. - W ten sposób nadal jesteśmy mężem i żoną - jeśli rozumiesz, co mam na myśli - dopóki nie zapewni się jej należytego spoczynku.

- Doskonale rozumiem - wymamrotał Nicklin, wpatrując się w swoją filiżankę i walcząc z opanowującą go wesołością.

„Dlaczego, O, Gazowy Kręgowcze, życie nigdy nie dostarcza nam rzeczy absolutnie jednoznacznych? Dlaczego każdy dramat musi zawierać element śmieszności? Dlaczego każdy przywódca musi mieć

piskliwy głos lub czyrak na zadku? Czy w ten sposób dajesz nam do zrozumienia, że wszystko może być częścią wielkiego dowcipu? ”

- Zamyśliłeś się trochę, synu - zauważył Montane. -Czy coś cię gnębi?

- Nic ważkiego - zapewnił Nicklin starca. - Różne myśli o tym i owym. Po prostu nie codziennie człowiek zaczyna zupełnie nowe życie, rozumiesz.

Chociaż Nicklin powierzył Bankowi Portalu Jeden prawie wszystko co posiadał, opuszczenie swojej posiadłości zajęło mu więcej, niż przewidywał. Ciągłe znajdował coś do zrobienia w ostatniej chwili; osobiste drobiazgi, które należało zachować lub zniszczyć; całą masę banalnych rzeczy, których jakoś nie można było porzucić, nie zostawiając wskazówek przyszłym użytkownikom. Kiedy umawiał się z Dana, żeby wpadła po niego koło południa, wydawało się, że ma aż nadto czasu na wyprowadzkę, ale obecnie wszystko zaczynał robić w wyrażonej panice.

W nocy pogoda uległa zmianie. Matowe, szare chmury napłynęły z zachodu i pojawiła się bryza na tyle silna, że uaktywniła fujarkowce na drugim brzegu strumienia. Zwinęły one swoje liście i wydawały żałobne, przeciągłe lamentsy, które przypominały Nicklinowi efekty dźwiękowe w złym melodramacie. Nie padało jeszcze, ale powietrze wydawało się ciężkie, wilgotne i zimne.

Na szczęście był to jeden z dni nieobowiązkowych dla Maxa Mi-lioma, więc Nicklin uniknął niechybnego wypytywania. Z satysfakcją napisał do Maxa notatkę informującą chłopaka, że nie jest już zatrudniony, a potem skoncentrował się na mniej miłych zajęciach.

Gdziekolwiek się udał, miał świadomość, że Zindee go obserwuje. Spała już, kiedy poprzedniego dnia złożył White'om grzecznościową

wizytę, informując ich, że się wyprowadza. Praktycznie nic nie powiedział Chamowi i Norze o prawdziwych przyczynach, ale Zindee natychmiast po usłyszeniu tej wiadomości z pewnością zrozumiałaby, że ma to związek z Daneą Farthing. Była gdzieś blisko na dworze, kiedy pracował. Obserwowała go z ukrycia i rozważała, co się teraz zmieni w jej życiu. Nicklin bardzo chciał, by rozstali się jak przyjaciele, ale nie widział sensu w tym, żeby iść do White'ów i próbować z nią porozmawiać - jeśli wszystko miało być w porządku, Zindee przyjdzie do niego.

Piętnaście minut przed południem, jakimś cudem, wszystkie niezbędne prace zostały zakończone. Obszedł po raz ostatni swoje mieszkanie, bibliotekę i warsztat, a następnie zamknął drzwi na klucz. Włożył klucze i wszystkie wymagane przez pana Figga dokumenty do kieszeni, przeniósł swą jedyną walizkę przez kładkę i postawił ją na ziemi, by poczekać na przybycie Danei. Zindee musiała zdawać sobie sprawę, że on właśnie odjeżdża, ale nie ujawniała się. Zaczęły spadać pierwsze duże krople deszczu, wbijając się ze słyszalnym dźwiękiem w pylisty grunt. Nicklin poszukał schronienia pod drzewem.

Chwilę później niebieski samochód ukazał się w dali. Nicklin podniósł walizkę, ale natychmiast ją opuścił, gdy ujrzał, jak od wysokiej kępy splątanych chwastów biegnie ku niemu Zindee. Ukląkł i przyjął na siebie uderzenie jej ciała, a ona zarzuciła mu rękę na szyję.

- Dziękuję, Zindee - wyszeptał. - Dziękuję, żeś przyszła.
- Nie będziesz na moich urodzinach. - W głosie jej brzmiał wyrzut. - Są pojutrze.
- Te muszę opuścić, bardzo tego żałuję, ale nadejdzie jeszcze mnóstwo innych przyjęć urodzinowych.
- Ale kiedy to będzie...

- Przysięgam, że wrócę i zobaczymy się. - Słyszając nadjeżdżający samochód, Nicklin sięgnął do kieszeni i wyjął pamiątkę, którą znalazł wcześniej w szufladzie - brązową rzymską monetę - i wcisnął ją w dłoń Zindee. - Nie wydawaj jej całej w jednym sklepie.

Chrząknęła cicho mimo woli rozbawiona, potarła wilgotną twarz o jego policzek i wycofała się z jego objęć.

Nicklin wstał i otrzepał pył z kolan.

- Poczekaj i pożegnaj się z Daneą - nalegał.

Zindee uniosła podbródek i rzuciła na samochód jadrowite spojrzenie, a potem odwróciła się i pobiegła do domu. Deszcz upstrzył mandarynkowymi plamkami tył jej jasnopomarańczowej sportowej koszulki. Nicklin patrzył zamyślony na szybko oddalającą się postać, aż auto podjechało i stanęło przy nim. Danea postawiwszy dach „Unimota”, uśmiechała się do niego z zacienionego wnętrza pojazdu.

- Nie stój tak na deszczu, bo wypuścisz korzenie -zawołała.

Nowym domem Nicklina stał się wóz kempingowy, niemal całkowicie wypełniony w środku ośmioma kojami. Kiedy Nicklin zobaczył to po raz pierwszy, miał raczej skojarzenia z łodzią podwodną. Poczł przygnębienie, ale zwalczył je, myśląc intensywnie o Danei. Powiedział sobie, że gotów jest przystać na wszelkie niewygody w zamian za to, co czeka go w przyszłości. Ta pierwsza noc zapowiadała się bezsennie. Był zbyt podekscytowany i zbyt wiele myśli huczało mu w głowie. Z przyjemnym zaskoczeniem przyjął więc prośbę, aby kierował wozem kempingowym i wziął to, co nazywano „psią wachtą” -cztery godziny od północy. Z jakichś niewyjaśnionych powodów oczekiwał, że zostawią go samemu sobie przez pierwszy dzień czy dwa i cieszył się, że ma okazję zrobić coś, co go porządnie zmęczy.

Teraz siedząc samotnie za kierownicą wozu kempingowego, czuł w sobie filozoficzną gorączkę, kiedy to można rozpatrywać różne idee, których nie trzeba głębiej analizować. Przetaczały się korowodem przez jego bezkrytyczny mózg, odzwierciedlając wydarzenia ostatnich trzech dni. Nicklin w myślach zdobył się tylko na komentarze w rodzaju: „Czyż życie nie jest dziwaczne? Nigdy nie wiadomo, co nas czeka, prawda? Szkoda, że nie jestem w tej chwili w starym Orangefield - po prostu by zobaczyć ich twarze” lub „To jest życie godne pióra!”

Panowała orbitsvillska noc - setki wstęg szafirowych i indygo kładły się łukami na niebiosach, zwęzły i stapały w pryzmatyczną poświatę nad biegunami horyzontu, podczas gdy świat poniżej rozciągał się jak ocean najczystszej czerni. Pojazdy przed Nicklinem stanowiły jedyne widoczne w mroku obiekty. Reflektory nadawały im wygląd statków; przypadkowe jodełki i spirale, rysujące się na powierzchni drogi zbudowanej ze stopionego gruntu, były ich kilwaterami.

Widok ten koił i podnosił Nicklina na duchu, ale jednocześnie przypominał mu, że szczęście będzie pełne dopiero wtedy, gdy przy jego boku znajdzie się Danea. Nocy tej nic by już nie brakowało do doskonałości, gdyby Danea siedziała tu z nim, w kabinie kierowcy. W ciągu dnia Nicklin widział ją zdumiewająco mało razy, a teraz spała w wozie kempingowym, który dzieliła z sześciu innymi kobietami. Przypuszczał, że nie chciała zbyt ostentacyjnie okazywać swych uczuć do niego. Rozumiał ten rodzaj nieśmiałości - sam miał również tę cechę charakteru - zwłaszcza, że nieśmiałość jej sprawiała, iż jeszcze cenniejsze stawały się te sekretne sprawy, które miały miejsce między nimi obojgiem.

Kiedy usiadł tego ranka w samochodzie przy Danei, przechyliła się ku niemu, by go pocałować i jednocześnie położyła mu zdecydo-

wanie rękę na kroczu. Ten nieznaczny intymny gest, niezauważalny dla reszty świata, był dla Nicklina bardzo wymowny i sprawił, że zupełnie przestał się lękać o ich wzajemną miłość. Czekala go przyszłość zagadkowa i nieprzewidywalna pod wieloma względami, miał jednak pewność, że wraz z Daneą doznają spełnienia. Wymagano od niego jedynie pewnej cierpliwości, aż dostaną swój własny ruchomy dom, a wtedy...

Spochmurniał, kiedy kapryśna pamięć przywołała coś, co wyłoniło się tego ranka, podczas rozmowy z Montane'em i co od tamtego czasu tkwiło mu wciąż w podświadomości jak zadra. Montane stwierdził, że jedną z podstawowych zasad misji jest równe dzielenie powierzchni mieszkalnej. Nie wspominało się o wyjątkach. Nicklin uświadomił sobie teraz, że nie zauważył żadnych pojazdów, które należały do małżeństw czy choćby do grup małżeństw. Czyżby znaczyło to, że on i Danea są pierwszymi, którzy żyją jak mąż z żoną?

- Czemuż by nie?

Zadał to pytanie na głos i wtedy uzmysłowił sobie, że dla Coreya Montane'a i jego akolitów był to czas przełomu. Uważano, że w Kosmosie zaszły właśnie wielkie zmiany i znalazło to odzwierciedlenie w zupełnie nowej strategii tej wędrownej społeczności. Tym zmianom zawdzięczał Nicklin zgodę na to, by dołączył do karawany i podjął życie... włóczęgi. „Włóczęga” - kiedy wygrzebał to stare słowo, delektował się jego archaicznym i romantycznym posmakiem.

Teraz uświadomił sobie, że duża część ludności Orbitsville to włóczędzy. Ludzie, których zwykł spotykać na codzien, zakończyli wędrowanie, ale nikt nie wie, ilu innych wciąż się przenosi, podróżując od potrójnego pierścienia portali ku zielonym bezkresom Wielkiego O. Mogli przejechać bardzo długą drogę w czasie dwóch stuleci, rozpada-

jąc się na coraz bardziej zróżnicowane plemiona; każde żądało niezależności i parło naprzód z powodów, które ludzie z zewnątrz uważali za coraz mniej istotne.

Nawet ze swojej ograniczonej perspektywy Nic-klin widział działanie tych dzielących sił. Na przykład w Orangefield, praktycznie nie mieszkały rodziny, których nazwiska nie byłyby anglosaskie. Gdyby człowiek miał teleskop o nieograniczonej zdolności zbierania światła i nieograniczonej rozdzielczości, mógłby go skierować na dowolny ciemniejszy pas na niebie i odszukać światła miast, wsi lub nawet ognisk obozowych, należących do ludzi, którzy znaleźli nowe powody, by oddzielić się od swych sąsiadów. Nicklin nie miał najmniejszych wątpliwości, że gdzieś tam w górze żyły wspólnoty, które postanowiły odłączyć się od reszty ludzkości na skutek sporów, jak przyrządzać żywność, jaka ma być liczba liter w alfabecie, czy ich bóstwa powinny być malowane z pępkami czy bez.

A odległe światła zdradzają obecność nie tylko ludzi. Obce rasy odkryły Orbitsville na długo przedtem, zanim przybył tu uciekający statek Vance'a Garamonda, badający międzygwiazdną pustkę. Butni osobnicy jednej z tych zaginionych ras zgromadzili dostateczną ilość środków i usiłowali przejąć kontrolę nad Orbitsville, zamykając wszystkie, prócz jednego, 548 portali stalowymi przesłonami. Była to gigantyczna próba zmonopolizowania bezkresnego Wielkiego O, a cywilizacja, która tego dokonała, kwitła, być może, przez tysiąclecia. Ale inni nie godzili się na ich supremację. Niewyobrażalne bitwy staczano zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz wielkiej skorupy i w rezultacie nie pozostał nikt, mogący przypisać sobie zwycięstwo.

Co się stało, myślał Nicklin, z potomkami tych starożytnych, obcych wojowników? W okolicach portali znaleziono kilkadziesiąt ga-

tunków pozaziemskich, zupełnie ze sobą niespokrewnionych. Miały tylko jedną wspólną cechę: bierność i brak ciekawości; chęć ciągłego ponawiania wynalazku maszyny parowej. Nicklin czasami podejrzewał, że taki sam los czeka ludzkość. Syndrom Orbitsville! Powstawał poważny problem: śmiać się czy płakać? Czy należało się cieszyć czy rozpaczać, że przyszłość miała przypominać wieczne niedzielne popołudnie?

Melancholijny nastrój, jaki ogarnął Nicklina, nagle się rozwiął, gdyż nastąpiło niespodziewane wydarzenie.

Przed wozem Nicklina jechało sześć pojazdów i przez cały czas, gdy Nicklin prowadził, taka formacja utrzymywała się. Położenie świateł ulegało zmianie jedynie wtedy, gdy droga opadała lub skręcała. Teraz nagle ciemność nocy upstrzyły purpurowe plamki świateł hamulcowych i pojazdy utworzyły nieregularną grupę. Nicklin naciśnął obcasem jedyny pedał sterujący swego wozu kempingowego i zatrzymał go. Upłynęło mniej niż trzy godziny od chwili, gdy zaczął prowadzić, było więc za wcześnie na zmianę i kiedy wychodził z kabiny podejrzewał, że ktoś z przodu ma trudności ze sprzętem.

Przekonał się, że nie ma racji, nim jeszcze doszedł do grupy kierowców zgromadzonych przy pojeździe prowadzącym. Patrzyli na dół na coś, co przypominało świecącą zieloną wstęgę, która przecinała drogę i ginęła w tajemniczym ciemnym stepie po obu stronach drogi. Kiedy Nicklin podszedł do grupy, zdał sobie sprawę, że świecący pasek jest niematerialny. Powierzchnia drogi emitowała zielone światło na pasku szerokości około ośmiu centymetrów, ale nie było żadnego śladu jakiegokolwiek farby. Wyglądało tak, jakby pobudzono cząsteczki twardego jak kamień materiału.

- Nie może to być sygnał drogowy - mówił mężczyzna, którego imienia Nicklin nie zdążył jeszcze zapamiętać. - Nie tutaj, na tym zadupiu.

- Zwłaszcza, że odchodzi aż taki kawał od drogi - stwierdziła wysoka kobieta.

Pozostali członkowie grupy kręcili głowami to w jedną to w drugą stronę, śledząc oczyma jarzący się pasek aż hen, tam, gdzie znikął w oddali.

- Może to jakaś granica... sposób rozgraniczania powiatów - wtrącił Nibs Affleck. Nie miał szychty, spał, a teraz owinięty kocem przed zimnem, dołączył z innymi do zebranych. Nicklin złapał się na tym, że przegląda niewyraźne postacie, szukając Danei.

- To niezbyt prawdopodobne, Nibs - odparł mężczyzna, który już wcześniej zabierał głos. - Granice to przedpotopowy wymysł.

- W każdym razie to coś zniszczyło trawę.

Wysoka kobieta włączyła lampę i skierowała ją na ziemię, w miejscu gdzie zielony pas odchodził pod kątem od drogi. Cała roślinność na powierzchni pasa zmieniła kolor na biały lub bladozłoty i była najwyraźniej martwa.

W wyobraźni Nicklina pojawił się absurdalny obraz człowieczka pchającego po całym wewnętrznym obwodzie Orbitsville przyrząd do malowania linii na boisku, który zamiast białą farbą napełniono silnie działającym odchwaszczaczem. Jakby negatyw Johnny'ego Appleseeda. Zaintrygowany chciał bliżej przyjrzeć się zjawisku. Przekroczył linię i zaskoczyło go wrażenie, że przechodzi przez płaszczyznę stawiającą gąbczasty opór. Oddziaływanie, jakkolwiek łagodne, takie jakby przez chwilę odpychały się dwa słabe magnesy, przesuwał się przez ciało, powodowało dziwne i lekko mdlące uczucie. Nicklin przeszedł kilka

razy tam i z powrotem, upewniając się, że to subiektywne zakłócenie było realne i ograniczone do płaszczyzny wznoszącej się pionowo od świecącego pasa. Inni zauważyli, co on robi, i rozpoczęli podobne eksperymenty. Niektórzy z nich mamrotali coś ze zdziwieniem.

- Hej, Jim!

Tuż obok Nicklina stała wysoka kobieta trzymająca reflektorek. Widział ją razem z Daneą i teraz przypomniał sobie, że nazywała się Christine McGivern. Skinęła na niego, by się zbliżył i kiedy podszedł, zobaczył, że kobieta stoi w rozkroku nad zieloną linią i powoli porusza biodrami tam i z powrotem.

- To niezłe - zaszepiała. - Czujesz, jak to pobudza.

- Nie ma tego złego... - powiedział cicho Nicklin, próbując dostosować się do niepokojącego uśmiechu Christine. Spojrzał w bok i z ulgą skonstatował, że do grupy zbliża się Corey Montane, zawinięty w pasiastą pelerynę. Jego czarne włosy były potargane, ale jakby z pewną starannością, jak u aktora, który gra człowieka dopiero co wyrwanego ze snu. Kilku ludzi ruszyło mu naprzeciw, by wyjaśnić, co się wydarzyło, i Nicklin pośpiesznie do nich dołączył.

- Czy mógłby ktoś przynieść łopatę - poprosił Montane, przyjrzwawszy się uważnie pasowi. Prawie natychmiast wręczono mu saperkę. Wziął ją i podniósł trochę ziemi, przeciętej świecą wstęgą, ale czerwono nosy Nibs Affleck łagodnie lecz stanowczo zabrał mu narzędzie i zaczął kopać ze wściekłą szybkością. Widzowie cofnęli się, gdyż ich stopy zaczęły bombardować lecące grudki gruntu. W ciągu paru sekund Affleck wykopał dość duży dół.

- Dziękuję, Nibs - rzekł Montane. - Myślę, że to wystarczy.

Affleck przygotowany widocznie, że będzie kopać do upadłego, niechętnie odsunął się od wykopu. Nicklin, usiłując wciąż odzyskać

równowagę po swoim krótkim spotkaniu z Christine, zdołał zajrzeć do dołu i od razu zrozumiał, dlaczego Montane chciał go wykopać.

Otwór nie przerywał zielonkawego pasa, który teraz dokładnie powtarzał załamania wykopu, jarząc się na powierzchni świeżej ziemi, jakby rzutowany przez potężne urządzenie optyczne.

„To przekrój tego dziwnego gumiastego pola” -pomyślał Nicklin. - „Zjawisko, które ujawnia się na styku ziemi i powietrza. Ciekaw jestem, czy to pole schodzi aż do skorupy Orbitsville”.

- Ta rzecz... ta manifestacja... musi rozciągać się aż do skorupy - ogłosił Montane bez żadnego wahania, bez cienia wątpliwości, podnosząc głos, by usłyszały go osoby z opóźnieniem wyłaniające się z wozów kempingowych i dołączające do grupy. - Przyjaciele, to omem! Dano nam oto jeszcze jeden znak, że czas Orbitsville dobiega kresu. Diabelska pułapka zamyka się!

- Boże, ratuj nas! - dał się słyszeć czyjś krzyk na tle niespokojnych głosów.

Montane podchwycił panujący nastrój.

- Wciąż jest On władny to uczynić. Chociaż godzina jest niebezpiecznie późna, chociaż stoimy na krawędzi otchłani, łaska Boga jest nieskończona... i możemy być jeszcze zbawieni. Skłóńmy głowy i pomódlmy się do Niego.

Montane uniósł ręce z dłońmi zwróconymi ku dołowi i osoby stojące wokół pochylili głowy.

„Zręczna robota, Corey” - pomyślał Nicklin, zachwycony szybkością, z jaką kaznodzieja zareagował wykorzystując sytuację. - „Każdy omen dobry w czasie burzy! ” Kiedy Montane prowadził zaimprovizowane modły, Nicklin wznowił poszukiwania Danei. Był rozczarowany, że jej nie widzi. Myśl o Danei przypomniawszy mu o jej przyjaciółce,

Christine, która stała teraz niewinnie z resztą grupy. Nagle zrozumiał, dlaczego tak odpychający był dla niego jej gambit konwersacyjny, który był, łagodnie mówiąc, niedelikatny. Konspiracyjny szept i poufała forma połączyła ich razem jako parę swawolników otoczonych świętoszkami. Co jednak skłoniło ją do takiej opinii o człowieku, którego wcześniej prawie nie znała?

Jedynym wyjaśnieniem, jakie mógł znaleźć, było to, że Danea rozmawiała swobodnie z Christine o sprawach, które on uważał za osobiste. Więcej, słowo „osobiste” zupełnie nie oddawało jego uczuć - bardziej stosowne byłoby określenie „święte”. Wyobraził sobie Daneę i jej przyjaciółkę słuchające zwierzeń, chichoczące zwłaszcza w momentach obrazowego opisu szczegółów seksualnych i na czoło wystąpił mu pot.

„Czy to możliwe? Czy to naprawdę możliwe?”

Stał w ornamencie światła i ciemności, stworzonym przez zagadkowy świecący pas, prążkowane niebo Orbitsville, plamy jasności, bijącej z reflektorów pojazdów - i czuł się samotny, odizolowany od grupy obcych ludzi, z którymi chciał się zbratać.

Odwrócił się, poszedł wolno do swego wozu kempingowego i wsiadł do kabiny kierowcy. Siedząc skulony przy kierownicy powiedział sobie, że rozumuje jak nadwrażliwy młodzieniaszek. Skłonny do introspekcji marzyciel, taki jak on, zbyt łatwo budował fantazje, oparte wyłącznie na źle zinterpretowanym słowie. Potrzebował jedynie trochę czasu sam na sam z Daneą. Jeden jej uśmiech, jedno rozumiejące spojrzenie tych oczu o ciężkich powiekach potrafiłoby zaprowadzić porządek w jego wszechświecie. Ale dlaczego prawie jej nie widział od czasu, gdy przyłączył się do misji? Dlaczego, do diabła, stała się nieuchwytna?

Wkrótce karawana znów była w drodze. Kiedy pojazd Nicklina przecinał oliwkową wstęgę, Nicklin poczuł jak magnetyczny silnik impulsowy przez chwilę przestał pracować. Stratę mocy, niewielką i przelotną, mógł zauważyć tylko ktoś wyczulony na takie sprawy dzięki długoletniemu doświadczeniu.

Nicklin spojrzął na deskę rozdzielczą, nachmurzył się, a potem powędrował myślami ku problemom, które wydawały mu się nieskończenie bardziej ważne.

ROZDZIAŁ 8

Kiedy Corey Montane dotarł do swojego pojazdu, drżał z zimna. Gdy wychodził w noc, narzucił na pizamę jedynie pelerynę przeciwdeszczową. Spodziewał się, że opuszcza łóżko tylko na kilka minut, dla wyjaśnienia jakichś technicznych problemów. Nie sądził, że pokażą mu nowy dowód na to, że Diabeł aktywnie załatwia swoje diabelskie sprawy. Modły, które potem nastąpiły, zabrały sporo czasu i chłód czystego, nocnego powietrza głęboko wniknął w ciało Montane'a. Czuł, jak gdyby jego organy wewnętrzne zmarzły i spowolniły swoje najrozmaitsze czynności.

- Dobranoc - rzekł do Gerla Kingsleya, zwalistego eks-farmera, który podczas psiej wachty kierował jego pojazdem. - Zgłoszę się około czwartej.

- Dlaczego nie pozwolisz mi załatwić również następnej zmiany, Corey - spytał Kingsley, otwierając dla Montane'a drzwi w środkowej części pojazdu. - Wyglądasz naprawdę wykończony.

- Miło, że mi to mówisz!

- Nie chciałem... - Kingsley walnął się lekko dłonią w czoło, wyrzucając sobie brak dyplomacji. - Miałem na myśli, że prawdopodobnie jesteś zmęczony, a ja jestem tak rześki jak skowronek. Mogę bez większego trudu prowadzić do ósmej rano, a nawet do południa.

Montane uśmiechnął się.

- Wszyscy będziemy pracowali według rozkładu.

- Taa, ale ja i tak nie będę spał. Mam w sobie więcej energii, niż mogę przerobić.

Montane bez trudu wierzył w to stwierdzenie, kiedy patrzył na tego zwalistego, niestrudzonego człowieka. Sam Montane miał zasadę, żeby wykonywać swoją część prac, łącznie z najbardziej prymitywnymi. To postępowanie przynosiło szczerą nagrodę w postaci oddania

- takiego, jakie w tej chwili okazywał Kingsley. Teraz jednak był rzeczywiście zmęczony i miał wiele spraw do przemyślenia.

- Być może kiedyś będę mógł cię zastąpić - przystał niechętnie i Kingsley natychmiast wpakował go, z pełną szacunku szorstkością, do ciepłego wnętrza wozu. Montane zamknął drzwi na klucz, wyslizgnął się z peleryny i oparł się o srebrną trumnę, gdy pojazd ruszył.

- Przykro mi z powodu tego zamieszania, Milly - powiedział, zwracając się do żony. - Szatan nie śpi nigdy - nic więc dziwnego, że od czasu do czasu przeszkadza nam w nocy.

Nadstawił ucha, czekając, czy Milly odpowie, ale z trumny nie nadzedł żaden odzew, więc poszedł spać. Wyłączył światło, ułożył się wygodnie pod kocami i zwrócił myśli ku zjawisku świecącej zielonej linii. Intuicyjne pojmowanie Diabła i wszystkich szatańskich posunięć powiedziało mu, że to manifestacja zła, ale trudno było odgadnąć jej cel. Musiała ona oznaczać, że pułapka Orbitsville zamyka się, ale jaka mo-

gła być funkcja słabego, gąbczastego pola siłowego, które powodowało zieloną luminescencję na styku ziemi i powietrza?

Montane gorąco pragnął wiedzieć, jak daleko na powierzchni skopury rozciąga się ta linia. Czy były również inne linie? Czy były proste czy zakrzywione? Czy układały się we wzory? Uzyska niektóre odpowiedzi, kiedy dotrą do najbliższego miasta, dzięki temu, że znowu wypuszczono w Kosmos anteny, by odtworzyć komunikację radiową i telewizyjną między portalami. Ale to męczące czekać całą dobę, zwłaszcza że Zły postanowił przyśpieszyć tempo wydarzeń.

Nie po raz pierwszy Montane pożałował, że nie rozumie dlaczego przekazywanie sygnałów na częstotliwościach radiowych nie było możliwe we wnętrzu tej olbrzymiej pustej kuli, jaką jest Orbitsville. Pierwsi odkrywcy zaobserwowali ten fakt w kilka minut po przybyciu, ale potem dwa stulecia badań nie wyjaśniły, dlaczego niższa część widma elektromagnetycznego jest całkowicie tłumiona. Montane w głębi serca wiedział, że był to jeszcze jeden przejaw knowań Ciemnych Mocy - być może chciały one zapobiec stworzeniu globalnego społeczeństwa przez rozmaitych mieszkańców Orbitsville - ale dlaczego? Co dokładnie zyskiwał Szatan?

Pytanie to dręczyło Montanę'a od lat i tylko brak przekonującej odpowiedzi zniechęcał go do umieszczenia tego tematu w swoich kazaniach. To nie była jedyna ukryta karta w ręku Szatana i bez wątpienia będzie rozegrana we właściwym momencie.

Prócz tego należało uporać się z innymi pilnymi problemami - włączając w to sprawę Jima Nicklina. Montane poczuł wyrzuty sumienia i poruszył się niespokojnie na łóżku. Nicklin był przyzwoitym młodym człowiekiem - inteligentnym, lecz naiwnym, skomplikowanym, lecz nie dbającym o dobra doczesne. To, co mu zrobiono, bez

wątpienia było grzechem. Danae Farthing złowiła go i wyciągnęła na brzeg, jak doświadczony rybak wyciąga łososa, ale nie ona naprawdę zgrzeszyła. Była tylko pośrednikiem Montane'a, a on z kolei działał w imieniu Boga. Nadszedł czas próby i żadna ofiara osobista nie jest zbyt wielka, jeśli jej owocem ma być zbawienie rodzaju ludzkiego.

Problem Montane'a polegał na tym, że gdy wysunięto wszystkie argumenty filozoficzne i wypowiedziano wszystkie głębokie słowa, niewinny człowiek musiał zostać - jeśli rozwijać dalej wędkarską metaforę - wypatroszony jak ryba.

I to właśnie on, Corey Montane jest tym, który w ostatecznym rachunku będzie musiał spojrzeć w te zdziwione niebieskie oczy. Co powie Nicklinowi? Jakie usprawiedliwienie mu przedstawi? Pan uczynił mnie rybakiem ludzi? Tylko słuchałem rozkazów.

Montane poruszył się znowu pod kocami, szukając trudno uchwytej, wygodnej pozycji, która umożliwiłaby mu wślizgnięcie się w objęcia bezstronnego snu. Pozostała mu jedynie nadzieja, że czekająca go próba będzie krótka, a to dzięki temu, że Nicklin miał w sobie jakąś wrodzoną łagodność. Nie był typem człowieka, który unosi się, nawet jeśli zrozumie, że ostrzyżono go ze wszystkiego, co posiadał. Najprawdopodobniej po krótkiej kłótni powróci do Orangefield jako człowiek mądrzejszy i smutniejszy, po czym będzie dążył do powiązania nici swego dawnego życia. Montane walnął w poduszkę, biciem próbując ją skłonić do uległości.

- Dlaczego dręczysz się tą sprawą? - Głos Milly, który dobiegł go z wnętrza trumny, brzmiał współczuciem i zrozumieniem. - Wiesz przecież bardzo dobrze, że nie miałeś innego wyboru.

Montane spojrział w kierunku wydłużonej skrzyni, której matowy połysk można było rozpoznać nawet w panującej teraz niemal zupełnej ciemności.

- Tak, ale czy Jim Nicklin zobaczy tę sprawę w ten sposób?

- Kochanie, zrobiłeś to, co musiałeś.

- Po prostu mam poczucie winy - odrzekł Montane głęboko i drżąco oddychając. - A co gorsza, z góry wiem, iż młodego Nicklina tak łatwo obrobić i spławić. Czułbym się lepiej, gdybym miał do czynienia z trudnym przypadkiem, z kimś, kto zrobiłby awanturę i ciskałby przedmiotami.

- Gdyby Jim Nicklin był trudnym przypadkiem, jego pieniądze leżałyby wciąż w jego banku, nie w twoim.

- Wiem o tym, wiem! - Montane uświadomił sobie że zaczyna mówić z irytacją. - Przepraszam, Milly - po prostu tak się rzeczy mają... Wiesz, będziemy musieli przenieść się do Beachhead i tam pozostać. Życie nasze zbyt przypomina wakacje - wędrowki po wiejskich okolicach - a z tego nie można mieć dosyć pieniędzy. Żadne z nas nie lubi mieszkać w wielkim mieście. W gruncie rzeczy nienawidzimy tego. Nie będzie nam łatwo.

- Bóg nie obiecywał, że wszystko pójdzie łatwo. - Głos jego żony zawierał teraz nutę przygany, naprawczej mocy, której Montane tak bardzo potrzebował. - Nigdy przedtem przyszłość ludzkości nie spoczywała na twoich barkach.

- Ja... Przypuszczam, że masz rację, Milly. Jak zawsze. Dziękuję.

Montane zamknął oczy i po krótkiej chwili odpłynął spokojną rzeką snu.

ROZDZIAŁ 9

O czwartej nad ranem Nicklin zakończył pracę. Wkrótce potem wcisnął się na swoją koję, ale nie miał nadziei, że zaśnie. Nawet jeśli byłby w odpowiednim nastroju, warunki w wozie nie sprzyjały właściwemu wypoczynkowi. Przez całe życie przyzwyczał się do przestronnego, wygodnego łóżka i do pokoju, który należał wyłącznie do niego. Zrzekł się tych elementarnych warunków cywilizowanego życia za przywilej spania z Daneą, za to, że będą mogli tulić się do siebie jak kochankowie, że będzie mógł trzymać ją w ramionach przez całą noc. Kontrast między spodziewanym szczęściem, a tym, co musiał tymczasem znosić, okazał się tak duży, że nie warto było o nim w ogóle myśleć.

Henty, mężczyzna, który miał przejąć kierownicę, przygotowując się, narzekał ze złością cały czas, tak jakby to Nicklin był odpowiedzialny za ułożenie planu

i przydzielił mu najgorszą zmianę, kierując się osobistą złośliwością. Pozostałym sześciu ludziom narzekania Henty'ego też trochę przeszkadzały; ruszali się, wydając niespokojne odgłosy. Widziane w nierównomiernym mroku podwójne rzędy piętrowych koi bardziej niż kiedykolwiek przypominały wnętrze łodzi podwodnej i Nicklin zaczął odczuwać objawy klaustrofobii. Co gorsza, Henty, izolowany w kabinie kierowcy z przodu, zdawał się wyładowywać swój zły humor kierując niepotrzebnie ostro.

Zważywszy na te okoliczności, szansa, że Nicklin zaśnie były bardzo mizerne, jednak zadziwiająco szybko wstąpił on w krainę snów.

Sceneria: słoneczny dzień i małe, zaokrąglone wzgórze, którego zbocza zajmował piękny ogród alpejski. W budowę ogrodu z pewnością włożono wiele miłości, wysiłku i poświęcenia. Półki skalne, z których zwieszały się girlandy kwiecista, dobrze udawały naturalne, a jednocześnie ich symetria zdradzała, że pracował tu mistrz architektury. Ścieżki ze starannie dopasowanych kamieni wiły się wokół wzgórze, pod małymi łukami i obok licznych rzeźbionych ławek.

Prócz samego Nicklina we śnie występowały jeszcze inne dwie postaci. Jedna - to jego matka, która w rzeczywistości umarła, kiedy Nicklin miał siedem lat; druga - straszliwy lis, który chodził wyprostowany na tylnych łapach i był tak duży, jak człowiek. Lis był ubrany staroświecko - zniszczony surdut, wywinięty kołnierzyk, przetłuszczony krawat spięty podkowiastą spinką - i z jakichś przyczyn pani Nicklin zupełnie nie dostrzegała faktu, że to nie jest istota ludzka.

Śmiali się razem, a ona traktowała go jak bliskiego członka rodziny. Nicklin był małym chłopcem, chował się za matczyną spódnicą przestraszony, że matka nie potrafiła dostrzec ostro zakończonych lisich zębów, lisiego nosa, jak u zwierząt Disneya - błyszczącej czarnej oliwki stojącej pionowo na końcu pyska, i czerwono-brązowego zabarwienia - kwintesencji jego lisiej natury.

Ze swej strony, lis starał się przypodobać pani Nicklin. Uśmiechał się, trącał ją lekko łokciem, sypał dowcipami, a od czasu do czasu jego przekrwione oczy łypały chytrze i z uznaniem na małego Jima.

„Czy to nie pyszny dowcip? ” - jego oczy zdawały się triumfować. - „Twoja matka nie wie, że jestem lisem. A najlepsze, że nie wie, iż mam zamiar cię zjeść! ”

Jima opanował jeszcze większy strach, kiedy usłyszał, jak lis proponuje, że weźmie go na spacer po ogrodzie alpejskim. Było tam wiele

odosobnionych zakątków, miejsc, gdzie lis mógł zabić i pożreć małego chłopca, i nikt nie przeszkodziłby mu w tej pracy. A potem strach zmienił się w zgrozę, kiedy matka z radością przyjęła tę propozycję, ponieważ potrzebowała czasu na zakupy.

- To nie jest człowiek - to lis! - wrzeszczał, czepiając się jej ud. - Czy nie widzisz, że to lis?

Matka i lis śmiali się razem z tych dziecinnych bzdur. Z żółtych zębów zwierzaka kapiała ślina.

- Nie bądź niemądrym chłopcem - mówiła matka, popychając Nicklina naprzód z siłą dorosłej osoby, której nie można stawić oporu. - Idź razem z twym kochanym wujem i baw się dobrze.

Płaczący, zdradzony, skazany na zagładę Jim został wepchnięty w objęcia lisa. Dłoń zwierzęcia była silna i twarda, pokryta włosami, które z wyglądu i dotyku przypominały włókna słomianki. Kiedy lis ciągnął Jima ku wzgórzu, matka beztrąsko odwracała się już w inną stronę. Po paru sekundach zostali z lisem sam na sam w jednym z zacisznych spokojnych miejsc, gdzie kamienie skrywały ich przed resztą świata.

Lis nie tracił czasu. Odwrócił się ku niemu, a paszczę rozdziawił tak szeroko, że mógł pochłonąć całą głowę Jima, tak szeroko, że Jim widział różowy języczek tańczący zabawnie przy wejściu do lisiej gardzieli.

To właśnie sprawiło, że cała gra wyszła na jaw: o jeden disneyowski szczegół za wiele!

Jim widział kiedyś lisa czy może jakieś podobne stworzenie, na kilkunastu zapomnianych już niemal filmach rysunkowych, i wiedział, że są to tylko rysunki na skrawku przezroczystego plastiku. Wiedział, że takie stworzenie nie jest w stanie wyrządzić mu krzywdy, i gdy to

sobie uświadomił, sen stał się jasny i Jim zaczął sterować przebiegiem wypadków. Nagle nic mu już nie groziło i miał władzę, ogromną władzę, którą mógł się napawać - zupełnie jak Alicja w ostatnim rozdziale książki o krainie czarów.

Zaczerpnął powietrza i wrzasnął:

- Kogo w ogóle obchodzisz? Jesteś tylko rysunkiem!

Siła krzyku spowodowała, że lis zatoczył się i cofnął. Twarz miał komicznie przerażoną, zbita w rude kosmyki sierść odchyliła mu się do tyłu, jakby wiał na niego silny wiatr. Chichocząc radośnie mały Jim odwrócił się i pognał wyłożoną kamieniami ścieżką. Zrobił tylko kilka kroków, kiedy solidnie wyglądający chodnik rozstał się przed nim i utworzył ziejący, czarny szyb. Gdy Jim przekroczył jego krawędź i zaczął spadać w dół, uświadomił sobie, że piękne małe wzgórze, wyłożone tyłoma kamieniami, było puste w środku.

A wewnątrz oczekiwały rzeczy, jakich nie spotyka się w filmach dla dzieci...

Nicklin szeroko otworzył oczy i spojrzał na spodnią stronę koi nad sobą. Jego pierwszą myślą było: „Co to, u licha, może znaczyć? ”. Sen, zbyt niedorzeczny, by Nicklin naprawdę się wystraszył, nie był wprawdzie koszmarem, ale wprowadzał pewien niepokój. Nicklin nie zdołał nigdy zagłębić się w historyczną teorię Freuda, miał teraz jednak nieprzyjemne uczucie, że dziwny sen wypełniała naładowany symbolika. Dziwne, jak po upływie ponad trzech stuleci disneyowski styl - to specyficzne antropomorfizowanie, wskazujące na leżący u podłoża strach przed dzikimi stworzeniami - wciąż miał tak silny wpływ na nieświadome umysły dzieci i dorosłych.

Nagle dotarło do Nicklina, że ogląda spód koi w mdłym świetle dnia, które sączyło się przez małe okrągłe okienko, że wóz przestał się

poruszać, a z zewnątrz dochodzą odgłosy jakiejś działalności. Przyłożył oko do okienka i zobaczył, że stoją pośrodku placu wyglądającego jak boisko sportowe. Nie było tam żadnego szczególnego sprzętu - jedynie kilka starych bramek, tablica wyników i mały pawilon. Nad nędznym żywopłotem, ograniczającym boisko, wystawały jakieś dachy. A dalej szczyty kilku wysokich budynków wylaniały się z warstw porannej mgły, tworząc na tle nieba wysmukłe pastelowe smugi. Na jednym z nich żarzył się gwiazdzisty punkt świetlny, drżący w wilgotnym powietrzu, co oznaczało, że nadajnik optyczny właśnie pracował.

„Millennium City” - Nicklin zidentyfikował miejscowość i opadł znów na poduszkę. W jego rodzinnych stronach, to miasto było obiektem wielu żartów z powodu rozbieżności między swoją pompatyczną nazwą a otaczającą je ponurą, czerwonawą pustynią odkrywkowych kopalni boksytów, zakładów wzbogacających i bocznic kolejowych. Nicklin nie śpieszył się ze wstawaniem, by bliżej poznać Millennium City i jego mieszkańców. Łagodne chrapanie, dochodzące z innych koi, sugerowało, że jego nowi towarzysze myślą podobnie.

Przypuszczał, że wszystkich ich wkrótce wyciągną z łóżek do wznoszenia wielkiego namiotu, ale obecnie musiał zastanowić się nad symboliką swojego snu. Dlaczego akurat lis był jedną z postaci? Czy tylko dlatego, że w na wpół zapomnianej disneyowskiej wersji „Pino-kia” występował groźny lis? I co oznaczał ten niewiarygodny element krajobrazu - wydrążony pagórek? Czy mogło to reprezentować łono matki? Czy miało to coś wspólnego z obecnością matki? Nicklin już dawno o niej nie śnił i dziwne, że w jego podświadomości stała się osobą gotową oddać syna potworowi. Potwór... monstrum... mons... mons veneris... Montane! Czyżby Nicklin został we śnie przekazany

małej górze - Montane'owi - i połknięty przez nią? Czyżby matka, jego zdradziecka matka, reprezentowała Daneę Farthing, którą dopiero tej nocy zaczął podejrzewać o...?

W głowie Nicklina zawirowwały kłopotliwe pytania i uproszczone amatorskie skojarzenia, ale wszystko przygasło z powodu braku realnych faktów. To prawda, że Danea unikała go przez cały czas, odkąd dołączył do misji. I nie miał żadnych wątpliwości, że omawiała pewne sprawy zbyt swobodnie z wysoką dziewczyną z latarką - jakże ona miała na imię? - Christine. Dlaczego nie poszukał Danei wczoraj i nie przyśpieszył biegu wydarzeń? Dlaczego, na Gazowego Kręgowca, zwleka tak długo, nie decydując się na konfrontację z Daneą i wyjaśnienie wszystkich spraw między nimi?

Czując chłód i mdłości, chcąc jak najszybciej dowiedzieć się najgorszego i sprawdzić najgorsze przypuszczenia, Nicklin wy dostał się z koi. Nie skorzystał z kabiny prysznicznej. Włożył ubranie, które nosił poprzedniego dnia, i wyszedł w słoneczny poranek. Zauważył natychmiast namiot rozpostarty na trawie, ale nikt nie pracował, by go rozstawić. Kilkoro ludzi zgromadziło się obok płachty leniwie falującego materiału. Niektórzy z nich dyskutowali ze sobą.

Kiedy Nicklin wychodził z wozu, dwóch mężczyzn i dwie kobiety oddzielili się od większej grupy i pomaszerowali ku wejściu na teren boiska. Nieśli walizki i jakieś dodatkowe ubrania przewieszane przez ramiona. Prowadziła ich wyglądająca jak typowa kucharka Dee Sme-thurst, której twarz wyrażała oburzenie.

- To właśnie z pańskiego powodu jest mi przykro - powiedziała do Nicklina, kiedy przechodziła obok. - Nie mam do pana żadnych pretensji.

Jej towarzysze przytaknęli, ich kapelusze słoneczne podskoczyły i wszyscy z determinacją oddalili się obroną drogą, zanim Nicklin zdołał zapytać, co mają na myśli. Kierowca taksówki, który czekał za jedyną bramą boiska, wyszedł ze swego pojazdu, by się z nimi przywitać. Nicklin usłyszał, jak jeden z czwórki powiedział coś o stacji kolejowej, potwierdzając tym hipotezę, że właśnie odbywa się mała dezercja z szeregów wyznawców Montane'a.

Zaciekawiony, wyjął swój kapelusz przeciwsłoneczny z kieszeni, rozpostarł go, aż powstało koło, wcisnął na głowę i skierował się ku większej grupie. Czuł się teraz spięty, a jednak opanowany i zrównoważony, kwintesencja nowego Jima Nicklina - światowca, który był człowiekiem zbyt dużego formatu jak na Orangefield. Ten stan umysłu trwał dokładnie do chwili, kiedy zobaczył Daneę Farthing.

Znów była w czerni, ale nie miała na sobie spodni, lecz kloszową spódnicę i widok tej szczupłej postaci wśród zwykłych, pozbawionych indywidualności ludzi sprawiał, że puls Nicklina zaczął wyprawiać dziwne rzeczy. Uczucie, że uchodzi zeń cała determinacja, było niemal odczuciem fizycznym, przypominało konsternację z czasów dzieciństwa, gdy kiedyś okazało się, że po nogach ścieka mu ciepły mocz.

„To odwrotny efekt Danei” - pomyślał. - „Co mam jej powiedzieć?”

Kiedy zbliżał się do Danei, usiłował przywołać na twarz zimny uśmiech, ale czuł, jak kąciki ust wznoszą mu się do góry, nadając mu znajomy wygląd uszczęśliwionego głupka. Zdecydował się więc na wyraz zimej powagi. Przez jedną tchórzliwą chwilę miał nadzieję, że Danea ucieknie przed nim, ale jej wzrok bez wahania spotkał się z jego wzrokiem.

- Nareszcie jesteś, Jim - powiedziała uśmiechając się ciepło. - Gdzie się chowałeś?

Odpowiedział kiwnięciem głowy, ale jeszcze nigdy nie czuł się mniej pewnie. Zastanawiał się, czy właśnie nie miał zamiaru zrobić z siebie głupca, jak chorobliwie zazdrosny kochanek.

- Czy możemy porozmawiać?

Kobiety i mężczyźni, znajdujący się w zasięgu głosu, nie szturchnęli się łokciami, ale bez wątpienia przez grupę przeszedł jakby dreszcz i to zasmuciło Nicklina. Właśnie takiego potwierdzenia potrzebował.

- O czym chcesz ze mną porozmawiać? - zapytała Danae z większym ożywieniem, niż pasowałoby to do podobnej sytuacji.

- Nie tutaj.

Nicklin spojrział na innych, rejestrując ich przyklepione do twarzy uśmiechy i niedbale odwrócone spojrzenia.

- Miałam tutaj pomagać, ale... - Danae wzruszyła ramionami i odeszła razem z nim od grupy, ku bramkom na boisku. - Cóż, jak spałeś tej nocy? Słyszałam, jak zatrzymaliśmy się po coś w szczerym polu, ale spałam dalej. A ty wstawiałeś?

- Czy Christine nie powiedziała ci, że tam byłem?

- Co sobie...? Dlaczego miałyby mi coś mówić?

Kątem oka Nicklin widział, jak pulsowały niebieskie smugi na niebie.

- Ty i Christine opowiadacie sobie wszystko, prawda?

Danae obróciła się natychmiast do niego, z jej oczu zniknęły wszelkie ślady ociężałości.

- O czym mówisz, do cholery?

- O niczym - powiedział spokojnie. - Myślę, że mówię o niczym.

- Posłuchaj, tak mi przykro. - Danae przycisnęła do czoła wierzch dłoni, lekko zmieniając położenie swojego czarnego stetsona. - Nor-

malnie nie mówię w ten sposób. To tylko dlatego, że tak się martwię. Czuję się winna w stosunku do ciebie, Jim. To, co zaszło między nami, to... wszystko była pomyłka.

Gardło Nicklina ścisnęło się tak boleśnie, że nie mógł mówić.

- Nie mam pojęcia, co się ze mną stało - ciągnęła Danea. - Nie wiem, co ci dawałam do zrozumienia.

Pamięć Nicklina włączyła się, przywracając mu zdolność mowy.

- Dawałaś mi do zrozumienia, że moglibyśmy mieszkać razem w naszym własnym wozie, ale Montane mnie poinformował, że to od początku nie wchodziło w grę.

- Czy wszędzie nosisz magnetofon? Czy zapisujesz każdą przypadkową uwagę, a potem ją analizujesz?

- Co takiego?

- Cóż, pozwól Mata Hari, że cię poinformuję: nie lubię, gdy ktoś mnie szpieguje, zwłaszcza ty!

Ten czysto nonsensowny atak zbił Nicklina z tropu.

- Wydaje mi się, że Mata Hari była kobietą - zareplikował automatycznie i w tej samej chwili zobaczył, jaką słowną maczugę wkłada w rękę Danei.

„Czy jej użyje? Proszę cię, Gazowy Kręgowcze, nie pozwól jej upaść tak nisko”.

Czas jakby pełznął, a on patrzył zafascynowany, jak zdziwienie, zadowolenie i triumf przemykają Danei przez twarz.

- Czy przypuszczasz - rzekła, delektując się każdym słowem - że o tym nie wiedziałam?

„I to jest to” - pomyślał. - „Właśnie Danea nie ma powodów, by wątpić w moją płeć - a jednak coś podszeptało jej odpowiedź. Jest coś

we mnie, co podpowiada im wszystkim, co mają mówić. Kiedy chcą mnie ośmieszyć, albo kiedy, właśnie na odwrót, chcą... ”

Nicklin zamrugał, kiedy myśli doprowadziły go bezbłędnie do rozwiązania innej małej zagadki, tej, która zawsze gdzieś tam tkwiła w zakamarkach jego umysłu.

Tego ranka, kiedy Danae przyjechała do jego domu, tego ranka, kiedy przestał być brzydkim kaczątkiem i stał się łabędziem, Danae mówiła bez przerwy o tym, że musi on sobie z pewnością dzielnie porządzić z kobietami. „Powiedz mi prawdę, Jim - ile kobiet wzięłeś już tu ze sobą na spacer? ” Słowa wypowiedziane tonem smutnego uwielbienia. Słowa wypowiedziane przez kobietę, która przyznaje się do swojej bezradności wobec czaru uwodziciela. Słowa, jakie pragnął usłyszeć przez całe życie!

Danea wiedziała tak dokładnie, jak ma mówić, ponieważ on sam się odstąpił, jak zwykle. W czasie ich pierwszego spotkania, wieczorem na błoniach Orangefield, spojrzała na niego i od razu wiedziała, jak zabrać się za zrabowanie mu wszystkiego, co posiadał. Co więcej, wiedziała, jak spowodować, by się cieszył, że się go oskubuje, przyrządza i podaje Montane'owi. W ciągu zaledwie kilku godzin zamienił się z kaczątka w łabędzia, a potem w gotowego do pieczenia indyka, i uwielbiał każdą chwilę tego procesu!

- Jesteś dobra, Daneo - powiedział po prostu. - Jesteś dobra we wszystkim, co robisz.

Kiedy się odwracał, miał przez ułamek sekundy wrażenie, że Danae ma wyraz twarzy człowieka zranionego, ale jeśli ostatnie wydarzenia czegoś go nauczyły, to tego, że w takich sytuacjach nie może ufać swoim sądom. Ten wyraz twarzy został prawdopodobnie wyprodukowany specjalnie dla niego z wielką starannością prawdziwego

mistrza, przykładającego wagę do najdrobniejszych, ostatnich szczegółów dzieła. Danae powiedziała mu jasno, co naprawdę o nim myśli. Okazało się, że jest to mniej więcej to samo, co myślały o nim inne kobiety. A teraz najważniejsze, żeby postanowić, co zrobić z resztą swego życia.

Nie mógł znów stanąć przed wszystkimi mieszczuchami Orangefield, choć byłoby tak miło znaleźć się ponownie w towarzystwie rozsądnej ponad wiek Zindee. Nie miał również zamiaru pozostać w Millennium City. Najlepszym rozwiązaniem było udać się do anonimowego Beachhead, ale w kieszeni miał najwyżej dziesięć or-bów. Nie wystarczyłoby to nawet na bilet kolejowy. Do Nicklina doszedł szmer głosów ludzi zgromadzonych przy namiocie. Twarz zaczęła go palić, gdyż domyślił się, że Danae powróciła do przyjaciół i być może raczy ich nowymi szczegółami, jak poradziła sobie z prostaczkiem z Orangefield.

Musi opuścić jak najszybciej scenę swej męki. Do tego celu potrzebuje pieniędzy, a jedynym ich źródłem, jakie przychodziło mu na myśl, był Corey Montane. Trudno sobie wyobrazić większe upokorzenie, niż pójście z czapką w rękę do świętoszkowatego Fagina, który go obrobił, ale jeśli Montane zechce zachować nadal pozę człowieka bożego, może zgodzi się rozstać z setką czy dwiema. Zwłaszcza, gdy zagrozi mu się kłopotami!

Nicklin próbował sobie wyobrazić, jak wpada do wozu Montanę'a z żelaznym prętem w rękę i odczuł całą marność swego położenia, kiedy zrozumiał niedorzeczność tej wizji. Agresja po prostu nie leżała w jego naturze, bez względu na to, jak silnie został sprowokowany, i nawet nie mógł sobie wyobrazić, że idzie na policję czy do lokalnej rozgłośni. Montane bardzo starannie upewniał się, że nie ma żadnego

związku między osobistym stosunkiem Nicklina i Danei a jego darowizną na fundusz misji. Podnosząc publiczny harmider, Nicklin mógł co najwyżej spodziewać się, że pomnoży liczbę ludzi, uważających go za skończonego osła.

Kiedy kroczył w kierunku wozu Montane'a, rozważył wszystko, co mu się przytrafiło, i doszedł do wniosku, że reaguje bardziej jak automat niż jak istota ludzka. Za bardzo był układny i bierny, nawet jak na Jima Nicklina, ale w głębi duszy czuł coś dziwnego - niewyraźne psychiczne drżenie, które zapowiadało przyszłe uczuciowe trzęsienia ziemi. Najlepiej, żeby wykonał wszystkie praktyczne posunięcia, dopóki trwała ta błogosławiona drętwa.

Zobaczył, że środkowe drzwi wozu Montane'a są otwarte, wszedł więc do wewnątrz bez dalszych ceregieli. Montane siedział na bocznej ławie. W rękę trzymał kubek herbaty i patrzył w mały telewizor, umieszczony na trumnie żony. Chociaż odległość do lokalnej stacji fotonadawczej nie mogła wynosić więcej niż pięć do sześciu kilometrów, obraz spikera był nędzny z powodu panującej mgły. Jakość dźwięku była jednak zadowalająca i Montane wydawał się całkowicie pochłonięty treścią przekazu.

Podniósł swobodną dłoń, pozdrawiając milcząco Nicklina, a następnie wskazał krzesło, zapraszając go do zajęcia miejsca. Nicklin czuł, że już zyskano nad nim przewagę taktyczną i z niechęcią opuścił się na siedzenie. Kolanami niemal dotykał trumny i z zaskoczeniem stwierdził, że rozmyśla o jej zawartości. Czy ciało Mil-ly Montane poddano specjalnym zabiegom, by zapobiec jego rozkładowi? Czy po prostu siedzi tuż przy skrzyni pełnej...? Wyrzucił natychmiast z mózgu tę myśl i skierował uwagę na audycję, która tak pochłaniała Montane'a.

- ... podkreślił, że na tym etapie mogą tylko snuć przypuszczenia, ponieważ połączenia radiowe między portalami nie zostały jeszcze całkowicie przywrócone - mówił spiker. - Wygląda jednak na to, że tajemnicze zielone linie są zjawiskiem globalnym. Dostrzeżono je w pobliżu ponad dwudziestu miast portalowych. Eksperci ekstrapolowali dane i sądzą, że linie oddalone są od siebie o około 950 kilometrów, dookoła całego równika Orbitsville.

- Mózg się trzęsie, prawda? Mój trzęsie się z pewnością, ale solidny wstrząs nigdy jeszcze nie zrobił nikomu szkody, zawsze to powtarzam.

- Dalszy ciąg wiadomości prześlemy państwu potem. Tymczasem powracamy do naszej dyskusji panelowej na temat skutków gospodarczych tego, co niektórzy naukowcy nazwali Wielkim Skokiem. Ponieważ skutecznie odizolowano społeczność przy portalach, wiele ośrodków produkcyjnych zostało odciętych od swoich rynków. Jeśli obecna sytuacja potrwa dłużej, to niebywale rozrośnie się przemysł budowy statków międzyportalowych.

W naszej dyskusji weźmie udział Rick Renard, który przez ostatnie kilka dni praktycznie cały czas był na wizji, ponieważ - jak z pewnością już państwo wiedzą - jest on właścicielem *Dziobu Jastrzębia*, statku, który zniknął przy rozładunku w pobliżu Portalu 36. Pan Renard tworzy już konsorcjum, mające się zająć projektowaniem i budową...

Montane wyłączył telewizor i obraz znikł razem z głosem.

- Dzień dobry, Jim - rzekł. - Może herbaty?

Nicklin wciąż patrzył na martwy, szary ekran, ledwo uświadamiając sobie, że gospodarz do niego mówi. Kiedy słuchał wiadomości, stało się z nim coś dziwnego, coś, co przekraczało jego

dotychczasowe doświadczenie. Na wzmiankę o Renardzie, w najgłębszych pokładach swej świadomości odczuł jakieś falowanie - było to jedyne słowo, które mógł przypisać temu uczuciu... Jakiś lewiatan poruszył się przez chwilę gdzieś w czarnych, prehistorycznych bagnach jego umysłu...

„Renard! ” - to nazwisko jak wybuch wywołało rozchodzące się kuliście echo. Reynard! To imię lisa. Ale ten lis nie chce zjadać małych chłopców - chce budować statki. Lis i statek kosmiczny! To brzmi jak nazwa jednej z tych miłych knajp, ale co to ma wspólnego z...? ”

- Czy słyszysz mnie, Jimie? - spytał Montanę, spoglądając na niego badawczo. - Proponuję ci filiżankę mej najlepszej herbaty.

Nicklin skupił wzrok na twarzy Montane'a.

- Nie, dziękuję za herbatę. Chciałbym z panem porozmawiać.

- Zawsze jestem gotów słuchać - wtrącił Montane szybko, nie dając Nicklinowi szansy na rozwinięcie wypowiedzi. - Miałem rację z tą linią, którą znaleźliśmy w nocy. Pamiętasz, jak powiedziałem, że prawdopodobnie ciągnie się aż do skorupy? Cóż, zgodnie z lokalnymi wiadomościami są setki tych cholernych linii... i rzeczywiście schodzą aż do skorupy. Nie podoba mi się to, Jim. To sprawa Szatana. O czym chciałeś porozmawiać?

Nicklin, wciąż próbując odzyskać równowagę umysłową, nie był jeszcze całkowicie przygotowany na to pytanie.

- Sądzę... Sądzę, że powinienem panu pogratulować.

- Pogratulować mi? - spytał Montane zaintrygowany, acz zupełnie spokojny. - Czego?

- Celnego i wysoce profesjonalnego sposobu, w jaki pan i jedna, z pańskich prostytutek ograbiliście mnie ze wszystkiego, co posiadałem.

Nicklin ze zdziwieniem zobaczył, że jasne, przenikliwe oczy ka-
znodziei robią się mętne i bez wyrazu. Nie oczekiwał, że zawodowiec
zareaguje aż tak mocno.

- Mówisz synu zagadkami.

- Mówię o doskonałej robocie wykonanej na mnie przez pana i
pańską prostytutkę.

Montane spojrział ze skrępowaniem na trumnę żony.

- Nie lubimy tutaj takich słów.

- Och, tak mi przykro - stwierdził Nicklin. Nie zdołał oprzeć się
pokusie okazania tego rodzaju sarkazmu, którym w normalnej sytua-
cji pogardzał. - Proszę mi wybaczyć, że nie dociągam do pańskich wy-
sokich standardów zachowania.

- Wnioskuje z tego - powiedział zimno Montane - że między tobą i
Daneą coś się popsulo.

- Pańskie wnioskowanie jest poprawne.

Montane westchnął i potrząsnął głową - istny obraz człowieka za-
smuconego wiadomością, której się spodziewał, ale mimo wszystko
miał nadzieję, że jej nie usłyszy.

- Bardzo mi przykro z tego powodu, Jim. Naturalnie, dam ci wszel-
kie pocieszenie, na jakie tylko mnie będzie stać. Musisz jednak zrozu-
mieć, że osobiste związki moich pracowników zupełnie mnie nie doty-
czą. I jasno ci to powiedziałem, zaraz na wstępie, że każdy dar, któ-
ry zechcesz...

- Nie ma potrzeby, żeby martwił się pan o tę stronę sprawy -
przerwał mu Nicklin. - W pełni akceptuję skutki mej własnej głupoty i
wszystko, czego teraz chcę, to odejść stąd jak najszybciej. Spodziewam
się, że nie będzie pan miał nic przeciwko, żeby mi dać ze dwie setki, po
prostu, bym. mógł się gdzieś zaczepić.

Montane nachmurzył się.

- Nie mogę tego zrobić, Jim.

Szczęka Nicklina zaczynała opadać.

- Proszę tylko o trochę pieniędzy na bilet kolejowy do Beachhead i o jeszcze odrobinę na pokój w hotelu!

- Przykro mi, Jim - odrzekł Montane. - Nie mam takich sum.

- Wiem, że nie ma pan takich sum - Nicklin prawie nie mógł uwierzyć, że dzieje się to naprawdę. - Ma pan moje 82000 orbów - takie sumy pan ma.

Montane obdarzył go cierpliwym, przelotnym uśmiechem.

- Zdaje się, że tego nie rozumiesz, Jim. To Bóg ma teraz te pieniądze. Ofiarowałeś je Panu - ja nie mogę nawet myśleć o zabraniu Mu ich, tak jak nie mogę myśleć o zabraniu czyjegoś życia.

- To wspaniałe - powiedział gorzko Nicklin. - Po prostu wspaniałe, Corey. Pan i Danea tworzycie doskonały zespół.

Wydawało się, że Montane nie dostrzega obelgi.

- Jedyne, co mógłbym zrobić - w gruncie rzeczy, nie dopełniłbym mego chrześcijańskiego obowiązku, gdybym tego nie uczynił - to dać ci coś z mojej własnej kieszeni. Z zasobów na prowadzenie domu. Mam tylko około trzydziestu orbów, ale proszę, bierz wszystko.

„Cholernie miły” - pomyślał Nicklin, patrząc z niedowierzaniem, jak Montane wstaje, odkłada swój kubek i bierze z półki nad kuchenką wykonane z imitacji laki pudełko na herbatę. Otworzył je, wyjął trzydziesięcio-orbowe banknoty i, z miną monarchy nadającego tytuł rycerza, wręczył je Nicklinowi.

- Zawsze będę to panu pamiętał - rzekł Nicklin wstając i wpychając pulsujące światłem prostokąty do kieszeni.

Odwrócił się gwałtownie od Montane'a, dał nura przez drzwi wozu i zszedł na stratowaną trawę. Grupa przy namiocie powiększyła się znacznie i wydawało mu się, że wszyscy zwróceni są twarzami w jego kierunku. Zdecydowani byli gapić się na niego, kiedy pójdzie, by wyjąć z szafki swój niewielki dobytek, a kiedy znowu pojawi się, niosąc rzeczy, na pewno wszyscy w misji zgromadzą się, by obserwować, jak odchodzi.

Zawahał się, a twarz pulsowała mu w rytm bicia serca. Przez chwilę naprawdę rozważał, czy nie opuścić po prostu boiska, precz od tego żałosnego bałaganu. Może warto zostawić swój szczupły dobytek, jeśli zaoszczędzi to dodatkowego zakłopotania. Walenie w piersiach narastało. Czuł lekkie mdłości i zawroty w głowie. Naprawdę ogarnęła go obawa, że po raz pierwszy w życiu może za chwilę zemdleć. Usiłował uregulować swój oddech. Stosując jogowskie techniki starał się wyciszyć i właśnie kiedy tak stał w agresywnym świetle porannego słońca, uświadomił sobie, że dzieje się coś dziwnego.

Tuż za nim, w ocienionej samotności wozu, Corey Montane rozmawiał z kimś.

- Przykro mi, kochanie - mówił Montane. - Jak słyszałaś, młody człowiek wprowadził się w stan silnych emocji. Mogłem się go jedynie pozbyć, dając mu twoje fundusze na prowadzenie domu, ale przypilnuję, żeby ci nie zabrakło pieniędzy. Obiecuję ci, że on już nie przeszkodzi, więc skończmy w spokoju naszą herbatę, a potem może razem zmówimy modlitwę. Zgadzasz się, prawda?

Nicklin wziął głęboki wdech, zamrugnął, jakby zobaczył otoczenie po raz pierwszy, i zaczął się uśmiechać.

Męczące brzemie opadło mu z ramion. Czuł, jak topnieją jego okowy umysłowe, łańcuchy spadają, otwierają się drzwi więzienia...

Przenośnie tłoczyły się pod czaszką. Powietrze, które nabrał do płuc, zachowywało wszystkie pastelowe barwy świtu i te barwy rozlane po jego organizmie, tworzyły perłowy blask, migotały w jego mózgu.

„To wszystko żart” - powiedział sobie. - „Dzięki ci, Gazowy Kręgowcze, za przypomnienie mi, że dosłownie wszystko jest tylko wielkim żartem. Pojęcia takie jak zakłopotanie i upokorzenie przestają się dla mnie liczyć, nawet jeśli dotyczą bezpośrednio mnie. Odrzucam je! Montane ma moje pieniądze, nic na to nie poradzę, ale nie może mnie już pognać. Nikt nie będzie tego robił, zwłaszcza jakiś głupi, stary bałwan, który taszczy swoją lepszą połowę w blaszanym pudle i gada do niej przy śniadaniu, zwłaszcza banda pomyleńców, którzy wierzą, że świat się skończy w przyszły wtorek...”

Przypomniawszy sobie, że ma uważnych widzów wśród ludzi wznoszących namiot, Nicklin uniósł dłoń i pomachał im wesoło. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy zauważył niepewność, z jaką kilkoro z nich odpowiedziało na pozdrowienie. Okręcił się na obcasach i wrócił do wozu kempingowego. Montane, który zdążył znowu zająć miejsce, spojrział na niego z pewnym zdziwieniem. Trzymał kubek z herbatą w ręce, a jego twarz przybrała wyraz kapłańskiego niezadowolenia.

- Jim, byłem tak hojny, jak mogłem - rzekł. - Czy jest sens przeciągać tę sprawę?

- Przemyślałem tę całą historię - oznajmił Nicklin. - Myślałem o tym, co mówił pan wczoraj. Wie pan, o tym jak to misja może wykorzystać moje umiejętności techniczne i inne takie rzeczy. Pomyślałem, że jest moim chrześcijańskim obowiązkiem pozostanie tu z panem... i Daneą... i resztą bandy.

Nicklin wyjął z kieszeni trzy banknoty dziesięcioorbowe i mrugając znacząco położył je na wierzchu srebrzystej trumny.

- Poza tym - dodał uśmiechając się nadal radośnie - wciąż mam tak wiele do dania...

ROZDZIAŁ 10

Gdy tylko kolejka dotarła do śródmieścia Beachhead, Nicklin wysiadł natychmiast na zatłoczony chodnik. Ze schematu trasy wiedział, że od właściwego celu podróży - parku Garamonda - dzieli go jeszcze trzy przystanki, ale była to jego pierwsza wizyta w Beachhead i pragnął oswoić się z miastem, co najlepiej zrobić, idąc pieszo. Rozłożył swój kapelusz słoneczny, umieścił go na głowie i rozpoczął marsz.

Pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę, to nieprzebrane tłumy oraz czystość otoczenia - znacznie większa, niż oczekiwał. Zadbane sklepy i małe biura po obu stronach ulicy były dobrze utrzymane, a na chodniku leżało zadziwiająco mało śmieci, wziąć pod uwagę liczbę spacerujących. Nicklin uśmiechnął się krzywo. Jako mieszkaniec małego miasteczka dzielił powszechne przekonanie, że wszystkie wielkie miasta są brudne i pełne odpadków. Jeszcze jedno wyniesione z Orangefield złudzenie, któremu podróż nie wyszła na zdrowie!

Maszerował zaledwie kilka minut, gdy stwierdził ze zdziwieniem, że handel detaliczny potrafi osiągnąć wysoki stopień specjalizacji. Widział sklepy, które sprzedawały wyłącznie narzędzia ogrodnicze, ramy do obrazów, sprzęt do jednej tylko dyscypliny sportu, na przykład do łucznictwa czy nurkowania. Tylko ten fakt wystarczał, by Nicklin miał

poczucie, że znajduje się w wielkiej metropolii, gdzie konsumentów są miliony. Innym egzotycznym dla niego szczegółem był sposób podawania cen. Liczbę poprzedzała litera M, skrót od monetów lub jednostek monetarnych. Metarząd już dawno temu postanowił, że globalna gospodarka - ta, która obejmowała wszystkie miasta rozciągnięte wzdłuż długiego na miliard kilometrów pasa równikowego Orbitsville - mogła funkcjonować jedynie w oparciu o powszechną walutę, która miała stałą wartość przy wszystkich portalach. Dlatego monit był środkiem wymiany w wielkich miastach, zaś wspólnoty wiejskie używały bardziej swojskiego orbu, którego wartość wahała się stosownie do miejscowych warunków. Informacja wywieszona na wystawach niektórych sklepów podawała, że orb z okolic Portalu Jeden był wart 0, 8323 monita, ale ponieważ Nicklin miał w kieszeni tylko kilka banknotów, ten obniżony kurs mało go obchodził.

Nicklin zwabiony aromatycznym, chłodnym powiewem wszedł do baru, chcąc ugasić pragnienie szklanką piwa. O tej wczesnej godzinie w mrocznym wnętrzu nie było klientów. Nicklin podszedł do lady, za którą młody mężczyzna i kobieta grali w skupieniu w stogi, uproszczoną wersję trójwymiarowych szachów. Przez sekundę spojrzenie mężczyzny spoczęło na Nicklinie, ale był to jedyny objaw, że obecność klienta doszła do świadomości grającej pary.

W podobnej sytuacji dawny Jim Nicklin czekałby pokornie przez wiele minut, ledwie śmiejąc odchrząknąć, by zwrócić na siebie uwagę, ale nowy, wyzwolony Jim Nicklin nie dawał się tak łatwo zbyć.

- Przyjrzyjcie mi się dobrze - powiedział głośno. -Oto ja, reprezentant grupy zwanej powszechnie „klientami”. I wy dwoje, reprezentanci grupy zwanej powszechnie „barmanami”. Wasza funkcja w tym zakładzie - co może być dla was ogromną niespodzianką - polega na dostawie

rczaniu klientom napojów, o które proszą. W moim przypadku jest to piwo.

Młody człowiek podniósł nieprzytomny wzrok znad gry, wciąż trawiając oświadczenie Nicklina.

- Piwo?

Nicklin kiwnął głową.

- Tak, musieliście słyszeć o piwie - to taka żółta, pienista ciecz, która wypływa z tych kranów. Może zresztą opuściliście odnośny wykład w Akademii Barmańskiej.

Mężczyzna zmarszczył brwi i zwrócił się po wyjaśnienia do swej towarzyszki, która wyglądała na starszą i inteligentniejszą. Z wargami ściśniętymi odrazą, naląła piwo i ciężko postawiła kufel przed Nicklinem. Piana zakołysała się i jej część przelała się przez brzeg.

- Osiemdziesiąt centów - powiedziała zimno.

Kiedy Nicklin kładł jednoorbowy banknot na ladzie, przypomniał sobie ze złośliwą satysfakcją, że jest on wart tylko trzy centy więcej niż napój.

- Proszę zatrzymać resztę - powiedział wyniośle. -Proszę sobie kupić coś ekstra przyjemnego.

Zadowolony z siebie, zaniósł kufel w oddalony róg pomieszczenia i usiadł przy stoliku.

Dotarcie do Beachhead zabrało misji dziesięć dni, licząc z postojami w dwóch miasteczkach po drodze, i Nicklin był mile zdziwiony, kiedy Montane ogłosił krótką przerwę. Przybycie karawany do małego miasteczka wzbudza zwykle wystarczające zainteresowanie, by zapewnić słuchaczy, ale zblazowani mieszkańcy Beachhead ledwie raczyli ich zauważyć i Montane potrzebował trochę czasu, aby rozreklamować przyjazd misji.

Nicklin, wdzięczny losowi za tę chwilę niezależności, chwycił dwadzieścia orbów swojego kieszonkowego - określanego dziwacznie przez Montane'a jako peculium - i pomknął do miasta. Pragnął przede wszystkim odwiedzić słynny Portal Jeden i po raz pierwszy zobaczyć gwiazdy, ale musiał mieć również trochę czasu na spokojne rozmyślenia. Chłodny, pusty bar nadawał się idealnie do tego celu i kiedy Nicklin — wyzwolony od stałej obecności innych osób - sączył piwo, zaczynał się powoli odprężyć. Tyle wydarzeń miało miejsce w tak krótkim czasie, że czuł się jak zbieracz osobliwości, który nabył wiele obiektów podczas jednej wyprawy na zakupy i teraz rozpaczliwie potrzebuje jakiegoś zacisza, by je obejrzeć i skatalogować.

Na przykład Danae Farthing - jedna z najbardziej osobliwych osobliwości jego kolekcji.

Wargi Nicklina ułożyły się w literę „U”, kiedy z uśmiechem powtarzał w myślach szczegóły ich pierwszego spotkania po tym, jak przy wozie Montane'a doznał gwałtownego objawienia, niemal jak święty Paweł na drodze do Damaszku.

Pomaszerował ku grupie przy namiocie, rad, że jest w centrum ogólnej uwagi, a Danae - jakby wyczuwając jakąś istotną zmianę, jaka w nim zaszła - przysunęła się do swej wysokiej przyjaciółki, Christine McGwern. Obdarzył Christine uprzejmym i zmysłowym mrugnięciem, a potem zwrócił się do Danei.

- Okropnie mi przykro, że przed chwilą byłem taki nieprzyjemny - rzekł. - Widzisz, nigdy przedtem nie zapłaciłem za dziewczynę tak dużo i jakby oczekiwałem, że za takie pieniądze dostanę kilka seansów na bis.

Chłstine sapnęła z radością, natomiast Danei odpłynęła krew z twarzy.

- *Zrozumiałem, że nie byłby to dla ciebie dobry interes, gdybyś wydawała abonamenty, przynajmniej nie teraz, kiedy harujesz dla Pana - ciągnął Nicklin. - Ale ja naprawdę chciałbym jeszcze trochę. Nic zbyt wymyślnego, rozumiesz*

- *same proste rzeczy. Jak dużo bierzesz od stałego klienta?*

Danea kilkakrotnie otwierała i zamykała usta. Potem przepchnęła się przez krąg słuchaczy i pobiegła w kierunku wozu kempingowego.

- *Czy sto orbów wystarczy? - zawołał za nią Nicklin.*

- *Nie mam nic przeciw temu, by na to odkładać moje pe-culium. - Przybierając minę autentycznego zaskoczenia, odwrócił się do słuchaczy, z których większość patrzyła na niego zszokowana i ze wzrastającym oburzeniem. - Czy Danae jest czemuś zdenerwowana? Ciekaw jestem, co mogło ją zdenerwować. Mam nadzieję, że nie powiedziałem nic takiego.*

- *Nie powinieneś mówić do Danae w ten sposób, bynajmniej - wymamrotał Nick Affleck. Jego fioletowy nos alkoholika błyszczał od potu i wyglądało na to, że mężczyznę przepelnia sprawiedliwy gniew, najbardziej groźny z gniewów.*

- *Naprawdę? - łagodnie zapytał Nicklin. - Cóż może być takiego strasznego w małej dyskusji o interesach?*

Affleck ruszył na niego, z piersią wypiętą jak dziób okrętu, ale mężczyźni, stojący obok, schwycili go za ręce i odciągnęli. Nibs rzucił Nicklinowi pełne przygany spojrzenie, wyszarpnął się, podszedł do wielkiej płaszczyzny namiotu i zaczął ciągnąć liny nośne. Pozostali z zespołu ochoczo przyłączyli się do niego i po kilku sekundach Nicklin został sam na sam z Christine.

- *Cóż, witaj - powiedziała ciepło. Wyraz jej twarzy był jednocześnie zamyślony i pełen rozbawienia.*

Spojrzał jej prosto w oczy.

- *Czy na dziś wieczór masz w planie coś nadzwyczajnego?*
- *Sama nie wiem... na ile możesz go uczynić nadzwyczajnym?*
- *Wyrwiemy się stąd na parę godzin, żeby się czegoś napić - rzekł. -*

Potem przedstawię ci mój plan zajęć.

Nicklin uznał, że całe wydarzenie było, jak dotychczas, jednym ze szczytowych momentów w jego nowym życiu. Przyjemność mącił tylko dziwny fakt, że Danae tak łatwo się poddała. Corey Montane rozmawiał z nim o tym później, próbując podkreślić, że w misji obowiązują pewne normy przyzwoitości, ale choć chmurzył się i świdrował wzrokiem, nie osiągnął swego celu. Jego pozycja była nie do utrzymania - jak właściciela burdelu dla elity, który nie przewidział żadnych działań na wypadek, gdy odwiedzą go od czasu do czasu nieprzyjemni klienci. Właściwym postępowaniem byłoby zatrudnienie kilku najsilniejszych akolitów, by obili Nicklina stalowym prętem i porzucili w odpowiednim ciemnym zaułku. Ale Montane, zajął się interesami, do których nie miał powołania, i wpadł we własne sidła.

Teraz, dumając nad tymi sprawami, Nicklin widział, że Montane nie był skuteczny nawet w swej poprzedniej roli wędrującego kaznodziei. Nie miał osobistego sprytu, potrzebnego do przyciągnięcia wielkich sum pieniędzy, i powiększył jeszcze swoje problemy, otaczając się grupą nieudaczników, z których większość raczej obciążała konto niż stanowiła aktywa. Jedyna rzecz, która ich łączyła, to wiara, że Orbitsville jest szatańskim garnkiem na homary i że Montane wyprowadzi ich i powiedzie ku nowemu Edenowi.

Nicklin uśmiechnął się na myśl o tych sprawach. To przede wszystkim jego wrodzony sceptycyzm stworzył barierę między nim a pozostałymi członkami misji. Sporo z nich - typowym przykładem była

Christine - miało jedynie ogólnikowe poglądy religijne, ale ich nie-wzruszona wiara w słowa Montane'a oddzielała ich od niewierzących. Bariera gwałtownie zmieniła się w szaniec, kiedy Nicklin posiadał nową osobowość - albo może nowa osobowość posiadała jego? - ale nie narzekał z tego powodu. Społeczeństwo nigdy go nie akceptowało - teraz ten brak akceptacji odbywał się na jego własnych warunkach, a taki układ był znacznie lepszy.

Poczuł gwałtowną ochotę, by kontynuować sprawy zaplanowane na ten dzień. Dopił piwa i pomaszerował do drzwi.

- Opuszczam was - zawołał do pary za ladą i kiwnął im uprzejmie ręką. Kiedy wychodził, by zmieszać się z tłumem na ulicy, kobieta rzucała mu jadowite spojrzenie, które, rozradowało mu serce.

Chociaż Nicklin był w Parku Garamonda po raz pierwszy, jego widok wydał mu się znajomy. Wędrujące grupki zwiedzających, barwne okazy botaniczne, drzewa, przesłaniające częściowo lśniące budynki śródmieścia - wszystko dzięki telewizji zostało zmienione w wizualną kalkę. Niemniej jednak Nicklin uczył dreszczyk podniecenia, kiedy sam portal pojawił się w polu jego widzenia.

Widać go było jako czarne, krągłe jezioro, o średnicy około kilometra, otoczone przez schodzące ku niemu szmaragdowe murawy. Przy bliższej krawędzi portalu skupiły się niskie kopce cegieł. Było to wszystko, co pozostało z fortyfikacji zbudowanej przez zagadkowych Pierwobyłców, którzy dominowali na Orbitsville wiele tysięcy lat przed przybyciem ludzi. Na przeciwległym brzegu otworu stały budynki dla pasażerów i magazyny portu kosmicznego. Z daleka wydawało się, że wszystko wciąż funkcjonuje, mimo że wielkie kołyski do dokowania statków kosmicznych - które powinny wystawać w pustkę

ziejącą pod budynkami - zostały unicestwione jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Jedynym nowym elementem była grupa ruchomych laboratoriów przy wschodniej stronie portalu, w pobliżu dawnego rządowego punktu obserwacyjnego. Ustawiono je za ogrodzeniem i ich bezpośrednie sąsiedztwo stanowiło kłębowisko kabli, skrzyń, wózków i rusztowań. Dolne części metalowych konstrukcji, umocowanych na krawędzi otworu, wystawały w czarną otchłań, co ułatwiało technikom w skafandrach przeciskanie się tam i z powrotem przez pole przesłaniające, które utrzymywało wewnętrzną atmosferę Orbitsville.

„Naprawdę coś wydarzyło się na zewnątrz” - pomyślał Nicklin. - „Inaczej nie byłoby tego całego zamieszania”.

Nicklin uświadomił sobie ten fakt z uczuciem zdziwienia, jakie ogarnia nas, gdy akceptujemy w końcu idee trzymane w intelektualnym przedsionku. Teraz, całkowicie oczarowany perspektywą, że naprawdę zobaczy gwiazdy, obce gwiazdy, które były przedmiotem tylu kontrowersji, poszedł w kierunku czarnego jak noc portalu. Obierając drogę między grupami rodzin, siedzących na trawie i jedzących kanapki, dotarł do miejsca, gdzie ścieżka dochodząca miejscami do brzegu portalu rozszerzała się w półkolisty plac.

W jego ognisku, na samej krawędzi Kosmosu, stał słynny pomnik Garamonda. Mimo że był to najbardziej przereklamowany obiekt na świecie, Nicklin zatrzymał się przed pomnikiem z brązu, który przedstawiał herosa w skafandrze o kroju sprzed dwustu lat. Astronauta trzymał hełm w jednej dłoni, wolną ręką zasłaniał oczy przed pionowymi promieniami słońca obserwując horyzont. Na granitowym cokole pomnika znajdowała się tablica z trzema słowami:

VANCE GARAMOND, ODKRYWCA

Nicklin drgnął, kiedy do jego oczu dotarł strumień barwnego światła. Akompaniował mu łagodny, bezpłciowy głos i Nicklin uświadomił sobie, że promień wielojęzycznej informacji, wychodzący zokołu statuy, ustawił się na jego twarzy. Prawie bezzwłocznie, komputer - interpretując jego optyczne reakcje na podprogowe sygnały - doszedł do wniosku, że macierzystym językiem Nicklina jest angielski.

... z wielkiej floty statków badawczych. Jej właścicielem i zarządcą była spółka Starflight, historyczna kompania, która w tamtym czasie miała monopol na podróże kosmiczne - mówił cicho głos z niepokojącą bliskością dokładnie zogniskowanego dźwięku. - Bissendorfem dowodził Kapitan...

Pole widzenia Nicklina wypełniły obrazy trójkadłubowego statku, widzianego z przestrzeni kosmicznej, ale Nicklin odszedł od pomnika i przerwał kontakt z promieniem. Nie potrzebował krótkiego kursu przygotowawczego z wczesnej historii Orbitsville, zwłaszcza w tej szczególnej chwili, kiedy wystarczyło tylko kilka kroków, by zobaczyć wszechświat u swych stóp. Świadom, że jest jak dziecko, które za chwilę rozpakuje upragniony prezent, oddalił się od placyku, na którym stali znieruchomiali turyści o zaabsorbowanych twarzach i oczach ślepo wpatrzonych w dal. Niektórzy zaś, ubrani w jaskrawe, wakacyjne stroje, przechylali się przez niską balustradę otaczającą portal, ustawieni jak ptaki na drucie. Nicklin przeszedł obok nich, chcąc dotrzeć do nie zatłoczonej części ogrodzenia, a potem oparł się łokciami o barierkę i spojrzał w dół, na gwiazdy.

Najpierw odniósł wrażenie, że coś się nie zgadza. Początkowo ciemność pod nim wydała mu się nieskazitelna i dopiero, gdy jego oczy dostosowały się, zdołał zobaczyć, że jest upstrzona słabo świecącymi plamkami. Nicklin był rozczarowany, czuł, że został w jakiś spo-

sób oszukany. Obrzucił spojrzeniem pozostałych widzów. Patrzyli na portal, wykazując wszelkie objawy zafascynowania. Niektórzy wskazywali szczególnie interesujące szczegóły towarzyszącym im osobom.

„Może tu chodzi o to, jak się ogniskuje wzrok” - pomyślał. - „Przebież niektórzy ludzie nie mogą się dopasować do starych projektorów stereo, a inni nigdy nie widzą drobnego deszczu.”

Znowu spojrział w dół, zamrugał, próbując wykonać nietypowe ruchy mięśniami ocznymi, ale świetlne wspaniałości nie wynurzyły się z czerni. Wzrok Nicklina ciągle odbierał wszechświat jedynie jako nędzny zbiór rozproszonych, mdłych, jasnych punktów. Podniósł trochę wzrok i usiłował spojrzeć dalej, ale gdy patrzyło się w kierunku centrum portalu, nieśmiałe gwiazdy były zupełnie niewidoczne, skryte za mirażami migoczącymi na powierzchni pola przesłaniającego.

Odwrócił się od barierki i poszedł po ścieżce wzdłuż krawędzi. Był zagubiony i nie bardzo wiedział, co robić. Co pewien czas przy ścieżce stały kabiny obserwacyjne z kapturami, zasłaniającymi widok we wszystkich kierunkach prócz dołu. Przypuszczał, że wewnątrz takiej kabiny, osłoniętej od jaskrawego światła słonecznego, można znacznie lepiej zobaczyć przestrzeń kosmiczną, ale przy wszystkich kabinach stały długie kolejki chętnych. W każdym razie, wszystko, czego mógł oczekiwać, to widok plamek świetlnych, może trochę bardziej licznych i trochę jaśniejszych. Nie wydawało się to warte zachodu.

„Muszę przyznać, że zdrowo mnie nabrałeś, Gazowy Kręgowcze” - pomyślał Nicklin ze smutkiem. - „Ale teraz, kiedy łypnąłem już okiem na wszechświat, wierzę, że jest on również częścią Wielkiego Żartu. I co dalej? Cóż, myślę, że teraz najrozsądniej będzie się stąd zmyć i wypić gdzieś jeszcze jedno piwo...”

Późnym popołudniem Nicklin był już zmęczony pieszym zwiedzaniem Beachhead. Dobroczynny wpływ jakichś ośmiu kufli piwa, konsumowanego podczas wędrówki, powoli ustępował i została tylko senna apatia. Nigdy nie przypuszczał, że może odczuwać jakiegokolwiek przywiązanie do swojej nowej, zatłoczonej kwatery, ale teraz pragnął wślizgnąć się na koję i po prostu wyłączyć świadomość.

Przypomniawszy sobie w zarysach plan śródmieścia i poszedł w stronę, gdzie, jak mu się zdawało, powinien złapać jakiś transport do Cinnamon Brow, miejsca postoju misji. Przechodził właśnie obok wystawy odbiorników trójwymiarowej telewizji, gdy raptem rząd przestrzennych obrazów zmienił się. Zamiast wykresów, pokazujących jakieś wskaźniki produkcyjne, pokazano głowę i ramiona krzepkiego, pulchnego mężczyzny, który obdarzał świat pełnym samozadowolenia uśmiechem. Lekko wysunięte zęby nadawały jego obliczu wygląd nieco agresywny.

„Znam tę twarz” - pomyślał Nicklin, a w jego pamięci coś się poruszyło. - „Człowiek ze statku kosmicznego... Rick Renard... Renard... Reynard!”

Nicklin potknął się, kiedy w jego mózgu zamigotała podobizna Lisa z disnejowskiego Pinokia - zębatego, przypochebnego, groźnego, z nosem jak lśniąca czarna oliwka, stercząca na końcu pyska. Jego sen! Ten cholerny sen o lisie w ludzkim ubraniu i o ogrodzie na wydrążonym pagórku. Co to miało wspólnego ze statkami kosmicznymi? Nicklin poczuł chłód na plecach, kiedy lewiatan wychynął ponownie z czarnych bagien jego podświadomości. Przez mgnienie oka wydawało się, że jest o krok od zrozumienia tamtego całego dziwaczniego scenariusza, ale potem przyszło uczucie oszołomienia, jakie towarzyszy zniknięciu ulotnych wspomnień, jakby w mózgu zatrzasnęły się

jakieś drzwi, natychmiast po tym, jak cel naszego pościgu, grając nam na nosie, umknął przez nie na drugą stronę.

Zirytowany całym incydem i mając nadzieję, że nie jest to początek obsesji, Nicklin poszedł dalej, z każdym krokiem coraz bardziej zmęczony.

Kiedy wrócił do misji, nad światem panowała już ciemność. Choć wciąż był znużony, zapragnął coś zjeść przed pójściem do łóżka. Cały dzień chodził bez jedzenia, głównie z tego powodu, że nędzne kiełbaski nie wystarczyłyby na przyzwoity posiłek.

Miejsce obozu znajdowało się na pustkowiu, w rejonie, gdzie tanie domy mieszkalne walczyły o teren z lekkimi halami fabrycznymi i anonimowymi magazynami. W jaki sposób Montane wybierał takie miejsca i uzyskiwał pozwolenie na ich używanie, pozostawało ciągle dla Nicklina tajemnicą. Teraz przeklinał on ogólny brak wszelkich udogodnień, potykając się na bruzdach, gdyż teren był w zasadzie oświetlony tylko luminescencją pozebrowanego nieba. Dlaczego Montane nigdy nie rozumiał, że opłacało się planować z rozmachem? Ani zasady, że pieniądze przyciągają pieniądze? Misja powinna zająć największy i najbardziej prestiżowy stadion w mieście i ostentacyjnie zakwaterować swoich członków w najlepszych hotelach. W ten sposób - pomijając już problem wielkich finansów - Nicklin przed pójściem spać zjadłby pierwszorzędny posiłek, zamiast mdłego żarcia serwowanego przez Carlosa Kempsona, tak zwanego kucharza, który zastąpił Dee Smethurst.

Kiedy dotarł do namiotu i otaczających go pojazdów, przekonał się, że ciężarówka Kempsona - nazywana „żarciwozem” - jest zamknięta na klucz. Trochę zirytowany, rozejrzał się wokół. Namiot nie był wewnątrz oświetlony, ale ktoś w nim przemawiał. Nicklin pod-

szedł do wejścia, zajrzał do środka i zobaczył, że to Montane coś cicho mówi do grupy swoich uczniów. Siedzieli w pierwszych dwu rzędach jednej z sekcji, oświetleni tylko pojedynczą, przenośną lampą. Montane nie wszedł na podium, ale stał na zgniecionej trawie bezpośrednio przed słuchaczami. Na Nicklinie zebranie zrobiło wrażenie dziwnie potajemnego, przypominało rzymskie spotkania wczesnych chrześcijan.

- ... znacznie poważniejsza niż przypuszczałem - mówił Montane. Przerwał, kiedy Nicklin wszedł do namiotu, i niektórzy ze słuchaczy zaczęli się rozglądać, by sprawdzić, co spowodowało tę pauzę. Kilku zaczęło wydawać odgłosy, świadczące o tym, że uważają obecność Nickli-na za niepożądaną, ale Montane uciszył ich uspokajającym ruchem dłoni.

- Chodź do nas, Jim - zaprosił. - To jest posiedzenie poświęcone naszej taktyce i Bóg świadkiem, że potrzebujemy każdego świeżego pomysłu, niezależnie od jego źródła.

Nicklin postanowił nie obrażać się z powodu ostatnich słów zdania i - zaciekawiony - przeszedł lewym przejściem między rzędami. Kiedy zbliżył się do grupy, w drugim rzędzie zobaczył Danę Farthing. Przesunął się bokiem w trzecim rzędzie, usiadł dokładnie za nią i delikatnie dmuchnął jej w kark.

- Cześć, kochanie — szepnął. — Wróciłem z miasta najszybciej jak mogłem. Mam nadzieję, że zbytnio za mną nie tęskniłaś.

Jedynie zgarbiła się i pochyliła do przodu, by jak najbardziej odsunąć się od niego. Uśmiechnięty, ze złośliwą satysfakcją, Nicklin usiadł wygodnie i skierował wzrok na Montane'a.

- Tych, którzy przyszli później, chcę poinformować - ciągnął Montane, kostycznym tonem podkreślając, że pragnie, by Nicklin uważnie

go słucał - dyskutujemy o niezwykle poważnej nowej przeszkodzie w realizacji naszych planów na przyszłość.

Jak wiecie, jedenaście czy dwanaście dni temu - kiedy ten glob, w którym żyjemy, wykonał to, co ludzie zaczynają nazywać Wielkim Skokiem - Orbitsville straciło kontakt ze wszystkim, co wcześniej istniało poza skorupą. Dotyczy to również wszystkich statków międzygwiazdnych, które albo zbliżały się do Orbitsville, albo dokowały już na zewnątrz portali.

W tym czasie nie widziałem powodu, by się tym przejmować, ponieważ nigdy nie miałem zamiaru nabycia pełnowartościowego statku. Statek, nawet przy końcu swego okresu eksploatacyjnego, kosztowałyby w granicach dwu milionów monetów - sumę znacznie przekraczającą nasze ograniczone zasoby finansowe. Muszę stwierdzić, że nikt z was nie może sobie przypisywać winy za to, że nie zgromadziliśmy niezbędnych funduszy. Wszyscy ciężko pracowaliście i źródłem naszego niepowodzenia jest jedynie sposób, w jaki kierowałem waszymi wysiłkami.

„Corey, staruszk, są to najprawdziwsze słowa, jakie kiedykolwiek wygłosiłeś” - pomyślał Nicklin, słuchacze jednak zareagowali pomrukiem sprzeciwu. Montane - skromna postać w jasnobrązowej koszuli z krótkimi rękawami w luźnych spodniach - w widoczny sposób przełknął ślinę i skinął głową z podziękowaniem. Nicklin zorientował się, że ten człowiek jest pod wpływem znacznego stresu i to, co mówi, to nie są zwykłe słowa zachęty.

- Jakiś czas temu zdecydowałem o czymś, co w tamtych okolicznościach wyglądało bardzo rozsądnie - ciągnął Montane. - Skontaktowałem się z największą stoczną remontową, właśnie tutaj, w Beachhead, i zgłosiłem chęć zakupu wycofywanego z eksploatacji statku pasażer-

skiego Typ 93. Najwidoczniej jego właściciele wstawili go do lądowego doku w celu kapitalnego remontu, ale wypadli z interesów, zanim zakończono prace.

Nie był to idealny statek dla naszych potrzeb, ale podana cena wynosiła tylko trzy czwarte miliona, plus dalsze mniej więcej dwieście tysięcy za zakończenie remontu. Nie uzbieraliśmy jeszcze całej tej sumy, ale miałem nadzieję, że dokonamy tego przed następną zimą.

„Potrzeba było znaleźć tylko kilku takich półgłówków jak ja”. - Nicklin poruszył się niecierpliwie na krześle. - „Cóż więc potem nastąpiło?”

- Ale muszę was zawiadomić, że dzisiaj, kiedy rozmawiałem się z pośrednikami, zajmującymi się tą sprawą - Matherem i Czubkiem - poinformowano mnie, że mój kontrakt został unieważniony. Rzekomo jedną z rat wpłaciłem kilka dni po terminie i to posłużyło im za pretekst. W normalnych okolicznościach taka niewielka zwłoka nic by nie znaczyła, ale od chwili Wielkiego Skoku okoliczności nie są normalne.

Okazało się, że powołano ogromne konsorcjum w celu odtworzenia handlu międzyportalowego w możliwie najkrótszym czasie. Członkowie tego konsorcjum skupują wszystkie dostępne statki, łącznie z międzygwiazdowymi i, o ile zdołałem pojąć, pieniądze nie grają dla nich żadnej roli. Mamy rynek sprzedawcy - tak mi powiedziano - i prawa popytu i podaży podniosły cenę naszego statku do ponad trzech milionów monetów.

- To wszystko, przyjaciele. - Głos, nad którym Montane dotychczas dobrze panował, ochrypnął nagle i niemal przeszedł w łkanie. - Ja... ja nie wiem, co robić dalej. Szatan szydzi z nas dzisiaj... i po prostu nie wiem, co robić dalej.

- Nie możesz sobie nic wyrzucać, Corey - odezwał się mężczyzna z pierwszego rzędu. - Za trzy miliony zawsze by coś znaleźli, żeby zerwać kontrakt.

- Tak, ale na dodatek straciłem złożony depozyt.

- Ile tego było?

Montane uśmiechnął się blado.

- Depozyt wynosił sto kawałków.

Nicklin odnotował nietypowe dla Montane'a użycie slangu, chociaż był to stary slang, i zauważył, że kaznodzieja usiłuje niedbałością pokryć rozpaczliwe poczucie winy. Wszyscy westchnęli z przerażeniem na wiadomość o stracie, ale Nicklin zaczął rozważać zasadnicze zagadnienie: czy Montane ma zamiar porzucić swą żalosną próbę zostania nowym Zbawicielem?

Wbrew oczekiwaniom, nie zachwycała go taka możliwość. Sądził, że i tak po niezbyt długim czasie opuści misję i znajdzie sobie pracę, dającą przyzwoite pieniądze

i perspektywę awansu, ale pogardzał Montanem i Daneą i czyhał na okazję, by wyrzucić na nich zemstę. To co przydarzyło się Montane'owi było naturalnie znaczną katastrofą, ale to nie Nicklin ją spowodował. Dlatego, z punktu widzenia jego zemsty, nieszczęście to prawie się nie liczyło.

Dla Danei zaś wynalazł sposób zemsty specjalny, superprzemysłny, ze wszystkimi wodotryskami. Przyniósłby mu on absolutną satysfakcję w każdym sensie tego słowa. Plan polegał na zgromadzeniu ogromnej sumy pieniędzy - nie było dla niego jeszcze jasne, jak ją zgromadzi - ale potrzebował tak wiele gotówki, żeby ani ona, ani jej parafialny Cagliostro nie mogli z czystym sumieniem (co za słowo!) odmówić jej przyjęcia w Pańskim imieniu. Byłaby zmuszona do po-

nownego prostytuowania się dla niego, a on będzie używał jej wspa-
niałego ciała, jak jeszcze nikt nigdy go nie używał. Skoro ona
ma zamiar grać rolę świątynnej prostytutki, kapłanki-dziwki, on miał
zamiar być najbardziej żarliwym wyznawcą w całym kraju. „Czy nie
byłby to koniec najszcześniejszy? ”, a kiedy nastanie ten szczęśliwy
dzień, miał zamiar ją pieprzyć i upokarzać ją i znów ją pieprzyć i
sprawić, żeby żałowała, że kiedykolwiek...

„Stop! ” - powiedział sobie, niemal z paniką, kiedy wściekłość wy-
buchła w nim jak gejzer. - „Musisz rozegrać to na zimno. Dosłownie -
lodowo. Nie będą należycie cię nienawidzić, dopóki nie przekonają się,
że jesteś zimny i pozbawiony emocji, nieludzki i nieubłagany...”

W pierwszym rzędzie elektryczka, Petra Davies, podniosła rękę, by
zadać pytanie.

- Corey, czy nie możemy odwołać się bezpośrednio do szefów tego
konsorcjum? Jeśli usłyszą, że jesteśmy organizacją religijną?...

- Właśnie - wtrącił jeden z mężczyzn. - A może moglibyśmy od
nich na pewien czas wypożyczyć ten statek. Przecież chcemy go tylko
na jedną podróż - potem mogą go sobie znów zabrać.

Montane potrząsnął głową.

- To dobra myśl, ale bardzo wątpię, czy ci ludzie zrozumieją na-
sze dążenia. Właściwie jestem zupełnie pewien, że nie. Prezesem kon-
sorcjum jest człowiek o nazwisku Rick Renard...

Nicklin nie słyszał dalszej części zdania. W jego umyśle już wcze-
śniej panował istny zamęt, a wzmianka o Renardzie spowodowała
prawdziwy wybuch w głębi podświadomości, detonację psychiczną,
która wyrzuciła szrapnel kłębiących się fragmentów pamięci na
pierwszy plan w jego mózgu. Renard... Reynard! Miał wujka o nazwi-
sku Reynard. Niezupełnie wujka - Reynard był wujkiem jego matki.

Wujecznym dziadkiem. Kiedy Nicklin był małym dzieckiem, bardzo bał się swego wujka Reynarda, ponieważ matka mówiła o nim zazwyczaj jako o przebiegłym, starym lisie i mały Jim był przekonany, że Reynard naprawdę ma zdolność zamieniania się w lisa, gdy nikt nie patrzy. Jimmy wiedział w głębi duszy, że jeżeli kiedyś zostawią go sam na sam z wujecznym dziadkiem Reynardem, znajdzie straszliwa transformacja i Reynard Lis całkiem go zje. Na szczęście, stryjeczny dziadek Reynard był rzadkim gościem w domu Nicklina, ponieważ praca kartografa zmuszała go do przebywania w odległych miejscach. I właśnie z jednego z tych dalekich miejsc przysłał Jimowi widokówkę...

- Corey, mam dla ciebie pewną interesującą wiadomość - zawołał Nicklin. Serce waliło mu mocno, kiedy wstawał z miejsca. - Wiem, gdzie można znaleźć statek kosmiczny... statek, który możesz mieć prawie za darmo!

ROZDZIAŁ 11

- W porządku, Jim, ale po co te wszystkie sekrety? - spytał Montane. - Nie podoba mi się, że nie informujemy o tym innych, przynajmniej nie na tym etapie naszego przedsięwzięcia.

Drzwi wozu były zamknięte, brązowa lampa dawała żółtawe światło, a naczynia do herbaty stały na gotowym stole, który tworzyła trumna Milly Montane. Obaj mężczyźni siedzieli na ławie, zetknięci niemal kolanami, a Nicklin, którego zmęczenie prawie zupełnie ustąpiło, płał się w atmosferze odosobnienia i względnego komfortu.

- Musimy porozmawiać o moim honorarium - oznajmił. - Będzie lepiej, jeśli uczynimy to na osobności.

- Honorarium? Oczekujesz honorarium?

Nicklin uśmiechnął się.

- Oczywiście! Na tym świecie nic nie ma za darmo -w twoim wieku powinienes już o tym wiedzieć.

Montane spojrział na niego uważnie.

- Czy chcesz z powrotem swoje pieniądze?

- To możliwe. Nie jestem jeszcze tego pewien. Być może postanowię nadal traktować je jako inwestycję w Zjednoczone Zakłady Montane'a.

- Chyba doskonale się bawisz - stwierdził Montane, napełniając herbatą dwie filiżanki.

- Lepiej niż kiedykolwiek - zapewnił go Nicklin.

- To miłe, że jest ktoś, kto się świetnie bawi. Doskonale, Jim, powiedz mi, czego chcesz. Posłuchajmy tego.

Nicklin, zanim zaczął mówić, łyknął trochę herbaty, umyślnie przedłużając tę chwilę.

- Odłóżmy na razie na bok kwestię moich pieniędzy. Chcę nowej pracy. Koniec z prowadzeniem w środku nocy, koniec ze zrywaniem ostów. Sądzę, że tytuł Wiceprezesa Zarządu będzie mi odpowiadał.

- Dumnie brzmiący tytuł nie będzie miał tutaj żadnego znaczenia - stwierdził Montane z cienkim uśmiechem.

- Dla mnie będzie miał. I zgodnie z moim nowym statusem oczekuję, że zostanie zwiększone moje pecu-lium. W zasadzie oczekuję prawa do nieograniczonego pobierania pieniędzy - chociaż oczywiście nie będę nadużywał tego przywileju. Moje potrzeby są skromne.

- Mów dalej - zachęcił go Montane. Gorzki uśmiech nie schodził mu z twarzy.

- Pragnę również wozu kempingowego wyłącznie dla siebie - Nicklin ostentacyjnie wdychał aromat swej herbaty. - Kiedy mówię, że chcę go tylko dla siebie, mam na myśli przestrzeń mieszkalną. Będę oczywiście miał kierowców, do mojej wyłącznej dyspozycji. A kiedy dotrzemy do naszej stałej kwatery głównej, chcę mieć zapewnione dobre warunki w dobrym hotelu.

- Zaczynam również się bawić, gdy po prostu oglądam twoje przedstawienie - rzekł Montane. - Nadal mi nie powiedziałaś, gdzie jest ten mityczny statek.

- Powoli dochodzimy do tego - rzekł Nicklin, a jego puls zaczął bić z większą mocą i szybkością. - Jeszcze jedno.

- A mianowicie...?

- Danea Farthing - powiedział Nicklin niedbale. -Chcę Danee Farthing.

Montane przestał się uśmiechać. Gwałtownie postawił swoją filiżankę, wylewając herbatę na spodek.

- Wynoś się stąd, Jim i nigdy nie wracaj. No ruszaj! Wynoś się stąd natychmiast.

Nicklin zasiadł wygodniej na ławce.

- Chodzi o statek kosmiczny, Corey. Gwarantowany sposób opuszczenia Orbitsville, zanim zatrzaśnie się pułapka. Bezterminowy bilet do Nowego Edenu. Bóg powierzył ci zadanie, byś poprowadził Jego dzieci ku bezpieczeństwu i upoważnił cię do zastosowania wszelkich, leżących w twojej mocy, środków. Nie tak dawno temu wytłumażyłeś mi to wszystko, siedząc właśnie tu, na tej ławce, w dniu, w któ-

rym mi powiedziałaś, jak precyzyjnie wyprowadzono mnie w pole. Nie mogłeś tego tak szybko zapomnieć.

- Jesteś najobrzydliwszym... - Montane zamknął oczy, twarz miał woskową. - Danae Farthing jest istotą ludzką.

- Mam taką nadzieję - oświadczył Nicklin z uśmiechem. - Nie lubię dziwnych praktyk seksualnych.

- Oszczędź mi swego chorobliwego humoru. Powtarzam, Danae jest istotą ludzką.

- Wtedy była na sprzedaż - rzekł Nicklin głosem, z którego znikły wszelkie ślady wesołości. - Powinna więc być na sprzedaż również teraz. Porozmawiaj z nią po cichu, że jest niezły facet.

Wciąż z zamkniętymi oczyma, Montane splótł dłonie i siedział bez słowa ponad dziesięć sekund, a potem - niespodziewanie - odprężył się i uniósł powieki. Jego wzrok znów był łagodny i niczym nie zmącony.

- Modliłem się - wyjaśnił. - Kontaktowałem się z Bogiem.

- Czy On kontaktował się również z tobą?

- Przypomniał mi, że statek jest jedynie w twoich słowach. O ile wiem, statek może już nie istnieć, a może w ogóle nigdy nie istniał. Udzielił mi rady, żebym powstrzymał swój gniew.

Nicklin w zamyśleniu skinął głową.

- Zaprawdę powiadam ci: otrzymałeś dobrą radę. Ojej, ten język jest strasznie czepliwy!

- Więc jak z tym wszystkim, Jim? - rzekł Montane, nie pozwalając już sobie na ryzyko wciągnięcia w pułapkę.

- Co z moim honorarium?

- Chyba już nie wierzę, że możesz dostarczyć statek, ale wyznaję, jestem ciekaw, jaką historię sobie wyśniłeś. - Montane mówił teraz w

swój zwykły, mentorski sposób, najwidoczniej zadowolony, że zyskał przewagę w czymś, co przeszło w pojedynek słowny.

- Dlatego nie żywię obaw, zgadzając się na twoje warunki.

- Bardzo mądrze - stwierdził Nicklin.

- Oczekuję, że będzie to zajmujące, Jim. - Montane miał opanowany wyraz twarzy, kiedy znowu wziął filiżankę i palcami usunął z jej dna kilka kropel. - Ciągnij dalej i zadziw mnie: gdzie znajduje się ten statek, który można dostać prawie za darmo?

Rozdrażniony zmianą nastroju Montane'a, Nicklin zignorował wewnętrzny głos, mówiący mu, że być może pędzi naprzód zbyt szybko.

- Jest zakopany obok pewnego miasteczka o kilka tysięcy kilometrów od Beachhead.

- Zakopany! - Montane parsknął z niedowierzaniem.

- Mówisz mi, że ktoś zawlókł statek kosmiczny tysiące kilometrów w głąb lądu... a potem go zakopał?

- Cóż, nie wykopał dziury i nie wpuścił go tam. Przykrył go tonami ziemi i skał.

- Po co?

- Miał to być pomnik - rzekł Nicklin, zastanawiając się, w jaki sposób zszedł na pozycję obronną. - Coś w rodzaju mauzoleum. O ile sobie przypominam, był sobie raz bogaty człowiek i miał młodą żonę, która chciała być pilotem kosmicznym. On kupił statek do jej wyłącznej dyspozycji, a ona zaraz się zabiła w jakimś przypadkowym wypadku. Tak więc opłacił transport statku do swego rodzinnego majątku i przerobił go na grobowiec żony. Doszedł jednak do wniosku, że statek nie ma właściwego wyglądu. Nie mogę powiedzieć, żebym się z nim nie zgadzał - statek kosmiczny rzeczywiście wyglądałby trochę dziwnie,

leżąc na podwórku. Na szczęście człowiek ten był zapalonym ogrodnikiem, więc kazał statek skrajobrazować - sędzę, że to byłby najodpowiedniejszy termin - i, o ile mi wiadomo, zadowolony szwendał się wokół przez resztę żywota. Wzruszająca historyjka, prawda?

- Z pewnością sądzisz, że jest bardzo zabawna?

Mówiąc to, Montane popatrzył przez chwilę na trumnę żony, a Nicklin poczuł przelotną satysfakcję, kiedy zdał sobie sprawę ze znaczenia tego mimowolnego spojrzenia. Był przedtem nieco zaniepokojony, jak Montane przyjmie dziwną opowieść o szaleństwie milionera, ale zupełnie nie zauważył podobieństwa w życiorysach obu mężczyzn. Ślepy traf, znany również jako Gazowy Kręgowiec, sprawił, że Montane był miękki, wrażliwy i łatwo go było zranić.

„Niech cię kule biją, Corey” - pomyślał Nicklin. - „Zapomniałem, że każdy, kto taszczy ze sobą swoją starą w blasznej skrzynce, będzie gotów sympatyzować z koncepcją metalowego Taj Mahal”.

- Wcale nie wydaje mi się zabawna - powiedział tonem nadzwyczaj poważnym. - Po prostu taki już jestem, że chowam swoje uczucia pod płaszczykiem nonszalancji.

Nagrodzony został krótkim błyskiem nienawiści w oczach Montane'a, znak, że znowu trafił go w czułe miejsce.

- Jak się nazywał ten człowiek?

- Nie pamiętam.

- Gdzie jest statek?

- Tego też nie pamiętam - odpowiedział Nicklin. - W tej chwili mogę jedynie powiedzieć, że znajduje się on obok miasteczka w rejonie P1.

Montane parsknął.

- Niewiele pamiętasz, prawda? A przede wszystkim, skąd ta historia przyszła ci do głowy?

- Jako dziecko miałem wujecznego dziadka, Reynarda Nicklina, który dużo podróżował, ponieważ był kartografem, geometrą czy czymś w tym rodzaju. Przysłał mi raz holokartkę grobowca i obiecał, że kiedyś mnie tam zabierze. Była bardzo ładna i kolorowa - ogródek skalny przykrywający mały pagórek - ale sądzę, że zupełnie bym o tym zapomniał, gdyby nie coś dziwnego w tle tej historii. Musiało to zrobić na mnie spore wrażenie, gdyż przez cały dzień coś buszowało w mej podświadomości. I dzisiaj na zebraniu... nagle... złapałem to!

- Chwileczkę - rzekł Montane, chmurząc się. - Dostałeś holokartkę, kiedy byłeś jeszcze dzieckiem? Ta historia, o budowie mauzoleum... Jak dawno wydarzyło się to wszystko?

Nicklin wzruszył ramionami.

- Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu... może nawet sto... Któż to wie?

- Zabierałeś mi niepotrzebnie czas! - Montane zrobił głęboki wydech, demonstrując oburzenie, a jego głos stwardniał. - Siedziałem tutaj, znosząc twoje bluźnierstwa i nieprzyzwoitości, i twoją...

- Spokojnie - przerwał mu Nicklin. - O co chodzi?

- Rdza! O nią chodzi. Z twojego statku nic już nie pozostało.

Nicklin ułożył usta w kształcie wesołego „U” i tak długo uśmiechał się swym radosnym, głupkowskim uśmiechem, aż zwróciło to uwagę Montane’a, który rzucił mu pytające spojrzenie.

- W tamtym czasie wciąż konstruowano statki, stosując stare stopy elektronasytne - pocieszył go Nicklin. - Wtedy jeszcze nie zanikł handel między Ziemią a Orbitsville i stocznie nie musiały zaniżać kosztów. Nie, Corey, ani rdzą, ani żadną inną korozją nie musisz sobie za-

wracać głowy. Nie będzie ich przynajmniej na kadłubie ciśnieniowym, na wewnętrznej konstrukcji i w podstawowych urządzeniach. Mogą być drobne problemy z mniejszymi częściami oprzyrządowania, ale nawet w tym przypadku... Chodzi mi o to, że jeśli byś to ty zdecydował się na użycie statku jako gotowej trumny, dopilnowałbyś, żeby była szczelnie zamknięta, prawda? Przecież nie chciałbyś, żeby twoja najbliższa i najdroższa zapleśniała. A już na pewno nie chciałbyś, żeby pełzały po niej robaki.

Montane ponownie postawił filiżankę na spodku, tym razem z przesadną ostrożnością, a kiedy przemówił, każde słowo było jak odłamek ludzkiej kości.

- Nigdy nie przypuszczałem, że do kogokolwiek wypowiem te słowa, ale jeśli jeszcze kiedyś w ten sposób będziesz mówił o mojej żonie, zabiję cię, Jim. Przysięgam, że cię zabiję.

- Jestem przerażony twoim zachowaniem - powiedział Nicklin całkowicie spokojnie. - To straszna rzecz powiedzieć coś takiego swojemu bliźniemu, istocie ludzkiej.

- Nie powiedziałbym tak do istoty ludzkiej.

- Jestem obecnie odporny na twoje obelgi, Corey.

Jestem odporny na wszystko.

- Więc musisz być bardzo nieszczęśliwy.

- Wprost przeciwnie - oświadczył Nicklin, nadal się uśmiechając. - Odkryłem sekret absolutnego szczęścia. Czy chcesz wiedzieć, co to jest? Powiem ci i tak. Przez cały czas musisz w myślach hołubić przede wszystkim jedną myśl - że każdy, to kawał gówna.

- Czy również ciebie to dotyczy?

- Szczególnie siebie, staruszkę - w tym właśnie sęk. To zepsułoby Wielki Kawał, gdybyś nie włączył siebie.

Montane potrząsnął głową, jego ruchy stały się teraz wolne, pełne zmęczenia, ledwo dostrzegalne.

- Powróćmy do zakopanego statku - gdzie to jest?

- To jeszcze jedna rzecz, której nie pamiętam, ale wydaje mi się, że dwu- lub trzykrotnie w nazwie miasta występuje litera „a” - rzekł Nicklin, zastanawiając się, czy powinien zmusić kaznodzieję, by umieścił szczegóły ich nowej umowy na taśmie lub papierze. - Będę mógł odnaleźć tę nazwę przeglądając indeks regionu P1, ale nawet bez tej nazwy mamy wystarczająco wiele informacji.

- Tak właśnie myślałem - rzekł Montane rzucając mu przebiegłe spojrzenie. - Teraz mógłbym ją znaleźć sam.

- Owszem, ale ludzie Renarda mogliby dostać się tam wcześniej, jeśli udzieliłbym im wskazówek.

- Może się okazać, że statek wcale nie jest do kupienia - odparł Montane. - Mogą być spadkobiercy, którzy traktują go jak świętość.

- Fakty, które znamy, sugerują, że dama umarła -jak to się mówi - bezpotomnie.

- Mogą być inni krewni. Już przed laty mogli odkopać statek i sprzedać go na złom.

- Myślałem o tym. - Nicklin ukrywał kłamstwo najlepiej jak umiał. „Boże” - myślał - „staruszek trafił tutaj w sedno: powinienem był trzymać gębę na kłódkę, aż sam nie przeprowadzę własnego śledztwa.” - Ale wartość złomu nie pokryłaby nawet kosztów wykopania i transportu.

- Zawsze istnieje możliwość, że twoja pamięć zawodzi, kiedy mówisz o położeniu - dodał Montane, z wyraźnym zadowoleniem. - Upłynęła lata, zanim zostaną wznowione komercyjne loty międzyportalowe,

więc jeśli się okaże, że miasto nie leży w rejonie P1, nie wiem, jak moglibyśmy do niego dotrzeć.

- Nasza rozmowa zaczyna tracić werwę - a ja umieram z głodu.

Wbrew sobie Nicklin znalazł się pod wrażeniem elastyczności umysłowej swego przeciwnika i sam był na siebie wściekły za to, że tak wcześnie odkrył wszystkie swoje atuty. Inteligentniej byłoby postępować powoli, krok po kroku utwardzać osiągnięty teren. Powinien był sprawdzić, czy statek istnieje i czy jest do nabycia; potem powinien wynaleźć sposób uzyskania praw własności, dobierając, jeśli trzeba, współników. Wtedy - i dopiero wtedy - kiedy miałyby zapewnioną bezpieczną pozycję, by móc dyktować wszystkie warunki, byłoby bezpiecznie omawiać interesy z Montane'em.

Cóż więc się stało z jego zdrowym rozsądkiem? Nic-klina aż skreśliło w środku, kiedy odpowiedział sobie na to pytanie. To znów był efekt Danei. Miał gorączkowe wizje, jak wywiera na niej zemstę; podniecały go seksualnie niesamowite obrazy deprawowania Dziwki w Czerni. To pozbawiło go wszelkiej ostrożności i zdrowego rozsądku. Krótko mówiąc zachował się jak bezrozumne stworzenie, wchłaniające nozdrzami feromony. W tej chwili nie sposób nawet oszacować wszystkich konsekwencji jego głupoty.

- Jeśli naprawdę jesteś głodny, mogę kazać Carloso-wi, żeby przyniósł tutaj tacę.

Mile niesmaczne zdanie przyszło Nicklinowi na myśl, gdy wyobraził sobie jedzenie z trumny Milly Montane... - „Moja żona powiada, że obiad już na niej stoi... ” Ale Montane był uczulony na punkcie żartów na temat swej zmarłej żony, a to, co powiedział po ostatnim z nich, brzmiało groźnie. Nicklin chciał zdobyć dozgonną nienawiść Montane'a, a nie być przez niego utrupionym.

- Nie musisz fatygować Carlosa - rzekł Nicklin. - Chyba wytrzymam jeszcze trochę.

- Bardzo dobrze, ale jeśli to wszystko się uda - i podejmiesz swoją funkcję „wiceprezesa” - prawdopodobnie będziesz musiał się przyzwyczaić do okazjonalnych posiłków.

- Tak więc nie masz zamiaru odstąpić od naszej umowy.

- Jestem człowiekiem, który dotrzymuje danego słowa, Jim, i prawdą jest, że możesz być teraz bardziej cenny dla sprawy, niż wówczas, gdy do nas dołączyłeś. To właśnie nazywam ironią. - Montane wstał i podszedł do półki, na której stał jego zestaw wideo. - Sprawdzę, czy uda mi się wywołać dobry indeks regionu P1 na tym gracie, a potem zobaczymy, czy zdoła to poruszyć twą pamięć. Nie ma sensu marnować czasu.

- Zgoda - rzekł Nicklin, ale zaraz zmartwiło go, że znów staje się miękki i uległy. - Ale praca, to tylko część mojego honorarium. Pamiętasz?

Montane odpowiedział z roztargnieniem, koncentrując się nad panelem sterującym aparatu.

- Jeśli myślisz w tej chwili o Danei, to raczej ty musisz o czymś pamiętać. Powiedziałem ci już pierwszego dnia, że Danea Farthing jest osobą prywatną, wszelkie jej powiązania osobiste nie mają nic wspólnego ze mną, ani z tą misją.

„Wciska mi tę ciemnotę” - myślał Nicklin ponuro. - „Naprawdę mi ją wciska! Dostaje mi się za to, że pozwoliłem, by mój kutas rządził moją głową. I ten zwariowany stary bałwan, który myśli, że jest Mojżeszem, Model II, i konwersuje z trupem żony, obwija mnie sobie wokół palca!”

- Popraw mnie, jeśli źle cię usłyszałem - powiedział z goryczą - ale powiedziałaś coś o człowieku, który dotrzymuje danego słowa.

- Śluby złożone Bogu mają u mnie pierwszeństwo przed wszystkim innym.

- Jakie to wygodne!

- Musisz być konsekwentny, Jim. - Montane wciąż nachylał się nad aparatem telewizyjnym, widocznie znalazł coś skomplikowanego w jego uproszczonym systemie sterowania, ale jego słowa były bardzo konkretne. - Parę minut temu zgodziłeś się z ideą, że Bóg dał mi licencję na stręczycielstwo. Gdyby tak rzeczywiście było, z pewnością zachęcałby mnie On do popełnienia małego grzechu, na przykład kłamstwa od czasu do czasu, o ile służy to jego sprawie.

„Tak dalej nie może trwać” - rzekł do siebie Nicklin, wbijając paznokcie głęboko w swe dłonie. - „Nastąpią tu wielkie zmiany”.

Nie miał wtedy pojęcia, jak dokładnie sprawdzą się jego przewidywania...

CZĘŚĆ DRUGA

MŁOT SPADA

ROZDZIAŁ 12

Strzelba kształtem przypominała mniej więcej staromodną broń sportową, ale jej wygląd był wynikiem kosmetycznej pracy, włożonej przez kogoś stęsknionego za dawnymi czasami. Miało się wrażenie, że

jej kolba zrobiona jest z wypolerowanego drewna i że zaprojektowano ją tak, by pasowała dokładnie do ramienia użytkownika, a przecież strzelanie z tej broni nie powodowało żadnych odrzutów. Uruchomiła się ją za pomocą konwencjonalnego cyngla, chociaż prosty przycisk byłby czymś bardziej właściwym dla skoncentrowanych impulsów energii elektromagnetycznej. W suchą, jasną pogodę jej promień rażenia wynosił 3 kilometry. Skomputeryzowany celownik zapewniał dużą celność nawet w rękach zupełnego nowicjusza.

Doskonała maszyna do zabijania, piękna na swój sposób, strzelba ta wydawała się nie na miejscu wśród postrzępionych parasoli w antycznym stojaku. Nicklin patrzył na nią w zamyśleniu przez kilka sekund - wiedział, że mają za chwilę wziąć ze sobą na dwór - a potem potrząsnął głową. Już kilkakrotnie wychodził na wzgórza ze strzelbą na ramieniu i za każdym razem czuł się jak przerośnięte dziecko, bawiące się w żołnierzy albo traperów. Nicklin zdjął z wieszaka swój kapelusz przeciwsłoneczny, nasadził go na głowę i wyszedł z wielkiego domu, zostawiając dwuskrzydłowe drzwi otwarte na oścież.

Dwór Fugacciów stał się bez żadnych adaptacji kwaterą główną misji, chociaż nie był to świadomy wybór Montane'a. Spadkobiercy Vessa Fugaccii mieszkali na wschodzie, sto kilometrów stąd, w dobrze rozwiniętej części regionu. Nigdy nie interesowali się tą trudną do utrzymania posiadłością, tkwiącą na krańcach cywilizacji. Mieli jednakże smykałkę do interesów i gdy wyczuli, że Montane'owi obsesyjnie zależy na kupnie zakopanego statku, po prostu odrzucili ofertę, nie chcąc całkowicie wypuszczać go z rąk. Twierdzili, że zawiedliby w ten sposób zaufanie dziadka. Utrzymywali, że jako dobrzy katolicy nigdy nie zgodziliby się na zbezczeszczenie grobu ukochanej osoby. Ale jakoś ich zbiorowe sumienie nie wyrażało sprzeciwu przeciwko

sprzedaniu całości dóbr Altamura. Adwokaci trzykrotnie zdołali podbić cenę i skrupuły religijne oraz moralne rodziny całkowicie zniknęły.

Dokładnie nad głową Nicklina słońce wynurzyło się właśnie zza nocnego pasa. Mimo pięknej pogody dzień był chłodny. Przed Nicklinem rozpościerał się teren, niegdysiejszy ogród, należący do rezydencji Fugaccii. Obecnie porastała go odstraszaająca płatanina wybujałych krzaków, w wielu miejscach zduszonych przez zbuntowane chwasty, pnącza i miejscowe trawy. Gdzieś rośliność potworzyła wzgórze, których ogólny zarys jedynie niejasno wskazywał, co znajduje się pod spodem - tutaj altanka lub łuk, tam fontanna lub taras. W pewnym miejscu kobieca głowa klasycznego marmurowego posągu wynurzała się z liściastego zamętu, a białe gałki oczu patrzyły na zielony chaos z widocznym zatroskaniem.

Za zrujnowanym ogrodem znajdował się mały, okrągły, sztuczny wzgórek. Rysował się wyraźnie na malowniczym tle, gdzie prairie, jeziora i zagadkowe lasy następowały jedno po drugim, tworząc poziome strefy, coraz węższe i węższe, aż zamglone odległością zlewały się w łańcuch dalekich, szaroniebieskich gór. Cały ten widok zapierał dech, ale Nicklin widział tylko pagórek na przednim planie, bo to tam właśnie ukryty był statek.

Dopiero co skończył śniadanie, ale wiedział, że mimo wczesnej godziny Montane i zwalisty Gerl Kingsley są gdzieś na wzgórzu i pracują ciężko łopatami i kilofami. Zakupiono już urządzenia wydobywcze, które w tej chwili zmierzały tu z Beachhead wraz z główną grupą, ale Montane nie mógł poskromić swej niecierpliwości. Nabył on prawa do posiadłości cztery dni temu i od tej pory zachowywał się jak narkoman. Koniecznie musiał sam obejrzeć statek. Nie będzie mógł ode-

tnąć z całkowitym przekonaniem, że pokonał już największe trudności, zanim nie dotknie metalowej powłoki statku.

Nicklin uśmiechał się, kiedy szedł ścieżką wyciętą w chaszczach i myślał o zabawnych wyskokach Montane'a w niedalekiej przeszłości. Kaznodziei naprawdę puściły nerwy i zaczął łkać, kiedy usłyszał, że ten statek, to niezmodyfikowany Typ 83.

- Czemu! - mówił do Nicklina, mrugając za soczewkami z łez. - Chcesz wiedzieć czemu! Ty idioto z głupim uśmieszkiem, to statek typu Explorer!

Upłynęło kilka sekund, zanim znaczenie tego stwierdzenia dotarło do Nicklina. Lot ku Nowemu Edenowi był dla niego nedorzeczną fantazją, jedną z tych, które nie mają szans urzeczywistnienia. Nie myślał więc o związanych z tą podróżą sprawach praktycznych. Gdyby pomyślał głębiej, zorientowałby się od razu, że chociaż przebycie setek lat świetlnych w międzygwiazdnej pustce jest sprawą rutyny, przebycie ostatniej setki kilometrów i wylądowanie stwarzają niezwykle problemy.

Większość statków kosmicznych, zbudowanych w ciągu ostatnich dwustu lat, zaprojektowano do wahadłowych podróży między Ziemią a Orbitsville - między orbitą parkingową i kołyską do dokowania - i dlatego pozbawione one były urządzeń do transportu personelu na powierzchnię nieprzystosowanego do tego świata.

Montane zawsze spodziewał się tej trudności i planował wydatki związane z zaopatrzeniem swego statku w szalupę, a teraz - nagle i nieoczekiwanie - problem znikł.

- Jim, to jest znak - rzekł. - W taki sposób Bóg mówi mi, żebym nie rozpaczał, że On wciąż dba o swoją trzodę.

To stwierdzenie było tak irracjonalne, że Nicklin powstrzymał się od dyskusji. Jeśli chodzi zaś o Apryl Fugaccia, to Pan nie za bardzo dbał o nią. Fryzjerka bez grosza przy duszy, potomkini kolonistów ze Skandynawii, spotkała podstarzałego miliardera, Vesa Fugaccię, w salonie fryzjerskim w Beachhead. Oczarowała go jej nordycka uroda, złota i świeża, ją zaś równie silnie pociągnęła perspektywa bogact i nieograniczonych możliwości przeżywania przygód i podróży. Musiała się uważać za jedną z najszcześniejszych osób we wszechświecie, kiedy w pierwszą rocznicę ślubu Fugaccia spełnił jej najskrytsze marzenia i ofiarował jej statek kosmiczny do wyłącznej dyspozycji. Zbudowano stosunkowo niewiele statków badawczych - to znowu zadziałał syndrom Orbitsville - i olbrzymie wydatki poniesione przez Fugaccię, stanowiły jeszcze jeden dowód bezgranicznej miłości. April myślała jedynie o tym, by zostać odkrywczą jakiejś planety. Przekradła się na pokład swojej nowej zabawki, zadokowanej przy Portalu 9, i włożyła swój specjalny skafander dla przeżycia w nieprzyjaznym środowisku, nie zaznajamiając się z jego skomplikowanym systemem wentylacyjnym. Jej ciało znaleziono na lewym siedzeniu sterówki szalupy.

Nicklina bezustannie dziwiło, jak Montane mógł interpretować ów żalostny ciąg wypadków jako dowód istnienia opiekuńczej Wszechmocy. On sam uważał to za figiel godzin największego z dowcipnisiów, Gazowego Kręgowca, ale powstrzymał się od uwag i z przyjemnością spełniał swoje obowiązki Pierwszego Oficera misji. Obecnie w ramach tych obowiązków mieszkał razem z Montane'em i Kingsleyem w podupadłej rezydencji Fugach i oczekiwał na przybycie pozostałego zespołu.

W szczególności oczekiwał na przybycie Danei Farthing. Obmyślił nowy plan, jak postąpić w stosunku do niej. Jego wykonanie potrwa

dość długo, ale miał on tę zaletę, że gwarantował, iż po jego zrealizowaniu upokorzenie Danei będzie znacznie pełniejsze.

Na myśl o tym przyśpieszył kroku. Doszedł do podnóża pagórka i rozpoczął podejście. Przedzieranie się przez zarośniętą ścieżkę było tu łatwiejsze, gdyż na pagórku poprowadzono wiele kamiennych alejek i schodów, zupełnie tak, jak we śnie Nicklina. Po wijącej się ścieżce, wyłożonej pracowicie dopasowanymi sześciokątnymi kamieniami, dotarł na wierzchołek i znalazł Montane'a i Kingsleya. Stali w szerokim lecz płytkim wykopie, który był rezultatem ich wspólnego mozołu.

Dno dołu wyglądało jak smużkowate, brązowe szkło, z obficie rozszanymi szarymi i białymi guzkami. Nicklinowi przypominało to gigantyczną tabliczkę czekolady orzechowej. Początkowo Montane martwił się tym, że pod warstewką gleby odkryto skorupę ze stopionej ziemi i skał, gdyż opóźniało to postęp robót, ale pocieszała go myśl, że skorupa stanowi doskonałą ochronę dla statku. Siedemdziesiąt lat to zbyt długi okres dla wyrobu z metalu - nawet jak na produkt ze stopu elektronasytnego - by całkowicie dało się uniknąć zniszczeń wskutek chemicznego kontaktu z wilgotną ziemią.

- Dzień dobry, majtkowie - zawołał Nicklin. - Jak wasze odciski na rękach?

Montane podniósł wzrok znad rysunku, który uważnie oglądał i odpowiedział na pozdrowienie przyjaznym tonem. Przez ostatnie trzy miesiące przebywał on prawie bez przerwy w towarzystwie Nicklina. Poszukiwali razem spadkobierców Vesa Fugacii i negocjowali zakup posiadłości. Montane zrozumiał, że najlepszym sposobem zachowania wrogości jest udawanie przyjaźni. Olbrzymi Kingsley, ex farmer, nie miał czasu na podobne subtelności i ograniczył się do przywitania Nicklina ledwo słyszalnym warknięciem.

- Jesteś inżynierem - rzekł Montane, przywołując Nicklina gestem. - Spójrz na rysunek i powiedz, co o tym sądzisz.

- Zazwyczaj naprawiałem ubijaczki do jaj - odparł Nicklin. - Statki kosmiczne przekraczają nieco moje zainteresowania zawodowe.

- Spójrz na rysunek!

Nicklin wzruszył ramionami i zrobił, co mu kazano. Papier fotokopii był stary i pofałdowany, ale oryginalny rysunek - jeszcze starszy. Było to łatwo stwierdzić, widząc liczne zmarszczki i plamy, które zreprodukowano łącznie z oryginalnymi liniami i tekstem. Rysunek wykonała kompania Nissan-Vickers w Birkenhead, Anglia. Pokazywał on trzy podstawowe rzuty statku kosmicznego. Statek zbudowano zgodnie z klasyczną konfiguracją korporacji Starflight - trzy jednakowe cylindry, złączone razem, przy czym jeden wysunięty do przodu o prawie połowę długości - ale można go było odróżnić od standardowego wyrobu, gdyż posiadał szalupę. Opływowa, z długim wąskim dziobem, ukształtowana tak, by spełnić rozmaite wymagania co do trybu pracy, szalupa została umocowana pod środkowym, głównym cylindrem jak podczas lotu.

Umieszczony w ramce tytuł rysunku głosił, że jest to układ ogólny statku *Liscard* typu Eksplorator. Planu użyto jednak jako kanwy dla całym innych, późniejszych kreśleń. Na nieskazitelną grafikę komputerową oryginału nałożono ręczny szkic, najwidoczniej dzieło firmy ogrodniczej. Linie opisywały zaokrąglony nasyp, który obecnie pokrywał statek. Wokół każdego z rzutów tłoczyły się skrótowe opisy, podające szczegóły konstrukcji ścieżek i murów. Widniały tam również notatki na temat roślin, które miano zasadzić w różnych miejscach.

- Wszystko wskazuje na to, że Fugaccia nie należał do ludzi, którzy kolekcjonują dokumenty. - To jedyny dostępny rysunek i miałem szczęście, że go zdobyłem.

- Powinieneś go oprawić w ramki.

Montane wskazał znak, zrobiony ołówkiem na bocznej perspektywie pagórka, dokładnie nad dziobem statku.

- Powiedziałbym, że jesteśmy właśnie tutaj. A ty co myślisz?

- Możesz mieć rację, ale zanim nie uzyskamy jakiegoś przyzwoitego dos... - Nicklin przerwał i spojrzał znów na rysunek. - Corey, tu nawet nie zaznaczono północy!

- No i co z tego?

- A to, że możemy właśnie stać nad samą dupą statku.

- Och! - Montane przez chwilę wyglądał na zawstydzonego. Po chwili twarz mu się rozjaśniła. - Więc mamy jeszcze jeden powód, by usuwać ziemię, mój chłopcze. Bierz łopatę i kop.

Nicklin wiedział, że za chwilę nadejdą narzędzia mechaniczne i nie ma sensu trwonić sił fizycznych. Za równie jałową jednak uznał kłótnię z Montane'em, gdy był on w takim nastroju jak obecnie. Poza tym, pomyślał, z pewnością jemu samemu nie zaszkodzi chwila ciężkiej pracy, gdyż uprzednia drobna wypukłość ponad paskiem spodni znacznie urosła podczas ostatnich trzech beczynnych miesięcy. Rozejrzał się, próbując znaleźć sensowne zajęcie, mniej nudne niż kopanie, potem wziął kilof i zaczął rozbijać niską kamienną ścianę.

Zaborcza roślinność nie znalazła tu zbyt wielu przyczółków i pnącza nie przeszkadzały mu za bardzo w pracy. Niszczenie owoców cierpliwego trudu innych ludzi dawało jakąś mroczną satysfakcję. Nicklin przekonał się, że można się łatwo zatracić w powtarzalnym, jedno-

stajnym wysiłku fizycznym. Kiedy tak pracował, bezustannie towarzyszyła mu myśl, że przebywa na terenach pogranicza.

Cztery kilometry na wschód leżało miasto Altamura. Jego budowle widoczne były jako rzadko rozrzucone confetti na wielkim zielonym bezkresie Orbitsville. Altamurę założyła, ponad sto lat temu, grupa osadników z Włoch. Byli to pracowici ludzie, którzy mieli nadzieję, że gdy fala imigrantów przetoczy się dalej, ich nowe miejsce życia zostanie bogatym centrum regionalnym. Ale rzeczywistość nie spełniła tych marzeń: kolejne fale imigrantów nigdy się nie pojawiły. Przeciwnie, dobrze widoczna krawędź *cywilizacji* cofnęła się nieco, pozostawiając Altamurę na ziemi niczyjej, pomiędzy znanym a nieznanym.

Nie było żadnej szczególnej przyczyny, że ludzie zawrócili właśnie z tego miejsca. To się po prostu zdarzyło. Za każdym razem, gdy Nicklin podnosił głowę, mógł się przekonać, że połacie ziemi na zachód od Altamury są równie bogate i gościnne jak każda inna część Wielkiego O, ale matematyka chaosu sprawiła, że pęd ludzkości do ekspansji załamał się i stracił swój impet akurat tutaj.

- Jest zbyt wiele miejsc, do których można się wybrać i zbyt mało ludzi, by mogli tam wszędzie powędrować - stwierdził filozoficznie, z silnym akcentem włoskim, miejscowy pośrednik. - Dlatego właśnie nasze miasto umierało powoli od chwili powstania - czysty kaprys demografii.

Agent był człowiekiem rozmownym i wyraźnie lubował się w snuciu opowieści. Ciągnął dalej, nakreślając żywy obraz życia w tym rejonie pogranicza:

- Zwróćcie uwagę, nie znaczy to, że dosłownie nikt nie szedł na zachód od rzeki Irsiny. Od czasu do czasu podążały tam różne dziwne osobniki. Niktórzy z nich to po prostu ludzie niedopasowani do społe-

czeństwa - pustelnicy z powołania, rozumiecie, co mam na myśli - ale wielu z nich miało po prostu policję na karku.

Nadal tam są. Możliwe, że niektórzy połączyli się w bandy, możliwe, że niektórzy wychowują swoje bachory na swój własny sposób. Czasami widuje się w oddali dym... Czasami znajduje się krowę lub owcę bez tylnych nóg... czasami znajduje się mężczyznę, kobietę czy nawet dziecko - nieszczęśników, którym zrobiono bardzo brzydkie rzeczy... Dlatego właśnie ludzie w okolicy noszą broń, kiedy wypuszczają się dalej za miasto - i radzę wam, żebyście brali z nich przykład.

Nicklin przypominał sobie słowa agenta, ale trudno mu było je pogodzić z tym odwiecznym spokojem, który teraz, w środku lata, spowijał okolicę. Rozum mówił mu, że życie na Orbitsville musiało posiadać również bardziej mroczne aspekty. Skoro wszyscy mogą żyć tak, jak im się podoba, kilku wybiera drogę, której samo istnienie będzie nie do przyjęcia dla ludzi, którzy pragną spać spokojnie.

Nie było jednak tak źle, bo Nicklin przeżył ponad trzydzieści lat i nigdy nie spotkał prawdziwej deprawacji, moralnego ekwiwalentu antymaterii. Och tak, ludzie to gówno - to było dowiedzione - ale na ogół nie dochodziło do takich rzeczy jak morderstwa, tortury czy ludożerstwo. Nie ma powodu przypuszczać, że ta odrobina narwańców, ekscentryków i zwykłych wariatów, jacy bez wątpienia tworzyli część populacji Altamury, była w czymś gorsza niż jej odpowiednik w rejonie Orangefield.

Nicklin, ponownie w harmonii z nastrojem tego rześkiego, jasnego poranka, Nicklin pracował w równym rytmie, aż rozebrał około dziesięciu metrów ściany. Potem zaczął podnosić kamienie, tworzące bruk sąsiedniej ścieżki. Praca była żmudna, ale Nicklin wykonywał ją z

pewnym zadowoleniem i kiedy Montane ogłosił przerwę na przekąskę, zauważył ze zdziwieniem, że minęły już dwie godziny.

Chciał wrócić do domu, by coś zjeść, ale Kingsley otworzył przenośną lodówkę i wyjął pojemniki mrożonej herbaty, kanapki i owoce. Nicklin usadowił się na stercie gruzu i dołączył do skromnego posiłku, zadowolony, że zaoszczędzono mu trudów marszu. Nigdy by nie uwierzył, że schłodzona herbata, która nie była jego ulubionym napojem, może tak dobrze smakować.

- Myślę, że mógłbym przywyknąć do takiego życia, wypełnionego prostym trudem - rzekł, gdy ugasił pragnienie.

- Miło mi to słyszeć - Montane grał teraz rolę jowialnego brygadzysty. Szturchnął łokciem Kingsleya. - Spałeś tak długo, że zaczynaliśmy obawiać się, czy nie umarłeś.

Kingsley prychnął. Cząstki chleba wyleciały z rogów jego ust.

- Słuchałem dla ciebie wiadomości, Corey. Wiem, że chcesz mieć bieżące informacje o wszystkich... - Nicklin przerwał, bo nagle przypomniał sobie wiadomość, która nadeszła rankiem z altamurskiego radiowęzła. Wiedział, że naprawdę zainteresuje ona kaznodzieję. - Jest coś nowego w sprawie zielonych linii.

Montanę popatrzył na niego przenikliwie.

- Tak?

- Chodzi o pola sił. Wiesz, o pionowe pola sił nad liniami.

- Tak, tak, mów dalej, Jim.

- Cóż, są one mniej neutralne, niż się wydawało - odrzekł Nicklin. - Najprawdopodobniej osłabiają strukturę cząsteczkową w każdym materiale, przez który przechodzą. Następuje to bardzo wolno, ale kilka budynków w... Łomży P83, zdaje się... zaczyna pękać na połowy. Budynki stoją akurat na jednej z tych linii, a ona stopniowo przecina je na

połowy - belki stropowe, ściany, podłogi, fundamenty, wszystko. Działa tak, jakby była bardzo słabym nożem walencyjnym.

- Mój wróg nie sypia nigdy.

Montane wciąż żuł kawałek baniabłka, ale robił to teraz mechanicznie, nie czując już smaku owocu. Po transakcji kupna statku uwolnił się od jarzma niepokoju i od tamtego czasu, odprężony, prowadził czynne życie na świeżym powietrzu. Naprawdę odmłodził podczas tej nie planowanej przerwy, ale w ciągu ostatnich kilku sekund brzemień lat znów ciężko spadło na jego barki.

„Całe szczęście, że nie przypomniałem sobie o tych liniach wcześniej” - pogratulował sobie Nicklin. - „Dzięki temu soki trawienne starszka zatrzymały się w pochodzie. Czy może raczej w przewodzie?”

- Ale, ale, Corey - rzekł. - Nie możesz zwać wszystkiego na Starego Dydka. Chyba byłoby bardziej w jego stylu, gdyby przekroił budynki od razu i pozwolił, by zwały się na ludzi?

Montane rzucił mu ponure spojrzenie.

- Nie wiem, co wykluwa się w mózgu Szatana - jego gra jest bardzo subtelna - ale wiem, że kiedy ją zakończy, nikomu z nas nie będzie do śmiechu. I ciebie to również dotyczy.

- Śmiać się - nigdy by mi to nie przyszło na myśl - odparł Nicklin. Nieznaczny uśmiech na twarzy zadawał kłam jego słowom.

- Jedz dalej, Gerl - Montane uspokoił olbrzyma, klepiąc go po kolanie, a pewna oschłość tonu wskazywała, że odzyskuje równowagę. - Dam ci znać, kiedy będę chciał dostać kawałki szkieletu Jima.

„Koniec rozmowy” - pomyślał Nicklin. Znów musiał docenić elastyczność starszego mężczyzny. Aby pokazać, że uważa taktykę Montane'a za niesportową, zaczął się obracać, aż usiadł plecami do tamtych dwóch, zaś twarzą do zachodniego zbocza pagórka. Nie było żad-

nego muru ani płotu, oznaczającego kraniec posiadłości Fugaccii - podnóże pagórka porastał zagajnik z wybijającymi się drzewami kowadłowymi, a dalej, w nieskończoność, rozciągało się Orbitsville.

Nicklin powędrował myślami ku Danei Farthing. Zastanawiał się, kiedy przybędzie reszta misji. On i Montane polecieeli samolotem z Beachhead do New Taranto, gdzie znajdowało się lotnisko, leżące najbliżej Altamury, i cała podróż trwała tylko jeden dzień. Gerl Kingsley wyruszył tego samego dnia w wozie Montane'a i był na miejscu po pięciu dniach, ale by tego dokonać musiał prowadzić jak wariat i prawie nie spać. Nicklin z rozbawieniem zadawał sobie pytanie, czy olbrzym śpieszył się tak dlatego, że był wierny swemu szefowi, czy też może dlatego, że nie odpowiadało mu spędzanie wielu nocy sam na sam z Milly Montane i jej metalową trumną. (Pańska żona to dobra kobieta, szefie, ale stale jest zalana w trupa).

Pozostałe pojazdy opuściły bazę w Beachhead dopiero cztery dni temu, kiedy Montane zadepeszował, że wszystko poszło dobrze. Poruszają się z taką szybkością, jak najwolniejszy ich pojazd, gdy trzeba, zatrzymują się na odpoczynek, trudno więc przewidzieć, kiedy przybędą.

Nie warto trwonić energii umysłowej na rozważanie tego problemu, postanowił Nicklin i rozejrzał się ze znużeniem wkoło. I wtedy zobaczył, że dzieje się coś dziwnego.

Kilka kroków od niego, na zboczu, rosła grupa żółtych kwiatów, bardzo podobnych do tulipanów, i właśnie kiedy na nie patrzył, kielich jednego z kwiatów oddzielił się od łodygi i upadł na ziemię.

„Czy takie zdarzenia są powszechne w świecie roślin? ” - myślał leniwie. Na Orbitsville istniało wiele gatunków owadów, niektóre z nich odżywiały się dziwnie, ale z pewnością każdy chrząszcz, który

zamierzał pożreć roślinę, zabierałby się za nią od dołu. Czy możliwe, że istnieje gatunek żywiący się tylko płatkami, które najpierw zaciąga do gniazda?

Kiedy znużyły go te spekulacje, nastąpiło drugie dziwne wydarzenie - nagły brzęczący dźwięk, tuż przy lewym uchu, przelotne trzepotanie powietrza. Nicklin rzekł sobie, że to na pewno szerszeń, ale w tym dźwięku zawarte było jakby ostrzeżenie, że niesie on z sobą energię, i w mózgu Nicklina zaświtała pewna niedorzeczna idea.

- Corey - rzekł ze spokojem - choć to może wyglądać na jeden z moich dowcipów, ale sędzę, że ktoś do nas strzela.

- Strzela do nas! - Kingsley odchylił głowę i zaniósł się śmiechem. Miał otwarte usta i to prawdopodobnie uratowało mu życie, gdyż kula, która mogła strzaskać mu czaszkę, przeszła gładko przez oba policzki. Dotknął ręką krwawego, gwiazdzistego otworu, przez który wyszła kula, i runął ciężko na ziemię.

Nicklin gapił się na niego, jak rażony gromem, potem uświadomił sobie, że sam wciąż siedzi wyprostowany. Pośpiesznie padł na brzuch za kupą gruzu; w czasie tej czynności zleciał mu kapelusz. Bardziej czuł pogardę do samego siebie niż strach: był kretyńcem do tego stopnia, że wołał narażać się na śmierć, niż uchodzić za bałwana, co bez żadnej przyczyny szuka osłony przed kulami. Spojrzał na Montane'a, który też padł na ziemię, i zobaczył, że kaznodzieja patrzy na niego szeroko otwartymi, pełnymi oskarżeń oczyma. Nicklin rozumiał doskonale logikę strachu - to przecież on pierwszy mówił o strzelaniu, czym spowodował, że właśnie nadciągnęła.

„Co dalej? Co do cholery robimy dalej? - Pytania te przeleciały mu przez głowę z bębniącym łoskotem. - „Wiem! Kingsley obejmie w tej sytuacji dowództwo i ocali nas wszystkich! Stary, dobry Gerl, jest wiel-

ki i twardy i całe życie uprawiał ziemię w dzikich krajach. Najprawdopodobniej strzelano do niego setki razy i najprawdopodobniej nie więcej przejmuje się małą kulą niż ukąszeniem komara... ”

I wtedy do Nicklina z opóźnieniem dotarło, w jakim stanie znajduje się Kingsley. Olbrzym leżał na boku, a krew dosłownie tryskała mu z ust. Jego język był wysunięty na zewnątrz i chociaż spowijała go rozmazana purpura, Nicklin zdołał dostrzec, że został on rozdarty niemal na połowy. Widział też, że stary, poczciwy Gerl nie obejmie dowództwa, bez względu na sytuację. Czuł coraz większą bezradność.

- Strzelba - szepnął Montane. - Gdzie strzelba?

- Jest tam, w domu.

- Powinieneś być ją zabrać. - Montane miał surową minę. - Kazano ci nosić ją ze sobą wszędzie.

To absurdalne, ale lęk Nicklina zastąpiło oburzenie.

- To wy wychodziliście pierwsi. Ty i twój kumpel powinniście...

Jego słowa zagłuszył następny odgłos kuli. Tym razem pocisk, odbiwszy się od pobliskiej skały, młóćąc ciepłe powietrze zawył jak oszalałe stworzenie. Nicklin nigdy dotychczas nie widział z bliska rykoszetu i był przerażony gwałtownością tego zjawiska.

- Idź po strzelbę - rozkazał Montane, przerywając ciszę, która po tym nastąpiła.

- Ale nie możesz tu zostać - rzekł Nicklin, zaczynając się czołgać.

- Zabiorę Gerla jak naj... - Montane z gniewną niecierpliwością machnął ręką. - Na miłość boską, człowieku, przynieś strzelbę.

Nicklin skinął głową i ześlizgnął się na skrawek odsłoniętej, stopionej ziemi. Na jego drugim końcu podniósł się na nogi i zbiegł jedyną oczyszczoną ścieżką, zeskakując beztrąsko przez napotykaną po dro-

dze odcinki schodów. W ciągu sekund dotarł do płaskiego gruntu i biegł co sił w nogach ku ozdobionej kolumnami fasadzie budynku.

„Czy to naprawdę się dzieje?” - zadawał sobie pytanie jakby po to, by nie myśleć o wysiłku fizycznym. - „Kto tam sobie urządził strzelani-
nę? Czy ktoś naprawdę chce nas zabić, czy może to po prostu zagubio-
na wyprawa myśliwska, kilku pijaków strzelających na chybił trafił do
wszystkiego, co się rusza, jedynie dla swojej cholерnej przyjemności?”

I tu Nicklin przypomniał sobie, że niewidoczna broń nie dawała
żadnego huku. Znaczyło to, że ten, kto tam był, stosował amunicję spa-
lającą część końcową, czyli w gruncie rzeczy miniaturowe pociski ra-
kietowe, które, mimo wątpliwej celności, cieszyły się powodzeniem u
niektórych myśliwych, ponieważ żaden podmuch z lufy nie straszył im
zwierzyny.

Nicklin uchwycił się myślami tej wersji i jakoś znajdował w niej
przebłysk otuchy. Najgorsza część kłopotów mogła już przeminąć, jeśli
ich sprawcami było kilku podpitych myśliwych: skończyli swą zabawę,
obleciał ich strach i zaczęli wycofywać się w krzaki. Ta myśl zaczęła
żyć własnym życiem, izolowała Nicklina od normalnie płynącego cza-
su, rozciągała swój jedyny motyw w monotonną fugę. Owszem, sprawy
wyglądały źle. Bez wątpienia sprawy wyglądały źle, zwłaszcza to, co
przydarzyło się biednemu Gerlowi - ale nie było aż tak źle. Mimo
wszystko nikt nie jest zabity. Twarz Gerla rzeczywiście została choler-
nie poszarpana, trzeba to przyznać, ale tak naprawdę nikogo nie zabi-
to...

Zdążyła upłynąć cała nicklinowska subiektywna epoka do chwili,
gdy dotarł do budynku, rzucił się w górę szerokich schodów, przez
otwarte drzwi, w cień holu. „Prawdopodobnie nawet nie będę musiał
tego użyć” - powtarzał sobie w myślach, chwytając strzelbę ze starego

dębowego stojaka. Nawet w tej pełnej napięcia chwili, mieszkający w Nicklinie miłośnik maszyn docenił lekkość broni.

Wybiegł na zewnątrz, w słoneczny blask, przysłonił oczy i przesunął wzrokiem po pagórku, pewien że zobaczy Montane'a i Kingsleya schodzących po zboczu. Nie było ich, nigdzie żadnych oznak ruchu. Sceneria miała coś z sennego, niedzielnego popołudnia, coś z krajobrazów Moneta. Nicklina zadziwiła ta atmosfera. A jeszcze większe zaskoczenie poczuł uświadamiając sobie, że od chwili, gdy pomknął ze szczytu pagórka, upłynęło zaledwie trzydzieści lub czterdzieści sekund.

To była rzeczywiście krótka chwila, tyle co nic dla kogoś, kto musi zająć się rannym czy dla myśliwego ostrożnie sunącego w ukryciu. Znowu zaczął biec. Wydawało mu się, że szybuje nad ziemią jak drapieżny ptak. Zdziczały ogród przemknął obok, wymyślnie zaprojektowane zbocze pagórka zniknęło w dole - i nagle Nicklin znalazł się z powrotem na pokrytej gruzem scenie dramatu. Montane klęcząc obok Kingsleya, pomagał mu wepchać chusteczkę do ust, ale prócz tego, podczas nieobecności Nicklina nic się nie zmieniło. Schylił się najniżej, jak mógł, pomknął naprzód i rzucił się na brzuch, obok Montane'a.

- No i co? - zadyszał. - I co?
- Wciąż to samo.
- Jesteś pewien?
- Widziałem kurz.

Montane rzucił Nicklinowi wyczekujące spojrzenie, spojrzenie, które ostatecznie zmiotło jego naiwną nadzieję, że mógłby zostać jedynie obserwatorem wydarzeń.

- W takim razie...

Umieścił strzelbę na wierzchu niskiego wału z ziemi i kamieni, a potem powoli wystawił głowę, zastanawiając się, czy jeśli rozwałą mu mózg miniaturową rakieta, to cokolwiek dojdzie do jego świadomości. Wciąż żył. Okolica pogrążona była w ciszy pod stojącym w zenicie słońcem, pulsowały jaskrawością wysokie trawy, zarośla i drzewa z płaskimi koronami. Wrogów nigdzie nie widać.

Lekko przesunął głowę, przenosząc oczy do strefy działania auto-celownika karabinu i scena natychmiast zmieniła się. Nie był to powiększony, acz przycięty obraz, jaki wytworzyłby tradycyjny system soczewek. Ten celownik analizował oraz opracowywał niedostępne człowiekowi, bardzo szerokie widmo częstotliwości, po czym przekazywał wynik bezpośrednio do siatkówki patrzącego i Nicklin zobaczył bezodblaskowy wizerunek wszystkiego, co znajdowało się przed nim. W tym dziwnym wszechświecie o zmienionych kolorach - widzianym przez jasnoniebieski krzyż z cienkich jak włos linii - liście były prawie przezroczyste. A między widmowymi trawiastymi zaroślami znajdowały się dwie figury ludzkie, płonące neonową różowością. Doskonale widoczne, obie leżały na brzuchu i pełzły ku wzgórzu węzowymi zygzakami. Ich oddechy wznosiły się pióropuszcami ku górze, jak sygnały dymne. Niedaleko za nimi stało drzewo, którego gruby pień, nieprzezroczysty dla celownika, zdawał się również emitować własne sygnały dymne.

Drzemiący w Nicklinie miłośnik techniki i gier komputerowych natychmiast zawładnął jego ciałem i umysłem. Ustawił przecięcie linii na bliższą z pełznących figur i nacisnął spust. Czoło Nicklina owiał ciepły podmuch, a figura nagle straciła swe ludzkie zarysy, stając się bezkształtną plamą, która wciąż rozmywała się w kłębach różowej, świe-

całej pary. W sekundę później, po przebyciu odległości dwustu metrów, nadszedł mokry, tępy dźwięk „łup-łup”.

Świadomość, że właśnie usłyszał odgłos wydawany przez eksplodujący korpus i wewnętrzne organy człowieka, przeraziłaby Nicklina, gdyby jego stan umysłu był normalny, ale trwała gra - a krzyż przesunął się już na drugą figurę. Nicklin znów nacisnął spust i tym razem - wśród plam zniszczenia - naprawdę zobaczył przez chwilę, jak klatka piersiowa obiektu, w który celował, rozwiera się gwałtownie, niczym nakręcane urządzenie mechaniczne.

- Czy sądzisz, że w coś trafiłeś?

U boku Nicklina pojawił się Montane i jego oczy - nieskuteczne organy biologiczne - ślepo błądziły po niewinnej, zalanej słońcem scenarii.

- O tak - zapewnił go Nicklin. - Trafiłem w coś.

Montane obdarzył go zatroskanym spojrzeniem.

- Może powinniśmy zejść i...

- Czekaj!

Nicklin, wciąż pod wpływem czarów autocelownika, skierował swą uwagę na otoczenie drzewa. Błyski różowej jasności poinformowały go, że osoba, która stała za pnem, biegła teraz i próbowała robić to tak, aby drzewo oddzielało ją od siewcy śmierci. Ale prawie natychmiast musiała ona ominąć krzak i z rozwianymi, długimi włosami, pojawiła się cała w nadludzkim polu widzenia Nicklina. Krzyż niebieskich linii natychmiast poćwiartował jej plecy, a palec Nicklina na spuście zareagował odpowiednim odruchem. Uciekająca figura rozpadła się. Oderwane ramię, wirując, odleciało w bok jak śmigło.

Niespodziewane uderzenie w ramię zaskoczyło Nicklina, przywołując go do realnego świata.

- Dlaczego to zrobiłeś? - Twarz Montane'a, była zniekształcona, oskarżająca. - Nie było to potrzebne.

- Dlaczego...! - Nicklin wskazał na Gerla Kingsleya, który podniósł się na kolana i macał palcami coś białawego, co wystawało mu z dziury w policzku. - Jego spytaj, czy było to potrzebne!

- Na miłość Boską, ten człowiek uciekał!

- Taa, żeby przyprowadzić resztę swego klanu! Co, do cholery, z tobą się dzieje, Corey? Zmęczyło cię życie? Czujesz, że to wszystko, to dla ciebie za wiele?

Fizjologiczne skutki sprintu z pagórka i z powrotem, widocznie uśpione dotychczas w ciele Nicklina, by mógł on pełnić rolę stabilnej podpórki karabinu, nagle ujawniły się. Jego oddech stał się szybki i głośny, a w ustach zgęstniała mu gorzka piana.

- Nie wiesz, co ten człowiek właściwie chciał zrobić -stwierdził Montane, potrząsając głową.

- Może przypomniał sobie, że nie zakręcił kranu w łazience - zasugerował Nicklin, przywołując na twarz swój uśmiech. - „Czy zabiłem trzech ludzi? Czy rzeczywiście zmieniłem w parę trzech ludzi? ”.

- Jesteś w stanie żartować? Jak możesz żartować? -To łatwe - odrzekł Nicklin, zdecydowany, że nie ścierpi więcej pytań ani z zewnątrz, ani wewnętrznych. - Wystarczy tylko pamiętać, że każdy jest tylko gównem.

- Musimy odtransportować Gerla do lekarza - powiedział Montane po chwili milczenia.

Odwrócił się, ale zanim to zrobił, rzucił Nicklinowi długie spojrzenie. W jego oczach nie było nienawiści, której Nicklin oczekiwał i którą mógłby się rozkoszować. Była w nich natomiast pogarda.

ROZDZIAŁ 13

Wraz z nadejściem jesieni wiele się zmieniło, a najbardziej wygląd samego wzgórza. Kiedyś pagórek był prawie idealnym owoidem. Teraz pozbawiono go niemal całkowicie górnej połowy, jakby to było olbrzymie jajo, które ktoś postanowił spożyć, zaczynając z boku. Dolną połowę skrywało osypisko utworzone z cegieł, tłucznia, gliny i poszarpanych fragmentów stopionej ziemi. Z gruzów wystawał cały główny cylinder *Liscarda*, wraz z wyglądającą jak zabawka szalupą, zawieszoną pod częścią dziobową. Kadłub głównego statku, pokryty obficie żółtawymi osadami mineralnymi, zasłaniały miejscami rusztowania, plastikowe osłony przed deszczem i ławice drabin.

Dokopanie się do statku zabrało znacznie więcej czasu, niż to przewidywał Montane i wszyscy inni związani z tą pracą. Po stłuczeniu zewnętrznej skorupy szybko przekopano się przez około metrową warstwę ściśniętego wypełniacza - ale natrafiono tylko na drugą skorupę, również z zeszlonej ziemi. Montane powściągał swą naturalną niecierpliwość, pocieszając się, że podczas tych siedemdziesięciu lat uwięzienia jego statek był doskonale zabezpieczony, ale nawet on osłupiał, gdy odkryto trzeci pancierz.

Wyglądało na to, że niepokieszony Ves Fugaccia uczynił wszystko, by grób jego młodej żony był równie nienaruszalny, jak grób starożytnej księżniczki egipskiej. Okazało się, że trzecia skorupa jest już ostatnią - pod nią był tylko czysty piasek - ale nawet po tym natrafiono na dalsze przeszkody przy wejściu do statku. Wszystkie trzy drzwi na górnej powierzchni cylindra były zespawane na całej linii łączącej je z

pokładem. Montane nie chciał ich uszkodzić narzędziami tnącymi. Począł więc, aż zostaną odkryte boczne drzwi cylindra, które również okazały się przyspawane. Nicklin wspinał się ku statkowi i w świetle bladożółtego, jesiennego słońca zobaczył, że w końcu udało się sforsować jedne z bocznych drzwi. Przecinak walencyjny zadziałałby zbyt brutalnie i nieselektywnie, dlatego zastosowano staromodny palnik acetylenowotlenowy w nadziei, że uda się skłonić stop spawalniczy, by ustąpił, nie czyniąc zbytnej szkody połączonym przezeń konstrukcjom. Zza muru stworzonego przez mężczyzn i kobiety, którzy przerwali pracę, by obejrzeć całą tę operację, tryskały od czasu do czasu snopy żółtych iskier.

Zgromadził się spory tłumek i to przypomniało Nicklinowi o innej zmianie, zmianie, jakiej nigdy nie przewidywał. Wkrótce po odsłonięciu górnej części *Liscarda*, dziennikarze zainteresowali się postępem robót i zaczęli odwiedzać miejsce prac, przylatując lekkimi samolotami i śmigłowcami. Zrobili oni Montane'owi reklamę, w wyniku której sporo osób, poruszonych tym, co Montane głosił, chciało dla niego pracować, bądź zamówić miejsca na przelot do Nowego Edenu dla siebie i swoich rodzin. Znaczna część osób z tej grupy gotowa była uczynić to samo co Nicklin: spieniężyć swoje majątki wkupić się do projektu.

Jednym z pierwszych był Scott Hepworth, fizyk z Instytutu Garmonda, który pewnego ranka przybył piechotą z Altamury. Montane i Nicklin siedzieli na frontowych schodach rezydencji, dyskutując o zakupie wyposażenia pralni, kiedy zbliżył się do nich pulchny, czerwony na twarzy i spocony mężczyzna około sześćdziesiątki...

- Pan Montane? - zapytał nowo przybyły. - Nazywam się Scott Hepworth, jestem wysokiej klasy fizykiem i chcę dla pana pracować.

- Wszyscy mówią do mnie Corey - odrzekł Montane z krzywym uśmiechem. Nicklin znał już dobrze ten jego wyraz twarzy, który sugerował, że Montane jest najpokorniejszym z demokratów. - A to jest Jim Nicklin. Czy zechce pan przez chwilę z nami posiedzieć?

- Dziękuję. - Hepworth skinął głową Nicklinowi, usadowił się, wziął chusteczkę i zaczął wycierać szyję.

- Sądzę, że jestem już za stary, by włączyć się w takim upale.

Montane miał współczującą minę.

- Napije się pan herbaty?

- Herbaty! - Na okrągłej, pulchnej twarzy Hepwortha pojawił się wyraz niesmaku. - To pragnienie, które mnie dręczy, można ugasić tylko dżinem z tonikiem. Każda pośledniejsza mikstura byłaby obelgą dla kubków smakowych, które wiernie służyły mi przez tyle lat, że aż nie chciałbym o tym pamiętać. Nie przypuszczam, byście...

- Nie wierzę w mocne napitki - stwierdził Montane.

Nicklin, który wcześniej nastawił się, że nie będzie

lubił nowo przybyłego, głównie z powodu jego apodyktycznego zachowania, postanowił teraz nie śpieszyć się z wnioskami. Wielu innych ludzi - nie wyłączając poprzedniego Jima Nicklina - przypochlebiałoby się ewentualnemu pracodawcy, udając, że uwielbiają herbatę, ale Hepworth natychmiast się wychylił i stwierdził, że lubi wódkę. Jak na pierwszą, informacyjną rozmowę - metoda okropna, ale pokazująca, że ma się do czynienia z człowiekiem niezależnym.

Nicklin dyskretnie obserwował Hepwortha i z zainteresowaniem zauważył, że nie przypomina on innych uczonych z uniwersytetu, znanych ze swego konserwatyzmu i przestarzałych poglądów. Jego lekki, tani garnitur był źle dopasowany. I nie był to „garnitur znoszony ale dobrze skrojony”, jak mówił oklepany zwrot powieściowy, sugerujący,

że bohater pochodzi z właściwego środowiska, ale „padł ofiarą okoliczności”. Ten garnitur od początku był do niczego, a czas nie dodał mu zalet. Strój uzupełniała pomięta koszula i porządnie zdarłte sandały.

Nicklin ocenił, że Scott Hepworth miał w sobie coś z dziwaka i jako takiemu powinno mu się dodawać otuchy.

- Mam trochę dżinu w pokoju - rzekł, wstając z miejsca. - Lód i plasterki cytryny?

- Z wszystkimi upiększeniami, chłopcze - stwierdził Hepworth. Sprawiał wrażenie, że jest głęboko wdzięczny.

Nagrodzony pełnym dezaprobaty spojrzeniem Montane'a, Nicklin pośpieszył do swego pokoju przygotować drinka. Nie był szczególnym amatorem dżinu; kupił go, gdyż było go łatwiej przywieźć z miasta niż piwo. Teraz jednak nalał również sobie sporą porcję, wiedząc, że jeszcze bardziej dokuczy tym Montane'owi. Wrócił na frontowe schody i usłyszał, jak Montane pyta gościa, dlaczego opuścił on Garmond.

- To nie był wolny wybór - odpowiedział beztrąsko Hepworth. - Wyrzucono mnie. - I jak gdyby istniała jeszcze jakaś wątpliwość, co chciał przez to powiedzieć, dodał: - Pokazano mi drzwi. Dano kopniaka.

Nicklin, nastawiony już do mężczyzny zdecydowanie przychylnie, mrugnął znacząco, kiedy mu wręczał pokrytą rosą szklanę. Hepworth wziął ją ochoczo, ale nie wychylił jej od razu, tylko uniósł do nosa i głęboko wciągnął aromat.

- Czy mogę zapytać, dlaczego uniwersytet uznał za stosowne zrezygnować z pańskich usług? - zapytał Montane.

Napuszone słowa i zimny ton wypowiedzi świadczyły o tym, że Hepworth nie zrobił na nim dodatniego wrażenia.

- Kłóciłem się - niektórzy nazywali to ciągłą walką - z szefem mego wydziału. - Hepworth uśmiechnął się do swojego drinka, jakby wspominał coś szczególnie miłego. - Próbował pokazać mi drzwi już od bardzo dawna i w końcu dostarczyłem mu świetnego pretekstu.

- O co się pan kłócił?

- Natrafiłem na pewne dowody, że Orbitsville przeskoczyło do innego wszechświata, ale Profesor Phair nie zgadzał się z moją interpretacją.

- Innego wszechświata! - Montane w sposób widoczny zeszywniał. - Czy to coś nowego? Powiedziano nam już, że cały świat został przeniesiony.

- Tak, ale nie aż tak daleko. - Hepworth przerwał i pociągnął drinka, rozkoszując się nim. - Nie mówię o jakimś nadprzestrzennym przejściu do odległej części starego, znajomego kontinuum. Powiadam, że wskoczyliśmy w zupełnie inne kontinuum - wszechświat z antymaterii, z odwróconym czasem.

- Ale... - Montane spojrział bezradnie na Nicklina.

- To wspomniała idea - stwierdził Nicklin, przypominając sobie mętnie, że już dyskutował podobne koncepcje z Zindee White - ale co z tymi statkami, których właśnie zaczyna się używać na trasach między portalami? Przecież zgarniają one po drodze jony, które powinny rozerwać je na strzępy?

Hepworth potrząsnął głową.

- Widzę, że zastanawiał się pan trochę nad tym, ale w pańskim modelu statki w ogóle nie mogłyby funkcjonować. Jeśli byłyby one znajomymi statkami z materii hadronowej, które przeniesiono do

wszechświata z antymaterii, ich pola zgarniające odpychałyby otaczające cząsteczki antymaterii. Ja twierdzę, że nasze umiłowane Orbitsville i wszystko co się w nim znajduje - łącznie z nami trzema - zostało przełączone podczas procesu przenosin do innego wszechświata. Również ciśnięto nas około czterdziestu miliardów lat wstecz w czasie, ale odłóżmy na chwilę tę sprawę. Moją główną tezą jest, że my sami teraz składamy się z antymaterii. Nasze statki też składają się z antymaterii - tak więc wszystko funkcjonuje tak jak przedtem.

- W takim razie - odrzekł Nicklin, pokonując oszołomienie - nie byłoby żadnego sposobu wykrycia takiej zmiany.

- Też tak samo bym najprawdopodobniej twierdził dwa tygodnie temu. - Hepworth znów pociągnął łyk, tym razem głębszy. - W czasie ostatnich trzech lat, od czasu do czasu, brałem się za projektowanie superczułego miernika przepływu, nadającego się do ciekłego tlenu. Musiał zawierać własne źródło elektronów, więc postanowiłem zastosować radioaktywny kobalt. Wiązało się to z wieloma trudnościami technicznymi, których nie będę omawiał, ponieważ są zbyt nudne, ale kobalt 60 nadawał się doskonale, gdyż jego jądra rozsiewają więcej elektronów z południowych biegunów niż z północnych.

W normalnych warunkach wszystko wzajemnie się równoważy, ale jeśli właściwie ochładzać materiał, można użyć sił magnetycznych, żeby ustawić wiele atomów - i dostajesz bryłę metalu, która wypuszcza więcej elektronów z jednego końca niż z drugiego.

Hepworth przerwał. Jego oczy czujnie mrugały, obserwując twarze słuchaczy.

- Czy coś wam dzwoni w głowach? Może dzwonek szkolny?

Nicklin, bardzo chcąc, by Montane poczuł się przy nim jak tępak, gorączkowo przeszukiwał swą pamięć.

- Czy nie przeprowadzono słynnego eksperymentu z kobaltem 60... jeszcze na Ziemi... trzysta lub czterysta lat temu.

- Rzeczywiście, przeprowadzono! - potwierdził Hepworth. - Eksperyment, który dowiódł, że wszechświat nie jest symetryczny! Możecie się domyślać, co poczułem w zeszłym tygodniu, kiedy wyciągnąłem mój miernik przepływu z szafki, gdzie spoczywał leniwie przez większą część roku, i odkryłem, że mój strumyk elektronów wychodzi w innym kierunku!

Nicklin wewnątrz nie godził się zaakceptować konsekwencji tego, co właśnie usłyszał.

- Może źle pan ustawił przyrząd.
- To właśnie próbował mi imputować profesor Phair
- Hepworth uśmiechnął się lekko do swoich wspomnień.
- Na chwilę przedtem nim walnąłem go pięścią w gardło.

Montane cicho chrząknął z dezaprobatą.

- Nie łapię tego - rzekł Nicklin. - Oczywiście, jeśli naprawdę wszystko zostało we wszechświecie odwrócone, czas również, to wszystkie procesy i wzajemne powiązania pozostały niezmienione i nie byłby pan w stanie wykryć tej zmiany. Jeśli pański strumień elektronów wskazywał na drzwi laboratorium przed Wielkim Skokiem, to również wskazywałyby na drzwi laboratorium po Wielkim Skoku.

Uśmiech na twarzy Hepwortha nie zniknął ani na chwilę.

- Zapomina pan, że parzystość nie jest zachowana w słabych oddziaływaniach jądrowych.

- Czyżby?
- Tak. Czy ma pan stopień naukowy z fizyki jądrowej?

- Jedyne stopień, który mam, to ten na którym siedzę - rzekł Nicklin. - I jest mi na nim coraz mniej wygodnie.

- To wszystko wyjaśnia.

Mając nieprzyjemne uczucie, że nie rozumiał istotnego szczegółu, Nicklin wpatrywał się w pulchną twarz Hepwortha. Zaczął błędzić myślami, kiedy zauważył, że Hepworth ma olbrzymiego wągra z boku nosa. Umiejscowiony tam, gdzie nos przechodzi w policzek, miał lekko niebieskawe jądro i był tak wielki, że tworzył widoczną plamkę. „Jak on może się pokazywać z taką rzeczą na twarzy” - zastanawiał się Nicklin, mając myśli zaprzątnięte tą nieistotną sprawą. - „Dlaczego, na miłość Boską, tego nie wycisnie?”

- Coś cię gnębi, Jim? - łagodnie spytał Hepworth.
- Ten aspekt czasowy zabił mi klina - rzekł Nicklin.

Postanowił nie robić obraźliwych komentarzy osobistych. Nie miał już oporów przed takim zachowaniem, zwłaszcza od dnia, kiedy w ciągu dziesięciu sekund rozwalil trzy istoty ludzkie, ale po co miałyby zrażać sobie kogoś, kto może okazać się interesującym kompanem.

Ciekawi rozmówcy byli rzadkim gatunkiem wśród pracowników misji, a tych kilku, którzy mieli coś do powiedzenia, nie chciało z nim rozmawiać.

- Czas jest jedną z tych podstawowych nieuchwytnych rzeczy - oznajmił Hepworth z patosem godnym bezrobotnego aktora, którego nikt nigdy nie zaangażuje. Wsuszył swą szklankę i oczy jego spoczęły przez chwilę na nie tkniętym napitku Nicklina. Nicklin, który już dawno nie miał kontaktu z bratnią duszą, natychmiast wręczył mu szklankę.

- Nieuchwytny to właściwe słowo - rzekł. - Skąd wziął pan czterdzieści miliardów lat?

- Mogę pana zapewnić, że nie wyciągnąłem ich z kapelusza - Hepworth, rozgrzewając swe gardło do działania, jednym haustem

przełknął połowę drinka. - Teoria Richarda Gotta, historyczna już teraz, zakładała, że Wielki Wybuch stworzył dwa wszechświaty - jeden, w którym niedawno mieszkaliśmy, który posuwał się w czasie naprzód; drugi, w którym teraz się znajdujemy, gdzie czas płynie wstecz. Wszechświat Regionu Jeden, jak nazywał go Gott, trwał już około dwudziestu miliardów lat. Ten zaś wszechświat, Region Dwa, ma, zdaje się, ten sam wiek. Rozsądnie jest więc przyjąć, że skoczyliśmy wstecz jakieś czterdzieści miliardów lat.

- Symetria w tym założeniu posiada pewien urok dla...

- To wszystko jest bardzo interesujące - wtrącił Montane oschłym tonem głosu, świadczącym o znudzeniu - ale obawiam się, że praca tutaj wymaga raczej praktycznych umiejętności niż... Mógłbym przy okazji zapytać, czy jest pan wierzący? Czy akceptuje pan moje posłanie, że Orbitsville to pułapka, którą Szatan zastawił dla Bożych dzieci?

Hepworth parsknął.

- Tak samo wierzę w inną wielką trójcę: Królową Śnieżkę, Kopciuszka i Czerwonego Kapturka.

„Pięknie powiedziane, Scott” - pomyślał z żalem Nicklin - „ale twoja metoda zabiegania o pracę robi się coraz gorsza.”

- W takim razie, sądzę, że nie powinniśmy zajmować sobie wzajemnie więcej czasu - rzekł Montane. - Chyba, że zachodzą jakieś inne okoliczności...

- Okoliczności?

- Corey chce wiedzieć, czy ma pan jakieś pieniądze - podpowiedział Nicklin.

- Ani grosza! - Hepworth był chyba równie dumny z tego, że jest bankrutem, jak z tego, że wyrzucili go z pracy. - Ani miedziaka, ani sze-

ląga, ani nawet tynfa. -Obdarzył Nicklina zaskoczonym spojrzeniem. -
Czyżbym wyglądał na osobę majątną?

Montane położył ręce na kolanach - znak, że podjął ostateczną decyzję, i podniósł się.

- Przykro mi, że na próżno podróżowałeś, Scott.

Hepworth nawet nie drgnął.

- Kiedyś produkowałem silniki strumieniowe, takie same, jakie macie tam na statku. Umiem też je naprawiać i konserwować. Mogę także, w razie potrzeby, służyć za pilota.

Podchodząc na zbocze, Nicklin patrzył przed siebie i zobaczył Hepwortha wśród tłumu czekającego na otwarcie *Liscarda*. Fizyk za większość otrzymanego wynagrodzenia kupił puchowy płaszcz. Ubiór ten miał jaskrawy zielono-żółty odcień i sprawiał, że Hepworth był łatwo rozpoznawalny nawet z daleka. Montane, Kingsley i Affleck też tam czekali razem z wieloma ludźmi, których nazwisk Nicklin jeszcze nie poznał. Brakowało tylko tej jednej osoby, którą naprawdę chciał zobaczyć.

Nieobecność Danei Farthing to bezpośrednia konsekwencja tego, że szanse misji poszły w górę. Po pierwsze uzyskali rozgłos. Nie dość, że był darmowy, to jeszcze agencje prasowe i rozgłośnie telewizyjne były gotowe płacić znaczne sumy za wywiady i prawa do filmowania.

Zaprezentowanie się całemu światu przyniosło trochę wsparcia moralnego i finansowego. Potem zagadkowe zielone linie znów zaczęły królować w nagłówkach - odkryto, że są widoczne na zewnątrz skorupy Orbitsville. Zainteresowanie i poparcie dla sprawy Montane'a gwałtownie wzrosło.

Nicklin niezbyt dobrze rozumiał, dlaczego sprawozdania spowodowały tak powszechny niepokój. Może dlatego, że również na krótko

przed tak zwanym Wielkim Skokiem zielona luminescencja przemykała zewnętrzną stroną Orbitsville. Albo, co jest bardziej prawdopodobne, dlatego, że zauważono, iż związane z liniami pole siłowe osłabia każdy materiał, przez który przechodzi. Wnioskowano, że jeśli takie pole potrafi przeciąć budynek, to może robi właśnie to samo ze skorupą Orbitsville.

Nie miało znaczenia, że hilem, materiał skorupy, przez dwieście lat opierał się najgwałtowniejszym atakom techniki i że nie udało się go nawet zadrapać. Istniały pewne typy osobowości ludzkich, przykładem tego był sam Montane, którzy zawsze mieli skłonności do paranoi i pesymizmu. Każde niezwykle wydarzenie przyjmowali jako znak. Tacy ludzie widzieli zwiastuny zagłady w fakcie obfitego rojenia się chrząszczy, w tym, że ze ściany w salonie spadł portret i w zbyt wczesnym zmięczeniu przed gwałtowną burzą.

Stanowili mniejszość, a tylko drobny ułamek tej mniejszości miał dostateczną motywację, by podjąć jakieś działania, ale w porównaniu z poprzednim zakresem misji była to lawina. Montane'a zalały nagle pieniądze i nowe obowiązki. Okazało się, że trzeba otworzyć biuro w Beachhead, by odpowiadało na liczne zapytania o lot do Nowego Eden i by prowadziło obsługę prawną związaną z darami i zapisami.

I, ku irytacji Nicklina, Montane powierzył Danei specjalne zadanie - pracę wymagającą ciągłych wyjazdów, która polegała na dyskretnym zbieraniu informacji na temat osób starających się o wyjazd i ich rodzin. Nicklin nie miał pojęcia, w jaki sposób kwalifikowano kogoś jako potencjalnego założyciela nowej rasy, a nawet jeśli taka kwalifikacja była możliwa, bardzo wątpił, czy akurat Danea jest właściwą osobą do podobnych badań. Potrafiła ocenić obcych jednym spojrzeniem -

świadczyło o tym jego własne, gorzkie doświadczenie - ale oszacować ich współczynnik Adama-i-Ewy...?

Nicklin był niezadowolony z tego, że plany wywarcia zemsty na Danei poplątały się nieco. Jego poprzednie podejście było zbyt bezpośrednie, zbyt brutalne. Teraz chciał postępować łagodnie. Jeżeli mógłby ją ujarzmić, udając dżentelmena, uwodząc ją skruchą, humorem, troską i uprzejmością, zastosowałby te metody. Można by posunąć się nawet do małżeństwa. I dopiero wtedy - kiedy ona byłaby całkowicie na to nieprzygotowana, kiedy ich stosunki stałyby się lustrzanym odbiciem tego, co istniało między nimi na samym początku - pokazałby jej, jak to jest, gdy zostaje się naprawdę zniszczonym przez właśnie tę jedyną osobą, którą nieopatrznie się pokochało.

Nowy plan, lepszy od starego, miał miły posmak prawdziwego zła, ale wprowadzenie go w życie było prawie niemożliwe, jeśli stale nie miało się ofiary w pobliżu.

Nicklin próbował przestać myśleć o Danei. Dotarł do miejsca, gdzie kończyła się nie ruszona powierzchnia, a zaczynało błoto, gruz i śliskie drewniane chodniki. Z tego punktu stumetrowy statek przypominał jakąś strukturę skalną, coś, co leżało pod ziemią od zawsze. Nie sposób sobie wyobrazić, jak to ogromne metalowe wykopaliśko porusza się metr za metrem po szosach na wielokołowych ciężarówkach, nie mówiąc już o tym, że mogłoby przemykać się jak duch przez przestrzeń z szybkością nadświatłą.

Nicklin przeszedł po deskach, obok których z ochronnego piasku wystawał wierzch cylindra lewego silnika. Kiedy zbliżył się do grupy otaczającej palnik, tylko jedna osoba, Gerl Kingsley, zareagował na jego przybycie. Kingsley nie miał żadnych wątpliwości, że Nicklin postąpił słusznie, zabijając uciekającego napastnika, i od tamtego

czasu był dla Nicklina jawnie przyjacielski. Wciąż jednak mówił z wielkimi trudnościami i jego konwersacja ograniczała się przeważnie do mrugnięć i pozdrowień gestami oraz okazjonalnych szeptów: „Po-
la irygacyjne, co, Jim!”

To hermetyczne pozdrowienie, nawiązywało do pewnego komentarza, który Nicklin wygłosił, kiedy jakaś kobieta, odczuwająca boleśnie porażkę w sprzeczce z Nicklinem, zapytała, czy nie ma on wyrzutów sumienia z powodu zabicia troga bliźnich. „Ani krzty - to co zrobiłem, to tylko wysłanie trzech gówieńek na wielkie pola irygacyjne, tam w niebie”. Szybkość, z jaką jego uwaga rozeszła się wśród pracowników misji, sprawiła Nicklinowi przyjemność. Dzięki temu uczucie antypatii, które żywili do Nicklina praktycznie wszyscy, odnowiło się; wyjątkiem była Christine McGivern, na którą uwaga ta działała chyba jak afrodyzjak i stymulowała jej naturalną pomysłowość, kiedy razem przebywali w łóżku.

Całe zdarzenie wydawało się teraz Nicklinowi nierzeczywiste, zwłaszcza po tym, jak Petruzzicho, miejscowy szeryf, nie potrudził się nawet, by opuścić miasto w celu obejrzenia ciał.

- Mam wrażenie, że natknęliście się na braci Lucci. Nikt w okolicy nie będzie zbyt żałował tych typów -stwierdził. - Zawrę z tobą umowę, Jim - ty pochowasz dowody rzeczowe, a ja będę uważał całą sprawę za zamkniętą.

Nicklin zrobił to, o co go proszono, i akurat ta część wydarzenia zupełnie nie wyblakła w jego pamięci. Podczas tej ponurej godziny, gdy chował szczątki, rzygał tak często i gwałtownie, że pod koniec pluł świeżą krwią. Postanowił nie wspominać nikomu o tych niepokonanych objawach nadwrażliwości, czując, że nie pasowałyby to do jego powszechnego wizerunku.

Kiedy dotarł do grupy, zauważył, że kobieta pracująca palnikiem acetylenowym prawie całkowicie okrążyła już szew drzwi. Trzymając fachowo dyszę palnika pod kątem ostrym do linii cięcia, topiła stop spawalniczy i oddmuchiwała go w ulewie iskier, czyniąc minimalną szkodę kadłubowi okrętu. Kiedy odfrunęła ostatnia kropelka stopionego metalu, kobieta odstaąpiła od drzwi. Jej palnik pykał głośno po wyłączeniu. Miejsce przy drzwiach zajął Montane.

Kaznodzieja miał na sobie znajomy brązowy, długi płaszcz, zapięty pod samą szyję. Panujące zimno zdawało się wcale na niego nie działać, mimo że stał obok przez długi czas. Montane usiłował wyglądać spokojnie, ale usta wykrzywiały mu się, wyrażając tłumione poczucie triumfu. Dłonią w rękawiczce ujął dźwignię we wnęce drzwi i, przy aplauzie widzów, pociągnął ją w dół. Klamka ani drgnęła. Przycisnął ją całym ciężarem ciała, ciągnąc i pchając, ale mimo wszystkich jego wysiłków drzwi pozostały niewzruszone.

„Ojej, jak mogłeś uczynić taką rzecz, Gazowy Kręgowcze? ” - pomyślał Nicklin z uśmiechem. - „Wziąłeś i spaskudziłeś wielką chwilę Coreya! ”

Nie próbując skryć swego rozbawienia, Nicklin postął jeszcze obok ze dwadzieścia minut, podczas których wydłubywano ze szpary drzwiowej uparte fragmenty metalu i wtryskiwano do mechanizmów kolejne porcje oleju penetrującego. W końcu, pod wpływem sumarycznego wysiłku trzech mężczyzn, odciągnięto drzwi i odsłonięto prostokątną śluzę powietrzną.

Nicklin chyłkiem przemknął do pierwszego rzędu widzów. Był gotów mszyć naprzód razem z nimi, ale zrezygnował, kiedy zobaczył, że jedynie cienka kładka prowadzi do wewnętrznych drzwi śluzy, które już były lekko rozchylone. Dwa metry poniżej znajdowała się „podło-

ga”, ozdobiona dziwacznie drukowanymi ulotkami, urządzeniami łączności i tarczami przyrządów, które wskazywały, że podłoga rości sobie również pretensje do miana „ściany”. Przypomniawszy sobie, że statki kosmiczne zaprojektowano tak, by wytwarzały swą własną grawitację przy pomocy przyśpieszeń i opóźnień. Przesłono-we pokłady *Liscarda* były obecnie prostopadłe do ziemi, a wąska kładka, która ułatwiała komunikację wewnętrzną, znajdowała się tam tylko dlatego, że w czasie śmierci Apryl Fugacci statek przebywał w lądowym doku.

Oceniwszy położenie, Montane odwrócił się ku zgromadzonym i wznosił ramiona.

- Przyjaciele, czekaliśmy długo na tę chwilę - dla niektórych trwało to lata - i pragnę podziękować wam za tę całą ciężką pracę, jaką wykonaliście dla misji. Bóg zaczął nagradzać nas za te wysiłki. W końcu nadszedł moment, gdy wkroczymy do tej arki, którą uznał za stosowne nam przygotować, ale proszę, byście pamiętali o pewnej rzeczy.

Ten okręt, to coś więcej niż narzędzie naszego ocalenia. To także prawdziwy grobowiec i będąc w nim, musimy zachowywać się odpowiednio - tak jak zachowywalibyśmy się na każdym kawałku poświęconej ziemi.

Montane przerwał, obdarzając zgromadzonych poważnym spojrzeniem.

- Na wstępie czeka nasz jeszcze jedna udreka. Musimy usunąć ze statku doczesne szczątki Apryl Fugacci i z należnym szacunkiem przenieść je na miejsce ostatecznego spoczynku, po czym...

„Poświęcona ziemia, doczesne szczątki, miejsce ostatecznego spoczynku” - Nicklin znudzony tą retoryką próbował w myślach ułożyć aforyzm. „Sztuka retoryki religijnej polega na łączeniu maksymalnej

liczby oklepianych wyrażen z minimum... chwileczkę... świeżych struktur językowych między nimi? Nie, to ostatnie jest zbyt napuszone, nie dość jędrne. Dziewiczej gramatyki? To jeszcze gorsze. Teraz wiem, jak czuł się Oskar Wilde, kiedy... ”

Nicklin porzucił komponowanie i z zaniepokojeniem uświadomił sobie, że Montane patrzy mu przenikliwie w oczy.

- Oczywiście, jako wyznaczony przez Boga przewodnik tej misji biorę na siebie przeniesienie ciała, ale będę potrzebował pomocy jeszcze jednej osoby — oświadczył Montane ze wzrokiem wciąż utkwionym w Nicklinie. -Chodźmy, Jim.

Włączył przenośną lampę i natychmiast ruszył przez kładkę. Nicklin zaklął w duchu. Musiał przyznać, że kaznodzieja znowu zyskał punkt w ich prywatnym pojedynku. Szarpanina z trupem martwym od siedemdziesięciu lat to ostatnia rzecz, jakiej pragnął, ale Zabójca Nicklin nie mógł wykręcić się od tej pracy na oczach połowy misji. Był przecież, mimo wszystko, człowiekiem z kamienia.

- Mam nadzieję, że nie potrwa to długo - rzekł, przepychając się przez grupę widzów. - Cholernie chce mi się jeść.

Kiedy ze słońca wszedł za Montanem w zacienione wnętrze statku, ze zdziwieniem stwierdził, że w powietrzu unosi się zapach jakby zwiędłych liści. Tak przyziemny zapach, w którym chyba również wyczuwało się leciutką woń grzybów, był czymś nieoczekiwanym w potrójnie zabezpieczonym grobowcu. Szybko jednak przestał zwracać na to uwagę, gdyż Jock Craig, elektryk, niosący naręczę lamp, wpadł na niego z tyłu. Petra Davies, podobnie obładowana, szła tuż za nim.

Grupa przesuwała się powoli naprzód przez wnętrze statku. Elektrycy rozszerzali oświetlony obszar, przymocowując miniaturowe słońca gdzie tylko się dało. Pierwsze wrażenie Nicklina było znie-

kształcone, gdyż szedł po płaszczyznach, które w normalnych warunkach stanowiły ściany pomieszczeń. Jeszcze bardziej komplikowała wygląd otoczenia pajęczyna rusztowań i pomostów, wyglądająca, jakby prace na niej przerwano tylko na chwilę.

Montane prowadził i musiało to być dla niego dość trudne, ale Nicklin miał duże kłopoty z dotrzymaniem mu kroku, kiedy mijali jeden pokład po drugim. Dognał go w miejscu, gdzie pomost przechodził nad okrągłym lukiem, którego położenie wskazywało, że prowadził w dół, do szalupy. Obaj mężczyźni opuścili się na otaczającą luk ścianę, z której grawitacja uczyniła obecnie podłogę.

Starając się nie deptać po tablicach wskaźników ani po dźwigniach, otworzyli luk i odsłonili krótką, ciemną studnię. Światło wlewające się do niej, ukazało następne okrągłe drzwi, już otwarte jakby w niemym zaproszeniu do szalupy...

Oszczędni spadkobiercy Vesa Fugacci byli zachwyceni, że nadarza im się okazja sprzedania posiadłości Altamura, ale resztki przyzwoitości kazały im postawić pewne warunki. Mały cmentarzyk rodzinny z tyłu domu nadal pozostawał ich własnością, a ciało Apryl Fugaccii miało być tam pochowane z całym należnym szacunkiem. Chociaż w ich oczach Corey Montane nie miał żadnych kwalifikacji kapłana, zgodzili się, by poprowadził ceremonię pogrzebową. To ustępstwo sprawiło Montane'owi przyjemność, której nie zepsuła nawet sugestia Nicklina, że sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby tragicznie zmarła panna młoda została nawrócona na prawdziwą wiarę starego Rzymu.

Nicklin gotów był jeszcze mocniej zademonstrować swój sceptycyzm, nie biorąc udziału w ceremonii pogrzebowej, gdyby nie zaskakujące przeżycie wewnętrzne. Drobną figurą Apryl Fugaccii na lewym siedzeniu sterówki szalupy, wciąż odziana w zrobiony na specjal-

ne zamówienie skafander, natchnęła go nagłą i obezwładniającą myślą, że przeszkadzanie jej jest czymś karygodnym.

„Już ubrana do wyjścia, a nie może wyjść” - stwierdził w duchu, lecz żadne myślowe kalambury nie zdołały złagodzić uczucia, że Gazyowy Kręgowiec zrobił jej wystarczająco wiele kawałów, że jeszcze jeden - to o jeden za dużo. Od chwili narodzin Nicklina, przez cały czas jaki pamiętał, ona tutaj siedziała, w cichej czerni... pilotując swój drogi statek kosmiczny w Zaranie Nicości... i zgodnie z naturalnym prawem ten bezcelowy, bezsensowny, piękny lot powinien być trwać wiecznie. Nie powinna być sprowadzana na ziemię przez kaznodzieję - maniaka, którego przywiódł tu rozbrykany, moralnie zwichrowany pomocnik.

Zatem Nicklin wziął udział w ceremonii pogrzebowej, podczas której zimne powietrze napływało z bezkresnych sawann Orbitsville. Potem pił dżin razem ze Scottem Hepworthem, aż do chwili, gdy całkowicie przestał odczuwać smak trunku.

ROZDZIAŁ 14

Przetransportowanie *Liscarda* z Altamury do Beachhead zajęło prawie rok. I na którymś etapie tej przykrej i frustrującej wędrówki Nicklin zakochał się w tym olbrzymim i mało pociągającym statku.

Tara - jak brzmiała nowa, nadana przez Montane'a, nazwa statku - widoczna była doskonale z frontowego okna biura misji w Beachhead. Nicklin jednak nie dostrzegał nic w jej wyglądzie, co mogłoby wyjaśnić jego zaangażowanie uczuciowe. Struktura trzycylindrowa, wprowadzona ponad trzy wieki temu przez historyczną Korporację Starflight,

przetrwiała, gdyż okazała się bardzo skuteczna, lecz nawet najbardziej romantyczni entuzjaści musieli przyznać, że ten układ jest brzydki. Śnieg lepił się do górnych powierzchni *Tary*, wirował dookoła ruszto- wań, tworzył brudne zaspę pod cylindrami napędowymi, nadając stat- kowi wygląd zarzuconej, opuszczonej konstrukcji drogowej. Szalupa, która nedorzecznego strukturze nadałaby szczyptę opływowej wspa- niałości, została odczepiona spod sekcji dziobowej i przewiezio- na osobno.

Nicklinowi statek wydawał się teraz jeszcze mniej zdolny do lotu niż przedtem, ale czuł do niego tę szczególną namiętność, jaką wyka- zują pewni ludzie w stosunku do urządzenia, które zaprojektowano po to, by wykonało trudne zadanie i które posiada wszelkie możliwości, by to zadanie doskonale wypełnić.

A cały romans zaczął się pod złymi auspicjami.

Kiedy koparki obnażyły bliźniacze cylindry napędowe, na których statek spoczywał podczas swego długiego uwięzienia, okazało się, że Ves Fugaccia zrobił błąd, jaki często robili obsesyjni budowniczowie monumentów na przestrzeni całych dziejów. Był tak zdecydowany, by uczynić grobowiec żony niedostępnym, że owijał go masywnymi warstwami ochronnymi, warstwa po warstwie, i w efekcie sumaryczna ich waga skruszyła fundament z żelazobetonu, na którym stała cała budowla. Ponadto ktoś zapomniał uszczelnić wentylatory przedmu- chujące kanały przewodowe i rury wyciągowe, które otwarto na czas remontu statku w doku.

Otwory, raczej nieduże i na ogromnej powierzchni nieprzenikal- nego kadłuba ciśnieniowego prawie niewidzialne, były jak sześciopa- smowe szosy dla niezliczonych gatunków grzybów oraz pełzających i ślizgających się form życia, zamieszkującego glebę Orbitsville.

Kiedy pracownicy Montane'a otworzyli drzwi wiodące z centralnego cylindra do cylindrów silnikowych, weszli w inny świat - wilgotny, zimny i niezdrowy. Była to istna dżungla macek i nici wychodzących z ogromnych, bladych, paprociowatych roślin. Niektóre rozplywały się w zgniliznie. Pośród tego żyła liczna populacja stworzeń poruszających się na wielu nogach lub w ogóle bez nóg. Przez siedemdziesiąt lat walczyły między sobą o władzę nad tym ciemnym mikrokosmosem. Wijące się armie toczyły spory o dominację nad księstwem skrzynki z bezpiecznikami czy nad królestwem obudowy transformatora. Łączyła ich jednak wspólna niechęć do olbrzymich intruzów ze świata światła i okazywały tę niechęć wszelkimi środkami, jakie miały do dyspozycji.

Odzyskiwanie i dezynfekcja cylindrów silnikowych zajęły ludziom wiele dni, a pozbycie się smrodu - tego samego, który w słabszej dawce dotarł do nosa Nickli-na, gdy wszedł on po raz pierwszy do statku - trwało jeszcze dłużej. Mechanizm i wyposażenie w cylindrach - jak można było się spodziewać - ucierpiały pod tą obcą okupacją. Pewne szkody wyrządziła wilgoć, ale wszystkie miękkie elementy: izolacja, materiały uszczelniające, podkładki przeciw drganiom i temu podobne rzeczy, zniknęły w mrowiu maleńkich systemów trawiennych.

Coreya Montane'a przeraziła wizja wynikłych z tego opóźnień i wydatków. Natomiast miłośnik techniki, Nic-klin, litował się nad statkiem. „Wyleczę cię” - obiecał *Tarze*. Snuł nęcące plany, jak będzie poznawał wszystkie naukowe i techniczne zasady jej funkcjonowania, opanowywał każdy jej system, jak zapamięta numery wszystkich części składowych, a potem użyje zdobytą wiedzę i przywróci tej cierplivej, nie skarżącej się istocie - statkowi - stan doskonałego zdrowia.

Było to olbrzymie zadanie. Niewielu by się go podjęło, ale Nicklinowi pozwalało ono utrzymać równowagę psychiczną podczas bolesnego roku wędrówki. Założył bibliotekę dokumentacji firmowych w formie książek, dysków i taśm. Na postojach opóźniających podróż, zamawiał telefonicznie części zamienne, które można było zainstalować w czasie transportu. Pomagał mu Scott Hepworth, udzielając potrzebnych informacji w zamian za dżin, a Gerl Kingsley użyczał swej siły fizycznej do zadań, którym Nicklin sam nie dałby rady.

Teraz *Tara* dokowała bezpiecznie na krawędzi Portalu Jeden i rozpoczął się główny remont. Nicklin i Hepworth podjęli wspólną decyzję, że wszystkie prace powinny być wykonane przez obecny personel misji, pracujący pod ich kierownictwem. Montane z radością przystał na taki układ, ponieważ wydawał mu się najbardziej oszczędny. Przewóz statku do Beachhead -przedsięwzięcie to wymagało nawet zbudowania w kilku miejscach prowizorycznych mostów - kosztowało fortunę, a Montane nie dysponował nieograniczonymi rezerwami finansowymi.

Tarę zaliczono do statków badawczych, nie przystosowano jej do przewozu znacznej liczby pasażerów. Miała ona jednak te same rozmiary, co wszystkie inne statki ogólnej klasy 5M. Wszechobecna etykieta „5M” oznaczała, że promień zewnętrzny każdego z trzech cylindrów *Tary* wynosił pięć metrów - dlatego nadawały się do nich standardowe, dostępne w sprzedaży części, łącznie z pokładami przysłanymi. Obecnie statek miał tylko osiem takich pokładów - minimalne wymagane przepisami usztywnienie głównego cylindra, ale planowano umieszczenie tam znacznie więcej pokładów w dwumetrowych odstępach, tak że pasażerowie mieliby do dyspozycji dwadzieścia pięć pokładów.

Na tej podstawie obliczono, że do Nowego Edenu uda się przenieść około - jak to określał Montane - „dwustu dusz”. Nicklin, który to wszystko traktował jako grę, rodzaj teoretycznych spekulacji, zasugerował, żeby z prostych względów biologicznych wszystkie dusze, z wyjątkiem kilku, mieściły się w ciałach dojrziałych płciowo kobiet. Jak się tego spodziewał, Montane wygłosił mu wykład o potrzebie zachowania norm moralnych, jasno dając do zrozumienia, że pragnie werbować tylko młode małżeństwa, mogące poświadczyć swe regularne uczęszczanie do kościoła.

Montane znów stał się skryty, jeśli chodzi o finanse grupy, ale Nicklin miał dostatecznie wiele wskazówek, na podstawie których zorientował się, że warunki wstępne narzucone przez Montane’a ograniczają dochody misji. Zgłosiło się wielu ekscentrycznych typów, gotowych przekazać duże sumy, aby zapewnić sobie miejsce w szeroko rozreklamowanej ekspedycji, ale tylko niewielu w pełni odpowiadało surowym wymaganiom Montane’a.

Kłótnia przypomniała Nicklinowi o podstawowym fakcie, który czasami wymykał mu się z pamięci - że Corey Montane to nie jest człowiek normalny. Nie był maniakiem religijnym w zwykłym sensie tego słowa, ale klinicznym okazem szaleńca, którego urojenia przypadkowo przybrały charakter religijny. Jego niewyszukany ubiór i normalne codzienne zachowanie sprawiały, że zapominało się o trumnostoliku na herbatę, o naradach z trupem, leżącym wewnątrz, o głęboko zakorzenionej megalomanii, o obłądnym celu, któremu podporządkował całe swe życie.

Montane wyobrażał sobie pierwsze lądowanie na nieznannej planecie jako coś w rodzaju ekskluzywnego biwaku Chrześcijańskich

Skautów; będą mieli z sobą nadmuchiwane materace i ulotki o metodach wznoszenia ostrokołu - trudno o bardziej niedorzeczną wizję.

Ośmieszyć kaznodzieję i jego szalone pomysły było łatwo, ale szalone pomysły czasami stają się rzeczywistością. Masywna, niezgrabna konstrukcja, widoczna z okna biura, stanowiła na to dowód. Nicklin patrzył na śnieg, pokrywający zwolna potrójny, wypiętrzony kadłub i przeszedł go dreszcz dziwnego niepokoju. Wiedział, że to niedorzeczne, ale czy nadejdzie dzień - czy naprawdę nadejdzie ów dzień? - kiedy ten oblepiony błotem element krajobrazu ześlizgnie się do portalu i, niczym foka wchodząca do wody, w nowym otoczeniu zmieni się w stworzenie śmiałe i energiczne? Czy naprawdę zdoła wwiercić się w ciemność i pomknąć ku abstrakcyjnemu świetlnemu punktowi? I czy ludzie mogą zginąć w rezultacie tego działania? Z oddaniem przywracał *Tarze* jej dawną wspaniałość, ale traktował ją jedynie jako maszynę, fascynującą zabawkę. Idealnym rozwiązaniem byłoby umieszczenie jej w roli nieruchomego eksponatu w sennym muzeum techniki, by zwiedzający mogli zachwycać się wykonaniem i perfekcją każdego detalu. Niepokoiła go myśl, że wynik jego hobbistycznego entuzjazmu i trudu może w końcu znaleźć się na opadającej orbicie wokół jakiejś oddalonej planety lub - co było równie prawdopodobne - podryfować w nieskończoność.

„Powie ci coś za darmo, Gazowy Kręgowcze” - myślał Nicklin. - „Jeśli ona kiedyś rzeczywiście wyruszy w dziką, ciemną pustkę, niżej podpisany będzie wtedy w domu, w swoim ulubionym fotelu, z nogami na stole i szklanką w ręku i będzie obserwował to wielkie wydarzenie w telewizyj... ”

- Kiedy ten człowiek ma się tutaj zjawić? - zapytał Hepworth, zatrzymując się przy oknie.

- Musisz zapytać o to Coreya. - Nicklin spojrział w bok i jak zwykle jego oczy samoistnie nastawiły się na olbrzymiego węża na nozdrzach Hepwortha.

- Nie chciałbym mu przeszkadzać jedynie po to, by zapytać, co zatrzymało naszego dostojnego gościa.

- Prawdopodobnie spóźnia się trochę z powodu pogody - powiedział beztrosko Montane, nie podnosząc wzroku znad biurka. Spróbuj wykazać jeszcze trochę cierpliwości.

- Tak jest, i przez chwilę nie wierćcie się tak nerwowo. Jesteście jak para niemowlaków - dodał zza drugiego biurka Ropp Voorsanger, księgowy i doradca prawny Montane'a. Voorsanger, mężczyzna o wąskiej głowie i wąskiej twarzy, miał około trzydziestki, a wyglądał na pięćdziesiątkę. Był także świeckim kaznodzieją, co prawdopodobnie miało wpływ na zwerbowanie go do misji, ale jego zachowanie cechowała mniejsza tolerancja i większa surowość. Nie miał zupełnie czasu dla Hepwortha i Nicklina.

- Najmocniej proszę o wybaczenie - odezwał się Hepworth do Voorsangera, a jego pulchne rysy wyrażały oburzenie - ale na statku czeka na mnie praca. Prawdziwa praca. Nie takie bezproduktywne gównno, jakim wy się zajmujecie cały czas.

Nicklin powstrzymał uśmiech, wiedząc, że prawdziwa praca, którą Hepworth ma na myśli, polega na przyjęciu cogodzinnej porcji dżinu. Jego początkowa nadzieja, że nieporządny i gadatliwy fizyk zostanie dobrym kolegą, została spełniona. Mimo, że Hepworth dużo pił, nigdy nie był ogłupiały, ani nie uchylał się od swej części roboty i Nicklin postanowił popierać go w każdej dyskusji.

- To prawda, Corey - rzekł. - Scott i ja mamy wiele rzeczy do zrobienia, i...

- A ja już mam dość tego ciągłego posyłania za wami brygad poszukiwawczych - przerwał mu Montane. - Nie, chcę, żebyście obaj byli tu, kiedy przyjdzie Renard. Chcę, żebyście usłyszeli, co ma on do powiedzenia, więc odprężcie się trochę. - Uniósł głowę i spojrzał znacząco na Hepwortha. - Może napijecie się herbaty?

Nicklin może by się i zainteresował, co na to odpowie Hepworth, ale w tym momencie dostrzegł kolorową plamę za przezroczystym przepierzeniem, oddzielającym gabinet Montane'a od sąsiedniego. Znaczyło to, że Danae Farthing wróciła z jednej ze swoich podróży służbowych, w czasie których jeździła po całym rejonie P1 i tygodniami przebywała z daleka od Beachhead. Starając się nie zwracać na siebie uwagi, Nicklin podszedł szybko do drzwi między pomieszczeniami i rozsunął je.

- A więc jak?

- Co jak?

Danea przerwała zdejmowanie przyprószonej śniegiem czapki. Miała na sobie spięty paskiem, kobaltowo błękitny, mieniący się jedwabny, drogi kostium, który opinał jej szczupłe biodra. Oczami o ciężkich powiekach patrzyła na Nicklina bez żadnego zainteresowania, tak jakby stanowił część umeblowania.

- Dziękuję, dobrze - odparł Nicklin. - A ty?

- Nie to miałam na myśli... czego chcesz?

- Czy muszę czegoś specjalnego chcieć? - „Chcę ciebie, ty bezczelna dziwko, ponieważ jesteś najprzystojniejszą kobietą we wszechświecie i jesteś moim dłużnikiem!” - Po prostu pomyślałem sobie, że powiem ci cześć i powitam cię z powrotem w biurze.

- To miło z twojej strony - Danae stała zupełnie bez ruchu, nie odwijając czapki, najwidoczniej chcąc, żeby wyszedł.

- Przyjechałaś prosto z lotniska?

- Tak.

- Długi lot?

- Tak.

- A może byś się odprężyła przy kilku drinkach i dobrym obiedzie?

- Już się umówiłam na coś takiego, z przyjacielem - odrzekła Danaea, nadal stojąc nieruchomo. - Przyjedzie po mnie w południe.

- To miłe - Nicklin ozdobił twarz smutnym uśmiechem. - Właśnie to chciałem wiedzieć.

Danea nic nie odpowiedziała, więc kiwnął jej głową i wycofał się z małego pokoju, zasuwając rozdzielające ich drzwi. Gdy miał już pewność, że nie może go widzieć, jego smutny uśmieszek przeszedł w szeroki, głupkowaty, szczęśliwy uśmiech. Nieuważny obserwator uznałby prawdopodobnie, że Nicklin dostał od Danei gruntowną i ostrą odprawę, ale on zauważył dwie oznaki, który były dla niego zachętą. Podczas ich krótkiej wymiany zdań Danaea stała z czapką przyciśniętą do gardła, nieświadomie - i znacząco - osłaniając przed nim swe ciało. Jeśli widział kiedykolwiek freudystyczne zachowanie - to właśnie byłby przykład. Poza tym nie musiała mówić, wcale nie musiała, że jest umówiona na obiad z innym mężczyzną. „Dobijasz się swego, chłopcze” - rzekł sobie Nicklin z zimną satysfakcją. - „Zajmie to cholernie dużo czasu, ale dobierzesz się do niej pewnego dnia. A jak już to zrobisz...”

- Nie trwało to długo - stwierdził radośnie Hepworth, kiedy Nicklin stanął obok niego przy oknie. - Przyjmij radę starego eksperta w tego typu sprawach i wdzięcznie zrezygnuj - to jasne, że ta kobieta nie chce mieć z tobą nic do czynienia.

- Nie rozumiesz tego - odrzekł Nicklin, niezadowolony z komentarza. „Jak ktoś, z wagem o rozmiarach półmiska, może twierdzić, że jest ekspertem w sprawach kobiet? ”

- Zaprosiłeś ją na obiad?

- Tak.

- I co?

- Już się umówiła. Z jakimś mężczyzną.

Hepworth skinął głową.

- Prawdopodobnie z Rowanem Meeksem. Poznała go przez książki.

Nicklin wolałby nie rozmawiać o Danei, ale zagadkowa uwaga pobudziła jego ciekawość.

- Jakie książki?

- Mówiące książki. Danae spędza mnóstwo wolnego czasu nagrywając na taśmy książki dla niewidomych. Widocznie ma dobry głos do takich rzeczy. - Hepworth przerwał i obdarzył Nicklina zaskoczonym spojrzeniem. - Nie wiedziałeś o tym?

- Skąd miałem wiedzieć?

- To właśnie to! - ogłosił triumfalnie Hepworth. - Nigdy do niczego nie dojdiesz z kobietą, jeśli nie interesujesz się nią jako pełną istotą ludzką. Kłopot z tobą, Jim, polega na tym, że interesuje cię tylko jedno - i to widać.

„Nie zawsze byłem taki i skąd to się...? ” - Nicklin przerwał tę myśl, wściekły, że musi się tłumaczyć. - „Jeśli to potrwa nadal, nastąpi rozmowa o hodowli i żywieniu węgrowskich.”

- Wydawało mi się, że niewidomi używają urządzeń czytających - stwierdził, podsuwając konwersacyjną przynętę, która według wszel-

kiego prawdopodobieństwa skłoni Hepwortha do wygłoszenia jednego z jego zaimprovizowanych wykładów.

- Syntetyzatory głosu wciąż nie bardzo się nadają do czytania literatury pięknej i, zważywszy na to, jaki obrót przybrały wydarzenia, chyba nigdy nie będą się nadawały - stwierdził Hepworth, z zadowoleniem podejmując temat. - To znowu odwieczny syndrom Orbitsville. Pierwsze syntetyzatory wprowadzono przeszło trzysta lat temu i można by sądzić, że z czasem powinny być ulepszone. Ale... ale... gdzie jest bodziec? Z wielkiej maszyny nauki i techniki wypadło kilka zębów i w dalszym ciągu zęby będą się łamać, ponieważ na to pozwoliliśmy.

Dlaczego? Ponieważ na zatłoczonej, zanieczyszczonej i dokładnie skopanej w pachwinę Ziemi, nauka i technika obiecywały, że pewnego dnia wszystko zostanie uporządkowane, że kiedyś świat stanie się idealny i wszyscy będą zadowoleni. To właśnie przyciągało fundusze, to właśnie dostarczało motywacji. Ale teraz ta obietnica została zapomniana - zarówno przez obiecujących, jak przez tych, którym obiecywano. Mamy już idealny świat. W gruncie rzeczy mamy miliony idealnych światów.

Orbitsville podała nam je na przysłowiowym talerzu, tak więc postęp techniczny i naukowy praktycznie się zatrzymał. Badania prowadzą tylko „jajogłowi”, którzy są nimi osobiście zainteresowani i nawet jeśli odkrywają coś o ogromnym znaczeniu praktycznym, nie można tego wykorzystać, ponieważ nie istnieje potrzebny do tego przemysł.

- Wielu ludzi utrzymuje - dodał Hepworth złowroźbnie - że Orbitsville nie dała ludzkości żadnych korzyści.

- Zaczynasz mówić jak jeden gość - rzekł Nicklin, wskazując głową Montane'a, który wciąż zajmował się czymś przy biurku.

- „Jeden gość” robi kilka rozsądnych rzeczy z nierozsądnych powodów.

Nicklin zdziwił się.

- Czyżbyś sam chciał wydostać się z Orbitsville, zanim Szatan nacisnie guzik?

- Nie, chcę po prostu wydostać się z Orbitsville - oświadczył spokojnie Hepworth. - Chcę zobaczyć, jak wygląda planeta z antymaterii. Nikt prócz Coreya nie wybiera się do czegoś takiego, więc ja mam zamiar udać się tam właśnie z nim.

- Ale... - Nicklin pokręcił głową z niedowierzaniem. - Twierdzisz, że jeśli *Tara* rzeczywiście zdoła wystartować, będziesz na jej pokładzie?

- Jim, jak sądzisz, dlaczego dołączyłem do tego niedorzecznego przedsięwzięcia? Przecież nie dla tego nędznego peculium, którym zasila nas Corey, zapewniam cię. Ono ledwie wystarczy na mój tonik, nie wspominając już o innych potrzebach. Znalazłem się tu jedynie dlatego, że jako opłacany członek misji mam zagwarantowane miejsce na statku, gdy nadejdzie wielki dzień.

Na twarzy Hepwortha pojawił się wyraz bólu.

- Żałuję, że wspomniałem o drinku. Katusze pragnienia były do wytrzymania, zanim wspomniałem o tej sprawie.

- To bardzo źle - powiedział Nicklin z roztargnieniem. Oswajał się z wiadomością, że fizyk planował wyruszyć w nicość na *Tarze*. Dotychczas cicho zakładał, że Hepworth, tak jak on sam, podwozi się jedynie Ekspresem do Nikąd, stojąc na stopniu przygotowany do zeskokowania we właściwym momencie. A teraz znowu wyskoczył temat wszechświata z antymaterii. Dla Nicklina cała ta gadka o wszechświa-

tach Regionu Jeden i Regionu Dwa, o odwróconym czasie i izotopach z wytiyskującymi elektronami, to jedynie słowna igraszka, ale dla Hepwortha, jak się okazywało, wszystkie te rzeczy były równie realne jak następna szklanka dżinu czy fujarkowce, które w wietrzny dzień grały requiem dla odchodzącego lata.

Nie pierwszy raz Nicklin rozmyślał, czy przypadkiem jego umysłowi nie brakuje jakiegoś komponentu. Dla niego rzeczywistość składała się zawsze z tego, co miało wpływ na jego życie codzienne i jego bezpośrednią kondycję. Wszystko inne zostało zepchnięte do niby-realności lub do zupełnej abstrakcji. Dlatego zawsze czuł, że dzieli go wygodny dystans od tych dziwnych indywiduów, które poświęcały swoje życie wyniosłym ideałom czy umierały za wielkie sprawy. Życie i tak już było wystarczająco skomplikowane i podstępne. Zawsze gratulował sobie, że jest odporny na mistycyzm, przesady i religie. Scott Hepworth podzielał ten materialistyczny światopogląd, a jednak był gotowy zaryzykować życie w rozpaczliwym skoku w czarną pustkę, jedynie dlatego, że interesował go ładunek elektryczny cząstek elementarnych. To niewiele lepszy motyw narażania się na śmierć niż dziwaczne fantazjowanie Montane'a.

- Wyjaśnij mi jedno, Scott - poprosił. - Czy coś ulegnie zmianie w czymkolwiek życiu, jeśli okaże się, że...

Przerwał, gdyż drzwi wejściowe biura otworzyły się i stanęli w nich mężczyzna i kobieta. Nicklin od razu rozpoznał Ricka Renarda. Był on wytwornie ubrany, i od razu stał się centralną postacią w tym obskurnym pokoju. Twarz kobiety wydawała się Nicklinowi znajoma, ale z pewnym opóźnieniem przypomniał sobie, że widział ją w telewizji. Wtedy w salonie White'ów, wieki temu, w dniu, w którym Orbitsville jakoby wykonało swój Wielki Skok. Tego samego dnia przybył

Corey Montane ze świtą, oraz prywatny świat Nicklina wykonał swój własny Wielki Skok. W głowie zadźwięczały mu słowa Zin-dee White: „Nazywa się Sylwia London”.

- Zawsze chciałem być w Londynie - szepnął do siebie, taksując wzrokiem bujną figurę kobiety, której zmysłowe linie, mimo że opakowane w skromny, ciemnoszary płaszcz, obudziły w nim instynkty seksualne. Jego miłosne seanse z Christiną McGivern stały się na zbyt rutynowe i wzdychał do jakiejś odmiany.

Hepworth nachylił się ku niemu.

- Co powiedziałaś?

- Sądzę, że pożądana jest tam nasza obecność, prawda?

Nicklin ruszył ku Montane'owi i Voorsangerowi, przyłączając się do małej grupki witającej przybyszów. Renard przedstawił kobietę jako swoją żonę, co w oczach Nicklina dodało pewnego smaczku jej seksualności.

- Przepraszam za spóźnienie - ciągnął Renard, kiedy prezentacja została zakończona. Uśmiechał się w dziwnie wyzywający sposób, który Nicklin zauważył już u niego wcześniej, i który sprawiał, że jego przeprosiny były tylko cczą frazą.

Montane kiwnął głową.

- Przy tej pogodzie...

- To nie śnieg mnie zatrzymał, ale kiedy tu przyjechałem, nie mogłem oprzeć się pokusie obejścia pańskiego statku dookoła - wyjaśnił Renard. - Nie jest bardzo imponujący, prawda?

- Mnie się podoba - powiedział pośpiesznie Nicklin.

Renard obdarzył go uśmiechem.

- Wątpię, czy ma pan dostateczne kwalifikacje do wydawania wyroków.

- Wydawanie wyroków jest tradycją w mojej rodzinie - odparował Nicklin. - Cóż, kwalifikacje do tego wyssałem z mlekiem matki. - „I wyrokuje, że zasługujesz na kopniaka w jaja, ty arogancki sukinsynu”.
- Uśmiechnął się w odpowiedzi i wysłał tę myśl z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć, ale jedynym widocznym skutkiem tej próby telepatycznego kontaktu był błysk satysfakcji w niebieskich oczach Renarda.

- Czemu nie usiądziemy i nie porozmawiamy? - wtrącił Montane. Wskazał ręką na tandetny stół, używany w biurze głównie do posiłków - jedyny mebel, przy którym można było obradować.

- Rzeczywiście, czemu nie?

Renard usiadł, a w jego oczach pojawiło się wyraźne rozbawienie, kiedy krzesło zaprotestowało metalicznym skrzypnięciem.

Przez chwilę Nicklin żałował, że Montane aż tak skąpił pieniędzy na powierzchnię biura. Potem jednak uświadomił sobie, że wciągnięto go w pojedynek osobowości. Renard to człowiek, dla którego każde spotkanie musiało być potyczką, a wszelkie stosunki sprowadzały się do współzawodnictwa.

„Nie będę się w to bawił” - pomyślał, a jego niechęć do Renarda ustąpiła. Spojrzał na żonę Renarda i dostrzegł w wyrazie jej twarzy przebłysk czegoś, co wydawało się rezygnacją i zakłopotaniem. - „Ona również nie bardzo to wszystko sobie ceni jako widz. Może można ją wykorzystać do małej dywersji”. - Szybko się przesunął, by zapewnić sobie przy stole miejsce obok Sylwii.

- Dziś rano muszę się jeszcze z kimś spotkać, więc zacznijmy to, co mamy do zrobienia - powiedział Renard do Montane'a. - Jestem gotów dać panu cztery miliony monetów za statek, tak jak stoi. Pański ze-

spół może wyjść, mój zespół wejdzie, a pan nawet nie będzie musiał gasić światła.

- Już ci mówiłem, Rick, że *Tara* nie jest na sprzedaż
- odrzekł Montane.

„Jest imponująco opanowany jak na kogoś, kto właśnie odmówił zostania milionerem” - pomyślał Nicklin.

- Jeśli chce pan czekać, spodziewając się podwyżki cen, robi pan błąd - Renard był równie opanowany. - Międzygwiazdny statek z silnikiem strumieniowym nie bardzo nadaje się do lotów między portalami. Moja oferta jest więc szczodra.

- Być może, ale mnie to nie interesuje.
- Niedługo zacznie się produkcja taśmowa nowych statków o krótkim zasięgu, a wtedy wartość pańskiej starej rury spadnie.

Montane westchnął.

- Boli mnie, że wydam się niegrzecznym, ale nie jest pan tu jedyną osobą, której terminarz jest wypełniony. Nie marnujmy więc sobie wzajemnie czasu. *Tara* nie jest na sprzedaż. Zgoda?

- Mogę tylko zaproponować panu miód - nie mogę zmusić pana, by go pan zjadł. - Niewzruszony Renard odchylił się do tyłu na krześle, wywołując tym dalsze skrzypnięcia.

- Skoro omówiliśmy już moje preferencje dietetyczne

- rzekł sucho Montane - jaka była ta druga propozycja, o której pan wspominał?

- Ile gwiazd rozpatruje pan jako ewentualny cel swojej podróży?
- Osiem, w promieniu tysiąca lat świetlnych.
- Zapowiadają się dobrze?
- Zapewniam pana, że bardzo dobrze.

Montane popatrzył wyczekująco na Scotta He-pwortha.

- Analizy promieniowania, wykonane w Instytucie Garamonda, wskazują, że przy trzech z nich, z prawdopodobieństwem osiemdziesięciu procent, znajduje się planeta typu ziemskiego - Hepworth powiedział to jednym ze swych najbardziej uroczystych tonów.

Renard uniósł brwi. Ten wyraz zdziwienia nadawał mu nieoczekiwane chłopięcy wygląd.

- To znacznie lepszy rezultat, niż miałibyście przedtem, tam w domu, prawda?

Nicklin, odurzony perfumami Sylwii, ponownie zaczął śledzić toczącą się rozmowę, kiedy uświadomił sobie, że „tam w domu” oznacza inny wszechświat. Użycie tego określenia wskazywało, że Renard, materialista, człowiek niezwykle trzeźwo myślący, zaakceptował hipotezę Wielkiego Skoku. Co więcej, wyraźnie traktował eteryczną krainę Nigdy-Nigdy astrofizyków i kosmologów jako miejsce, gdzie dałoby się robić interesy.

- O wiele lepszy - odrzekł Hepworth. - Można powiedzieć, światy do wyboru.

Renard znów zwrócił się do Montane'a.

- Mimo wszystko możemy ubić interes. Niech mi pan pozwoli umieścić na statku dwóch lub trzech naukowców, plus zapasową załogę, która przyprzewodzi statek, gdy przestanie go pan potrzebować - i wciąż może pan mieć swoje cztery miliony.

„Corey, to jest ta przysłowiowa propozycja nie do odrzucenia” - pomyślał Nicklin i prawie się skrzywił, gdy zobaczył cierpliwy, odmowny uśmiech Montane'a.

- Me sumienie nie pozwoliłoby się z tym pogodzić - rzekł Montane. - Oznaczałoby to, że trzeba by odmówić miejsca niektórym z moich ludzi. Musi pan zrozumieć, że odpowiadam za te sprawy przed Bogiem.

- W porządku, powiem panu, co zrobimy - odrzekł Renard. - Kiedy statek tu powróci, wypożyczę go panu na drugą podróż tam i z powrotem. W ten sposób zbawi pan dwie partie dusz.

Uśmiech Montane'a stał się jeszcze bardziej cierpliwy, jeszcze bardziej protekcjonalny.

- *Tara* wykona jeden i tylko jeden lot. Nie będzie czasu na drugi. Nie będzie następnej szansy.

- Kto panu to powiedział?

- Bóg.

- Bóg?

W głosie Renarda widać było szczere niedowierzanie, zdradzające, że jego zimna krew zaczyna się nieco burzyć.

Nicklin odwrócił się, kryjąc rozbawienie. Renard prawdopodobnie zżerał na śniadanie trzeźwych i twardych magnatów finansowych, ale nigdy nie miał do czynienia ze zwariowanym kaznodzieją, którego głównym doradcą był kobiecy trup w skrzyni. Nicklin zauważył, że żona Renarda patrzy mu prosto w oczy.

- Czy ktoś mógłby mi dać coś gorącego do picia? Jakąś kawę? - szepnęła.

- Mogę szybko zrobić herbatę - odrzekł również szeptem, zadowolony, że ma nieoczekiwaną okazję porozmawiania z Sylwią na osobności.

- Herbata byłaby świetna.

- Wypiję z panią filiżankę. - wstając z krzesła obrzucił szybkim spojrzeniem Montane'a i Renarda. - To może potrwać jeszcze długo.

- Mnie też się tak wydaje.

Wstała i poszła razem z nim do kredensu w oddalonym końcu biura, gdzie urządzono skromny bufet.

„To dobrze” - rzekł do siebie Nicklin. - „Sprawy idą dobrze, ale w tym, co powiedział Scott, jest sporo racji. Cały dowcip polega na tym, żeby nie być zbyt obcesowym. Wykaż zainteresowanie kobietą jako pełną istotą ludzką (a ta z pewnością jest pełna). Spytaj ją o jej wierzenia, hobby, sny i inne duperele... ”

Kiedy nalewał herbatę z antycznego imbryka Mon-tane'a, przechylił głowę, nachmurzył się nieco i zapytał:

- Chyba widziałem panią w telewizji. Czy nazywała się pani London?

- Wciąż się tak nazywam - odrzekła Sylwia. - Zatrzymałam poprzednie nazwisko, kiedy wyszłam za Ricka.

- Wiedziałem, że się nie mylę.

- Może odebrał pan fragment transmisji z Portalu 36 w tym dniu, kiedy... kiedy wszystko się zmieniło.

Gdy to mówiła, w jej brązowych oczach można było dostrzec jakąś zmianę, lekką, ulotną, jakby słaby wiatr musnął powierzchnię głębokiego jeziora. To jednak wystarczyło, by Nicklin zrozumiał, że nie należy wracać do wydarzeń przy Portalu 36.

- Możliwe - odrzekł - aleja raczej miałem na myśli... Czy to nazywało się Fundacja Anima Mundi?

- Tak! - twarz Sylwii ożywiła się, i stała nagle młodsza. - Czy interesuje pana praca Karela Londona?

Nicklin poszperał w swej pamięci i nie zawiódł się.

- Czy chodzi o badania na temat trwania osobowości po śmierci fizycznej człowieka? Fascynujący problem.

-To najważniejszy problem ze wszystkich. Czy uczestniczył pan w którymś z seminariów Fundacji, a może widział pan którąś z jej publikacji?

- Nie... przez ostatni rok byłem zakopany na prowincji i nie miałem możliwości...

Sylwia dotknęła jego ramienia:

- Ale jest pan zaznajomiony z podstawami nauki o mindonach?

- Nigdy nie chwyciłem tego problemu za bary - stwierdził ostrożnie Nicklin, kiedy szykował dwie filiżanki.

- Ale wszystko w tej nauce jest tak pięknie proste! - ciągnęła Sylwia. Mówiła wciąż cicho, ale z gorączkową szybkością. - Mindony to klasa cząstek, których istnienie postulowano już dawno temu, ale zostało ono ostatecznie dowiedzione dopiero w zeszłym roku. Dzięki pracom Karala wiemy, że umysł jest uniwersalną cechą materii i nawet cząstki posiadają go w pewnym stopniu...

Nicklin dalej przygotowywał herbatę, od czasu do czasu kiwając głową. Cekał na okazję, by skłonić Sylwię do rozmowy na tematy bardziej osobiste.

Wystartowawszy od twierdzeń, które były trudne do zaakceptowania, przeszła - cały czas mówiąc tonem świadczącym o absolutnym przekonaniu - do omawiania czegoś o nazwie „przestrzeń mindonowa”, w której miały istnieć kopie ludzkich mózgów.

Nicklin był coraz bardziej oszołomiony, bombardowany mistycznymi ideami, wyrażanymi żargonem fizyki jądrowej. I wciąż brakowało pretekstu do nawiązania właściwej rozmowy.

„Co się, do diabła, dzisiaj ze wszystkimi stało? - zastanawiał się, nalewając herbatę do filiżanek. - „Czy jestem jedyną osobą na świecie, która ma wciąż poczucie rzeczywistości? ”

- ... wskazuje, że osobowość jest strukturą jednostek umysłowych, istniejącą w przestrzeni mentalnej i dlatego jest w stanie przetrwać zniszczenie mózgu, chociaż potrzebuje złożonej struktury mózgu fi-

zycznego do swego rozwoju. - Sylwia spojrzała na niego przenikliwie. -
Rozumie pan to, prawda?

Nicklin przesunął filiżankę o centymetr w jej kierunku.

- Pije pani z mlekiem czy bez?

Nie zwróciła uwagi na herbatę, a jej wzrok śledził wyraz jego twarzy.

- Naprawdę chciałabym usłyszeć pańskie zdanie na ten temat.

- Myślę, że ta cała koncepcja robi duże wrażenie - rzekł.

Jego początkowe marzenia o wieczorach spędzanych

z Sylwią w pokojach hotelowych, stawały się z minuty na minutę coraz bardziej mgliste i gdyby teraz nie zgodził się z nią, jego marzenia rozwiąłyby się całkowicie.

- Robi wrażenie - Sylwia kiwnęła głową, by pokazać, że zdaje sobie sprawę z dwuznaczności tego określenia. - W porządku - co jest dla pana najmniej przekonujące?

Zdziwiony faktem, że rozmowa tak odbiegła od jego wizji, Nicklin wyjaśnił:

- Myślę, że to, co dotyczy sposobu, w jaki tworzy się osobowość. Jeśli, jak pani mówi, cała materia ma swój składnik mindonowy, to żeby wyczarować osobowość potrzebny by był tylko złożony obiekt fizyczny, a nie potrzeba by wprowadzać żadnego biologicznego...

- Jim! - natrętny głos Coreya Montane wrzał zniecierpliwieniem. -
Chodź tutaj do stołu z herbatą, dobrze?

Nicklin przybrał smutny wyraz twarzy.

- Muszę się tam wtentegować i trochę popracować -ale chciałbym to dalej ciągnąć.

- Ja też bym chciała - rzekła Sylwia. - Możemy porozmawiać jeszcze trochę po naradzie.

Uśmiechnął się, patrząc jej w oczy.

- Nie to miałem na myśli.

Przez chwilę wyraz jej twarzy nie zmieniał się, a on uświadomił sobie, że miała prawdziwe trudności z powrotem do przyziemnego świata. Ale kiedy już to się stało, jej reakcja nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

- Powiedział pan, że musi pan znów tam wtentegować - więc dlaczego pan z tym zwleka?

Odwróciła się od niego, by wziąć filiżankę.

Nicklin nie chciał dać się tak łatwo spławić.

- Chciałem się tylko upewnić. Nie ma nic złego w upewnianiu się.

- Czy tacy ludzie jak pan nigdy się sobą nie nudzą?

- Mógłbym pani zadać to samo pytanie - odpowiedział miłym tonem i odszedł, by dołączyć do grupy przy stole. Podczas jego nieobecności sprawy daleko się posunęły. Renard widocznie odłożył na bok pomysł nabycia *Tary* i przyjął rolę pośrednika w sprzedaży wszelkich części zamiennych.

- Z tego, co mówił Corey - rzekł - zrozumiałem, że chętnie nabylibyście kilka pokładów 5M.

- Tak mniej więcej to wygląda. - Nicklin starał się nie okazywać żadnego entuzjazmu. - Rozważamy, czy nie wsadzić tam może jeszcze ze dwudziestu pięciu.

- Mam je.

- Po czemu?

- Och... - Renard na chwilę zamknął oczy, udając, że coś przelicza. - Powiedzmy trzydzieści tysięcy. To znaczy monetów - nie orbów.

Nicklin zignorował aluzję, że jest chłopakiem ze wsi nie przyzwyczajonym do globalnej waluty. Cena była o wiele niższa, niżby się spo-

dziewał po takim rekinie finansowym jak Renard i w związku z tym zaczął sprawdzać, czy nie ma tu jakiejś pułapki.

- W jakim są stanie?

- Nie używane - upewnił go Renard. - Oczywiście są dość stare, ale nie używane. Większość z nich ma jeszcze plastikowe powłoki.

Nicklin zobaczył, jak Montane i Voorsanger wymieniają triumfujące spojrzenia i jego przekonanie, że coś tu nie gra, stało się mocniejsze. Jeszcze raz przejrzał liczby i nagle zrozumiał, na czym polegała ta prowadzona przez Renarda zabawa w kotka i myszkę. „Sukinsyn” - pomyślał z mimowolnym podziwem. - „Jest jeszcze większym gównem, niż sądziłem początkowo!”

- Cóż Rick - stwierdził Montane - wydaje mi się, że możemy przyjąć to za podstawę do dalszych rozmów i...

- Zanim posuniecie się za daleko - wtrącił Nicklin - spytaj pana Renarda, czy przypadkiem trzydzieści tysięcy to nie jest cena za sztukę.

Montane nachmurzył się i spojrzał na Nicklina, a potem wybałuszył oczy na Renarda.

- Ale wtedy by to wyniosło... trzy czwarte miliona za dwadzieścia pięć starych pokładów!

- Mamy do czynienia z tym, co powszechnie nazywane jest rynkiem sprzedawcy - rzekł Renard z wyrazem rozbawienia na twarzy.

Nicklin uśmiechnął się, by Renard zobaczył, że on również bierze udział w tej zabawie.

- Tym niemniej, Rick - zapytał - czy nie myślisz, że posuwasz się ociupinkę za daleko, próbując sprzedać stare pokłady za potrójną cenę nowych?

- Ich wartość poszła w górę. Większość nowych pokładów znikła razem z zewnętrznymi stoczniami, a moi wspólnicy kupili wszystkie, które pozostawiono w stoczniach lądowych.

- W takim razie zastosuję starsze - stwierdził zawzięcie Montane, wpatrując się w blat swego biurka.

- Również one są w większości u nas - Renard pokręcił głową, jakby ze współczuciem. - Handel między-portalowy musi być wskrzeszony jak najprędzej, dla dobra społeczeństwa. Musimy uruchomić te statki tak szybko, jak zdołamy, nawet jeśli miałyby to oznaczać uproszczenie produkcji.

- W takim razie - oświadczył Montane wstając - zastosuję stare pokłady, które odrzuciliście lub których nie znaleźliście. Wydobęde je spod ziemi w składnicach odpadów, a jeśli to będzie konieczne, będę je sklejał własną śliną. - Jego głos nabrał siły i jakiejś mentorskiej potęgi. - Żadna ludzka organizacja nie przeszkodzi w dokończeniu remontu *Tary* - obiecuję to panu w imieniu Boga.

- Będzie pan potrzebował całej Jego pomocy, by dostać pozwolenie na lot - rzekł cicho Renard.

Montane wlepił w niego wzrok pełen nienawiści.

- Dlaczego pan nie...? Dlaczego pan nie...?

- Pozwól mnie to wyrazić - wtrącił Nicklin, obracając się, by obdarzyć Renarda pełnym zadowolenia uśmiechem. - Corey jest osobą w sukni duchowej i dlatego trudno mu wyrazić pewne uczucia - ale chyba chciałby panu powiedzieć, żeby pocałował go pan w dupę.

Kpiący błysk w oczach Renarda nagle zgasł. Obrócił się do Montane'a.

- Powinien pan z trochę większą roztropnością wybierać swoich współpracowników.

- Od chwili naszego spotkania język mojego współpracownika staje się coraz bardziej grzeszny - rzekł Montane. - Ubolewam zwykle nad tym faktem - ale nie czynię tego w tej chwili.

- Straciłem tutaj już za dużo czasu - stwierdził Renard, wstając z krzesła. Skinął na Sylwią, która odstawiła swą filiżankę i w milczeniu poszli do wyjścia.

Nicklin patrzył w rozmarzeniu za Sylwią, do chwili gdy zasunęły się za nią drzwi.

- Zawsze żał mi żon.

- Zauważyłem, że ci jej żał - rzekł z łagodną wymówką Hepworth. - Startowałeś do niej, prawda?

- Tej kobiecie należy się od życia coś lepszego niż Rick Renard.

Hepworth zaśmiał się.

- Ale najwyraźniej ty też nie sprostałeś wymaganiom.

- Czy musimy znosić taką rozmowę? - zapytał Voor-sanger Montane'a z wyrazem niesmaku na długiej twarzy. - Wydaje mi się, że sprawy przybrały dostatecznie zły obrót, byśmy musieli je pogarszać wysłuchując spro-śności.

- Ropp ma całkowitą rację - Montane popatrzył ponuro na Nicklina i Hepwortha.

- Myślę że załatwiliśmy pana Renarda zupełnie nieźle - stwierdził Nicklin. - Zwłaszcza pan, szefie. Pod koniec byłem z pana dość dumny.

Jak zwykle mówił niedbałym tonem i dopiero gdy zakończył swą wypowiedź, uświadomił sobie, że rzeczywiście tak myśli. Montane - szalony czy nie - obronił swoje wierzenia i zasady przed bogatym i potężnym przeciwnikiem.

- Niestety, to fakt - odpowiedział spokojnie Montane - że ukończenie *Tary* potrwa znacznie dłużej, niż się spodziewaliśmy - i mam przecucie, że może zabraknąć nam czasu.

ROZDZIAŁ 15

Znalezienie nowej pracy okazało się znacznie łatwiejsze, niż Nicklin przewidywał.

Yip & Wrigley, nowa kompania na kwitującym rynku frachtowców międzyportalowych średniej wielkości postanowiła - co było niezwykle - umieścić swoje zakłady wytwórcze w Beachhead. Orbitsville tradycyjnie korzystało ze statków sprowadzanych z Ziemi. Posiadało ono tylko kilka stoczni budowlanych, zlokalizowanych w Dalton, wielkiej przemysłowej konurbacji przy P12. W porcie Kosmicznym Beachhead nigdy nie rozbudowano wielkich warsztatów remontowych. Dlatego miasto nie dysponowało fachowcami, jakich potrzebowali Yip & Wrigley.

Początkowo Tommy Yip, prezes kompanii, zaniepokoił się tym, że Nicklin nie ma formalnych kwalifikacji. Był jednak bratnią duszą - miłośnikiem maszyn - zrobiły więc na nim wrażenie praktyczne umiejętności Nicklina i jego komputerowa zdolność pamiętania setek parametrów technicznych rozmaitych części. W rezultacie Nicklinowi zaproponowano wyższe stanowisko w kierownictwie technicznym - tytuł i obowiązki miały zostać dopiero bliżej sprecyzowane - i oczekiwano, że podejmie pracę natychmiast po rozstaniu się z Coreym Montane.

Kiedy pewnego rześkiego poranka, wczesną wiosną, Nicklin wchodził piechotą do kompleksu portowego i zobaczył potrójny, masywny kadłub *Tary*, ogarnęły go mieszane uczucia. Powierzchnia statku, teraz nieskazitelna, świeciła miedzianym blaskiem, charakterystycznym dla stopów elektronasytnych. Opływowa, purpurowo - czerwona szalupa znajdowała się na swoim miejscu pod sekcją dziobową i *Tara* sprawiała wrażenie, że jest gotowa do podróży ku gwiazdom.

Nicklinowi trudno było uwierzyć, że ponad dwa lata upłynęły od chwili, gdy statek, upaprany i umierający, został wciągnięty na miejsce przy brzegu portalu. Przez ten czas Jim tyrał bez przerwy, odmawiając sobie nawet najkrótszych wakacji, rezygnując ze wszystkiego niemal, co składa się na codzienną normalną egzystencję, na rzecz tej swojej prywatnej obsesji. Pod wieloma względami przypominał generała, prowadzącego zajadłą kampanię przeciwko wrogom, którzy nieustannie zmieniają swoje pozycje i taktykę.

Troska o główne elementy konstrukcji - takie jak pokłady przesłonowe i ścianki działowe - to tylko niewielka część jego obowiązków. Istniały jeszcze tysiące drobnych składników od stopni schodów i poręczy do palet magazynowych; i wielorakie systemy od wentylacji do utylizacji odpadków. Statek kosmiczny był niesłychanie złożonym urządzeniem przeznaczonym do utrzymywania przy życiu w niesprzyjającym środowisku setek ludzi.

Zaopatrywanie statku napotykało co chwila na przeszkody spowodowane niewidocznymi działaniami konsorcjum Renarda. W najcięższych chwilach Nicklin czuł paranoiczną pewność, że to Renard osobiście i mściwie tamuje postęp robót. Zwykle jednak przyjmował, że *Tara* jest przypadkową ofiarą działalności konsorcjum. Prawdziwym przeciwnikiem było niezmiennie prawo popytu i podaży, czasami

dotatkowo wspierane przez odwiecznego wroga, znanego inżynierom od zarania techniki i zwanym przez nich Prawem Murphy'ego.

Nicklin wielokrotnie musiał nabywać części zaprojektowane dla statków nieco innych typów, części, które powinny z łatwością dać się przerobić. Jednak nieraz odnosił wrażenie, że sprawą zajmują się szkodliwe, złośliwie łypiące gobliny. Wystarczyło zmienić kształt kryzy czy zastosować śrubę dwustronną, żeby zainicjować długą serię czasochłonnych modyfikacji. Mała armia pracowników misji była czasami zmuszona pracować na trzy zmiany i pod ścisłą kontrolą Nicklina nabyła godną uznania sprawność w pracach ręcznych.

Scott Hepworth napotykał podobne trudności, pracując nad mechanizmami napędowymi *Tary*. Od czasu do czasu musiał zatrudniać specjalistów spoza misji, ale w końcu - po ponad dwuletnim intensywnym wysiłku - praca została ukończona.

„Ptak może wyfrunąć” - myślał Nicklin, idąc w trapezoidalnym cieniu swego słonecznego kapelusza. - „Jedyny kłopot w tym, że nikt nie ma zamiaru otworzyć klatki”.

Dochodząc do głównej rampy, prowadzącej do cylindra pasażerskiego statku, Nicklin zatrzymał się, widząc Lana Huertasa schodzącego na dół. Huertas, jedyny Murzyn w misji, był pierwszym człowiekiem, który rozmawiał z Nicklinem w Orangefield tamtego brzemienego w skutki dnia, gdy Nicklin przystąpił do misji. Był on również jedynym człowiekiem, który nie usiłował kryć swej osobistej niechęci i obecnie najrzadziej z nim rozmawiał.

- Cześć, mój stary druhu, mój stary kumplu! - zawołał radośnie Nicklin. To była jego strategia: irytować Huertasa pokazową, wylewną serdecznością. - Jak się dzisiaj czujesz?

- Okej - wymamrotał Huertas, próbując prześlizgnąć się bokiem.

- To dla mnie wspaniała wiadomość - stwierdził Nicklin - Powiedz mi, ukochany przyjacielu, czy Corey jest na statku?

- W hotelu.
- Jestem ci niezmiernie zobowiązany.

Nicklin przyjacielsko klepnął Huertasa po ramieniu i skierował się do Hotelu „Odkrywca”. Hotel, którego zyski pochodziły prawie wyłącznie z obsługi ruchu w porcie kosmicznym, od chwili Wielkiego Skoku znajdował się w poważnych kłopotach finansowych. Kierownictwo hotelu z radością udzieliło specjalnych zniżek tym niewielu gościom, którzy przybyli za sprawą Montane’a. Mieszkało tu kilka rodzin pielgrzymów, przeważnie z odległych miejsc rejonu P1, którzy nadciągnęli do Beach-head nie czekając na zawiadomienie o dacie odlotu.

Nicklin widywał ich czasami: jak spacerowali po Parku Garamonda zwartą grupą, skupieni razem, jakby broniąc się przed uczuciem, że nie należą już nigdzie. Ich dzieci cieszyły się z niespodziewanych wakacji. Dla Nicklina były to żalosne postacie: odcięli swoje korzenie w jednym świecie i pozostaną w otchłani obojętności, dopóki nie dostaną się do innego świata. Nie obchodzili go dorośli; sądził że każdy, kto jest na tyle szalony, by wszystko porzucić z powodu jakiegoś dziwactwa religijnego, nie zasługuje na współczucie. „Nigdy nie powinieneś czynić z siebie żebraka, jeśli nie masz po temu naprawdę ważnych i rozsądnych powodów - takich jak na przykład kobieta o wężowych biodrach mówiąca ci, że jesteś dobry w łóżku”. Ale sprawa posuwała się już trochę za daleko, nawet jak na samego Wielkiego Kawalarza, kiedy tak doszczętnie niszczone życie małych dzieci.

Nicklin zastanawiał się czasami, czy Montane jest całkowicie odporny i czy nie ma wątpliwości w tej sprawie. Cisnąć je w próżnię, ku jakiejś domniemanej drobince kurzu - to nadaje zupełnie nowy sens

zwrotowi „maltretowanie małych dzieci”. Najlepszy los, jakiego mogły w przyszłości oczekiwać, związany był z faktem, że *Tara* miała niewiele szans, iż w ogóle kiedykolwiek wyruszy ku Nowemu Edenowi, a to dzięki - jak nazywał to Nicklin - Wojnom o Zaświadczenie o Zdolności do Lotu.

Montane ostrzeżony przed trudnościami uzyskania odpowiednich papierów, wykonał przebiegły ruch: swoich akolitów uczynił akcjonariuszami zarejestrowanej spółki. Z prawnego punktu widzenia byli oni teraz współwłaścicielami *Tary*, co oznaczało, iż jest ona teraz raczej prywatnym a nie publicznym środkiem transportu i dlatego podlega mniej szczegółowej kontroli. Jednak te subtelności zdawały się nie mieć wpływu na postawę inspektorów Wydziału Transportu Kosmicznego.

Nicklin obserwował, jak stadami przychodzili i odchodzili urzędnicy Metarządu. Większość z nich miała przyklepione do twarzy nabożne miny biurokratów, którzy traktują zmartwychwstały statek jako zagrożenie sensu swego całego istnienia. Ich filozofia, jak to wyjaśnił Montane'owi i Voorsangerowi, polegała na tym, że dziura na nit, wywiercona tu na miejscu przez robotnika, jest czymś gorszym, niż taka sama dziura wywiercona przez innego robotnika w licencjonowanej fabryce.

Przekonywał ich również, że istnieją dwie drogi wyjścia z tego impasu. Pierwszy, to zastosowanie przekupstwa na wielką skalę, od najniższych szczebli do najwyższych. Drugi sposób polegał na zerwaniu blokad Wydziału Transportu na pochylni *Tary* i opuszczeniu, Orbitsville głęboką nocą. Montane potraktował obie sugestie jako niestosowne żarty. Widocznie czekał na boską interwencję, która po-

zwoli jemu i jego gromadzie przyszłych Ojców i Matek Pielgrzymów wyruszyć z rozwiniętymi żaglami.

„To jest najodpowiedniejszy czas, by odejść” - myślał Nicklin, odalając się od statku. - „Dokończyłem to, co zacząłem - jeśli nie liczyć ważnego wyjątku: Danei - i jestem gotów na wszystko, co mi ześle Gazyowy Kręgowiec”.

Wyszedł z terenów podległych administracji portu przez bramę rozładunkową, teraz całkowicie pustą, i przeciął Bulwar Lindstromów. Po prawej miał kryształową piramidę „Odkrywcy”, której pochyłe ściany odbijały bladobłękitne niebo Orbitsville. Skręcił właśnie w kierunku hotelu, kiedy dostrzegł idącą z przeciwka wysoką, młodą kobietę. Była ubrana w zielonkawy kapelusz słoneczny i dobrane kolorem szorty i stanik. Strój ten doskonale harmonizował z jej blond włosami i opaloną cerą. Robiła wrażenie dziewczyny ładnej, wdzięcznej i pewnej siebie. Uwagę Nicklina zwrócił jednak fakt, że dziewczyna uśmiechała się właśnie do niego. Coś w jej wyglądzie wydawało mu się znajome i przez chwilę zastanawiał się, czy nie jest to przypadkiem jedna z młodych prostytutek, z którymi zabawiał się w ciągu ostatnich dwóch lat.

- Jim! - zawołała dziewczyna. - Właśnie cię szukałam!

Nicklin wlepił wzrok w jej idealną twarz o małym podbródku. Błysk rozpoznania, który pojawił się w jej oczach, uzupełnił jego własne wspomnienia.

- Zindee! Zindee White!

Podeszła do niego z otwartymi ramionami i ucałowali się. Było to dla Nicklina miłe i zaskakujące. Czuł nacisk jej twardych piersi i ten pocałunek w usta, fachowy i hojny. „To świetne” - pomyślał. - „Najlepszy pocałunek, jaki znam...”

- Niech ci się przyjrzę - powiedział, gdy skończyli się ściskać. - Kiedy widziałem cię ostatni raz, byłaś małą dziewczynką!

Wielokrotnie słyszał, jak dorośli używają dokładnie takich samych słów przy spotkaniu z młodym człowiekiem, który zmienił się w ciągu paru lat, ale Nicklin nie potrafił ulepszyć tego zwrotu. Biologia - czarodziejka popracowała nad Zindee, a on mógł tylko z nabożnym podziwem obserwować wynik. Nadal miała w sobie coś z dziecka, które znał, ale dla niego ten składnik pozostawał w cieniu wobec bliskiej bezpośredniej obecności pięknej kobiety.

- To nie do wiary - rzekł. - Ile masz lat?

- Siedemnaście.

Potrząsnął głową.

- To nie do wiary! Zindee White!

- Ani razu do mnie nie napisałeś - powiedziała z wyrzutem.

- Wiem, i jest mi przykro. Nigdy o tobie nie zapomniałem, ale zdarzało się wiele rzeczy.

- Słyszałam o nich. W każdym razie nie mogłabym o tobie zapomnieć.

Obdarzyła go dziwnie nieśmiałym uśmiechem i dotknęła małego brązowego krążka, na łańcuszku przy szyi. Nicklin myślał początkowo, że to medalik, ale kiedy przyjrzał mu mu lepiej, zobaczył, że jest to stara moneta.

- Co porabiasz w tych stronach? - zapytał.

- Wizytuję z rodziną zadymione rejony.

Puściła monetę, a przez twarz przemknął jej wyraz smutku. Nicklinowi przyszło na myśl, że być może któreś z jej rodziców przybyło do Beachhead, do jednej z wielkich tutejszych klinik.

- Jak się miewają Cham i Nora? - spytał.

- Doskonale. Zameldowaliśmy się w hotelu około godziny temu i centrum informacyjne wyświetliło mi, gdzie mogę cię znaleźć. - Spojrzała na teren portu. - Miałam nadzieję, że tam dotrę, zanim wyjdiesz.

- Innymi słowy chciałaś się ze mną zobaczyć jedynie z powodu mego statku.

Zindee na wpół przymknęła oczy.

- Nie powiedziałabym tego - ale nigdy dotąd nie widziałam żadnego statku na oczy.

- Chodźmy!

Przecięli bulwar i podeszli do portierni władz portowych, gdzie na prośbę Nicklina umundurowany strażnik wydał Zindee czasową przepustkę w formie okrągłego, srebrzystego znaczka. Szli ramię w ramię ku statkowi, a ich kapelusze ocierały się brzegami. Zindee wyjaśniła, że ma zamiar zapisać się na ogólne kursy nauk przyrodniczych na uniwersytecie imienia Denise Serra we Wschodnim Beachhead. Być może potem będzie się starała uzyskać dyplom z entomologii. Jej rodzice przyjechali razem z nią, by wstępnie obejrzeć college, a równocześnie spędzić tu wakacje.

- To wspaniała wiadomość - oświadczył Nicklin. - Jeśli masz zamiar mieszkać w Beachhead przez najbliższe dwa lub trzy lata, będziemy mogli się regularnie widywać.

Zindee zmyliła krok.

- Ale... Nie wyjeżdżasz stąd?

W pierwszej chwili jej nie zrozumiał, ale potem zaśmiał się ze zdziwieniem.

- Na Boga, nie! Nic, ale to zupełnie nic, nie zmusiłoby mnie, bym ryzykował swój cenny tyłek podróżując donikąd - zwłaszcza z tą zbitekowaną bandą.

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy - rzekła Zindee. - Myślałam, że ty i...

- Danea? Dziwka w Czerni? Nic z tego nie wyszło -co nie znaczy, że w ogóle było jakieś „to”, z którego miałyby coś wychodzić.

- Mówisz to z goryczą, Jim.

- Dlaczego miałbym mówić z goryczą. Wyciągnęła mnie z Orangefield i to była najlepsza rzecz, jaka mogła mnie spotkać. Jestem teraz innym człowiekiem, moja droga Zindee.

- Rozumiem.

Zindee zaczęła wprowadzać go w bieżące sprawy i wydarzenia w Orangefield, ale większość informacji przechodziła mu mimo uszu. Nie mógł się skupić, gdyż przeszkadzała mu bliskość jej szczupłego, młodego ciała, którego erotyczny wpływ wzmacniały wspomnienia o tych szczególnych stosunkach, jakie długo ich łączyły. Kochać się z Zindee - to byłoby coś zupełnie innego, niż te przypadkowe akty z nieznanymi kobietami, niż ten jego dotychczasowy seksualny jadłospis, do którego nigdy nie przyzwyczał się w pełni. To byłoby ciepłe, głęboko podniecające i - przede wszystkim - dawałoby satysfakcję. Dokładnie tego potrzebował w tym przełomowym momencie swego życia i traktował jako bajeczny łut szczęścia to, że właśnie teraz Zindee zmaterializowała się z przeszłości. Doprawdy, Gazowy Kręgowiec był w dobrym humorze.

- Więc tak wyglądają statki kosmiczne - powiedziała Zindee bez tchu. - Jest piękny!

- Jest niezły - zgodził się Nicklin, przebiegając wzrokiem lśniący kadłub *Tary*, wyłaniający się z doku zza budynków biurowych. - Szkoda, że nie widziałas, w jakim stanie był dwa lata temu.

- I do tego sam portal! Nie mogę się doczekać, kiedy spojrzę na gwiazdy.

- Nie ma się co nimi ekscytować - stwierdził Nicklin. - Chciałabyś obejrzeć wnętrze statku?

- A mogę? - zapytała Zindee, ściskając go za rękę.

- No pewnie!

Znów czuł nacisk jej piersi i zastanawiał się, czy zdaje sobie ona sprawę z tego co robi. Potem doszedł do wniosku, że ona wie doskonale, jakie są skutki takich poufanych kontaktów. Widać było, że jest aktywna seksualnie i teraz do niego należało zrobienie następnego kroku. Był dwa razy od niej starszy. Cham i Nora, ludzie zasadniczy, mogą robić trudności - ale są sposoby, żeby je obejść. Zwłaszcza w przypadku starego i zaufanego przyjaciela rodziny. Myśl, że być może już dziś pójdzie do łóżka razem z tą złotą kobietą-dzieckiem, spowodowała, że w całym ciele poczuł powolne pulsowanie krwi.

„Ale nie poganiaj” - powiedział sobie. - „To musi nastąpić naturalnie. Powoli, naturalnie i w sposób nieunikniony...”

- Czy możemy tam wejść natychmiast? - spytała Zindee.

- Kiedy tylko sobie...

Nicklin przerwał, kiedy zobaczył samochód z oznakowaniem Wydziału Transportu, stojący przy podstawie rampy głównej. Obok pojazdu Scott Hepworth rozmawiał z trzema mężczyznami, wyglądającymi na urzędników Metarządu. Ożywiona gestykulacja rąk Hepwortha wskazywała dobitnie, że jest on zaangażowany w jakąś kłótnię. Obrócił się gwałtownie i pomaszerował w górę rampy. Urzędnicy poszli za nim i cała czwórka zniknęła w czarnym prostokącie luku głównego.

- Lepiej poczekajmy tutaj kilka minut - rzekł Nicklin. - Przez pewien czas będzie w środku trochę tłoczno.

- Nawet na takim wielkim statku?

- Teraz, kiedy skończyliśmy go wyposażać, jest tylko jeden pomost, po którym można chodzić. Poza tym, prawdopodobnie będzie tam słycać mnóstwo nieprzyzwoitych słów, niestosownych dla uszu niewinnej panienci.

Zindee przesunęła na bok kapelusz i odstąpiła na krok od Nicklina, obdarzając go zapierającym dech uśmiechem.

- Kto mówi, że jestem niewinna? Albo nawet panienka?

„Dzisiaj” - przyrzekł sobie Nicklin, powstrzymując chęć ponownego jej pocałowania. - „To musi być dziś wieczór”.

- Zindee - rzekł. - Wątpię, czy osobę nawet tak wyrobioną jak ty, nie zaskoczyłby Scott Hepworth.

- Czemuż to?

- Pije za dużo, je za dużo, jest patałachem, kłamcą, traci wszystkie swoje pieniądze i ma sprośny umysł -krótko mówiąc posiada wszystkie cechy, których ja osobiście oczekuję u przyjaciela.

Zindee zaśmiała się.

- Co ci się jeszcze w nim podoba?

Zachęcony jej odpowiedzią i wiedząc, że zna wystarczająco wiele anegdot na temat Hepwortha, by w razie potrzeby wypełnić nimi pełną godzinę, Nicklin opisał, w jaki sposób wyrzucono fizyka z Instytutu Garamonda.

- Każdy dureń może zobaczyć wszechświat w ziarnku piasku - zakończył - ale tylko Scott Hepworth zobaczył inny wszechświat w bryle metalu.

Wbrew oczekiwaniom Zindee wyglądała poważnie.

- Czy to on ma być waszym doradcą naukowym?
- Nie stosujemy na ogół formalnych tytułów, ale...

tak. Jest on czymś w tym rodzaju. Głównie zajmuje się silnikami.

Na twarzy Zindee pojawił się pogardliwy grymas, powodując, że stała się ona znów podobna do dziecka, które pamiętał Nicklin.

- Mam nadzieję, że zna on się lepiej na silnikach niż na fizyce.
- Co masz na myśli?
- Jim, nawet ja wiem, że eksperyment z kobaltem 60 nie pokazałby, że Orbitsville stała się częścią wszechświata z antimaterii, z odwróconym czasem. Czy nigdy nie słyszałeś o zasadzie CPT?

Nicklin zamrugał.

- A powinienem być?
- Może i nie - stwierdziła Zindee - ale zasada ta mówi, że kiedy naprawdę wszystko jest odwrócone, nie ma sposobu, by wykryć tę zmianę. Na jej podstawie możemy stwierdzić, że twój przyjaciel coś poknocił z regulacją swoich instrumentów.

- Ale Scott przysięga, że nastawiał je prawidłowo - rzekł Nicklin. - Twierdzi, że dostarczył on ostatecznego dowodu na to, iż Wielki Skok rzeczywiście miał miejsce.

- To woli nawóz, Jim.

Uśmiechnął się, słysząc jedno z ulubionych powiedzeń Zindee i przypomniał sobie o jej przedwcześnie rozwiniętej zdolności widzenia rzeczy we właściwym świetle.

- Czy według ciebie cała ta gadanina o jakimś Wielkim Skoku to nonsens?

- Nie wiem, czy to nonsens czy nie. Mówię tylko, że żadne sztuczki z kobaltem 60 czy jakimkolwiek innym izotopem nie dostarczą dowodów ani na tak, ani na siak.

Nicklin dumał przez chwilę nad tym, że być może prace remontowe jednostek silnikowych *Tary* były przeprowadzane przez człowieka zdolnego do robienia zasadniczych błędów. Lub, co gorsza, przez człowieka, który odmawiał przyznania się do popełnionych już pomyłek. Prawdopodobnie dla wszystkich zainteresowanych było dobrze, że inspektorat Metarządu tak uparcie odmawiał wydania dokumentów, stwierdzających, że statek nadaje się do lotu.

- W każdym razie są to rozważania czysto akademickie. *Tara* nie polecą nigdzie, mimo tych wszystkich doniesień prasowych - rzekł, wzruszając ramionami. - Czy chcesz przespacerować się do części frontowej i lepiej przyjrzeć się szalupie?

- Tak, proszę.

Kiedy podeszli bliżej do czarnego jeziora portalu, poranna bryza zatrzepotała cienkim strojem Zindee, który oblepił jej ciało. Wyglądała teraz jak opalona istota z seksownych reklam, obliczonych na męskich szowinistów. Nicklin uświadomił sobie, że wszyscy mężczyźni w zasięgu wzroku wybałuszyli na nią oczy. „Nie dostaniecie ani kawałka, chłopcy” - triumfował. ” - „Cała jest moja! ”

- Latanie w czymś takim musi być wspaniałe - powiedziała, przytrzymując kapelusz i patrząc w górę na wydłużone, opływowe kształty szalupy. Zawieszony w pozycji do lotu, pod sekcją dziobową *Tary*, mały statek znajdował się bardzo blisko od krawędzi portalu i wyobraźnia podsuwała obraz, jak szalupa napręża się, ześlizguje wprzód i, jak drapieżny ptak, szybuje w dół, w swe naturalne środowisko.

- Sama szalupa jest warta obecnie majątek - rzekł Nicklin. - Jeśli Corey nabierze kiedyś rozumu, wszystko sprzeda i zapomni o swojej wariackiej misji, będzie człowiekiem bogatym.

- Nie masz o nim dobrego zdania?
- Ma nieźle popieprzone pod czaszką.

Chcąc uzasadnić swoją opinię Nicklin opowiedział o tym, jak Montane zabiera wszędzie ciało swojej żony i o tym, jak podsłuchiwał go, gdy tamtem rozmawiał z trupem.

Zindee popatrzyła z niedowierzaniem.

- Czy trochę nie zalewasz, Jim?
- To prawda! Zmarła pani Montane leży zapakowana, tam wewnątrz, nawet w tej chwili - potwierdził Nicklin, wskazując na wóz kempingowy Montane'a, zaparkowany w pobliżu statku. - Corey śpi tam w nocy, zamiast zamieszkać w hotelu razem z nami. I stosuje trumnę jako stół do herbaty.

Zindee spojrzała nań zmrużonymi oczyma.

- To jedna z twoich historyjek, prawda?
- Nieprawda! Już dawno skończyłem z nabieraniem ludzi. Przedstawiam teraz gołe fakty i jeśli nie podoba im się to, co słyszą, to jest już ich problem, nie mój.
- Jak kształtuje się twój wskaźnik popularności?
- Wszyscy dookoła uwielbiają mnie - stwierdził Nicklin. - Zwłaszcza ten typ. - Wskazał na zbliżającą się ciężkim krokiem postać Gerla Kingsleya, który nadchodził od strony „Odkrywcy”, prawdopodobnie wykonując jedno z tych niejasnych zleceń, jakie zawsze dawał mu Montane. - Miej na względzie, że ocaliłem mu życie.

Kingsley zwolnił, zbliżając się do nich, i obdarzył Nicklina okropnym, koślawym uśmiechem, który pozostał mu od dnia, gdy kula przeszła mu policzki. Kiedy ich mijał, wzrok miał cały czas wlepiony w Zindee.

- Myślę, że ciebie jest również gotów uwielbiać -skomentował to Nicklin. - I nie mogę powiedzieć, że mu się dziwię.

Próbował objąć Zindee w talii, ale odsunęła się.

- Jak ocaliłeś mu życie? - spytała.

- Celnie strzelając.

Zreferował epizod, który wydarzył się na wsi w Al-tamurze pewnego cichego spokojnego poranka tamtego lata, które teraz wydawało się czymś bardzo odległym. W ciągu minionych lat rzadko wspominał te wydarzenia i teraz, kiedy o nich mówił, skłonny był wierzyć, że to część biografii jakiejś innej osoby. Kiedy kończył, opisując niesmaczne następstwa - pozbycie się zwłok - opowieść, nawet dla niego samego nabrała cech gorączkowego majaczenia.

- Na wypadek, gdybyś sądziła, że to kolejne zmyślenie Nicklina - dodał - zapewniam cię, że wszystko to wydarzyło się naprawdę.

- Wierzę ci - rzekła Zindee.

Jej oczy wpatrywały się w jego twarz z dziwnym napięciem, jak oczy osoby, szukającej drogocennej rzeczy, która została zgubiona lub skradziona.

Nicklin poczuł się nagle nieswojo i wskazał gestem statek.

- Chciałbym, żeby Hepworth wyniósł już stamtąd swój tyłek.

- Nie muszę wchodzić do środka.

- Stary sukinsyn z pewnością zaraz stamtąd wyjdzie.

- Może podejść do krawędzi portalu i...

Zindee nie dokończyła zdania, gdyż jej uwagę przyciągnęło auto, które zatrzymało się właśnie w pobliżu. Był to kabriolet z odsuniętym dachem. We wnętrzu siedziała Danae Farthing, razem z mężczyzną, kobietą i dwojgiem dzieci. Widocznie Danae pokazywała statek nowo przybyłym.

Wyraz twarzy Zindee zmienił się

- Czy to nie jest...

- Tak, to Danae - potwierdził Nicklin. - Uważaj na swoje srebra.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że ma aż taki styl. - Zindee powiedziała to z aprobatą, patrząc na Daneę, na jej spięty paskiem kostium z pawiego jedwabiu i słoneczny stetson. Odruchowo podniosła rękę i pomachała, kiedy Danae spojrzała w ich stronę. Nicklina zdziwił ten gest. Pamiętał, jak przy pierwszym spotkaniu Zindee okazywała naturalną niechęć do starszej od siebie kobiety.

- Tak, ma swoisty styl - zgodził się Nicklin, nadając swym słowom osobisty, gorzki podtekst.

Danae, powiedziawszy coś do swych podopiecznych, ruszyła w stronę Zindee. Jego reakcja na widok ociężałych powiek, obrzmiałych warg i bezbiodrej, lekko kroczącej postaci, była taka sama jak zawsze - mieszanina nienawiści i niekłamanego, wywołującego słabość w nogach, pożądania. Przez trzy lata Danae unikała go, odpędzała i frustrowała, dając dowód nieugiętości swego charakteru. Nie mogły jej poruszyć żadne podstępny i, chociaż przyznawanie się do tego sprawiało mu ból, odniosła całkowite zwycięstwo w ich niekończącej się potyczce.

- Cześć! - powiedziała Danae, ze wzrokiem skierowanym tylko na Zindee. - Olśniło mnie nagle, że wszystkie małe dziewczynki powinny być na diecie melbowej.

Zindee uśmiechnęła się.

- Ma pani dobrą pamięć.

- Do twarzy, ale nie do nazwisk.

- To jest Zindee - rzekł Nicklin, kładąc rękę na ramionach Zindee zaborczym gestem, który Danae musiała zauważyć. - Zindee White.

- To miło spotkać cię znowu, Zindee - oświadczyła Danae. - Nie le-
cisz chyba tym statkiem?

- Nie.

- Tak myślałam. Mamy jedną rodzinę White'ów, ale nie mają oni
żadnych powiązań z Orangefield.

- Jestem tu na wakacjach z rodzicami.

- Chciałabym, żebyście lecieli z nami. - Danae obdarzyła ją spoj-
rzeniem pełnym smutnego ciepła. - Czas dla Orbitsville się kończy,
wiesz. Corey Montane mówił nam o tym wiele razy, a my przekonani
jesteśmy w głębi naszych serc, że ma słuszność.

Nicklin ścisnął ramię Zindee.

- Corey Montane, to właśnie ten człowiek, któremu się wydaje, że
jest żonaty z sardynką.

- Muszę już iść - rzekła Danae, wciąż nie patrząc w stronę Nickli-
na. - Wszystkiego dobrego, Zindee.

- Co sądzisz o tym przedstawieniu - rzekł cicho Nicklin Zindee do
ucha, patrząc w ślad za Danaę odchodzącą do samochodu. - Ta kobieta
jest bez wątpienia najgłupszą i naj...

Przerwał zaskoczony, kiedy Zindee odepchnęła go od siebie z nie-
spodziewaną siłą.

- Nie dotykaj mnie - warknęła, a w jej oczach migotały gniewne
ogniki. - Nie będziesz mnie wykorzystywał w swoich żalonych gier-
kach.

- Zindee! - zrobił krok w jej kierunku, ale został powstrzymany
pełnym pogardy spojrzeniem, które zniekształcało jej rysy i postarza-
ło ją. - Posłuchaj, to jakieś nieporozumienie. Chodźmy do mojego po-
koju w hotelu i...

- Do widzenia, Jim! - Zindee zdjęła brązową monetę z szyi, zrywając łańcuszek. - A tu masz coś, żeby ci mnie przypominało!

Rzuciła monetę na ziemię u jego stóp, obróciła się na pięcie i szybko odeszła.

- Ale...

Oślupiały spjrzał w dół na monetę i jakby tama pękła w jego pamięci. „To przecież ja jej to dałem, tego dnia, kiedy wyjechałem z Orangefield.”

Podniósł monetę, mając zamiar pobiec za Zindee. Zrobił jeden jedyny krok, gdy w zupełnej ciszy - i tak nagle, jak zatrzasną się drzwi - cały świat stał się czarny.

Nicklinowi wyrwał się mimowolnie okrzyk przestrawienia, kiedy przez chwilę miał wrażenie, że oślepnął. Czerń wydawała się tak absolutna - nie było świateł ulicznych, świateł w biurkach, świateł pojazdów, nie było świateł z reflektorów dokoła statku - że musiała pochodzić z wewnątrz. Była to na pewno kara za jego występki. Potem oczy zaczęły mu przywykać do ciemności i z wolna, jak wzór pojawiający się na płycie fotograficznej, delikatnie pozbrowane nocne niebo pojawiło się nad nim, od horyzontu do horyzontu.

Nicklin spojrzał w górę, ku zenitowi, i zobaczył, że słońce schowało się za jeden z nieprzezroczystych pasów, których ruch po niebiosach powodował dzień i noc na Orbitsville.

Jego lęk powrócił ze wznowioną siłą, kiedy uświadomił sobie, że w jakiś sposób - po raz pierwszy w dziejach ludzkości - Orbitsville skończyła z jasnego poranka w północną czerń.

ROZDZIAŁ 16

- Sami widzicie, że pułapka zamyka się.

Corey Montane przemawiał do grupy około dwudziestu pracowników zgromadzonych w biurze misji na trzecim piętrze. Twarz miał szarą i wynędzniałą. Nicklinowi wydawał się przygnębiony i nieco zniechęcony, a przecież właśnie teraz trzeba było dodawać ducha i skupiać koło siebie swych akolitów.

- Nie muszę wam mówić, że dziś wieczór Szatan zaciera ręce - kontynuował Montane. - Musimy wydostać się z tego przeklętego miejsca w najbliższym czasie, przyjaciele, gdyż jeśli tego nie zrobimy, będzie za późno.

Nicklin słuchał posłania i po raz pierwszy od chwili gdy poznał Montane'a, nie miał ochoty na kpiny. Jaśniejąca tarcza biurowego holozegara, pozornie unosząca się w powietrzu przy ścianie, wskazywała dwunastą sześć

- ale okna były czarne jak smoła. Zamiast zwykłego południowego pejzażu zalanych słońcem budynków i odległych wzgórz, widać było - skupione, rozproszone lub ustawione w rzędach światła nocnego Beachhead.

Fizjologiczny zegar Nicklina wskazywał, że coś się strasznie zepsuło w naturalnym porządku rzeczy. Bardziej jednak niepokoiło go poczucie, że zadziały tu potężne siły ponadnaturalne. Uaktywnił się mistyczny i przesądny pierwiastek jego osobowości - a Nicklin przysięgłby, że jest od niego wolny - i podszeptował mu rzeczy, których on nie chciał słyszeć. Często usiłował wyobrazić sobie bezradność i rozpacz kogoś, przeżywającego trzęsienie ziemi. Jak to jest, zastanawiał się, kiedy nie ma miejsca, gdzie można by uciec, kiedy sam grunt pod

nogami stał się twym śmiertelnym wrogiem? Teraz już nie musiał wyobrażać sobie tego poczucia ponurej bezradności. „Gdzie można się ukryć, jeśli jakaś wielka dłoń rozrywa błękitną kopułę niebios, przemieszcza dzień i noc, a właściciel tej dłoni rzuca złowieszcze spojrzenie na wszystko, co jest w dole? ”

- Kiedy wyruszamy, Corey? - zawołał jakiś mężczyzna. Nicklin rozejrzał się i zobaczył, pytał elektryk, Jock Craig.

- Musi to nastąpić jak najszybciej - odrzekł Montane. - Pójdę natychmiast do Wydziału Transportu, jak tylko...

Przerwał zdziwiony, gdyż ponad połowa słuchaczy zareagowała buntowniczo na jego słowa.

- Kogo obchodzą dokumenty w takiej chwili! - krzyknął Craig, porzucając swój nieco unижony ton, z jakim zwykle zwracał się do kanonadziei. - Powinniśmy zerwać blokady i wyruszyć natychmiast!

Jego słowa wywołały ogólny pomruk aprobaty. Montane stłumił te dźwięki przy pomocy znajomej sztuczki: podniósł obie ręce w górę i opuścił je uciszającym ruchem. Tym razem gest ten okazał się mniej skuteczny niż zwykle i cisza, która po nim nastąpiła, nie była idealna.

- Czy dobrze słyszę, Jock? - spytał Montane. - Czy proponujesz, by pozostawić większość naszych braci? Nie zapominaj, że wielu z nich wciąż czeka w domach, porzrzucanych po całym P1. - Wskazał na panele komunikacyjne, gdzie kolumny mrugających pomarańczowych świateł wskazywały, że kilkanastu rozmówców czeka na odpowiedź. - Co im powiemy? Żeby poszli sobie do Diabła?

- Lepiej, żeby zostali zbawieni niektórzy, niż w ogóle nikt - nastawał Jock, patrząc wokół w poszukiwaniu poparcia.

- Myślę, że trochę za wcześnie się niepokoiimy - wtrącił Scott Hepworth grzmiącym głosem, jakby mówił do znacznie większego

zgromadzenia. - Zaobserwowaliśmy niewielkie zakłócenie ruchu klatki słonecznej. Nic się ponadto nie zmieniło. Mógł tam po prostu zadziałać jakiś mechanizm samoregulujący coś, co zwykle równoważy siły i od czasu do czasu doregulowuje zaciemnienie. Nie zapominajcie, że jesteśmy na Orbitsville dopiero od dwustu lat, a w skali astronomicznej takie okresy wcale się nie liczą.

Hepworth powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

- Doradzam, by nie wpadać w panikę.

„Oto przemawia głos zimnego rozsądku” - pomyślał Nicklin. - „Kłopot polega na tym, że absolutnie nikt mu nie wierzy - ze mną włącznie”.

- Scott ma zupełną słuszność - oświadczył głośno Montane, starając się z najwyższym wysiłkiem odzyskać swoją władzę nad zebranymi. - Zaczniemy wzywać wszystkie nasze rodziny, zaczynając od zaraz, ale tymczasem chcę...

Umilkł nagle, uciszony przez bezgłośny potop światła, kiedy dzienny świat, w całej swej jaskrawości, pojawił się za oknami biura.

Widok ten zmaterializował się momentalnie. Wszystko wyglądało normalnie, pogodnie i odwiecznie, jakby nic nadzwyczajnego nigdy się nie wydarzyło. Nicklin ujrzał ptaki kołujące w nasłonecznionym powietrzu i flagi lekko trzepoczące na masztach nad głównym terminalem pasażerskim. Obraz ten pulsował w jego oczach przez kilka sekund, a w tym czasie ludzie w pomieszczeniu patrzyli na siebie nawzajem oszołomieni, nic nie rozumiejąc - aż cały widok znikł znów w czerni wśród chóru przerażonych krzyków i jęków.

Nicklin również wydał mimowolny okrzyk, ponieważ w chwili, gdy ponownie zapadła noc, poczuł, jak cała podłoga biura usuwa się spod jego stóp. Od razu wiedział, że budynek się wali, a on za chwilę

spadnie w ruiny. Potem jego oczy potwierdziły dziwny fakt, że biuro i wszystko, co w nim się znajduje, wciąż mocno tkwi na swoim miejscu. Ludzie ze spopielałymi twarzami trzymali się kurczowo mebli, szukając oparcia, ale - co było zadziwiające - okazało się, że budynek jest zupełnie nie naruszony i nie uszkodzony. W chwilę później podłoga ponownie cisnęła na podeszwy stóp.

Odczucia kojarzone zwykle z podróżą kosmiczną były Nicklinowi obce; nigdy nawet nie zaryzykował przejażdżki po torze parabolicznym w wesołym miasteczku. Teraz jednak jego umysł szybko sklecił wyjaśnienie całego wydarzenia.

- To była chwilowa utrata grawitacji - krzyk Hepwortha zagłuszył panujący zgiełk, potwierdzając najgorsze podejrzenia wszystkich obecnych. - To wszystko: czasowa utrata grawitacji... nie ma się czym niepokoić.

Nicklin wybałuszył oczy na niechlujnego fizyka, zastanawiając się, czy ów zdaje sobie sprawę, jak śmiesznie wygląda, kiedy próbuje przedstawić utratę grawitacji, jakby to było mało znaczące wydarzenie w rodzaju przerwy w dostawie prądu elektrycznego. Nic podobnego nigdy przedtem nie wydarzyło się na Orbitsville. Nawet gwałtowne przełączenie z dnia do nocy, choć przerażające, nie wywoływało takiego instynktownego strachu w trzewiach, ponieważ mimo wszystko światło było tylko światłem i wszyscy wiedzieli, jak łatwo się je włącza i wyłącza. Ale grawitacja, to coś innego! Nie igra się z grawitacją. Nikt nigdy nie zdołał nic przy niej zмайstrować czy zmodyfikować ją w jakikolwiek sposób. Kiedy zniknęła grawitacja, zarówno dorośli jak i dzieci natychmiast stawali się uczonymi profesorami fizyki, pełnymi głębokiego zrozumienia podstawowych sił w przyrodzie, wiedzącymi,

że skoro coś tak istotnego dla egzystencji może się popsuć, sama egzystencja jest zagrożona.

Jak gdyby Gazowy Kręgowiec pragnął przyklasnąć i poprzeć myślowy proces Nicklina, na zewnątrz biura zajaśniał zalany słońcem świat, ale jedynie na tyle, by Nicklin mógł zaczerpnąć oddechu, a potem natychmiast znów nastąpiła noc. Efekt do tego stopnia przypominał błyskawicę albo może błysk po wybuchu termojądrowym, że Nicklin zamarł z przerażenia, czekając na detonację, która musiała nastąpić. Zamiast tego panowała głęboka cisza, w której nastąpiła seria krótszych pojawień: dzień, noc, dzień, noc, dzień, noc - miesiąc kalendarzowy wpakowany w kilkanaście stroboskopowych sekund. Raz czy dwa, podczas tego staccato, grawitacja poluzowała swe więzy, ale nie aż tak całkowicie jak poprzednio, a potem wszystko minęło. Na dworze zapanowała spokojna noc. Lampy sufitowe łagodnie oświetlały banalny mikrokosmos - biuro, tandetne meble i przestraszonych ludzi, którzy oczekiwali na śmierć.

- Mój Boże - powiedziała cicho jakaś kobieta. - To koniec świata.

„Bardziej poprawnym stwierdzeniem byłoby, że Orbitsville stało się niestabilne” - zadumał się Nicklin. - „Oczywiście, w końcu sprowadza się to do tego samego...”

Hepworth walnął pięścią w stół.

- Czy ktoś wie, gdzie jest Megan Fleischer?

Padło nazwisko pilota i to wystarczyło, by ogólna trwoga przeszła w działanie. Nie mówiono wiele, dały się zauważyć nieliczne oznaki śmiertelnego strachu, ale wszyscy zaczęli coś robić. Nicklin wiedział, że każdy ma ten sam cel: ostrzec krewnych i przyjaciół, zebrać trochę najistotniejszych rzeczy, jak najszybciej dotrzeć na pokład statku.

Wiedział dokładnie, co dzieje się we wnętrzu ich mózgów, ponieważ sam nagle stał się jednym z nich.

Orbitsville było domem dla niezliczonych milionów ludzi i przez dwieście lat był to dobry dom. Zdawało się, że jego góry, prerie i ocean są tak trwałe jak stara Ziemia. Jednak większość mieszkańców czuła od czasu do czasu ukłucie niepokoju z powodu faktu, że Wielkie O jest bańką, najbardziej efemerycznym obiektem, jaki można sobie wyobrazić - warstewką zagadkowego materiału o obwodzie prawie miliarda kilometrów i grubości jedynie ośmiu centymetrów.

Nicklin żył tak, że mógł sobie nie zaprzętać głowy tego typu problemami. Izolował się od tych spraw albo w ogóle ich nie rozpatrywał podobnie jak i innych zagadnień, z którymi nie mógł sobie poradzić. A jednak zwykła niechęć do myśli, że żyje na wewnętrznej powierzchni bańki stanowiła część jego pierwotnej podświadomości. Teraz uczucie to ujawniło się. Bomba z opóźnionym zapłonem wybuchła. Myślenie Nicklina weszło w nową fazę; to, co od tej chwili robił, miało jedyną motywację: uciekać z Orbitsville, zanim nastąpi coś niewyobrażalnego.

W tym stanie klaustrofobicznego egoizmu, jedynie fragmentarycznie i mało dokładnie postrzegał to, co się dzieje dookoła. W ten sposób znaczenie pewnych wydarzeń zostało wzmocnione, a innych pomniejszone.

W pewnym momencie bardzo dokładnie uświadamiał sobie obecność Montane'a, kręcącego się gdzieś na obrzeżach całej sceny wydarzeń. Większość podwładnych ignorowała go; wyglądał, jakby za chwilę miał się załamać. Sprawiał wrażenie, że jest oszołomiony i nie całkiem wierzy świadectwu swych własnych zmysłów. Nicklin pomyślał, że kaznodzieja w głębi duszy nigdy nie sądził, że ten dzień nadejdzie naprawdę. Gdyby miał wybór, może nadal postępowałby jak dotych-

czas, aż do śmierci, bez końca przygotowując ucieczkę z Orbitsville, odwołując rzeczywiste nadejście tego wydarzenia z coraz bardziej błahych powodów.

W innym znów momencie, jakby nie powiązany z pozostałymi wydarzeniami, Nicklin uświadomił sobie, że stoi przy telefonie w jakimś mniejszym pomieszczeniu biurowym, nie mając jasnej wizji, dlaczego tu się znajduje. Czekał kilka sekund, wpatrzony cały czas w aparat, aż powróci mu poczucie rzeczywistości, a potem kazał dokonać połączenia z pokojem White'ów w hotelu „Odkrywca”. W ognisku projektora prawie natychmiast pojawiła się rudawa głowa Chama White'a. Uśmiechał się z nienaturalną grzecznością człowieka, którego właśnie skazano na śmierć.

- Jim! - wykrzyknął. - Jim Nicklin! Co się dzieje, Jim?

Nicklin niecierpliwie potrząsnął głową.

- Nie ma czasu na rozmowy. Czy chcesz się wydostać?

- Wydostać?

- Wydostać z Orbitsville. Statkiem. Chcesz?

I wtedy nieoczekiwanie światło słoneczne zalało pokój i Nicklin zobaczył, że pasiasty wzór nieba znów się przesunął. W tym samym momencie wizerunek Chama, przekazywany kilometrowym kablem, pojaśniał.

- Boję się, Jim - rzekł. - Jego wiewiórcze, brązowe oczy rozszerzało przerażenie.

- Wszyscy się boimy, na miłość Boską - warknął Nicklin, tracąc cierpliwość. - Dlatego właśnie cię pytam, czy chcesz stąd wystartować. Co ty na to?

- Nora i ja myśleliśmy o tym niejednokrotnie. Widywaliśmy cię w telewizji i chyba właśnie to naprowadziło nas na ten pomysł, ale nigdy

nie traktowaliśmy go nazbyt poważnie. Nie mamy biletów ani innych potrzebnych...

- Statek wyruszy na wpół pusty - przerwał mu Nicklin, zdziwiony, że Cham może, podobnie jak Montane, tracić czas na bezsensowne banały. - Czy Zindee jest z wami?

Cham popatrzył w lewo.

- Jest w sypialni, razem z matką.
- Sprowadź je obie do statku - przynaglił go Nicklin. - Mówię ci to jako przyjaciel, Cham. Zejdź z nimi do statku - i zrób to natychmiast. Będę czekał na ciebie przy wejściu na główną rampę. Zrozumiałeś?

Cham z nieszczęśliwą miną skinął głową.

- Co mamy zapakować?
- Zapakować! Jeśli będziesz się guzdrał, pakując cokolwiek, skończysz jako cholerny nieboszczyk! - Nicklin potrząsnął pięścią tuż przy twarzy Chama, kostki swych palców pakując w obraz i sprawiając tym, że zawirował on jak kolorowy dym. - Zabieraj się zaraz do statku - i nie daj się nikomu zatrzymać!

Odwrócił się od telefonu, a ostatnie wykrzyczane przez niego słowa zapadały mu w świadomość. W ten straszny czas inni ludzie również będą chcieli się wepchać na pokład *Tary*; ludzie nie mający nic wspólnego z misją; ludzie, dla których to przedsięwzięcie było jedynie wiadomością z przedłużonego sezonu ogórkowego -dopóki nie nadszedł Dzień Sądu nad Wielkim O.

„Połowa ludności Beachhead będzie chciała się zabrać” - pomyślał Nicklin. - „I nie przyjmą do wiadomości odmowy...”

W innym fragmencie czasowej mozaiki Nicklin znalazł się w źle przewietrzonym pokoju, naprzeciw głównego biura, gdzie zmagazynowano rozmaite manatki członków misji.

Otworzył swoją szafkę, przyciskając kciuk do identyfikatora linii papilarnych, i wyjął strzelbę radiacyjną, która od tamtego odległego poranka w Altamurze była bezużyteczną zawadą. Kiedy opuszczano rezydencję Fugacci, zabrał ze sobą broń jedynie dlatego, że miał poczucie, iż taki niebezpieczny przedmiot nie powinien się walać bezpańsko - mogłyby go na przykład znaleźć ciekawe dzieci. Teraz strzelba nie wydawała się już zawadą. Sprawiała wrażenie funkcjonalnej i zabójczej, a te przymioty całkowicie pasowały do sytuacji.

Sprawdził wskaźniki zasilania strzelby, przewiesił ją sobie przez ramię i pośpiesznie opuścił pokój.

Kiedy wyszedł z biurowca razem z pozostałym personelem misji, na zewnątrz panował dzień. Słońce świeciło bez zakłóceń przez ponad dziesięć minut i Nicklinowi wydawało się to długo, najlepszy dowód, jak bardzo stracił zaufanie do naturalnego porządku rzeczy. Wyszedł spod szerokich okapów budynku, spojrzął w górę na niebo i poczuł przerażenie.

Naprzemienne pasy lazuru i lżejszych odcieni błękitu - odpowiedniki dni i nocy na drugiej stronie Orbitsville - zawsze, odkąd pamiętał Nicklin, wykazywały idealną, geometryczną regularność. Obecnie, fantastycznie zdeformowane, poruszały się w widoczny sposób. Ruch ten polegał głównie na powolnych skrętach, ale były obszary, gdzie pasy, zwężone do linii, przebiegały wspólnie w gorączkowych splotach. Takie obszary tworzyły się przypadkowo w różnych częściach nieba, wrząc i pobłyskując przez krótki czas, zanim wygładzały się i zanikały.

Nicklin spoglądał w górę i to, co zobaczył, spowodowało, że pot wystąpił mu na czoło. Domyślił się, że podobne zjawisko wywołało gorączkową zmianę światła i ciemności w rejonie Beachhead. Gra cieni

dowodziła również, że słoneczna pułapka drga w konwusjach, jak niewidzialne serce w spazmach agonii. „Koniec świata nadchodzi”.

Usiłując opanować silne sensacje żołądkowe, spojrział w stronę statku i zobaczył, że około trzydziestu ludzi, wśród nich wielu pracowników portu, zgromadziło się już dookoła głównej rampy. Nie próbowali wprawdzie ominąć Kingsleya i Winnicka, którzy zagradzali im dostęp do rampy, ale wiszące w powietrzu napięcie sugerowało, że nie potrzeba wiele, by poszli naprzód. Spoglądając w przeciwnym kierunku Nicklin przekonał się, że główna brama została zamknięta. Za nią gęstniał tłum ludzi. Niektórzy pchali się na przęty i dyskutowali z umundurowanymi strażnikami, którzy chodzili nerwowo tam i z powrotem po wewnętrznej stronie. Widoczne między budynkami odcinki Bulwaru Lindstroma zapchane były autami.

Corey Montane, wyglądający teraz już bardziej pewnie, skoro już wymuszono na nim podjęcie tej wielkiej decyzji, biegł do swojego wozu kempingowego wraz z Nibsem Affleckiem i Lanem Huertasem. Większa grupa kierowała się ku rampie. Przewodził jej laskonogi Voor-sanger, który, jakby bez związku z całą sytuacją, niósł pod pachą komputer. Czterech ludzi, wśród nich Jock Craig biegło do budki, mieszczącej urządzenia sterujące pochylnią startową. Ogromny korpus *Tary*, odbijający słońce miedzianym płomieniem, górował nad otoczeniem, stanowiąc tło dla tej sceny różnorodnych działań.

Nicklin pozostał na miejscu. Czuł się odizolowany od wszystkiego, co dzieje się dookoła. Potem do jego świadomości doszły krzyki tłumu przed główną bramą. Spojrział w tamtym kierunku i od razu zobaczył Danę Farthing, wpuszczającą mężczyzn, kobiety i dzieci przez sąsiednie wejście dla personelu. Kilku umundurowanych strażników wyszło na zewnątrz i oczyściło niewielką przestrzeń, odepchnąwszy

tłum, ale istniało realne niebezpieczeństwo, że tłum zaraz ich zaleje. Nicklin widział, jak za linię przepchnął się krzepki mężczyzna. Pomknął przez wejście i zderzył się z dwoma strażnikami, którzy właśnie wychynęli z przejścia. Chwycili go i wszyscy trzej zakotłowali się, aż kobiety w tłumie zaczęły krzyczeć z niepokojem.

Grupki pielgrzymów, niektórzy z walizkami, oddzieliły się już od tłumy i podążały do statku. Dorośli szli jakby oszołomieni, ale towarzyszące im dzieci, bezpieczne w swojej niewiedzy, wykazywały tylko podekscytowanie. Zwracały uwagę jedynie na błyszczącą sylwetkę *Tary*.

Nicklin przypomniał sobie, że Cham i Nora Whi-te'owie nie mają przepustek i dlatego strażnicy ich nie wpuszczą. Podbiegł więc do bramy. Walka między dwoma strażnikami portowymi i ich więźniem już się kończyła. Mężczyźni unieruchomiono ręce za plecami za pomocą łań poskramiających. Strażnicy wpychali go do budynku przy bramie.

Jeden z nich, bladawy osiłek, spojrzał na Nicklina nachmurzony.

- Nie powinien pan nosić ze sobą tej broni.

Nicklin spojrzał w niebo.

- Czy chce mnie pan aresztować?

- Niech pan zabierze natychmiast swoich ludzi - poradził mu strażnik. - Właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że tłum, dwu- albo trzytysięczny, idzie ku nam przez park Garamonda. W tej chwili robią dziury w naszym płocie od północy i naprawdę niedługo was dopadną.

- Dzięki - rzekł Nicklin.

- Niech pan mi nie dziękuje - po prostu nie chciałbym dostać się w środek walk, to wszystko.

- Mądry z pana człowiek. - Nicklin podbiegł do Da-nei i chwycił ją za ramię. - Chcę zabrać Zindee i jej rodziców. Będą im potrzebne znaczki.

Popatrzyła na niego zamyślonym wzrokiem, wyjęła z kieszeni trzy złote krążki i wręczyła mu.

- Nie pozostało wiele czasu - Megan już jest na statku.

Nicklin musiał chwilę pomyśleć, zanim sobie przypomniał, że Megan jest pilotką.

- Co z klientami, którzy zapłacili? - zapytał, opanowując nowy przypływ strachu. - Wielu ma jeszcze przyjść?

Danea popatrzyła na zegarek, który pracował teraz w trybie kalkulatora.

- Wiem o czterech. Powinni być tutaj w każdej ch... - Spojrzała przez pręty głównej bramy na wzrastający tłum. - Widzę ich!

Nicklin wyszedł przez bramę dla personelu i zobaczył, że strażnicy, na których mocno napierano, przyprowadzili już młodego mężczyznę i kobietę, każde z dzieckiem na rękę, na oczyszczone z tłumy miejsce. Nicklin wspiął się na palce, popatrzył na tłum i poczuł ulgę, kiedy wśród ciżby głów rozróżnił miedziane włosy i niespokojną twarz Chama White'a.

- Jeszcze tylko troje - powiedział najbliższemu strażnikowi.

- Dobrze wyliczyliście, kurwa - warknął spocony mężczyzna. - Za minutę nas zaleją.

Nicklin z całej siły wparł się w mur ciał. Przez chwilę nie mógł zrozumieć, dlaczego tak chętnie rozstąpili się przed nim, potem uświadomił sobie, że oczy tych w pierwszym rzędzie skierowane były na strzelbę. Zdołał uchwycić wyciągniętą rękę Chama i wyszarpnąć go z tłumy. Nora White i Zindee poszły tuż za nim, dosłownie wyrzuc-

ne przez ciśnienie osób z tyłu, chociaż niektórzy mijani osobnicy nie powstrzymali się od złośliwych pchnięć i poszarpywań. Obie kobiety miały na sobie jednoczęściowe, zielone kostiumy, obie były blade i zdezorientowane. Spojrzenie Nory bez przerwy spoczywało na Nicklinie, jakby oczekiwała od niego cudu, ale Zindee miała wzrok odwrócony.

- Tędy - rzekł Nicklin przynaglając Chama i obie kobiety ku wąskiej bramce.

- Nie tak szybko! - mówił to mężczyzna z naszywkami sierżanta na rękawie. - Nikt nie przejdzie bez przepustki.

- Zatroszczono się już o to.

Nicklin wręczył każdemu z White'ów złocisty znaczek i wepchnął ich w przejście. To, co zrobił, wywarło piorunujący efekt na zgromadzony tłum. Do tej chwili utrzymywała go w ryzach jakaś resztką szacunku dla pewnych zasad, ale gdy zobaczono, że troje z ich grona jest tak bez przyczyny faworyzowana, tłum rzucił się naprzód z wściekłością. Strażnicy zostali odepchnięci na pręty bramy i nastąpiła zajadła bijatyka, zanim zdołali wydostać się w bezpieczne miejsce i zaryglowali bramę dla personelu.

- Na co czekacie! - Sierżant wycierał krew z warg i krzyczał do Nicklina i Danei. - Wynoście się stąd!

Nicklin pobiegł z innymi w stronę *Tary*. Dorośli gnali przed sobą dzieci, te które były zbyt duże, by je nieść. Zbliżywszy się do statku, Nicklin zobaczył jak Montane i Kingsley niosą w górę rampy podłużny szary kształt - trumnę Milly Montane. Emigranci zgromadzili się u stóp długiej równi pochyłej, a inni tłoczyli za obu wolno wchodzącymi mężczyznami. Inni mężczyźni, wśród nich Scott Hepworth, biegli w kierunku budki z urządzeniami sterowniczymi pochylni ześlizgowej.

Nicklin ledwo zdążył dostrzec, że budka jest ośrodkiem jakiegoś zamieszania, kiedy, bez uprzedzenia, otoczenie pokryła ciemność. Nastąpiły kolejne gorączkowe zmiany światła i ciemności, dwa lub trzy razy na sekundę. Całe otoczenie stało się ogromną sceną, z aktorami zastygłymi w miejscu, jakby zamrożonymi przez błyskające rozświetlenia. Ozwały się przerażone okrzyki, gdy siła ciężenia zaczęła fluktuować, tak że wszyscy mieli wrażenie, iż sam grunt podnosi się i opada.

Oświetlony stroboskopowo koszmar trwał, jak się wydawało, całą subiektywną wieczność - może z dziesięć sekund - a potem, jak poprzednio, w świecie przywrócony został rozsądek nieprzerwanego słonecznego światła.

Nowo przybyli pokonali paraliżujące ich przerażenie i wznowili swój bieg ku statkowi, potykając się, ponownie pełni lęku. Jeden z mężczyzn odrzucił walizkę, podniósł swego syna i pognął z nim naprzód. Danae i Zindee stały obok siebie, poganiając dzieci, ale Nora White wciąż patrzyła na Nicklina, jak gdyby to on właśnie był sprawcą wszystkich jej kłopotów i jedynym człowiekiem, do którego mogła się zwrócić, aby to wszystko naprawił. Zerwał się silny wiatr, prawdopodobnie następstwo zniekształceń klatki słonecznej, i po suchym betonie zaczęły przepływać obłoki pyłu.

Nicklin spojrział w stronę budki i zobaczył, że chyba ma miejsce jakaś utarczka między kilkoma pracownikami misji i mężczyzną w szarym mundurze urzędnika portowego. Mężczyzna stał w drzwiach oszklonej budki i gniewnie machał rękami. Zgadując przyczynę kłótni, Nicklin oderwał się od swojej grupy i pobiegł ku budce.

Kiedy przybył na miejsce, Hepworth zwrócił się do niego.

- Ten typ utrzymuje, że jest „szefem pochylni”, uwierzyłbyś? - odmawia wypuszczenia statku.

- Wyciągnijcie go stamtąd, sami wypuścimy statek.

- Ma pistolet i mówi, że jest gotów go użyć. Myślę, że taka gnida rzeczywiście to zrobi. - Hepworth był purpurowy z wściekłości i niezadowolenia. - Poza tym urządzenia sterujące mają zamek szyfrowy.

- A co z zamkami na samej pochylni?

- Spaliliśmy je.

- Doskonale - rzekł Nicklin, zdejmując strzelbę z ramienia.

Kilku pracowników misji pośpiesznie usunęło się z linii strzału, tworząc alejkę między Nicklinem i urzędnikiem portowym. Mężczyzna ten miał ponad pięćdziesiątkę, długą twarz, siwą grzywkę i małe, geometrycznie regularne wąsiki. Trzymał się prosto, pierś wypiął na przód. Jego mundur we wszystkich szczegółach odpowiadał regulaminowi - z wyjątkiem pasa na pistolet, który wyglądał, jakby pochodził z demobilu. Nicklin podejrzewał, że pas ten wylegiwał się gdzieś w szufladzie, trzymany tam w nadziei, że w końcu powstanie odpowiednia krytyczna sytuacja.

„Ale mam cholerne szczęście” - myślał Nicklin. - „Potencjalny rzymski centurion, odpierający upadek cywilizacji za pomocą broszury z regulaminem...”

- Nie ma czasu na zabawy - powiedział. - Uruchomi pan wałki na pochylni - i zrobi pan to natychmiast.

Urzędnik obejrzał go pogardliwie od stóp do głów, a potem potrząsnął głową.

- Nic tutaj nie drgnie bez odpowiedniego zezwolenia.

- Ja mam odpowiednie zezwolenie - Nicklin ostentacyjnie odbezpieczył strzelbę. - Jest wycelowane w pański pępek.

- Ten dziwaczny przedmiot! - Urzędnik położył rękę na kolbie swego staromodnego pistoletu i uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że zna się nieco na broni. - To nawet nie jest dobra kopia.

- Ma pan rację - potwierdził Nicklin. Podniósł nieco strzelbę i nacisnął cyngiel. Niebiesko-biały płomień przebił dach budki. Część rynny, okap i plastikowe krokwie eksplodowały i zmieniły się w parę. Wiatr uniósł kłęb iskier i dymu. Nawet Nicklin, który już wcześniej mógł doskonale docenić potęgę tej broni, patrzył z zaskoczeniem na rozmiary szkód.

- To cholernie zła kopia - przyznał urzędnikowi który skurczył się, widząc błysk. - A teraz, jeśli chodzi o pochylnię...

- Nie sądzę, że jest pan na tyle głupi, by użyć tego w stosunku do mnie.

Mężczyzna wyprostował się i wypiął pierś, gdy to mówił, ale w jego głosie pobrzmiwały nutki niepewności.

Nicklin postąpił krok naprzód i obdarzył go rozradowanym, głupkowskim uśmiechem. W oczach miał mord.

- Zabiłem już tym paru ludzi i jestem całkowicie gotów, by przeciąć pana na dwa oddzielne kawałki: górny i dolny.

Przez chwilę słychać było jedynie wiatr i jakieś odległe krzyki na północy zespołu portowego. Nicklin popatrzył w tamtym kierunku, ku granicom parku, i zobaczył poruszające się kolorowe plamki, które zapowiadały, że nadciąga już oczekiwany tłum. Spojrzał na urzędnika i poczuł, że coś zmieniło się w jego nastawieniu.

- Próbuję robić to, za co mi płacą, ale w moim kontrakcie nie ma mowy o tym, bym się dał zabić - stwierdził mężczyzna, wzruszając ramionami. - Bez urazy, dobrze?

Nicklin zamrugał, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Nie żywię urazy, ani żadnych innych uczuć w stosunku do pana.

Czy masz zamiar spuścić statek i zachować swe życie?

- Spuszczę statek. Natychmiast jak wszyscy wejdą na pokład - zaczyna zjeżdżać!

Hepworth przysunął się do Nicklina i położył mu rękę na ramieniu.

- Jim, przecież widzisz, co on zamierza. Natychmiast, jak wejdziemy na pokład i zamkniemy śluzy, pobiegnie się schować i zostawi nas z ręką w nocniku. Nawet, jeśli znów otworzymy drzwi, będzie już za późno, by...

- Jego zamiary są dla mnie jasne - warknął Nicklin, wciąż celując ze strzelby do mężczyzny w budce. - Wszyscy teraz wejdziemy na pokład. Ja będę szedł tyłem, więc cały czas zostawiajcie mi trochę miejsca, zwłaszcza na rampie. Dobra?

- Dobra, Jim.

Hepworth ruszył się w kierunku statku i pozostali pracownicy misji cofnęli się razem z nim.

- W porządku, oto co zrobimy - rzekł Nicklin do czujnego urzędnika. - Mógłbym z łatwością cię dosięgnąć z odległości trzech kilometrów, używając tego źle wykonanego straszaka. Nie ma więc mowy o tym, bym nie wcelował w ciebie z odległości dwustu czy trzystu metrów. Idę teraz na statek, ale bez przerwy strzelba będzie wycelowana w ciebie. Nawet jeśli rzucisz się na podłogę, zniszczę twoją budkę z całą zawartością, z tobą włącznie. Czy wyrażam się jasno?

- Nie zrobię żadnego głupstwa. - Mężczyzna spojrzał na północ, w kierunku długiego rzędu magazynów, skąd już zbliżały się oddzielne, biegnące postacie. - Jak...?

- Natychmiast, jak dostanę się na wierzch rampy, uruchomisz wałki. Nie czekaj, aż drzwi się zamkną. Natychmiast, jak mnie tam zobaczysz, spuszczaaj statek.

Mężczyzna jakby się uśmiechnął.

- To może być niebezpieczne.

- Dla ciebie - zareplikował Nicklin. - Właśnie wtedy będziesz w największym niebezpieczeństwie. Może przyjść ci do głowy myśl, że będę zbyt zaprzątnięty zamkami przy drzwiach, by trzymać cię na muszce - ale obiecuję ci, że znajdę na to czas. Drzwi pozostaną otwarte, dopóki nie poczuję, że dziób statku już zjechał, tak więc - bez względu na okoliczności - utrzymuj mechanizm w ruchu.

- W tamtej chwili będę już cholernie nerwowy - dodał Nicklin, zaczynając się cofać - ale będę wciąż w ciebie celował, więc lepiej módl się, żeby nie było żadnych przerw w dostawie prądu. Jeśli zjeżdżanie ustanie nawet na pół sekundy, nic nie powstrzyma nerwowych drgań mego palca na cynglu.

- Jeśli o mnie chodzi, wszystko będzie w porządku - zapewnił go mężczyzna, odwracając się do pulpitu sterującego.

Z wycelowaną strzelbą, nie śmiejąc obejrzeć się za siebie, Nicklin ruszył ku rampie tak szybko, jak mógł. Trochę za długo rozmawiał z „szefem pochylni”, ale tamten musiał jasno rozumieć, czego się od niego oczekuje. Kątem oka Nicklin spostrzegł, że obserwują go robotnicy portowi. W dyskretnej odległości utworzyli poprzerywany pierścień. Nikt z nich nie kwapił się do pójścia naprzód: a nuż skusi coś tego wariata i wypuści on następną błyskawicę.

Betonowa płaszczyzna między budką i *Tarą* tworzyła zalaną słońcem arenę, po której wiatr unosił śmieci i kurz. Nicklin całkowicie kontrolował sytuację, ponieważ każdy z obecnych myślał jak pojedyn-

cza osoba i każdego ogarniał indywidualny strach przed unicestwieniem. Ale do tej sceny zbliżały się setki nowych aktorów i bezkształtny dźwięk, jaki zapowiadał ich przybycie, poinformował Nicklina, że aktorzy ci myślą o sobie jako o tłumie - a tłum jest pewien swej zespołowej nieśmiertelności. Jeśli jakieś grupki z tego tłumu wtargną na schody budki „szefa pochylni”, *Tara* nigdy już nie zdoła polecieć...

- Dwa kroki za tobą zaczyna się rampa - powiedział Hepworth.
- Jestem na niej.

Nicklin przysunął się do równi pochyłej, dziękując w duchu, że ma ona gładką i szorstką powierzchnię, po czym, cały czas tyłem, zaczął piąć się w górę. W miarę jak nabierał wysokości, uzyskiwał pełniejszy widok swego otoczenia. Cały teren portu kosmicznego wyglądał jak omywany ludzkimi falami. Nicklin dotarł do wejścia na statek i utrzymując nadal celownik wymierzony w „szefa pochylni”, ostrożnie cofnął się, by stanąć na kładce wewnętrznej.

Tara ruszyła natychmiast, a platforma na końcu rampy odpłynęła na prawo.

- Mechanizm hydrauliczny drzwi jest pod pełnym ciśnieniem, Jim - Hepworth pochylił się nad konsolą sterowniczą. - Daj znać, kiedy będziesz chciał je zamknąć.

- Musimy czekać, aż dziób statku rzeczywiście znajdzie się w próżni - odpowiedział Nicklin, a jakąś częścią swego mózgu nie dowierzał, że dzieje się to naprawdę. - Nasz przyjaciel w szklanym pudle zbyt łatwo ustąpił. On jeszcze z nami nie skończył.

- Ale drzwi potrzebują czasu, by się zamknąć. Jeśli wylecimy przez pole przesłonowe, kiedy będą jeszcze otwarte...

- Nie ruszaj guzika, aż ci nie powiem!

Nicklin wypowiedział to zdanie twardo, skrywając męczące napięcie i niepokój, jakie wzbudził w nim prawie niewyczuwalny ruch ku krawędzi otworu. Tymczasem czołówka tłumu, nadciągającego od strony parku, zdążyła dotrzeć do doków. Niektórzy biegli ku statkowi, z rozczarowania młóćąc rękami powietrze, ale niektórzy gromadzili się dokoła budki.

„Nie wchodźcie po schodach” - modlił się Nicklin, a czoło zraszało mu zimny pot. - „Proszę, nie zmuszajcie mnie, bym was pozabijał”.

Daleko poniżej, pochylnia piszcziała, kiedy wałki meły na pył dwuletni zbiór śmieci, które, przy rutynowym starcie, wcześniej by pozamiatano. Nicklin znów myślał nerwowo: co będzie, jeśli w śmieciach znajdzie się kawałek metalu na tyle duży, by zablokować wałki; co będzie, jeśli ktoś z protestujących wpadł na ten sam pomysł i właśnie rzuca rury rusztowania do wnętrza odsłoniętych mechanizmów?

Wstrzymał oddech, kiedy zobaczył, że jezioro czerni zalewa dolną połowę jego pola widzenia. Oznaczało to, że przesuwa się on już nad portalem i, ponieważ drzwi znajdowały się niedaleko środka statku, cała niezgrabna konstrukcja za chwilę upadnie w dół. Serce waliło mu jak młotem, kiedy scena, przekazywana celownikiem strzelby, zaczęła powolny obrót.

- Zamykam drzwi - oświadczył Hepworth.
- Nie! - „Właśnie na to czeka centurion”. - Zostaw te drzwi.
- Nie możemy czekać.

Zalany słońcem wszechświat przechylił się jeszcze bardziej. Nicklin oparł się o zrębnicę drzwi, wciąż celując. Potem usłyszał wyjący dźwięk pomp hydraulicznych i drzwi zaczęły się zamykać.

- Przepraszam, Jim, musiałem to zrobić.

„To nastąpi właśnie teraz” - myślał Nicklin, obserwując szefa pochylni przez zwężający się otwór. Drzwi wspomagane przez kąt nachylenia, zamykały się szybko, zwężając i pole widzenia Nicklina. Człowiek w budce uczynił gwałtowny ruch, a w następnej chwili mielący pisk pochylni ustał.

- Ty sukinsynu - wyrzucił z siebie Nicklin, a jego palec stęzał na cynglu. Na strzał pozostało nieco ponad sekundę, ale to aż nadto na akt zemsty, wystarczająco, by gracz zdobył swe końcowe punkty. Nicklin wysłał niezbędne polecenie neuronowe - rozkaz egzekucji - do mięśni palca, ale nie było żadnej reakcji. Wąski prostokąt jasności zamienił się w linię i znikł. Drzwi spoczęły w swej futrynie z klaśnięciem i automatycznie napędzane rygle wsunęły się radialnie w otaczającą konstrukcję.

„Co się ze mną stało? ” - pomyślał Nicklin zdziwiony. - „Centurion był już trupem - ale zwróciłem mu życie! ” W następnej chwili musiał wypuścić z ręki strzelbę i uchwycić się słupa, by nie spaść z trapu. Potem uświadomił sobie, że statek wciąż wykonuje obrót. I prawie natychmiast balsam nieważkości zalał jego ciało.

Tara rozpoczęła lot.

ROZDZIAŁ 17

Nicklin, wciąż kurczowo uczepony poręczy trapu, oswajał się z myślą, że oto on - Jim Nicklin - został kosmicznym podróżnikiem. Zmysły nie informowały go o tym, co dzieje się z *Tarą*, ale oczyma duszy widział, jak statek, miotany najpierw w portalu w Beachhead, dryfuje

teraz coraz dalej od skorupy Orbitsville dzięki niewielkiemu rozpędowi, jaki udało się mu uzyskać. Możliwe, że powoli koziołkuje, przez co pilot ma problemy ze sterowaniem i co opóźnia chwilę, w której można będzie włączyć silniki.

Konkretną informację dawały jedynie ekrany nawigacyjne i Nicklin natychmiast poczuł, że musi udać się do sterowni: właśnie ma miejsce spektakularne wydarzenie, którego tutaj, w służbie powietrznej w środkowej części statku, nie mógł obserwować. Rozejrzał się, gotując do małej przygody - lotu do wewnętrznych drzwi śluzy gdy napotkał zgorzone spojrzenie Hepwortha.

- Zatrzymał wałki! - wychrypiał Hepworth. - Ta Świnia prawie uniemożliwiła nam wydostanie się, Jim. Gdyby statek był ustawiony rufą do przodu, utknęlibyśmy tam na zawsze.

„Ale to było w naszym poprzednim życiu” - pomyślał Nicklin, zdziwiony, że Hepworth, wciąż może się tym przejmować.

- Trwał po prostu na posterunku.
- To ty powinienes go tam utrwalić. Powinienes był roztopić sukina, Jim.
- To wszystko już minęło. Chcesz pójść na dziób i zobaczyć, co się dzieje?

Nie czekając na odpowiedź, Nicklin przewiesił strzelbę przez ramię i wystartował w kierunku wewnętrznych drzwi śluzy, czując się jak pływak, który powierza swe ciało niewidzialnym wodom. Złapał za uchwyt w drzwiach i, mile zdziwiony, że jego ruchy są tak naturalne, wykonał obrót i przerzucił się na szeroką drabinę, która biegła wzdłuż całego cylindra pasażerskiego.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że na wszystkich pokładach panuje piekielne zamieszanie. Trapy, ułożone równolegle do drabiny,

pełne były ludzi, gdy *Tara* niezgrabnie nurkowała w przestrzeń. Teraz wszyscy, zdezorientowani i pozbawieni ciężaru, gorączkowo poszukiwali bezpieczniejszych miejsc. Niektórzy kurczowo czepiali się drabiny, inni zaś, krzyżąc i wymachując kończynami, sunęli ku obiektom między pokładami. Ze wszystkich pokładów dochodził płacz dzieci. Zamieszanie wzmagaly bagaże i drobiazgi osobiste, które przypadkowo dryfowały w zagraconej i zatłoczonej przestrzeni klatki schodowej.

Nicklin posuwał się ku dziobowi statku szybko i bez wysiłku. Pomagało mu to, że całe otoczenie, tak dezorientujące dla innych, jemu było całkowicie znajome. Znał wszystkie listwy, kratownice i łączniki tak dobrze, że mógł ustalić swoje położenie po prostu na podstawie nieregularności niektórych spawów. Przebył już sześć poziomów pokładowych, kiedy uświadomił sobie, że włączyło się słabe przyciąganie. Zatem uruchomiono napęd jonowy statku. Hałas natychmiast przycichł, gdyż na pasażerów podziałało uspakajająco zachowanie się otaczających przedmiotów.

Górne pokłady były cichsze. Przestrzeń mieszkalna należała tu do pracowników misji, z których wielu pozostało w Beachhead. Zbliżając się do Pokładu 3, dwa pokłady pod sterownią, Nicklin usłyszał bezpośrednio nad sobą głos Montane'a. Zszedł z drabiny obok okrągłego luku, wiodącego do szalupy. Poziom ten zajmowały częściowo magazyny przechowujące część wyposażenia szalupy, dlatego były tu tylko dwa pomieszczenia mieszkalne - jedno dla Montane'a, drugie dla Voorsangera.

Montane i Nibs Affleck stali przy drzwiach Voor-sangera, uchwyceni futryny, by ustabilizować położenie swych ciał w tej słabej jeszcze grawitacji. Z wnętrza pomieszczenia dochodził suchy, czkający dźwięk. Z początku Nicklin pomyślał, że Voorsanger ma morską chorobę, po-

tem zrozumiał, że mężczyzna łka. Płacz oschłego i sztywnego księgowego wydawał się jednym z najdziwniejszych wydarzeń wśród dziwnych wydarzeń ostatniej godziny.

- Co się stało? - zapytał Montane'a.

Montane zignorował to pytanie i odwrócił się ku niemu z oburzeniem w oczach.

- Czy to twoje dzieło? Start! Czy to przez ciebie?

- Nie miałem wielkiego wyboru.

- Wybór! Kim jesteś, by mówić o wyborze? - Wargi Montane'a drżały z gniewu. - Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, cóżżeś uczynił? Porozdzielałeś dziesiątki rodzin! Zostawiłeś tam żonę Roppa!

- To bardzo smutne - rzekł Nicklin - ale absolutnie nic nie...

- Nie możemy tego tak zostawić - przerwał Montane. - Musimy wracać.

- Wracać! Nie możemy wracać, Corey. Już i tak prawie odebrano nam statek.

- Jim ma rację - stwierdził Hepworth, pokazując się na drabinie.

- Ty! - Montane wskazał Hepwortha drżącym palcem. - Ty jesteś tak samo zły jak on - to wasza wspólna sprawa!

- Musisz się uspokoić, Corey - stwierdził Nicklin. - Jeśli teraz wylądujemy i zadokujemy statek, na pewno go stracimy. Tłum...

- Pan Zastępów zmyli moich wrogów - Montane rzucił się do drabiny i z zadziwiającą energią rozpoczął wspinaczkę ku sterowni. Affleck, który wziął na siebie rolę obrońcy Montane'a, popatrzył na nich z wyrzutem i podążył za kaznodzieją.

- Lepiej pójdźmy za nimi - powiedział Nicklin do Hepwortha.

- Nie możesz używać strzelby. Prawdopodobnie rozhermetyzowałybyś statek.

- Nie mam zamiaru jej używać - stwierdził Nicklin, którego zaczynało niecierpliwić zainteresowanie Hepwortha powszechnym sianem śmierci. - Ponadto to Corey kieruje tym cyrkiem. Jeśli chce zawrócić statek, nikt nie ma prawa go zatrzymywać - i przypuszczam, że chyba moglibyśmy tam zapanować przez kilka godzin nad sytuacją.

- Nie wierzysz w to bardziej niż ja - parsknął Hepworth.

- Dlatego właśnie musimy przemówić staruszkowi do rozsądku.

Nicklin wrócił na drabinę i szybko posuwał się w górę, używając głównie rąk. Kiedy dotarł do sterowni,

Montane stał już obok Megan Fleischer, siedzącej w jednym z pięciu foteli, tym środkowym naprzeciw głównego ekranu, który przekazywał widok z rufy. Obraz na nim widoczny sprawił, że Nicklin zrezygnował z natychmiastowego wykonania swego planu.

Przy dolnej krawędzi, symetrycznie, widniały dwa jarzące się miedzią segmenty - cylindry napędowe *Tary* widziane z krańca cylindra pasażerskiego. Wzrok jednak nie zatrzymywał się na nich, gdyż większą część ekranu zajmowało ogromne, niebieskie koło, ze słońcem Orbit-sville w pobliżu środka. Był to obraz portalu Orbit-sville. Wstęgi jaśniejszego błękitu tworzyły ruchome, morowe tło dla pióropuszy białych obłoków i śladu kondensacyjnego jakiegoś samotnego samolotu. Reszta ekranu wypełniona była całkowitą czernią skorupy Orbit-sville, co uwypuklało wyrazistość prostego geometrycznego wzoru.

„To się dzieje naprawdę” - myślał Nicklin z oczyma pełnymi łez. - „Jestem na statku kosmicznym, a on opuszcza właśnie świat...”

- ... nadzieję, że zdajecie sobie sprawę z tego, że żaden statek nie wydostanie się sam z kołyski dokującej - mówiła Fleischer. - Jeśli wró-

cimy, nie będziemy mogli znów odlecieć, dopóki ktoś z Zarządu Portu nie da nam zezwolenia.

Miała około pięćdziesiątki i, jak wiele osób wyznaczonych przez Montane'a, była bardzo religijna. Jej miłych, regularnych rysów nie zdobiły żadne kosmetyki i chociaż nie wymagało się od niej chodzenia w mundurze, lubiła ciemnoszare kostiumy o kroju niemal wojskowym. Miała bujne, kasztanowe włosy, długie i wijące się, co zdaniem Nicklina dziwnie kontrastowało z ogólną surowością jej wyglądu.

- Nie mogą odmówić nam pozwolenia - rzekł Montane. - Teraz już nie. Było za dużo znaków.

- Corey, nie widziałeś, jak wyglądała sytuacja na chwilę przed naszym odlotem - rzekł Nicklin. - Cały teren był...

- Nie prosiłem cię o opinię, Nicklin. - Głos Montane'a był twardy, a spojrzenie jawnie wrogie.

- Daję ci ją, mimo to - odparował Nicklin. Zauważył, że Montane po raz pierwszy zwrócił się do niego po nazwisku. - Powrót byłby szaleństwem.

- A co ty właściwie tutaj robisz? Co stało się z wielkim niedowiarkiem? Dlaczego nie jesteś tam, w Beach-head, kpiąc, szydząc i rozprowadając każdemu, kto ma ochotę słuchać, że Orbitsville będzie trwało wiecznie?

- Ja... - Nicklin odwrócił wzrok, pokonany przez pogardę i logikę kaznodziei.

- Każde słowo Jima jest złotem - wtrącił Hepworth. - Jeśli wrócimy, stracimy statek.

Montane uciszył go gestem i zwrócił się bezpośrednio do pilotki.

- Wydałem ci rozkazy - zawróć statek do portalu i wprowadź go do doku.

Przez chwilę Fleischer miała chyba ochotę zaprotestować, ale potem kiwnęła głową i zajęła się konsolą. Wcisnęła szybko sekwencję kilku klawiszy sterujących. Hepworth postąpił krok w jej kierunku, lecz natychmiast zagroził mu drogę Affleck, którego zeszywniała, zniszczona twarz zapowiadała, iż gotów jest do rękoczynów.

Nicklin, oszołomiony i pełen sprzecznych uczuć, patrzył uważnie na niebieski dysk portalu. Oceniał, że *Tara* znajduje się jakieś pięć kilometrów od powierzchni Orbit-sville. Z tej odległości portowe kołyski do dokowania, mocno przywarte do brzegu otworu, były widoczne jako skupisko drobnych nieregularności na skądinąd idealnym okręgu. Próbował wyobrazić sobie sceny, jakie nastąpiłyby na terenie doku, gdyby się zorientowano, że statek powraca. Jednak wyobrażenia zawiodła go. Zachowanie ludzi trudno przewidzieć nawet w najspokojniejszych czasach, a gdy tysiące powodują się pierwotną trwogą...

„Ale cokolwiek się stanie” - przyrzekł sobie - „skończyłem już z zabijaniem”.

Prawie bezwiednie prawa ręka opadła mu na magazynek strzelby i wyjęła ogniwa zasilające. Wsuwał właśnie masywny, mały cylinder do kieszeni, kiedy zdał sobie sprawę, że geometryczny układ na ekranie uległ zasadniczej zmianie. Zmiany były tak radykalne, tak sprzeczne z wszelkimi jego oczekiwaniami, że musiał wpatrywać się w obraz przez kilka sekund, nim przyjął do wiadomości jego znaczenie.

Jasnoniebieski, rozświecony dysk portalu kurczył się.

Najpierw Nicklin pomyślał, że Fleischer odmówiła wykonania rozkazu Montane'a i skierowała maksymalną moc do dyszy jonowych, dramatycznie przyśpieszając lot statku od Orbitsville. Potem uświadomił sobie, że byłoby to niemożliwością fizyczną - żaden z dotychczas wymyślonych napędów kosmicznych nie mógłby spowodować

przyśpieszenia, dającego obserwowany przez niego efekt. Nie czuł zupełnie żadnego wzrostu grawitacji, a jednak obraz portalu wyraźnie się zmniejszał. Jedynym możliwym wyjaśnieniem było, że ekran widokowy pokazuje prawdziwe wydarzenie.

Portal rzeczywiście się kurczył.

Wszyscy w sterowni zamarli w bezruchu - pięciu obserwatorów pozbawionych zdolności poruszania się, mówienia czy nawet myślenia. A portal malał coraz bardziej. W ciągu niecałej minuty wielkie koło skurczyło się do pozornych rozmiarów błękitnej planety, księżyca, jasnej gwiazdy.

Zamigotało krótko, pozostawiając na siatkówce mgiełkę obrazów wtórnych i znikło.

Pułapka Orbitsville zatrzęsnęła się.

CZĘŚĆ TRZECIA

SYSTEM ROZPADA SIĘ

ROZDZIAŁ 18

- Chyba wydostaliśmy się stamtąd w samą porę.

Powiedział to Nick Affleck, który zazwyczaj w obecności wyższego personelu zachowywał pełne szacunku milczenie. Ta banalna uwaga sprawiła, że wszyscy otrząsnęli się z fizycznego i umysłowego paraliżu.

- Boże, Boże, Boże - wyszeptał Montane. Padł na kolana i złożył ręce pod brodą. - Nie opuszczaj swych dzieci w godzinie potrzeby.

- Powinniśmy włączyć radio - powiedział Hepworth do Fleischer zaskakująco mocnym i czystym głosem.

Obróciła się w swym fotelu i spojrzała na niego.

- Po co?

- Chcę się dowiedzieć, jak jest z innymi portalami. Może to, co się wydarzyło przy P1, jest zjawiskiem izolowanym. Powinniśmy spróbować nawiązać kontakt.

Pilotka zdobyła się na uśmiech.

- Coś mi mówi, że będzie to strata czasu. Zwłaszcza mojego.

- Mógłbym to zrobić za ciebie - rzekł Hepworth. Spojrzał na sąsiedni fotel i Nicklin zauważył, że w tym zadziwiającym momencie, gdy sama rzeczywistość wydawała się płynna, fizyk przestrzegał regulaminów pokładowych.

- Proszę bardzo, jeśli chcesz - zaprosiła go Fleischer, odwracając się ku własnej części konsoli.

Ruchem spowolnionym na skutek niewielkiej grawitacji, Hepworth zapadł w fotel o wysokim oparciu. Nicklin znów popatrzył na główny ekran. Obraz był jednolicie czarny. Teraz, po odcięciu światła słonecznego, cylindry napędowe przestały być widoczne. Kilka ekranów pomocniczych, przekazujących obraz z przodu i po bokach statku, pokazywało gwiazdozbiory, ale wydawało się, że od strony rufowej wszechświat jest pozbawiony światła. Nicklin wiedział, że to tylko pozorna pustka, że to ogromna nie odbijająca światła skorupa Orbitsville zajmuje połowę pola widzenia. Prześladowało go jednak wrażenie, iż jest rozbitkiem w całkowicie jałowym kosmosie.

Również w poglądach Nicklina panował podobny chaos. Jak miał pogodzić się z tym prostym faktem, że Corey Montane miał przez cały czas rację? Orbitsville nie było jednak wieczne i niezmienne. Zawsze miał wrażenie, że Wielkie O było tworem naturalnym, obiektem, które go materia w jakiś sposób wyewoluowała do swojego, niepojętego dla ludzkich umysłów, stanu. Teraz pojawiły się dowody, że to artefakt.

Powstawało zasadnicze pytanie: kto go zbudował i jaki miał ku temu powód.

Nicklin instynktem i intelektem całkowicie odrzucał scenariusz religijny - ale cóż pozostawało?

To były problemy, których nie mógł ogarnąć, zwrócił się więc ku pytaniom, dotyczącym najbliższej przyszłości. Czy możliwe, żeby, jak w to wierzył Montane, siły biorące udział w transformacji Orbitsville były wrogie życiu? Nie tylko ludzkości - takie założenie wydawało się paranoiczne aż do absurdu - ale wrogie każdej formie materii żywej. Czy możliwe, że wygaśnie centralne słońce i w ten sposób glob zostanie oczyszczony z zanieczyszczeń biologicznych? Czy Wielkie O mogłoby się skurczyć jak kolapsar i w końcu zniknąć? Czy też może mogłoby rozerwać się na kawałki, wybuchając?

Nicklin wyobrażał sobie, jak skorupa Orbitsville ulega naprężeniom mechanicznym. Przypomniawszy sobie zielone linie, które pojawiły się przed trzema laty w wielu miejscach. Jak wiadomo, związane z nimi pole siłowe osłabiało zwartość stali i betonu. Czy mogło podobnie oddziaływać na materiał skorupy? Docierały meldunki, że jarzące się linie zaobserwowano również na zewnątrz Orbitsville, co sugerowało, że ich oddziaływanie rzeczywiście przenikało hilem.

Nicklin, skłonny raczej traktować tę ideę jako czystą fantazję, spojrzawszy jednak uważnie na ciemny ekran, szukając jarzących się, zielonych nici. Nie dostrzegł żadnej, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że ponieważ odległość między liniami wynosiła setki kilometrów, to wycinek powierzchni Orbitsville, obejmowany kamerą, jest za mały. Nicklin przerzucił się na obrazy boczne, ale te przekazywały widok pod zbyt ostrym kątem i nie dostarczały żadnych istotnych informacji.

- W radiu cisza - ogłosił Hepworth, wydostając się z fotela. - Musiałem to sprawdzić, ale mam hipotezę, że Orbitsville całkowicie się zamknęła. Ciśniej od przysłowiowej kaczej dupy.

- Nie wyraziłabym tego w ten sposób - rzekła Fleischer - ale zgadzam się.

- To znaczy, że nie bierzemy już pod uwagę propozycji powrotu. - Hepworth zwrócił się do Nicklina. - Co na to powiesz, Jim?

- Chyba nie mamy innego wyjścia, jak kontynuować lot, ale... - Nicklin wskazał wzrokiem Montane'a, który wciąż klęczał i modlił się cicho z zamkniętymi oczami.

- Ale co?

- Rozmawiamy tak, jakbyśmy byli grupą przywódców, ale nigdy przecież tak sprawy nie stały. Corey tu dowodzi.

- Jim! Co się z tobą stało? - Pulchna twarz Hepwortha wyrażała irytację. - Spójrz tylko na niego! Ten człowiek nie jest w stanie dowodzić łodzią wiosłową, nie mówiąc już o... - przerwał, uspokajając gestem Nicka Afflecka, który z groźbą na twarzy postąpił krok ku niemu.

- Mogę tylko powiedzieć, Monsignore Nicklin - dorzucił Hepworth cicho, przysuwając się do Jima - że nie zauważyłem, abyś kiedyś w przeszłości miał wiele względów dla Papieża Coreya.

- Wiem o tym, wiem. - Nicklin przeżywał konflikt wewnętrzny, który utrudniał mu mówienie. - Ale on właśnie to sformułował przed minutą. Nawet nie... To znaczy, gdyby nie Corey, byłbym wciąż na...

- W porządku, Jim. - Montane powstał z kolan. Twarz miał zdecydowaną i nienaturalnie bladą. - Nie trzeba się tutaj spierać. Mnóstwo ludzi pozostawiliśmy, ale to moja wina. Ostrzeżono mnie jakiś czas temu, że trzeba natychmiast podjąć działania i... cóż... nie zrobiłem nic. Pewnego dnia będę musiał odpowiedzieć za to przed Bogiem i mogę

mieć tylko nadzieję, że zdołam mu spojrzeć w twarz, kiedy nadejdzie mój czas.

- A tymczasem - wtrącił Hepworth niecierpliwie - śpieszymy ku Celowi Numer Jeden. Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

Montane wzruszył ramionami; takiego gestu Nicklin nigdy przedtem u niego nie zaobserwował.

- Tak właśnie chcę powiedzieć.

Hepworth, z triumfem na twarzy, skinął głową pilotce.

- A zatem, kapitanie, czy zechcesz rozwinąć swe skrzydła?

Przez chwilę Nicklin myślał, że Hepworth stara się wyrażać poetycznie, ale zrozumiał, że ma on na myśli po prostu elektromagnetyczne pola zbierające, które należało rozwinąć po obu stronach *Tary*, by mogły zgarniać masę odrzutową. Na rysunkach swym wygiętym kształtem przypominały olbrzymie skrzydła, dlatego międzygwiazdne strumieniowce znano powszechnie jako „Statki motylkowe”.

- Nie musimy zważać na kontrolerów ruchu ani na sam ruch - stwierdziła Fleischer, zwracając się znów ku konsoli.

Nicklin patrzył zafascynowany, jak przebiegała rękami po ukośnej powierzchni sprawiając, że nagle zaczęły się pojawiać aleje, szosy i skupiska kolorowych światełek. Był to pierwszy krok w wyprowadzaniu statku z królestwa Einsteina do tego dziwaczного świata, gdzie włądała fizyka arturiańska. Nicklin wiedział, ale tylko niejasno to pojmował, że aby statek rozwinął wielokrotną szybkość światła, musi na pewien czas zniknąć dla wszystkich obserwatorów z normalnego continuum.

Masywny statek, wraz z całą zawartością - również z ciałem Nicklina, zostanie przekształcony w chmurę cząsteczek, które bardziej przypominały tachjony niż normalną materię. Ten tryb podróży - któ-

ry kiedyś określono jako „oszukańcze rachunki zastosowane do transformacji masy i energii” - niósł ze sobą skutki magiczne. Ale zanim tryb ten się zastosuje, statek musi osiągnąć bardzo dużą szybkość w normalnej przestrzeni i nie było nic magicznego w sposobie osiągnięcia tej szybkości.

Stanowiło to wynik bezpośredniego, inżynierskiego trudu, techniki śrubokręta i klucza. Trzeba było zastosować mnóstwo układów sterujących - mechanicznych, elektrycznych, hydraulicznych - wśród których dwudziestowieczny rzemieślnik czułby się trochę jak w domu. Aby zacząć właściwą podróż, Megan Fleischer uruchamiała reaktor termojądrowy, napędzający pompy przepływowe, które z kolei rozwijały niedotykalne skrzydła *Tary*. Przy obecnej niewielkiej szybkości, zbieracze wspomagały tylko nieco napęd jonowy, ale staną się coraz sprawniejsze, w miarę jak szybkość będzie wzrastała.

- I naprzód - zawołała Fleischer po paru sekundach, dotykając głównych tasterów.

Nicklin natychmiast odczuł mały lecz wyraźny wzrost wagi ciała. Z uczuciem zdziwienia uprzytomnił sobie, że wielka metaliczna istota, której poświęcił swój trzyletni trud, przestała być bezwładnym przedmiotem i w pełni przebudziła się do życia.

Fleischer przełączyła kanały kamer i na głównym ekranie rozkwitły gwiazdne pola przed dziobem statku. Może setka głównych gwiazd świeciła czystym, diamentowym blaskiem na tle pyłu słabiej świecących obiektów, tworząc trójwymiarowy wzór, który, jak się wydawało Nicklinowi, wciągał w siebie jego świadomość. „Musiałem być ślepy” - myślał, kiedy jego wzrok wędrował po obcych gwiazdozbiorach. - „Dlaczego nie rozumiałem, że to jest właśnie nasze przeznaczenie?”

- Niedobrze - stwierdziła Fleischer rzeczowym tonem. - Bardzo niedobrze.

Hepworth w jednej chwili znalazł się przy niej i zaczął przebiegać wzrokiem konsolę.

- Co masz na myśli?

- Powiedziałabym, że start nie był czysty. Pola zbierające ustaliły się trochę za wolno.

- To zajmuje tylko setne części sekundy. - Hepworth mówił jakby z ulgą, ale jednocześnie z pewnym zdenerwowaniem. - Nie możesz oceniać tego na oko.

- Byłam pilotem ponad dwadzieścia lat i umiem oceniać to na oko - warknęła Fleischer. -I jeszcze coś mi się nie podobało: lewe pole nie przyjęło właściwego kształtu, kiedy się otworzyło.

- Co było w nim niedobrego?

- Wyglądało trochę... płasko.

Hepworth uważnie obejrzał świecącego motyla - wykres rozkładu pola zbierającego.

- Wydaje mi się, że jest w porządku.

- Teraz wygląda dobrze - powiedziała Fleischer z uporem - ale mówię ci, z początku było płaskie.

- Może napotkało jakiś opór... Bóg jeden wie, jakie rzeczy rozsiewa Orbitsville. - Hepworth poklepał Megan po bujnych włosach. - Myślę, że zupełnie bez obaw możesz mi powierzyć zajmowanie się fizyką próżni.

Odsunęła się od niego.

- Niech pan trzyma ręce przy sobie, Hepworth, albo zabronię panu korzystać z konsoli.

- Co za niedotyka! - powiedział jowialnie Hepworth. Odwrócił się do Nicklina. Oczy miał okrągłe, a w nich pytanie: „no i co o tym sądzisz?”

Nicklin popatrzył na niego obojętnie. Myślał jedynie o sarkastycznych uwagach Zindee White na temat kwalifikacji Hepwortha jako fizyka. Ten krótki kontakt, jaki Nicklin miał z Megan Fleischer, przekonał go, że jest ona zawodowym pilotem najwyższej klasy, kobietą, która zdaje sobie doskonale sprawę z tego, co mówi. Możliwe, że, jak utrzymywał Hepworth, przelotna nieregularność w polach zbierających nie miała żadnego znaczenia, ale czy Hepworth znał się na statkach kosmicznych tak dobrze, jak twierdził? Montane potrzebował na gwałt nisko opłacanych fachowców i zatrudnił go wtedy na wiarę...

- Coś cię trapi, Jim? - Jowialność Hepwortha wyparowała, a wyraz jego twarzy stał się trochę nieprzyjemny i czujny.

Nicklin przypomniał sobie, że Hepworth potrafi stać się zjadliwy i gniewny, a nawet grozi użyciem siły, jeśli kwestionować jego zdanie na jakiś temat techniczny lub naukowy. W ubiegłych latach zdarzało się to wielokrotnie, ale akurat ta chwila była szczególnie niedogodna dla tego typu zachowań.

- Trapi mnie mnóstwo rzeczy - powiedział, spoglądając na ekrany. - Wszystko to jest trochę przerażające.

Hepworth potrząsnął niecierpliwie głową, nie dając się zbyć tak łatwo.

- Patrzysz na mnie, jakbym był czymś, co właśnie znalazłeś w swej zupie. Może wydaje ci się, że nie wiem, o czym mówię.

- Musisz być niemal tak zdenerwowany jak ja, Scott

- uspokajał go Nicklin. - Wiesz przecież, że uważam cię za największego żyjącego znawcę wszystkiego.

- Nie traktuj mnie protekcjonalnie, ty wiejski... -Hepworth prze-
rwał, patrząc ze zdziwieniem na klatkę schodową.

Na drabinie ukazał się młody brodacze w mundurze strażnika por-
towego. Patrzył przez moment na grupę przy konsoli, podniósł rękę w
przepraszającym pozdrowieniu, a następnie znowu zniknął z pola wi-
dzenia.

- To miejsce zaczyna przypominać stację kolejową - powiedzia-
ła Fleischer z irytacją. - Nie mogę pracować, jeśli ludzie będą tu się
włóczyć, kiedy im tylko przyjdzie na to ochota.

- Zupełnie słusznie! - Montane, wyraźnie opanowany i uspokoj-
ony, że może się zająć mniej ważnym problemem organizacyjnym,
zwrócił się do Afflecka. - Chciałbym, żebyście razem z Gerlem warto-
wali na zmianę na pokładzie poniżej. Nikomu nie wolno przejść - z wy-
jątkiem osób, które są tu w tej chwili - dopóki inaczej nie powiem.

- W porządku, Corey.

Affleck, zadowolony, natychmiast pośpieszył ku drabinie.

Montane lekko uśmiechnął się do Nicklina.

- Jim, skoro postanowiłeś zaszczyścić nas swoim towarzystwem w
czasie tego lotu, spodziewam się, że zarobisz na swoje wyżywienie.
Możesz zacząć natychmiast: przejdź wszystkie pokłady i ustal, jak wie-
lu ludzi z zewnątrz dostało się na statek. Zrób listę nazwisk, przynieś
mi ją, a ja zdecyduję, w jakich pomieszczeniach ich ulokować.

- Dobrze, Corey - odrzekł Nicklin. Dziwne, ale ucieszyły go te
oznaki poprawy stanu umysłu starca.

- I powiedz im, że chcę porozmawiać z nimi pojedynczo w swoim
pokoju, jak tylko znajdę czas.

- Tak jest! Tak jest!

Usiłując zapomnieć o nieprzyjemnym starciu z He-pworthem, Nicklin spojrzął jeszcze raz na główny ekran. Zastanawiał się, czy Cel Numer Jeden jest przynajmniej widzialny na tym wczesnym etapie lotu. Potem skierował się ku niższym rejonom statku.

Gorący prysznic okazał się znacznie większą rozkoszą niż Nicklin oczekiwał.

Gdy wstał po prawie siedmiu godzinach snu, zakłóconego jedynie od czasu do czasu przez uczucie spadania, czuł się głodny i brudny. Myśl o śniadaniu kusiła, ale doszedł do wniosku, że będzie przyjemniej, jeśli zasiądzie do jedzenia w stanie bardziej higienicznym. Zszedł przez wiele poziomów na Pokład 24, gdzie usytuowano pomieszczenia pralni i pryszniców, ponieważ łatwo było dostarczać gorącą wodę z sąsiednich cylindrów silnikowych. Wyprał swoje slipy i skarpety, umieścił je w suszarce, po czym poszedł do kabiny prysznicowej.

Nastąpił błogosławiony okres, w którym nie musiał nic robić, a jedynie pozwalał, by kłujące strumyki wody czyściły jego ciało. Odzież stanie się poważnym problemem - uświadomił sobie to, kiedy się odpręzał w ciepłej, powodującej mrowienie wodzie - zwłaszcza jeśli podróż potrwa całe miesiące. Wiele osób na pokładzie *Tary* miało jedynie to, w co byli ubrani, kiedy *Beachhead* ogarnęła panika. Rodziny, które zdołały przynieść ze sobą walizki, zostały w ten sposób natychmiast arystokratami, odróżniającymi się od innych bliźnich obfitością świeżej bielizny.

Nicklin, rozbawiony, widział oczami duszy, jak *Montane* zмага się z tą sytuacją. W idealnym społeczeństwie chrześcijańskim bogaci powinni dzielić swe dobra z biedakami, nie czekając nawet na zaproszenie, ale cynik, tkwiący w Nicklinie, podejrzewał, że sprawy mogą ułożyć się zupełnie inaczej.

Na szczęście Montane'owi zostały oszczędzone podobne problemy z najbardziej podstawowym towarem, tym, który naprawdę oddzieliłby bogaczy od biedaków. Zapasy niepsującego się jedzenia ładowano na pokład już od tygodni i wszelkie ewentualne braki, wynikające z pośpiesznego odlotu, były z nawiązką wyrównane dzięki temu, że *Tara* wiozła tylko połowę planowanej liczby pasażerów.

Płatnych emigrantów było sześćdziesięciu dziewięciu, a dwadzieścioro sześć osób z personelu misji zdołało dostać się na statek w ciągu tej okropnej ostatniej godziny. Pozostali byli na przepustkach w domu lub wypełniali jakieś polecenia w terenie. W spisie Nicklina, oprócz White'ów, figurowali trzej strażnicy portowi i grupa siedmiu mężczyzn, którzy w krytycznym momencie akurat pracowali w dokach.

Ogólna liczba osób wyniosła 108. Jeśli okazałoby się to niezbędne, *Tara* mogła rozciągnąć poszukiwania Nowego Edenu aż do dwóch lat. Nicklin nie chciał myśleć, co nastąpi przy końcu tego czasu, jeśli nie zostanie znaleziony odpowiedni świat. W przeszłości myślał trochę o ostatecznym losie pielgrzymów, szczególnie dzieci, ale starał się nie być zbyt pesymistą. Bez względu na to, jak daleką drogę przebędzie statek, do chwili gdy podjęto by decyzję o zaprzestaniu misji, zawsze możliwy był powrót do miejsca startu. Dziwaczna matematyka podróży nadświatlnych oznaczała, że wszystkie cele podróży we wszechświecie są równo odległe i jednakowo dostępne, ale powrót podróżników do domu nie miał już sensu, skoro wszystkie drzwi zostały przed nimi zamknięte.

Kiedy Nicklin wchłaniał ciepło prysznic, przyszła mu do głowy nowa i niepokojąca myśl. Byłaby to ponura drwina, jeden z najlepszych kawałów Gazowego Kręgowca, gdyby zakłócenia na Orbitsville

miały okazać się jedynie przypadkowym zjawiskiem, które powstało przejściowo, gdy portale gotowały się do zamknięcia. Jeśli to prawda, życie codzienne w miejscowościach w rodzaju Orangefield powracałoby już do sensnej normalności.

„Notatnik Orangefieldski” przygotowywałyby drwiące artykuły redakcyjne o dziwacznych zajściach w Wielkim Dymie, pary spacerowałyby po ulicy Karetowej, a Hotel Victoria i pomarańczowo oświetlona lodziarnia pana Chickleya prowadziłyby zwykłą działalność. I za parę lat samo istnienie portali stałoby się wyblakłym wspomnieniem, i nikt by nic nie wiedział o statku widmie dryfującym w próżni, która zaczyna się w niewielkiej odległości pod ich stopami, pod nieprzenikalną skorupą Orbitsville.

Ta nieprzyjemna wizja sprawiła, że Nicklin poczuł się nagle jak w pułapce. Wyszedł z kabiny i zaczął wycierać swe ciało ręcznikiem do sucha. Prócz niego w łaźni był jedynie Lan Huertas, który - jak zwykle - unikał z nim rozmowy. Nicklin ubrał się w milczeniu, przejechał depilatorem po brodzie i wyszedł z pomieszczenia.

Kiedy przebył pewien odcinek drabiny, zaczął się zastanawiać, czy wspinaczka nie była łatwiejsza niż powinna. Kiedy szedł spać, z nastaniem „nocy”, której porę obrano dość dowolnie, przyśpieszenie statku wynosiło około 0, 5 G. Teraz było być może trochę mniejsze, chociaż nowicjuszowi trudno rozpoznać, czyjego ciężar stanowi tylko połowę, ćwierć czy jedną trzecią normalnej wagi. Może to oznaczało, że generatory pola zbierającego były naprawdę wadliwe? Albo po prostu statek znalazł się w rejonie, w których żniwa materii międzygwiazdnej źle się udawały?

Aromat kawy, sączący się z kantyny - lub refektarza, jak ochrzcił to pomieszczenie Nicklin - zakłócił jego rozmyślenia nad tym proble-

mem. Poczuł przez chwilę przyjemność, zabarwioną poczuciem winy, kiedy przypomniał sobie, że ten okropny kucharz, Carlos Kempson pozostał w Beachhead. Jeden z pielgrzymów, z zawodu szef wielkiej restauracji, zgłosił się ochotniczo do prowadzenia bufetu. Rozjaśniało to nieco perspektywę podróży.

Większość poziomów, które mijał Nicklin, była cicha, gdyż przono pasażerów, by pozostali w swoich kajutach do godziny dziewiątej czasu pokładowego. Na podestach, wspólnych dla czterech pomieszczeń każdego pokładu, nienaturalnie cicho bawiło się kilkoro dzieci. Wprawdzie jak wszystkie młode osoby potrafiły elastycznie dostosowywać się do nowych sytuacji, nie zdążyły jednak przywyknąć do surowego otoczenia plastikowych przepierzeń i arktycznego oświetlenia.

Na pokładzie 10, trzy poziomy pod stołówką, Nicklin usłyszał znajomy głos. Obejrzał się i zobaczył Zindee White, stojącą w otwartych drzwiach kajuty. Mówiła coś do jakiejś nastolatki, prawdopodobnie mieszkanki sąsiedniej kwatery. Nicklin podniósł rękę pozdrawiającym gestem, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Zindee wycofała się z pola widzenia, a nastolatka rzuciła mu pełne ciekawości spojrzenie, kiedy wchodził na następny pokład.

Dotarł do kantyny i zobaczył tam kilkoro ludzi z personelu misji, między innymi Daneę Farthing i Gerla Kingsleya. Siedzieli przy jednym z wąskich stołów. Na widok Nicklina Gerl zaprezentował jeden ze swoich groteskowych uśmiechów, ale pozostali z rozmysłem zignorowali jego przybycie. Do takich reakcji zdążył się przyzwyczaić i czerpał z nich perwersyjną satysfakcję. Zwykle wpychał się wtedy do grupy, usiłując zdominować konwersację, ale tym razem trudno mu było przezwyciężyć tę niemą, silną niechęć.

Wziął z dystrybutora bańkę kawy i usiadł osobno. „Coś się dzieje” - myślał, wysysając gorącą ciecz - „a zaczęło się to wczoraj rano, kiedy Zindee ode mnie uciekła”.

Jak człowiek, który próbuje zrekonstruować wydarzenia z pijatyki minionego wieczora, Nicklin wyświetlał spotkanie z Zindee na ekranie swej pamięci, minuta po minucie, w zwolnionym tempie. To był nieznajomy... ktoś obcy, kto wyglądał i mówił jak Jim Nicklin... obcy, który był Jimem Nicklinem, dla całej reszty świata...

Izolowany, zahipnotyzowany, przerażony Nicklin przyglądał się intruzowi - uzurpatorowi w jego ciele - zajętemu swoimi sprawami, to znaczy udawaniem, że żyje, gdy w rzeczywistości ostatnia iskierka ludzkich cech została w nim już zdmuchnięta. Obserwowanie tego spotkania było trudne i bolesne, ponieważ musiał uznać, że on i ten obcy są jakby jednością i nie ma mowy o żadnym dzieleniu się odpowiedzialnością czy wstydem.

„Byłem martwy! Byłem chodzącym trupem... a Zindee przyszła z utraconej dla mnie epoki... przypominając mi o dobru, które zostało zagubione... i jak się jej odpłaciłem?”

Nicklin czuł na twarzy gorące pulsowanie krwi, kiedy obserwował tę imitację, jak działa za niego i słyszał, jak mówi zdania, które dla niej ułożył. Bańka z kawą stygła mu w rękach. Po pewnym, nieokreślonym czasie uświadomił sobie, że siedząca przy drugim stole Danae obserwuje go ciemnymi, zamyślonymi oczyma. Odwrócił wzrok, uśmiechnął się samokrytycznym uśmiechem człowieka, który chce dać do zrozumienia, że właśnie przypomniawszy sobie o umówionym spotkaniu, opuścił kantynę.

Na ciasnym podeście przystanął. Wahał się, dokąd pójść, a potem skierował kroki na górę do sterowni. Kiedy dotarł do Pokładu 3, tego z

tunelem do szalupy, zauważył czerwone wskaźniki, co oznaczało, że drzwi do apartamentów Montane'a i Voosangera są zamknięte od środka. Obaj mężczyźni prawdopodobnie jeszcze spali: jeden w towarzystwie swojej zmarłej żony, drugi pozbawiony towarzystwa żony żyjącej. „Celny żart, Gazowy

Kręgowcze!”

Na Pokładzie 2, mieszczącym prywatne pokoje pilota, spotkał Nibsa Afflecka, który pilnie strzegł najwyższego segmentu drabiny. Kiedy mijał Afflecka, ten ledwie dostrzegalnie skinął mu głową. Wszedł do sterowni i zobaczył, że dwa fotele są zajęte przez Hepwortha i Fleischer. Główny ekran znowu dawał obraz z tylnej kamery, ale nie przedstawiał już jednolitej czerni.

Przez piętnaście godzin statek wciąż przyśpieszał. Teraz kamera obejmowała już dużą część skorupy Orbitsville - i przekazywany obraz zmienił się. Świeące zielone linie wypełniały cały ekran, tworząc wzór złożonych krzywych, na podobieństwo splecionych kwiatów. Ogólny efekt przypominał obszerną tablicę świecących jasno neonowych rurek, rozłożonych według zamysłu artysty projektującego w dużej skali. Na ekranach pomocniczych, świecąca koronka rozciągała się we wszystkich kierunkach, aż zagęszczone przez perspektywę linie zlały się, tworząc na horyzoncie zimną, zieloną poświatę.

- Niezły widok, co, Jim?

Hepworth odwrócił się w fotelu i spojrzał na Nicklina. Wyglądał na wyczerpanego, jakby nie kładł się spać, ale na twarzy nie miał ani śladu wczorajszej wrogości.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego - rzekł Nicklin. Pomyślał z wdzięcznością, że Scott jest na tyle wielkoduszny, by nie żywić

zbyt długo urazy. Pocieszające, że nie wszyscy odwrócili się do niego plecami, mimo że przez trzy ostatnie lata okazywał swój zły humor.

- Tak, starsza pani zorganizowała nam ładne przedstawienie. - Hepworth wyjął z bocznej kieszeni srebrzystą flaszkę i podał ją Nicklinowi. - Napijesz się?

Nicklin spojrzał na Megan Fleischer i zobaczył, że śpi ona głęboko, mimo że wciąż siedzi wyprostowana.

- Nie, dziękuję.

- To niepowtarzalna propozycja, Jim - nie mam nawet butelki zadekowanej w swym pokoju. Kiedy ta się skończy, przechodzę na ścisłą dietę z kakaa, soku z marchwi i podobnie obrzydliwych wywarów. - Na pulchnej twarzy Hepwortha pojawił się wyraz silnej odrazy. - Na Boga! Być może nawet będę musiał pić tę obrzydliwą, cholerną Bożą herbatę!

Nicklin zaśmiał się i sięgnął po flaszkę. Picie nie-rozcieńczonego, ciepłego dzinu było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął w tej chwili, ale symbolizował on przyjaźń, a za tym ostatnio bardzo tęsknił. Zgodnie z pijacką etyką dzielenie się ostatnim dostępnym drinkiem to symbol tak mocny jak ślubna obrączka.

„Oto piję za solidarność” - myślał, przetykając mdły, ciepławy alkohol. - „Przez lata było tylko nas dwóch. Dwóch niedowiarków, dwaj wyznawcy Gazowego Kręgowca - Pana Przypadku - otoczonych armią biblijnych krzykaczy. Ale przygotowaliśmy statek. My dwaj przygotowaliśmy statek...”

- Siadaj - rzekł Hepworth. - Pani hrabina nie jest w stanie zaprotestować.

- Dobra. - Nicklin, siadając, oddał butelkę. Jego wzrok błędził po fantastycznych, jarzących się ornamentach głównego ekranu. - Jak sądzisz, co tam się dzieje?

Hepworth pociągnął z butelki.

- Kto wie? A jeśli chcesz znać mój pogląd, to jeszcze nie koniec. Czuję to w kościach, Jim. Wiem, że jest to absolutnie nienaukowe, ale czuję to w kościach, że przedstawienie dopiero się zaczyna.

- Wiem, co masz na myśli. - Nicklin nie mógł oderwać wzroku od ekranu. - Te linie muszą być naprawdę jasne, skoro widzimy je z takiej odległości. To znaczy... Jak daleko jesteśmy od Orbitsville?

- Nieco ponad dwa megakilosy. Minęliśmy niedano dwumilionowy słupek.

- Nigdy nie myślałem, że przytrafi mi się taka rzecz - stwierdził Nicklin. - James Nicklin - podróżnik kosmiczny!

Miał nadzieję, że zdołał w naturalny sposób zmienić temat. Teraz próbował zrozumieć, dlaczego liczba, podana przez Hepwortha, wywołała u niego zimny dreszcz. Piętnaście godzin przy, powiedzmy 15 G daje... Jego zdolność do obliczeń w pamięci zmniejszyła się gwałtownie, kiedy zdał sobie sprawę, że o tej porze statek powinien osiągnąć już pełną grawitację, a napęd mieć sprawny, gdyż dzięki osiągniętej prędkości, pola mogłyby zbierać większe ilości masy odrzutowej. Obecne przyśpieszenie wyglądało raczej na jedną trzecią lub jedną czwartą część optymalnego, a w nocy mogły zachodzić fluktuacje, które wpłynęły na jego sny o spadaniu...

- Nie obciążaj zbytnio tego orzecha włoskiego, którego używasz zamiast mózgu - przemówił przyjaźnie Hepworth i oddał flaszkę Nicklinowi, najlepszy dowód, że nie ma mu nic za złe. - W normalnych warunkach bylibyśmy o tej porze o wiele, wiele dalej.

- Ja... ee... nie chciałem otwierać swej wielkiej gęby zbyt wcześnie.
- Wiem - wykazałeś takt. - Hepworth przyjrzał mu się z zainteresowaniem. - Nigdy nie zauważyłem, byś wcześniej bawił się w dyplomację. Co się stało, Jim? Jesteś chory?

Nicklin spróbował się uśmiechnąć.

- Wzięłem sobie urlop. Co mówiłeś o silnikach?
- O silnikach? Nic! Ani słowa! Ani mru mru! Silniki są w porządku.
- Ale powiedziałaś...
- Powiedziałem, że w normalnych warunkach statek leciałby o wiele szybciej.
- Co więc nie jest w porządku?
- Sama przestrzeń jest nie w porządku - powiedział spokojnie Hepworth. - Musisz pamiętać, że znajdujemy się teraz w świecie z antymaterii, Jim. Pewne rzeczy są tutaj inne. Za wcześnie, żebym mógł powiedzieć dokładnie, jakie to są różnice - może to mieć związek z gęstością lub rozkładem pyłu międzygwiazdowego, albo może chodzić o coś jeszcze bardziej podstawowego.

Jeśli niektóre oddziaływania jądrowe są inne - tak jak to jest z ko-baltem 60 - to również wskaźniki sprawności statku mogą być inne. Na przykład nasze pola zbierające mogą być przepuszczalne dla jonów z antymaterii. Mówię ci, Jim, całe nowe dziedziny nauki otwierają się wokół.

Nicklin pociągnął drugi łyk ciepłego dzinu.

„Mam zamiar obdarzyć tego człowieka całym zaufaniem” - myślał Nicklin. Starał się nie skrzywić, kiedy alkohol parzył mu gardło. - „Zaakceptuję wszystko, co powie. Zaufam mu całkowicie, ponieważ nikt -

nawet Wielki Kawalarz - nie powierzyłby setki dusz dryfującemu statkowi, który nie może latać”.

*

Znów miał sny o spadaniu.

W jednym z nich statek krążył po orbicie dokoła zielonej planety, która nie wykazywała obecności chmur, oceanów ani lodowych czap na biegunach. Jej barwa była jednolita - teatralna zieleń, zieleń z dziecięcej palety, zieleń z Zielonych Świątek - zbyt intensywna, by mogła pochodzić od zwykłej roślinności. Megan Fleischer przyszła do Nicklina i wyznała, że nie umie prowadzić szalupy. Wziął od niej stery i teraz siedział w fotelu pilota, a łódź spadała - poszturchiwana przez wiry atmosferyczne - ku zieleniejącej bombce. Spojrzał na pulpit sterowniczy i zamarł z przerażenia, gdy uświadomił sobie, że konsola to bezsensowna tablica z dźwigniami i wskaźnikami. Nie wiedział nic o lataaniu, zupełnie nic! Co za szaleństwo kazało mu wierzyć, że może kierować jakąś łodzią kosmiczną czy powietrzną? Jadownicie zielona powierzchnia pędziła w górę, rozwijała się i kręciła przed szybą. Widział teraz, że to bagnisko - falujące, kipiące, zasysające. Szalupa mknęła ku niemu z wielokrotną szybkością dźwięku.

I nie mógł zrobić nic, jedynie czekać na śmierć...

Następnego ranka, drugiego dnia lotu, Nicklin doszedł do wniosku, że przeżyje tę długą podróż, tylko jeśli stanie się naprawdę użytecznym. Prosta systematyczność ciężkiej pracy podtrzymywała go przez rok, gdy *Tarę* ciągnięto, cal po calu, z Altamury do Beachhead, i doświadczenie to stało się dla niego cenną lekcją.

- Możesz ufać pracy - rzekł do pustki w swym pokoju, kiedy wstał z łóżka i zaczął się ubierać. - Praca nie jest płocha. Praca nigdy cię nie zwiedzie.

Wiedział, że istniało już gotowe pole działania, godne jego zdolności i wiedzy. Jock Craig, elektryk, miał dobrą opinię jako wszechstronny majster i awansowano go - w niezbyt jasny sposób, jak to było w zwyczaju Montane'a - na stanowisko „szefa eksploatacji”. Craig musiałby naprawiać wszystko, od wyłącznika światła do wentylatora, ale znalazł się on wśród tych, którzy nie zdołali wejść na statek o czasie.

Do tej pory nic się jeszcze nie zepsuło, przynajmniej według informacji Nicklina. Jednak jedną domową pracę należało załatwić. Kładka, która przechodziła przez wszystkie pokłady, miała zasadnicze znaczenie dla komunikacji, gdy statek leżał w doku. Teraz była to niedogodność. Utrudniała dostęp do jedynej pionowej drabiny, biegnącej przez całą długość statku. Kładkę trzeba było zlikwidować.

W ciągu godziny Nicklin zjadł samotnie śniadanie, wyszukał Montane'a i mianował się szefem eksploatacji w miejsce Craiga.

Kładka była wykonana w niektórych miejscach z walcowanego metalu, a w innych ze zwykłych drewnianych desek, na których wciąż widniały zakurzone ślady. Nicklin zaczął od górnego końca statku. Usuwał segmenty, ciął je na poręczne kawałki i składał je w pustym pomieszczeniu na Pokładzie 5. Po oczyszczeniu wszystkich pokładów, sprawdzał, czy bez przeszkód da się poruszyć luk przeciwpożarowy. Pracę ułatwiała mała grawitacja, ale utrudniali ją ludzie, kursujący między pokładami. Emigranci jeden dzień przystosowywali się do otoczenia i przywykali do tego, że są w Kosmosie; teraz zaczęli tworzyć zwyczaje, zgodnie z którymi będą musieli żyć tu wiele miesięcy.

Gdy Nicklin spoglądał wzdłuż drabiny, czuł się, jakby pobierał próbkę działalności na pokładach rozpierających. W zwięzającej się perspektywie klatki schodowej widział grupy rozmawiających ze sobą mężczyzn i kobiet. Inni pasażerowie spacerowali między dwoma pokładami publicznymi: łaźni i kantyny. Wszędzie widać było dzieci, umacniające swoją władzę nad nowymi terytoriami, albo strofowane przez dorosłych. W pewnej chwili *gdzieś* bezpośrednio pod Nicklinem odbywało się zebranie badaczy biblii, na jego poziomie obradował jakiś komitet, a kilka pokładów wyżej słychać było jakby próbę chóru.

Chociaż ciągły ruch na drabinie przeszkadzał mu w pracy, czerpał pocieszenie z licznych dowodów na to, że ludzkiego ducha nie da się ugasić. Wielu emigrantów przyjaźnie zwracało się do niego, niektórzy - po uzyskaniu informacji pocztą pantoflową - wyrażali mu wdzięczność za rolę, jaką odegrał przy starcie statku z pochylni. Ci mężczyźni i kobiety najwyraźniej zdawali sobie sprawę z realiów swojej sytuacji w większym stopniu niż przewidywał to Nicklin, ograniczony swoimi antyreligijnymi przesądami. Pomysł, że ci ludzie mogą stworzyć funkcjonującą kolonię na nowym świecie, wydawał się coraz mniej niedorzeczny.

Dwukrotnie w czasie swej porannej pracy widział, jak Zindee White, szła w jego kierunku. Nie mógł spojrzeć jej w twarz, więc odchodził najdalej jak tylko mógł od drabiny i kiedy go mijała, był stale odwrócony. Za pierwszym razem miał isierkę nadziei, że odezwie się do niego i wykona jakiś gest przebaczenia, ale nie dała żadnego. „To właśnie to” - powiedział sobie ponuro. - „Zbieram, co zasiałem - jak brzmi jedno z najlepszych wyświechtanych powiedzeń Coreya”.

Rozbieranie kładki nie wymagało wielkiego wysiłku umysłowego, ale poświęcił tej czynności całą uwagę. Pracą fizyczną chciał zmniejs-

żyć napięcie, powodowane wyrzutami sumienia i samooskarżeniami. Nicklinowi, w jego osobistym wszechświecie, pozostały tylko śruby, zaciski i liny wiążące. Dlatego wydało mu się nieco dziwne, gdy w jakiś czas potem doszło do jego świadomości, że chyba już od dłuższej chwili Nick Affleck przywołuje go gestem z górnej części drabiny.

Upewnił się, że nic nie zostawia w stanie zagrażającym czyjemuś bezpieczeństwu i poszedł za Affleckiem na pokład sterowniczy, próbując zgadnąć, dlaczego go wzywają. Wiedział, że Megan Fleischer jest głęboko nieszczęśliwa z powodu zbyt małego przyśpieszenia i że prowadzi stale zajadłe dyskusje z Hepworthem, ale ta dziedzina nie należała do niego. Może Montane, coraz bardziej zaprzątnięty codziennymi szczegółami życia na statku, chciał przedyskutować sprawę oświetlenia, albo tury posiłków w kantine. A może... czy to możliwe...?

„Orbitsville!”

Nicklin utwierdził się w swych przeczuciach, gdy wszedł do sterowni.

Pomimo pewnego powiększenia, na głównym ekranie widać było obecnie znacznie większy obszar skorupy Orbitsville i wzór z zielonych linii wydawał się teraz jeszcze bardziej złożony. Wiązki przecinających się krzywych, przypominających kwiatowe płatki, rozchodziły się od setek regularnie rozłożonych ognisk. Obraz oszałamiał i oślepiał. Ogromny wzór pulsował znacznie zwiększoną jaskrawością z częstotliwością 1Hz. Co sekundę jasność zalewała światłem sterownię, oświetlając zarysy foteli i siedzące w nich postacie - Montane'a, Voor-sangera, Fleischer i Hepwortha.

- Masz prawo to widzieć, Jim - rzekł Hepworth nie odwracając głowy. - Za chwilę coś się wydarzy.

Nicklin podszedł do Hepwortha i stanął przy nim.

- Kiedy zaczęło pulsować?
- Kilka minut temu - i częstotliwość wciąż wzrasta.

I tempo świetlnych uderzeń rzeczywiście wzrastało, aż stało się raniącą oczy gorączką. Odstępy między szczytami zmniejszały się, kurczyły do zera. A potem ekran zamarł, jasny nie do zniesienia. Znieruchomiały Nicklin patrzył na to jak w transie.

Minęła sekunda. Potem dwie, trzy...

„Scott ma rację” - myślał Nicklin, ogarnięty niepokojem, na wpół oślepiony blaskiem. - „Za chwilę coś się stanie”.

... cztery sekundy, pięć sekund...

Niewiarygodny ornament z zielonego ognia zniknął, a w jego miejsce pojawił się nowy wzór.

Niebiesko-białe półksiężycy wypełniły nagle cały ekran. Wiersz po wierszu, linia po linii, warstwa po warstwie. Największe znajdowały się w centrum pola widzenia, a od nich, malejąc do rozmiarów punktów przypominających gwiazdy, po niezliczonych zakrzywionych południkach, biegły kurczące się paciorki. Im dalej od centrum tym pełniejsze półksiężycy. Cały wzór tworzyły koncentryczne, siatkowe sfery, o coraz mniejszych promieniach; w centrum tych sfer leżało małe, żółte słońce.

Nicklin skupił uwagę na jednym z największych oświetlonych z jednej strony globów. Ale zanim zdołał idealnie zogniskować swój wzrok i rozpoznać niebieskie i zielone plamy jako oceany i kontynenty, wewnętrzny głos powiedział mu, że patrzy na nową planetę.

Orbitsville - o powierzchni równej milionom Ziemi - stało się milionem Ziemi.

ROZDZIAŁ 19

Przez kilka minut w sterowni panowała całkowita cisza. Obraz na ekranie wciąż się zmieniał i Nicklin nie mógł oderwać od niego wzroku. Wymacał drogę dokoła pustego fotela i usiadł obok Hepwortha. Oczy stopniowo zdrowiały. Mijał ból wywołany ostrym, zielonym światłem i Nicklin zaczął odróżniać coraz więcej szczegółów tej fantastycznej scenerii oraz interpretować niektóre jej elementy.

Zobaczył, że słońce nie jest otoczone czernią Kosmosu. Przesłaniały je planety, ułożone w wielu warstwach i Nicklin początkowo nie zdawał sobie sprawy, że słońce jest w centrum bladoniebieskiego dysku. Po niebieskim kręgu przesuwaly się morowe wzory o bledszym odcieniu i mimo obcości tego całego widoku, miał on w sobie coś boleśnie znajomego.

- To jest niebo - wydyszał. - Patrzymy chyba na wnętrze Orbitsville.

- Masz rację. - Głos Hepwortha brzmiał spokojnie i beznamiętnie; to mówił uczony, a nie zwykły obserwator. - Napawaj się tym widokiem, póki możesz, chłopcze. Masz na to trochę mniej niż osiemnaście minut - a potem widok ten zniknie na zawsze.

- Osiemnaście minut? - Aż tak precyzyjne określenie czasu wzmo-gło u Nicklina uczucie nabożnego szacunku. - Skąd to wiesz?

- Cóż, wydaje się, że skorupa Orbitsville została zmieniona na mniejsze sfery, każda wielkości małej planety. - Hepworth przesunął wzrokiem po siedzących. -Zgadzamy się co do tego? Nikt nie uważa, że to wszystko, to złudzenie optyczne?

Fleischer przytaknęła. Montane i Voorsanger, wpatrzeni w ekran, zdawali się nie słyszeć.

- Możemy chyba założyć, że przemiana nastąpiła wszędzie jednocześnie - Hepworth skorzystał z okazji, żeby wygłosić jeden ze swoich zaimprovizowanych wykładów. - Tak mi się po prostu wydaje, jeśli już nie ma innych argumentów. Cała skorupa podzieliła się w jednej chwili i została zmieniona w mniejsze sfery również w jednej chwili. Ale nie możemy zobaczyć tego w ten sposób, bo Orbitsville miało średnicę osiemnastu minut świetlnych. Nam ta cała transformacja będzie się ukazywać stopniowo...

Nicklin przestał słyszeć głos fizyka, gdy tylko, z opóźnieniem, wytłumaczył sobie, co się dzieje. Zafascynowany obserwował na ekranie, jak rośnie niebieski dysk, a jego brzeg jakby roztapia się i wyparowuje mgiełką planet. Ten dysk, poznaczony wzorem pasów dnia i nocy, to wnętrze Orbitsville, zalane słoneczną poświatą. Nicklin wiedział jednak, że to już nie istnieje: obraz widać jedynie dzięki światłu, które rozpoczęło swoją podróż, kiedy on zajmował się rozbieraniem kładki na dolnych pokładach *Tary*.

Po raz pierwszy w życiu zaczynał wyczuwać intuicyjnie prawdziwe rozmiary Orbitsville. Istnienie tej wielkiej sfery w zagadkowy sposób dobiegło kresu, ale że była ona ogromna, udawało jej się złudnie przedłużyć swój byt, gdy niechętnie oddawała swą materię z szybkością światła.

„Aby przekształcić się” - myślał zadziwiony Nicklin - „w coś obfitego i dziwnego”.

Tworzący koło prążkowany błękit rozrastał się na brzegach ekranu. Fleischer dotknęła sterowników kamery, likwidując powiększenie, i pole widzenia zwiększyło się dziesięciokrotnie. Koło wciąż rośło,

wypluwając na swych brzegach mgiełkę z milionów nowych światów, ale tempo powiększania się malało, kiedy front świetlny dochodził do najszerszego przekroju skorupy. Pędził przez skazane na zagładę, senne krajobrazy Orbitsville, unicestwiając je z szybkością 300000 kilometrów na sekundę, ale ponieważ obserwatorzy widzieli ten ruch pod prawie zerowym kątem, obserwowane zmiany chwilowo były minimalne.

Nastąpił okres, w którym pozorna średnica kręgu pozostawała prawie niezmienna. Trwał on przeszło minutę, a potem błękitne koło zaczęło maleć.

Początkowo to zmniejszanie się było ledwie zauważalne, jednak, zgodnie z prawami geometrii sferycznej, przyśpieszało, a przyśpieszenie wciąż rosło. Niebieski krąg ścigał się gwałtownie, wyparowując w postaci planetarnego tworzywa. W końcowej cichej implozji zniknął za koroną gwiazdy.

Słońce pozostało - niezmiennie i nienaruszone -w centrum okrągłej chmury nowo narodzonych światów.

Nicklin zastygł w miejscu, niemal wstrzymał oddech. Gapił się na niewiarygodnie piękny obraz na głównym okranie. W mózgu miał pustkę. Był spokojny, ale miał wrażenie, że jest skarcony i jednocześnie wyjątkowo uprzywilejowany - jak gdyby cały akt Tworzenia podjęto na nowo, specjalnie na jego cześć. Czuł, że powinien przemówić - ale cóż można było powiedzieć?

- Nie mam już wzroku takiego jak dawniej - ozwał się Hepworth - ale to są planety, prawda?

Nicklin skinął głową i zmusił swą krtań do działania.

- Dla mnie wyglądają jak planety.

Montane wydał ochrypy, łkający dźwięk.

- To na pewno nie są planety! Wszystko to diabelskie sztuczki! Złudzenie.

- Sądziłem, że uporaliśmy się już z tym poglądem na wstępie - stwierdził Hepworth, a jego cierpliwy ton świadczył o tym, że jest bardzo zniecierpliwiony. - Byliśmy na pewno świadkami stworzenia milionów planet ze skorupy Orbitsville. Teraz zasadnicze pytanie, lub jedno z zasadniczych pytań, brzmi: „Czy ktoś na nich pozostał przy życiu?”

- Wszyscy musieli umrzeć - ogłosił Montane. - Wszyscy są martwi! Nicklin myślał, że nic go już nie może zdziwić, a jednak potęga wyobraźni Hepwortha zdumiała go.

- Jak? Jak mógłby ktoś pozostać przy życiu po czymś takim?

- Nie zarzucaj mnie zarzutami - odrzekł Hepworth. - Nie sądzę, byśmy kiedykolwiek zrozumieli, jak zostało to zrobione. Ale wydaje mi się - choć nie żądam ode mnie dokładniejszych wyjaśnień - że cały ten cyrk nie miałby sensu, gdyby nie ochroniono życia. Czy tego nie rozumiecie?

- Chcę to rozumieć. Bardzo chcę to rozumieć.

- Jak bardzo możesz to powiększyć? - zwrócił się

Hepworth do Megan Fleischer. - Sto razy?

Skinęła głowę i przebiegła palcami po małej konsoli w podłokietniku fotela. Niedaleko środka ekranu pojawiło się drobne czerwone kółko. Przesunęło się z lekka i objęło jedną z błyszczących plamek, a potem zaczęło się rozrastać, powiększając zawarty w nim obszar i stopniowo zakrywając resztę ekranu. Obiekt zawarty w kółku okazał się wkrótce czarnym kołem otoczonym cienkim pierścieniem jasności.

- Ta leży prawie na jednej linii ze słońcem - rzekł Hepworth. - Patrzymy na jej nocną stronę, ale halo świadczy o czymś ważnym: że pla-

neta ma atmosferę. W każdym razie, dla mnie jest to dowód, że ktokolwiek rozdrobnił Orbitsville, zrobił to w naszym najlepszym interesie.

- Jesteś głupcem - szepnął Montane. - Szatan jest naszym wrogiem.
- Przesuń trochę na bok - poprosił Hepworth.

Czerwone kółko natychmiast skurczyło się do swych poprzednich rozmiarów, przesunęło w lewo i zogniskowało na innym świetlnym pyłku. Proces powiększania znowu się rozpoczął i tym razem obiekt urósł do jasnego półksiężyca, który był - bez wątpienia - upstrzony błękitem i zielenią pod białymi zawijasami frontów atmosferycznych.

- Oto mamy - obwieścił triumfalnie Hepworth. - Pierwszorzędny kawałek orbitsvillskiego majątku podzielonego w inny sposób.

Oszołomione myśli Nicklina znów pomknęły naprzód.

- Czy zdołamy zobaczyć miasta?
- Niewykluczone, ale sęk w tym, jak je znaleźć. - Hepworth omiół gestem usiane klejnotami zewnątrz purpurowego koła. - Jaka była powierzchnia Orbitsville w porównaniu, dajmy na to, z Ziemią? Chyba jakieś 650 milionów razy większa? Jeśli nic się nie zmarnowało, oznacza to, że mamy tam około 650 milionów nowych planet i garstka naszych miast nie będzie zupełnie rzucać się w oczy.

- Zaczę przeszukiwania częstotliwości radiowych - stwierdziła Fleischer. - Trochę za wcześnie oczekiwać...

- Natychmiast przestańcie! - krzyknął Montane, zrywając się na nogi. Jego twarz przypominała wykrzywioną bladą maskę. - Nie chcę więcej słuchać tej... bluźnierczej gadaniny.

- Teraz omawiamy sprawy naukowe, Corey - rzekł Hepworth spokojnym, uprzejmym, ale protekcyjnym tonem. -- Wcześniej czy

później będziesz musiał zacząć obiektywnie oceniać fakty dotyczące naszego położenia.

- Fakty! Przedstawię wam fakty! To nie są prawdziwe światy - tylko Bóg może stworzyć prawdziwe światy -i nie ma tam żadnych miast. Wszystkie dusze tych ludzi, których pozostawiliśmy za sobą, wszystkie co do jednej, zostały zagarnięte przez Złego. Wszyscy tam są martwi!

Voorsanger przerwał mu ze skrępowaniem.

- Chwileczkę, Corey. Chciałbym usłyszeć, co...

- Ten człowiek przemawia na rzecz Diabła - przerwał mu Montane, a jego głos stał się bardziej piskiwy. - Ostrzegam cię, Ropp, jeśli będziesz go słuchał, narazisz własną nieśmiertelną duszę.

- Ale jeśli istnieje jakaś szansa, że moja żona wciąż żyje! - Voorsanger przerwał, dziwnie zawstydzony, lecz uparty, a kiedy znów przemówił, unikał patrzenia Montane'owi w oczy. - Jeśli jest jakaś szansa, że Greta wciąż żyje... i że wszyscy inni mogą też żyć.... Czyż nie jest naszym obowiązkiem zawrócić i spróbować ich znaleźć?

- Przecież widziałeś, co się tam stało! - głos Montane'a łamał się, przechodząc w pisk. - Jak w ogóle możesz...?

Przestał mówić, a usta i oczy rozszerzyło mu przerażenie. Prawą ręką chwycił się za pierś, a lewą jednocześnie przycisnął do pleców w nagłym skurczu, prawie tak, jakby czuł, iż przeszła go jakaś niewidzialna klinga. Jego język migotał przez chwilę jak język węża, zostawiając krople śliny na obu policzkach. Affleck, który stał do tej chwili przy drabinie, rzucił się ku Montane'owi i opuścił go na fotel.

- Widzicie, coście zrobili! - zawarczał Affleck, obrzucając bolesnym spojrzeniem Voorsangera i Hepwortha.

- Jeśli Corey umrze...

- Nie umrę, Nibs. Już w porządku. - Montane zrobił kilka głębokich wdechów i niespodziewanie blado się uśmiechnął. - Nie ma powodów do niepokoju.

- Corey, powinienes się położyć.

Montane ścisnął Afflecka za ramię.

- Po prostu pozwól mi tutaj posiedzieć, przyjacielu. Będę się czuł doskonale, zobaczysz.

Affleck niepewnie skinął głową i wrócił na swój posterunek przy drabinie.

- Muszę przeprosić za to małe przedstawienie -zwrócił się do zebranych Montane głosem łagodnym i rozsądnym, tak kontrastującym z niedawną histerią. Oskarżyłem Scotta o bluźnierstwo, ale to ja sam byłem prawdziwym bluźniercą. Utrzymawałem, że jestem przekąźnikiem niebiańskiego gniewu Bożego, a On zesłał mi małe przypomnienie, że pycha jest grzechem głównym.

„Te oklepane zwroty, wciąż te same” - pomyślał ponuro Nicklin, oderwawszy się od cudów na zewnątrz -„ale to przecież musi być już inny człowiek”.

- Mamy ze sobą doktora Hardinga - rzekł Voorsanger.

- Sądzę, że powinienem go poprosić, by tu przyszedł i...

- Dziękuję ci, Ropp, ale zapewniam cię, nie potrzebuję opieki medycznej. - odparł Montane i popatrzył na Hepwortha jasnym, pogodnym wzrokiem. - Kontynuuj, Scott. Chcę usłyszeć pogląd uczonego na to diabelskie dzieło.

- To wszystko w znacznym stopniu opierało się na domysłach - rzekł Hepworth. Najwyraźniej miał pewne wątpliwości, jakie skutki wywrą jego słowa na stan umysłu Montane'a.

- Nie bądź taki skromny. Robisz wspaniałą robotę formułując prawa naukowe, którym musi być posłuszny zarówno Nasz Pan jak i Szatan. Ciągnij dalej, Scott, naprawdę mnie to interesuje.

Montane uświadomił sobie, że na brodzie ma ślinę i gdy wycierał ją rękawem, zniekształcił przez chwilę swe usta.

Ten gest, tak nietypowy dla wymuskanego zazwyczaj kaznodziei, sprawił, że Nicklin przez chwilę poczuł się nieswojo. „Corey, czy to ty jesteś tam wewnątrz?” -pomyślał. - „Czy też może wśród nas znajduje się ktoś obcy?”

- Dobrze, spróbujmy być jak najbardziej racjonalni i pozbawieni emocji - powiedział Hepworth przyciszonym głosem, co mogło wskazywać, że również troszczy się o równowagę umysłową Montane'a. - Corey wierzy, że Orbitsville zostało pokawałkowane przez... hm... Szatana, mającego na celu jedynie zlikwidowanie ludzkości. Będę nazywał ten pogląd Hipotezą o Złej Woli. Ja się z nim nie zgadzam i będę forował przeciwny punkt widzenia - Hipotezę o Dobrej Woli.

- Nie wątpię, że to, co widzimy na naszych ekranach, całe 650 milionów kul, to nie są „prawdziwe” planety w sensie zwykłej astronomicznej definicji. Zaryzykowałbym twierdzenie, że są to puste sfery, tak samo jak Or-bitsville była pustą sferą. Zakładałbym, że ich grawitacja jest generowana przez materiał ich skorup, podobnie jak to było na Orbitsville.

- Przede wszystkim zakładasz, że mają jakąkolwiek grawitację - wtrącił Montane.

Hepworth rzeczowo skinął głową.

- Masz rację, Corey, czynię to założenie.

- Sprawdzam tylko. Po prostu chcę przestrzegać naukowości. - Montane obdarzył pozostałych konspiracyjnym uśmiechem, który

sprawił, że w pierwszym odruchu Nicklin chciał się z przestraczem odsunąć od kaznodziei.

- Co więcej - rzekł Hepworth - Hipoteza o Dobrej Woli wymaga, by przyjąć, że te sztuczne planety są równie trwałe jak „rzeczywisty” rodzaj planet, a może nawet trwalsze. Powinniśmy również traktować je jako idealne kolebki życia istot rozumnych, jakby zrobione na nasze specjalne zamówienie.

Nicklin próbował ogarnąć tę wizję i nie udało mu się.

- Mówisz trochę za szybko, Scott - rzekł. - Jak... jak możesz uzasadnić takie założenia?

- Wynika to z teorii, Jim. Wynika to z faktu, że warunki na samej Orbitsville były jakby dokładnie zaprojektowane dla rasy ludzkiej, by mogła tam rozwijać się i kwitnąć. Przecież często słyszeliśmy, jak Corey wysuwa ten sam argument, że to nie przypadek, iż Orbitsville zwabiła nas do środka - jak osy, które wpadły do dzbanka z miodem?

- Nie możesz tak po prostu tego przyjąć - Nicklin spojrzał na Montane'a słuchającego łapczywie. - Czy mówimy o nauce czy o religii?

- O nauce, Jim, o nauce! Chociaż przyznaję, nie miałbym nic przeciw temu, by jakiś diabeł, demon, duch czy ten, którego imienia nie należy wzywać, zmaterializował się tutaj właśnie w tej chwili. - Hepworth przygładził brwi. - Byłbym uszczęśliwiony, uwierz mi, z rozkoszą sprzedałbym swoją nieśmiertelną duszę za butelkę dżinu. Albo nawet szklanę!

- Co z hipotezą? - spytał Nicklin, zaczynając się niecierpliwić.

- Jak powiedziałem, istnieją dowody, że jest to czyjś projekt. Na przykład zielone linie. Pamiętasz, osłabiały one materiały budowlane. Twierdziłbym, że było to dla nas ostrzeżenie, by trzymać się od nich z dala ponieważ są niebezpiecznymi granicami. - Hepworth spojrzał na

wspaniały i straszny obraz na ekranie. - Założyłbym się, że wszystko to zrobiono, nie pozbawiając nikogo życia. Wiem, że brzmi to niedorzecznie, ale istoty, które mają absolutną władzę nad wszystkimi geometriami, wszystkimi wymiarami -prawdopodobnie z czasem włącznie - mogły tego dokonać.

Montane parsknął.

- Kiedy pojawi się Dobra Wróżka?

Hepworth skłonił głowę w zamyśleniu, lekko uśmiechnięty.

- To najtrafniejsza nazwa dla istoty, która rządzi tam na zewnątrz. Doskonale pasuje do nazwy mojej hipotezy. Podoba mi się ta nazwa, Corey. „Dobra Wróżka”. Tak, to pasuje.

- Nazwę tę można nieco skrócić - zauważył Nicklin, czując się trochę niezręcznie, jak ktoś nieśmiały, kogo wciągnięto w debatę publiczną. Wraz z innymi był świadkiem najbardziej zdumiewającego zjawiska, jakie można sobie wyobrazić i wydawało mu się niewłaściwe, że tak natychmiast po nim prowadzi się spokojną dyskusję filozoficzną.

- Masz na myśli Boga - Hepworth zamrugnął, nie zgadzając się. - Trudno to nazwać Jego stylem, prawda?

- Dobrze, czy mógłbyś powiedzieć, kim właściwie jest Dobra Wróżka, i jakie są jej zamiary?

- Przede wszystkim, Dobra Wróżka jest istotą, która zaprojektowała i zbudowała Orbitsville. Pod względem ewolucji istota ta musi wyprzedzać nas w takim stopniu, jak my wyprzedzamy amebę.

- Sam mógłbym powiedzieć coś takiego - zaprotestował Nicklin. - Scott, przykro mi, że ci to mówię, ale twoja teoria niewiele nam wyjaśniła.

- Panie Hepworth, chciałbym zapytać o tę Dobrą Wolę - spytał Voorsanger, a na jego bladej twarzy malowało się napięcie. - Dlaczego pan sądzi, że moja., że wszyscy wciąż żyją?

- Brzytwa Ockhama. Po co robić to wszystko... po co zadawać sobie tyle trudu, by stworzyć dwie trzecie miliarda nowych domów dla specjalnych klientów, a potem pozwolić klientom wymrzeć. To po prostu nie byłoby logiczne.

- Logika! Mój Boże! Logika! - Montane odchylił się w fotelu i uśmiechał się do sufitu.

Nicklin zauważył, i powtórnie go to zaniepokoiło, że uśmiech na twarzy Montane'a był jakoś przesunięty. W jego umyśle zamigotał niejasny termin z opasłego słownika - flądrousty - razem z okropną wizją tkanek twarzy Montane'a zmienionych w nieelastyczne ciasto, przez co usta zostały trwale przesunięte na inne miejsce, kiedy je wycierał. „Czy wszyscy wariujemy? Czy spotkanie z Dobrą Wróżką było dla nas przeżyciem zbyt silnym?”

- Chcę panu wierzyć, panie Hepworth - Voorsanger błagalnie wpatrywał się w twarz Hepwortha. - Czy sądzi pan, że moglibyśmy znaleźć właściwą... planetę?

- Czemużby nie? - Hepworthowi wracała zwykła górnolotność. - Jeśli materiał równikowy pozostał na odpowiedniej pozycji w obłoku światów - a to wydaje się logiczne - wówczas...

- Na miłość Boską, Scott - przerwał mu Nicklin podnosząc głos. - Nie daj się ponieść! Słyszę, jak w twojej głowie obracają się już te trybiki. Uzupełniasz teorię szczegółami w miarę, jak mówisz.

Hepworth obrócił się ku niemu i Nicklin zobaczył w jego oczach początek gwałtownej wściekłości, która tak często go zmieniała, gdy kwestionowano jego autorytet naukowy. Nastąpiła chwila cichej wro-

gości, a potem pulchna twarz Hepwortha odprężyla się. Wstał i powoli obszedł konsolę sterującą, zajmując pozycję obok ekranu głównego, niczym nauczyciel przy tablicy. Na ekranie nadal widniał obraz pojedynczej planety.

Hepworth uśmiechnął się niedbale do Megan Fleischer.

- Czy zechciałabyś znów włączyć widok ogólny?

Ręka pilotki poruszyła się nieco i planeta znikła. Na ekranie znów dominował planetarny obłok, zamykający słońce w jakby zrobioną z gazy, upstrzoną klejnotami, niewyobrażalnie piękną sferę.

- Trochę z wiejska i nienaukowo poruszyłeś rzeczywiście istotne zagadnienie filozoficzne - rzekł łagodnie Hepworth, patrząc Nicklinowi prosto w twarz. - Istnieje podstawowy test, który można zastosować do dowolnej dobrej teorii naukowej. Należy użyć tej teorii do prognozowania. Jeśli prognozy okażą się prawdziwe, teoria zyskuje mocniejsze podstawy.

Czy gdybyśmy poddali się temu procesowi, traktowałbyś przychylniej ten twór mego umysłu? Gdybym przedstawił jakąś prognozę, tu i teraz i, jakby to mogli sformułować niektórzy z obecnych - prorocstwo wypełniłoby się? Czy powróciłby uśmiech na to twoje aniołkowe oblicze?

„Nie rób szopy” - pomyślał z irytacją Nicklin, nie reagując nawet gestem.

- Doskonale - ciągnął Hepworth, niby aktor zadowolony, że stoi pośrodku sceny. - Nadstawię teraz głowy i przepowiem, że te światy... które właśnie stworzyła Dobra Wróżka... całe 650 milionów... znikną wkrótce z naszego pola widzenia.

Megan wyprostowała się w fotelu.

- Jak możesz twierdzić coś takiego?

Pytanie to rozbrzmiewało w mózgu Nicklina, kiedy patrzył na pokrytą srebrnym zarostem, obwisłą twarz Hepwortha. Fizyk w swoim zaniedbanym i brudnym ubraniu wyglądał na jeszcze mniej godnego szacunku niż zwykle: niedoszły uczonec, człowiek, któremu wódka wyssała mózg do tego stopnia, że oblałby maturę. Ale jego siła wyobraźni zdała się obejmować galaktyki, wszechświaty, nieskończoność.

„Słucham cię z uwagą, Scott” - pomyślał; przepadła gdzieś jego cała wrogość i cały sceptycyzm. - „Powiedz, co masz do powiedzenia - a ja ci uwierzę”.

- To wszystko wynika z Hipotezy o Dobrej Woli - rzekł Hepworth, wskazując obłok planetarny. - Nie muszę nikomu mówić, że te planety nie krążą dokoła słońca po jakichś ustalonych orbitach. Jeśli obłok się obraca, tak jak obracało się Orbitsville, planety z pasa równikowego mogą poruszać się po jakiejś orbicie - ale nie sądzę, by tak było. Ten cały system nie może funkcjonować, zgodnie z prawami naszej mechaniki ciał niebieskich. Obłok powinien się rozpaść, ale się nie rozpada dzięki jakiejś sile, trzymającej planety na swoim miejscu - podobnie jak inna nieznaną siłą stabilizowała Orbitsville.

Fleischer podniosła rękę, jak uczeń w szkole.

- Brzmi to, jakbyś wysuwał argumenty, że planety właśnie nie znikną.

- I tak, i nie. Mówię, że planety mogłyby pozostać dokładnie tam, gdzie są - gdyby Dobra Wróżka chciała, żeby tak się rzeczy miały. Ale - i to właśnie jest sedno wszystkiego - jaki w ogóle byłby sens pokawalkowania Orbitsville?

Hepworth rozłożył ramiona i spoglądał po kolei na każdego ze swoich słuchaczy.

- W gruncie rzeczy tam niewiele się zmieniło. Zamiast jednego olbrzymiego Orbitsville mamy 650 milionów małych - oczywiście wywróconych na drugą stronę - ale jeśli stan rzeczy się nie zmieni, życie wkrótce powróci do normalności. Zwykli ludzie przestaną wydać wkrótce okrzyki zdziwienia i zaniepokojenia, ponieważ tacy właśnie są zwykli ludzie. Oczywiście trzeba będzie trochę się przystosować i annus mirabilis będzie ekscytował historyków, filozofów i badaczy przez całe wieki - ale, w gruncie rzeczy, wszystko potoczy się prawie zupełnie tak samo.

Hepworth przerwał. Od wielkiego tematu odciągnęło go odkrycie, że koszula podjechała mu do góry na wystającym brzuchu. Parę sekund wpychał ją z powrotem w spodnie, a potem wlepił w słuchaczy posepny wzrok.

- Tak więc zapytuję - rzekł - jakież sens miałyby pozostawianie tych wszystkich nowiutkich planet tam, gdzie teraz są?

- Może w ogóle nie ma to sensu - zareplikował Nic-kin. - Może po prostu tak właśnie ma być.

- To jeszcze jeden sposób myślenia - nazwijmy go Hipotezą Zerową - ale mnie się on nie podoba. Nie wierzę, żeby Dobra Wróżka trwoniła swój czas i energię.

Przez głowę Nicklina przepływały coraz to nowe koncepcje.

- Dobrze, ale gdzie się przeniosą planety? I dlaczego mają gdzieś się przenieść?

- To już nie należy do zakładu - stwierdził Hepworth.

- Nie mogę odpowiedzieć na te wszystkie „gdzie” i „dlaczego”. - Mówię tylko, że planety zostaną rozmieszczone inaczej. Mogą zniknąć nagle, wszystkie od razu; proces ten może też być stopniowy. Wiemy tylko, że proces ten się już rozpoczął.

- Powinniśmy się łatwo o tym przekonać, jeśli tylko nasz program wyszukiwania planet poradzi sobie z tyloma punktami - stwierdziła Megan, zwracając się do swego głównego komputera. - Z pewnością moglibyśmy obserwować jednoprocentową próbkę, a potem... - Jej głos przeszedł w niezrozumiałe mamrotanie, kiedy pogrążyła się w obliczeniach narzuconego sobie zadania.

Voorsanger spojrział z niepokojem na Montane'a a potem utkwiał wzrok w fizyku.

- To wszystko wystarczy, bym zaczął kwestionować sens tego lotu. Hepworth skinął głową.

- Czy chcesz powiedzieć, że powinniśmy zawrócić?

- Sądzę... - Voorsanger rzucił spojrzenie na Montane'a i jego twarz przybrała nagle wyraz zdecydowania.

- Tak, to właśnie chcę powiedzieć.

- A jakie jest twoje zdanie, Jim?

- Skąd mam wiedzieć? - rzekł Nicklin. Czuł, że to strasznie nie w porządku, iż pytany jest o opinię na tak rozległy temat, gdy istnieje tak mało niepodważalnych faktów. - Prócz tego znowu mówimy jak grupa dowódcza.

- Dobrze, zapytajmy szefa. - Hepworth popatrzył na Montane'a. - Co o tym sądzisz, Corey?

- Durnie! - Wciąż uśmiechnięty Montane nie przestawał gapić się w sufit. - Biedni durnie!

- Przypuszczam, że Corey nie jest całkiem gotów do podzielenia się z nami przemyślaną opinią. - Hepworth znacząco spojrział na Aflecka. - Nick, może byś znalazł doktora Hardinga i przyprowadził go tutaj? Myślę, że wyszłoby to tylko na dobre...

Affleck miał udęczony wyraz twarzy. Zaszurał nogami, a potem zszedł na drabinę i usunął się z pola widzenia.

Hepworth ponownie zwrócił się do Nicklina.

- Co o tym sądzisz, Jim?

- A ty? - odrzekł Nicklin, odwlekając jakąkolwiek decyzję. - Co ty byś radził?

Fyzyk obdarzył go dziwnym uśmiechem.

- Trudno na to odpowiedzieć, zwłaszcza bez odpowiedniego smarowania. Jest tak dużo do zbadania w tym wszechświecie. Chciałbym kontynuować podróż, a jednocześnie chciałbym wracać.

- Jesteś nadzwyczaj pomocny - rzekł Nicklin. - Wydaje mi się, że skoro zacząłeś tę...

- Panowie! - przerwała im Megan Fleischer. - Pozwólcie mi podjąć za was tę decyzję: musimy zawracać.

- Przynajmniej nie ma tutaj żadnych dwuznaczności - stwierdził lodowato Hepworth. - Czy byłaby pani tak miła i powiedziała nam, w jaki sposób doszła pani do tak jednoznacznego wniosku?

- Będę tak miła. - Fleischer uśmiechem zademonstrowała, do jakiego stopnia nie lubi fizyka. - Ten statek nie nadaje się do podróży międzygwiazdnych.

- Co? - Hepworth zrobił się natychmiast wojowniczy. - Kobieto, o czym ty mówisz?

- Mężczyzno, mówię o napędzie. Tracimy lewe pole zgarniające.

- Bzdura!

Hepworth pochylony nad konsolą sterowniczą, wpatrywał się w schemat rozkładu pola. Nicklin też tam spojrzął i zobaczył, że świetlny motyl stał się zauważalnie asymetryczny. Lewe skrzydło cały czas zmieniało kształt i - w ciągu zaledwie kilku sekund - skurczyło się do

skręconej kreski, po czym zamrugało i znikło. Nicklin obserwował to z zimnym dreszczem fascynacji i nagle poczuł mdlący przypływ w żołądku, co wskazywało, że przyśpieszenie statku zostało zmniejszone. Zapanowała dzwoniąca w uszach cisza, przzerwana w końcu przez Fleischer.

- Jako dowódca tego statku - ogłosiła czystym, precyzyjnym tonem
- postanowiłam przerwać ten lot.

- Głupia dziwko! - krzyknął Hepworth.

Odwrócił się i pobiegł ku drabinie. Dzielącą odległość przebył w dwóch skokach, groteskowych z powodu niskiej grawitacji. Zniknął w otworze przejścia. Upłynęło kilka sekund, zanim doszło do Nicklina, że Hepworth idzie do cylindrów napędowych. Ogarnęło go poczucie nierzeczywistości. Wstał i popatrzył na innych, jakby oczekując jakiejś wskazówki, co ma teraz zrobić. Fleischer i Voorsanger przyglądali się mu bez wyrazu. Montane nadal obdarzał sufit zaślinionym uśmiechem.

Nicklin pogalopował obok nich i skoczył na drabinę. Zaczął schodzić w sposób, w jaki normalnie pokonywało się krótkie odległości. Potem zdał sobie sprawę, że najszybszą metodą poruszania się w warunkach małej grawitacji, jest kontrolowany spadek. Palcami objął luźno boki drabiny, zdjął stopy ze szczebli i pozwolił sobie na opadanie.

Spadał łagodnie, z łatwością sterując przy pomocy siły uchwytu palców. Znacznie poniżej słyszał, jak Hepworth wrzeszczy na ludzi korzystających z drabiny, by usunęli się z drogi. Na prawie wszystkich pokładach, mijanych przez Nicklina, gromadziły się dzieci, bijąc mu brawo za nietypowy sposób schodzenia. Niektórzy dorośli patrzyli na niego z mniejszym entuzjazmem i Nicklin wiedział, że odczuwają

niepokój charakterystyczny dla pasażerów, obserwujących jakieś zakłócenia w codziennym życiu statku. Z pewnością poczuliby się znacznie gorzej, gdyby powiedziano im, o co chodzi. Przyszłość ekspresu do Nowego Edenu została zagrożona z zewnątrz i od wewnątrz.

Dognał Hepwortha na Pokładzie 14, pierwszym, na którym znajdowało się wejście do cylindrów silnikowych. Hepworth wstukał już do zamka kod dostępu i ciągnął opancerzone drzwi, otwierając je.

- Czego tu chcesz? - zapytał Nicklina, ukazując mu twarz z wrogim grymasem.

„Co się z nami dzieje?” - pomyślał Nicklin.

- Scott, jestem po twojej stronie. Nie tylko ty harowałeś tutaj. Pamiętasz?

Czoło Hepwortha od razu wygładziło się.

- Mamy tam w dole mały problem, Jim. Ta baba, Fleischer, byłaby po prostu zachwycona, gdyby wysiadł cały zespół napędowy, ale to się nie zdarzy! Wiem dokładnie, co działa źle - i wiem dokładnie jak to naprawić.

- To dobrze - rzekł Nicklin, z udręką wspominając poprzednie zapewnienia Hepwortha, że zbyt małe przyśpieszenie jest skutkiem niekorzystnych warunków na zewnątrz statku.

- To mechanizmy sterujące dyszą wypływową - rzekł Hepworth, przekraczając wysoki próg drzwi i wchodząc w mdło oświetlone wnętrze cylindrów silnikowych. - Nigdy dobrze nie funkcjonowały! Mówiłem to Coreyowi od początku. Wykonawcy, którzy je remontowali, to banda nieuków, ale on nie chciał dołożyć trochę pieniędzy i zapłacić za porządną robotę. Nie byłby Coreym! A teraz, kiedy stało się to, co musiało, ta dziwka na górze chce obciążyć winą mnie!

Mówiąc to, Hepworth szedł ku lewej komorze wylotowej. Nicklin podążał tuż za nim, starając się zrozumieć to, co usłyszał. Niewiele miał do czynienia z dyszami i związanymi z nimi mechanizmami, gdyż to należało do zazdrośnie strzeżonej domeny Hepwortha. Istniał też inny powód: same dysze były blokami z ferro-molibdenu i miały masę około 600 ton każda, a mimo to musiały szybko zmieniać położenie we wszystkich kierunkach w przestrzeni, naprowadzając strumień magnetyczny pól zgarniających *Tary*.

Ramy podpierające, przekładnie i siłowniki rezonansowe należały do inżynierii wielkich mocy. Nicklin nie miał do tego odpowiednich kwalifikacji. Przez całe życie pracował sam i nie interesował się rzeczami, których nie zdołałby podnieść bez niczyjej pomocy. Wiedzę na ten temat miał ograniczoną, ale kiedy posuwał się za Hepworthem przez obce człowiekowi środowisko cylindrów napędowych, znów ogarnęły go wątpliwości, czy fizyk ma wystarczające kwalifikacje i doświadczenie zawodowe.

To, co zobaczył na konsoli sterowniczej statku, wyglądało według niego jak bezpośredni zanik lewego pola zgarniającego. Zaryzykowałby hipotezę, że powstało się uszkodzenie w pompach przepływowych, jedno z kilkunastu uszkodzeń, jakie często się przytrafiały tym złożonym mechanizmom. Ale był odsunięty, skazany na rolę widza, gdyż nie zrobił jakichś cholernych kursów. Czy rzeczywiście pole mogło oklapnąć w taki sposób, że znawca natychmiast rozpoznał, że to zawiodły mechanizmy dyszy?

Hepworth dotarł do masywnej obudowy komory generatora pola i ciężko dysząc zaczął wstukiwac do zamka kod dostępu.

- Scott, co robisz? - Nicklin złapał Hepwortha za ramię. - Nie możesz tak po prostu tam wejść!

Hepworth z gniewem uwolnił rękę.

- Wiem, co robię. Cały system automatycznie się wyłącza.

- Ale nie wiesz, jaki jest resztowy poziom aktywności silnika! Tam może być... To znaczy...

Nicklin gorączkowo szukał właściwych słów ostrzeżenia, które przebiłoby skorupę irracjonalnej wściekłości Hepwortha. Wiedział sporo o magnetycznych silnikach impulsowych. W małej skali widział zniszczenia, jakie mogą siać, jeśli nagle przestaną działać normalnie. Po poważnym uszkodzeniu przez całe pięć minut mogą emitować impulsy energii żyromagnetycznej, która przepływając przez otoczenie jak poltergeist, mogła wypełniać metalowe przedmioty i obdarzać je samodzielnym pseudożyciem. Widywał kable, wijące się jak węże, i narzędzia, zeskakujące z warsztatów tak gwałtownie, że rozbiły okna. A przecież energia kinetyczna pochodziła wówczas z uszkodzonych silników nie większych niż jego pięść - a silniki w kpmorze generatora pola miały wielkość beczek piwa.

- Silniki są w porządku - warknął Hepworth. - Kłopot sprawiają pręty sterujące dyszą, a ja wiem dokładnie które.

- Ale przynajmniej spojrzysz na monitory i... - Nicklin wskazał na panel obok drzwi i głos mu zamarł, kiedy zobaczył, że wszystkie tarcze i wskaźniki są martwe.

- Ktoś założył tu niewłaściwe bezpieczniki - rzekł Hepworth wyzywającym tonem. - Te rupiecie i tak nie miały żadnego znaczenia.

- Ale przecież powiedziałaś Coreyowi... powiedziałaś nam wszystkim, że prace należące do ciebie zostały ukończone całe tygodnie temu! Czy może coś jeszcze jest tu według ciebie „bez znaczenia”?

- Wszystkie podstawowe systemy funkcjonują.

Nicklin spojrział w twarz fizykowi i znalazł tam coś, co go przeraziło.

- Fleischer miała rację, kiedy mówiła o tobie, prawda? Nie dorosłeś do tej roboty.

Cios wymierzony przez Hepwortha był wolny i niezręczny, ale gdy Nicklin usiłował zrobić unik, jego stopy, nie mając przy tej grawitacji dostatecznie mocnego punktu oparcia, zaczęły się ślizgać. Kiedy się przewracał, pięść Hepwortha trafiła go dokładnie w żołądek. Wylądował na plecach i podjechał do stojaka z narzędziami. W szoku, bardziej psychicznym niż fizycznym, chwycił za stojak i podciągnął się do pozycji wyprostowanej, lecz Hepworth zniknął mu właśnie z pola widzenia, kryjąc się w komorze dyszy.

- Scott, przepraszam - zawołał - Nie idź tam, proszę...

Jego *krzyk*, zagłuszyła seria gwałtownych odgłosów z wnętrza komory. Metal uderzał o metal z wściekłością, która raniła uszy Nicklina i otepiała mu mózg. Hałas trwał może dziesięć sekund i na jego tle dobiegł Nicklina inny rodzaj dźwięków. Były łagodniejsze, mniej ostre od innych i zawierały kilka składowych - miażdżenie, zgniatanie, wzdychanie. Mechaniczna wrzawa osiągnęła swój przeraźliwy punkt szczytowy i nagle ucichła. Zapanował spokój, który aż dzwonił w uszach, i Nicklin słyszał, jak pojedyncze kawałki metalu podskakują, spadają na miejsce, drgają - a potem zapadła kompletna cisza.

Pozostał na miejscu, skamieniały, wpatrzony w ściankę, która zasłaniała mu widok dalszych części komory generatora. Wiedział, że za tym ekranem spuszczone ze smyczy demony żyromagnetyzmu i on nie pójdzie do ich jaskini, póki nie będzie to bezpieczne. „Pięć minut” - pomyślał. - „Dam sobie jeszcze pięć minut - na wszelki wypadek...”

Zaczął mierzyć czas na swym zegarku.

„Nie zrozum mnie źle. Nie twierdzę, że stary Scott jest martwy. Co to, to nie! Zupełnie nie wydaje odgłosów - ręczę za to - ale nie znaczy to, że został zlikwidowany, ani ociupinkę. Na pewno kuli się w szafce i rozmyśla co, do cholery się stało. Może narobił w te swoje okropne workowate spodnie i zbyt się wstydzi, by wyjść. Ależ to by była cholerna heca! ”

Przeszły prawie dwie minuty, kiedy zza ekranu rozległo się pojedyncze, głośne „kling”.

- Scott - wyszeptał Nicklin. - Czy to ty, Scott?

Jakby odpowiadając na to pytanie, klucze i śrubokręty w jego kieszeni nabrały życia, kręcąc się i wijąc jak schwywane zwierzęta. Zadrżał i jęknął, kiedy stojak,

O który się opierał, zatrzęsł się i zamienił w rozstrojone dzwony koncertowe, na którym każde narzędzie wygrywało swoją własną melodię. Ale to ożywienie wkrótce minęło. Nicklin przestał się bać, kiedy zrozumiał, że to żyromagnetyczne demony w bólach agonalnych zrodziły i posłały w świat hordeę psotnych kinetycznych duszków.

„Następny piękny cios, Gazowy Kręgowcze! Zdołałeś mnie nabrać przez chwilę. Ale istnieje jeden maleński szczegół: czy znaczy to, że Scott jest naprawdę martwy? Wymartępiiony? Odeżywiony? Zakaputowany? ”

Po dwóch minutach Nicklin usłyszał słaby dźwięk z prawej strony. Spojrzał w tamtym kierunku i zobaczył młodego człowieka w mundurze strażnika portowego. Był to ten sam młody człowiek - widocznie niespokojny i dociekliwy typ - który wcześniej wtargnął do sterowni. Patrzył uważnie przez dłuższą chwilę w twarz Nicklina, a potem bez słowa przyłożył pionowo palec do ust i wycofał się z pola widzenia.

Kiedy upłynęło pięć minut, Nicklin zbliżył się powoli do komory generatora. Przez wąską szparę między wręgą a ekranem przysłaniającym widział część surrealistycznego świata szarych mas metalu, szarych szafek, skrzyconych prętów sterujących, wszystko to poznaczone tu i ówdzie smugami i plamami czerwieni.

Kiedy podszedł do brzegu ekranu i spojrzął za niego, zauważył przede wszystkim leżącą prawie u jego stóp głowę Hepwortha. Została odrąbana, bardzo nierówno odrąbana, a twarzą zwrócona była do Nicklina.

Nicklin czuł, jak jego twarz staje się równie wykrzywioną maską pośmiertną, a jego myśli natychmiast powędrowały do bezpiecznego wszechświata absurdu i rzeczy nieistotnych. „Popatrz na wągi z boku nosa. Tylko spojrzysz na tę cholere! Może powinienem go wycisnąć, zanim kto inny znajdzie tu Scotta... Wykonać tę ostatnią przysługę... ten gest szacunku...”

Część mózgu Nicklina, wciąż posługująca się logiką, podsunęła mu myśl, że gdzieś obok powinno leżeć ciało. Na granicy swego pola widzenia miał coś, co mogło być zakwalifikowane jako ciało, ale on nie był zdolny do bezpośredniego patrzenia na ten obiekt. Pojękując przy każdym wydechu wycofał się z komory i poszedł do najbliższego komunikatora. Wypowiedział numer pilotki i jej twarz natychmiast pojawiła się na ekranie.

- Mówi Jim Nicklin - rzekł.
- Widzę to - odpowiedziała sucho Fleischer. - Co takiego?
- Czy doktor Harding jest tam na górze?
- Tak, opiekuje się Coreym. A co?
- Scott nie żyje. Ktoś musi... go pozbierać... a ja nie mogę tego zrobić. - Nicklin wykonał głęboki, uspokajający oddech. - Poproś doktora

Hardinga, czy może zejść natychmiast na Pokład 14. Powiedz mu, że niezbędne są jego usługi profesjonalne.

W momentach kryzysu - jak Nicklin wkrótce się przekonał - drobne, znajome przyjemności stają się nadzwyczaj istotne. Z powodu wprowadzonej przez Montane'a prohibicji, wśród zapasów artykułów medycznych na statku nie było spożywczego alkoholu, ale okazało się, że Jon Harding miał w swym osobistym wyposażeniu butelkę brandy. Harding nie był oficjalnym lekarzem *Tary* - był pielgrzymem. Zapłacił za lot, a towarzyszyły mu żona i dwoje dzieci. Gdy przypadkowo okazało się, że jest internistą, zastąpił oficjalnego lekarza, który odpadł z konkurencji podczas tamtego nagłego startu z Beachhead. Harding przepisał Nicklinowi, jako remedium na stan szoku, sporą dawkę brandy. Lekarstwo zostało natychmiast wydane i Nicklin prawie załkał z wdzięczności, gdy wręczono mu wypełnioną szczerze bańkę. Teraz cenił ją sobie bardziej niż złotego orba.

Nastąpiła „noc” i chociaż opadła wrzawa poprzednich godzin i nastąpiła cisza, nie zapanował całkowity spokój. Zbyt wiele wydarzyło się w zbyt krótkim czasie. Pasażerowie byli zaniepokojeni i oszołomieni wiadomościami o transformacji Orbitsville - widzieli ją wszyscy, którzy obstąpili monitory telewizyjne na kilku pokładach. I niemal bezpośrednio potem nastąpiły kolejno: zanik przyśpieszenia, sensacyjna śmierć Hepwortha i ogłoszenie, że *Tara* wraca.

Przez ogólną sieć komunikacyjną Voorsanger i Fle-ischer oświadczyli, że statek zawraca, by zbadać z bliska obłok planetarny. Ich słowa były raczej oględną dyplomacją niż bezpośrednim kłamstwem. Podkreślili, że powrót jest drobnym wydarzeniem i trzeba go rozpatrywać w kontekście podróży zaplanowanej na wiele miesięcy. Ale i tak w zbiorowej świadomości pasażerów obudziło to lęk i wiele wątpliwości.

Danea Farthing wraz z kilkoma dawnymi członkami misji, których w pełni poinformowano o sytuacji, spędzali wiele godzin, pocieszając zaniepokojonych rodziców - z umiarkowanym jedynie powodzeniem.

Nicklin wyczuwał lodowe tchnienie niepokoju, jaki panował na dolnych pokładach statku. Sam miał w sobie ten trudno rozpraszalny chłód. W przeszłości nigdy szczególnie nie lubił brandy, ale teraz, gdy siedział razem z Voorsangerem i Fleischer w sterowni, każdy łyk dostarczał mu nieopisanej, tęsknej przyjemności. Wyobrażał sobie jak poświęca resztę swego życia kultowi wody ognistej, jeśli okoliczności pozwolą kiedyś na powrót. Jednakże ta możliwość wydawała się jeszcze bardziej oddalona niż gwiazdy.

Harding dokonał pracy heroicznej usuwając bez niczyjej pomocy szczątki Hepwortha z komory generatora. *Tara*, statek typu Explorer, mógł być obsługiwany w razie konieczności przez tylko jedną osobę. Jego projektanci usiłowali przewidzieć wszelkie niekorzystne sytuacje, na jakie mogłaby się natknąć szczupła załoga, ale nie wzięli pod uwagę, że czasami załoga może zostać jeszcze uszczuplona. Nie przewidziano odpowiedniej przechowalni dla trupów. To przeoczenie stwarzało problem, ale Harding rozwiązał go. Owinął ciało Hepwortha bandażami, zamknął w plastikowym worku i przeniósł je do wolnego kąta w zamrażarce statku. Nicklin mógł więc wejść do komory generatora i sporządzić raport na temat szkód.

Wykrył, że zawiódł jeden z prętów przesuwających dyszę. Potwierdzało to diagnozę Hepwortha. Pęknięty pręt wyskoczył z uchwytów, przemieścił inne pręty i uszkodził dwa serwomechanizmy. Tego Hepworth nie przewidział i zapłacił za to życiem. Ale zasadnicza przyczyna awarii leżała głębiej.

Ciąg uszkodzeń zakończony katastrofą zaczął się od przepalenia cewek pompy przepływowej. Automatyczne wyłączniki zbyt wolno zadziałały - następna wada sprzętu - co spowodowało, że przez ułamek sekundy lewe pole zgarniające było bardzo zniekształcone. I wtedy system zaczął wymagać od siłowników dysz rzeczy niemożliwych.

Nicklin i skazany na zagładę Hepworth wchodzą z lewej strony sceny...

Nicklin poruszył się niespokojnie w swym fotelu, kiedy pomyślał, jak bardzo gangrena niekompetencji Hepwortha mogła zakazić zespół silnikowy w prawym cylindrze.

Statek był generalnie w niezłym stanie. Zaufanie budził reaktor termojądrowy, ponieważ był samonaprawialny i zaprojektowany do pracy przez stulecia. To samo dotyczyło napędu jonowego na krótkie dystanse. Nicklin miał również zaufanie do tych wszystkich rzeczy, za które osobiście odpowiadał. Tak więc konstrukcja statku nie zawiedzie i pasażerowie *Tary* mają zapewniony tlen z regeneracji, wentylację, światło, ciepło i wodę.

Wszystko to oznaczało, że jeśli statek nie znajdzie bezpiecznej przystani, będzie im dość wygodnie, nim umrą z głodu.

Życie pasażerów zależało od bezawaryjnego funkcjonowania wszystkich systemów w prawym cylindrze napędowym. Nicklin mógł sobie wyobrazić ducha Hepwortha, jak właśnie w tej chwili, tam na dole, przechwala się, pije, udziela bezwartościowych gwarancji, grozi pobiciem tym, którzy kwestionują jego kwalifikacje...

- Właśnie byłem w pokoju Coreya - rzekł Voorsanger. - Wciąż śpi i Jon mówi, że prawdopodobnie będzie spał jeszcze sześć czy siedem godzin. Myślę, że to błogosławieństwo dla nas wszystkich, prawda?

- To prawdopodobnie błogosławieństwo dla niego - odrzekła Fleischer zmęczonym głosem. - Nie rozumiem, jaką różnicę miałyby to stanowić dla całej reszty.

- Cóż... Być może słabiej będzie... oponować przeciwko naszemu powrotowi, jeśli przekona się, że już od dawna wracamy.

- A niech się sprzeciwia tak, jak mu się podoba - powiedziała stanowczo Fleischer. - Jestem dowódcą tego statku. To ja zdecydowałam, żeby wracać, i nic mojej decyzji nie zmieni.

„Brawo! ” - pomyślał Nicklin w pełni solidarny z pilotką. Megan stawała się coraz bardziej szorstka i rozdrażniona, a on doskonale ją rozumiał. Była zawodowcem, ale w pewnym momencie swego życia pozwoliła, by pokierowały nią motywy religijne i nie zauważyła, że przyłącza się do kompanii durniów. Teraz zrozumiała, że jej wiara w Coreya. Montanę będzie ją kosztowała bardzo dużo, być może nawet życie, i dlatego czuła wielką gorycz.

„Najprawdopodobniej Gazowy Kręgowiec zyska tutaj jeszcze jednego neofitę” - pomyślał Nicklin, rozlewając kilka kropel brandy na języku. - „Zobaczmy, jak to się odbywa”.

- Ostatecznie o wszystkim zdecyduje Pan - rzekł Voorsanger do pilotki z przyganą za jej brak pokory. -W każdym razie ja osobiście czuję się lepiej, wiedząc, że wracamy.

- Ja prawdopodobnie też będę się tak czuła, gdy rzeczywiście zaczniemy wracać.

- Ale przecież odwróciłaś statek już całe wieki temu! - Voorsanger wskazał na główny ekran, pokazujący słońce i jego fantastyczny planetarny korowód. - To przecież widok z przodu, prawda? Tak głosi napis tu pod spodem. Zero stopni! To znaczy, że kamera patrzy prosto w przód, prawda?

Nicklin uśmiechnął się do siebie i wciągnął małą porcję brandy, postępując oszczędnie z cennym zapasem. Voorsanger to niewątpliwie dobry fachowiec od bilansów finansowych, ale najwyraźniej niezbyt się znał na bilansie energetycznym *Tary*.

- Tak, odwróciłam statek - rzekła Fleischer z niejakim zniecierpliwieniem - ale w tamtym punkcie przyspieszaliśmy już od około trzydziestu godzin i oddalaliśmy się od słońca z szybkością większą niż 320 kilometrów na sekundę. Obecnie statek ma dziób skierowany na słońce i myśli, że leci w tamtym kierunku, ale w rzeczywistości leci tyłem.

Próbujemy wytracić prędkość, ale mamy tylko połowę początkowej mocy. Stan zerowy osiągniemy dopiero po około sześćdziesięciu godzinach i przebędziemy jeszcze ponad pięćdziesiąt milionów kilometrów. Dopiero wtedy zaczniemy podróż do brzegu obłoku planetarnego, a droga „z powrotem” zajmie nam jeszcze więcej czasu niż droga „tam”.

- Rozumiem - rzekł ponuro Voorsanger. - Myślałem, że już wkrótce będziemy mogli rozpocząć poszukiwania... za parę dni...

Fleischer potrząsnęła głową.

- Minimum osiem dni. Jeśli założymy, że nic się nie zepsuje - a tutaj, to bardzo ryzykowne założenie.

- Myślę, że wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. -Voorsanger spojrział na Nicklina z potępieniem. - Ostrzegalem Coreya, żeby nie powierzał pijakom odpowiedzialnych stanowisk.

- Nie powinieneś mówić źle o zmarłych - wyrecytował Nicklin pobożnym tonem

- Kiedy mówiłem o pijakach, miałem na myśli ciebie, chociaż, muszę przyznać, twój przyjaciel był gorszy. Zawsze, kiedy go spotyka-

łem, jechało od niego alkoholem - nic dziwnego, że nie nadawał się do poważnej pracy.

- Wódka nie miała z tym nic wspólnego - odparował Nicklin. - Scott mógł strzelać jeszcze większe byki, kiedy był absolutnie trzeźwy. Miał do tego naturalny dryg.

„Śliczne epitafium” - dodał w myślach, zastanawiając się, kiedy dopadnie go żal po śmierci Hepwortha. Spędzili razem tak wiele męskich wieczorów, w deszczowe noce zaszyli w dziwnych zakamarkach wypatroszonego statku, że Nicklin będzie musiał kiedyś odczuć smutek. A tymczasem ból trzymał się od niego gdzieś z daleka i narastał jak odsetki od kapitału. Wkrótce Nicklin będzie bólowym milionerem.

- Wciąż te żarty - zauważył Voorsanger. - Ale nie zmieniają one faktu, że Hepworth naraził życie setki mężczyzn, kobiet i dzieci.

- Scott był dobrym człowiekiem - odparł Nicklin, sprowokowany do tego stwierdzenia, choć wiedział, że zupełnie nie pasuje ono do sytuacji i zdaniem większości ludzi nie da się go obronić.

- Scott był męskim, szowinistycznym dinozaurem - wtrąciła Megan Fleischer głosem tak rzeczowym, że Nicklin, nawet zmęczony i lekko pijany, zorientował się, że pilotka chce powiedzieć coś ważnego.

- Ale jedno muszę przyznać - ciągnęła, przebiegając palcami klawiaturę komputera. - Miał całkowitą słuszność, jeśli chodzi o znikanie tych planet: obłok planetarny zaczął się przerzedzać.

-No proszę! - Nicklin miał właśnie rzucić uwagę na temat siły wyobraźni Hepwortha, kiedy mimowolnie nowa myśl przemknęła mu przez mózg. - Jeżeli Scott miał rację, obłok zniknie całkowicie.

- Niewykluczone. Może nawet prawdopodobne.

- Czy jesteś w stanie określić, jak wiele czasu to zajmie?

- Nie bardzo - rzekła Fleischer kompetentnym tonem profesjonalisty. - Nie wiem, na ile reprezentatywna jest moja próbka i mam wrażenie, że komputer może być trochę zmylony przez punkty, chowające się za innymi punktami, i podaje mniejsze ich liczby niż w rzeczywistości. Aby podać jakieś oceny, muszę to wszystko trochę dopracować.

- Sformułujmy to tak - rzekł Nicklin, zastanawiając się, czy pilotka umyślnie go dręczy. - Czy zabierze to więcej niż osiem dni?

- Komputer mówi o trzydziestu do czterdziestu, więc powinniśmy zdążyć. - Pod koroną wspaniałych włosów, z twarzy Fleischer nie dało się nic odczytać. - Chociaż nie mam pojęcia, ile wynosi margines błędu. I oczywiście zakładam, że planety znikają ze stałą szybkością.

„Cholernie ci dziękuję za ten ostatni szczegół” - pomyślał Nicklin, kierując wzrok na główny ekran. Koronkowa kula obłoku planetarnego, którego piękno zapierało dech, dostarczyła mu jeszcze jednego źródła fascynacji. Podniósł do ust pojemnik z wódką. Postanowił, że nie ma sensu jej oszczędzać i zaczął wtryskiwać do gardła ciepły trunk, aż gruszka stała się pusta.

Nowy element niepewności wyniknął w tej sytuacji i tak już niebezpiecznej i skomplikowanej. Nicklin wlepił wzrok w obłok planetarny. Patrzył z niezwykłym wyężeniem, chcąc zobaczyć przy pracy Dobrą Wrózkę, wysyłającą w nieznane planetę po planecie.

Zapomniał o śnie, jednak wkrótce poczuł zmęczenie - zbyt trudne zadanie sobie narzucił. W ciepłej i cichej sterowni można było zapomnieć, że człowiek jest w bańce powietrza, która, niepewnie sterowana, pędzi przez próżnię międzygwiazdną. Fotel Nicklina okazał się nadzwyczaj wygodny, brandy podziałało dobroczynnie. To wszystko mogło się dziać w innym miejscu i o innym czasie. Mogłoby to być

Orangefield, senne i niezmiennie bezpieczne, zakonserwowane w bursztynie odległych letnich popołudni...

Obudził go przestraszony krzyk Megan Fleischer.

Nicklin, poderwany na równe nogi, oczekiwał, że ujrzy, jedynie łąty i nici, pozostałe z gazy obłoku planetarnego, ale widok na głównym ekranie był taki jak przedtem. Z lewej strony Voorsanger budził się z trudem, a Fleischer przecierała oczy, wlepiając wzrok w pulsujące landrynki na konsoli.

- W szalupie ktoś jest! - Przyłożyła rękę do czoła; nie była już nie-wruszonym dowódcą. - Ona rusza! Rusza!

Nicklin okręcił się na fotelu, wstał, i korzystając z małej grawitacji skoczył ku drabinie. Jechał w dół z pełną szybkością, ale zanim dotarł do Pokładu 2 zobaczył, że płyta podłogowa została wsunięta na miejsce, zagradzając dostęp do pokładu poniżej. Opadł na kolana. Trzymając kurczowo jedną ręką drabiny, drugą ciągnął za płytę. Płyta nie miała zamków, ale drgnęła tylko centymetr czy dwa i zacięła się. Nicklin od razu zrozumiał, że jest spod spodu przymocowana.

- Nibs! - krzyknął. - Jesteś tam, Nibs? Co tam, do diabła, robisz?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, drabinę i pokład przebiegło zwielokrotnione drżenie.

- Szalupa właśnie poszła. - Twarz Fleischer pojawiła się nad nim w luku sterowni. - Nie mogłam nic zrobić.

Nicklin zabębnił po płycie podłogowej.

- Nibs, jeśli nie usuniesz tej płyty, zejdem tam i cie zabije. - Natychmiast dotarła do niego sprzeczność logiczna zawarta w tej groźbie, postanowił więc zmienić taktykę. - Pan Voorsanger chce tam zejść. To ważna sprawa, Nibs.

W chwilę później na dole zaczął się jakiś ruch. Nic-klin zdołał już odsunąć na bok płytę i zobaczył, jak Affieck stoi w otwartych drzwiach kabiny Montane'a. Płyta przeciwpożarowa Pokładu 3 również została zaciągnięta i przenocowana, co odcięło ten poziom od niższych rejonów statku. Kanciasta trumna Milly Montane wystawała nieco z framugi. Brakowało wieka.

„O, Boże, nie!” - myślał Nicklin. Zaczął schodzić na Pokład 3, a Fleischer i Voorsanger podążyli za nim. Nicklin zatrzymał się i zajrzał do trumny. Była pusta, tak jak przewidywał. Wyściółka z białej satyny miała wgniecenie o kształtach człowieka, okolone plamami tworzącymi jakby mapę konturową, na której barwy zmieniały się od bladej żółci do czerni. W powietrzu wisiała słodka, mdła i lekko korzenna woń - zapach zgnilizny.

- Co się tutaj dzieje? - zapytała Megan Fleischer, pchając się z tyłu na Nicklina.

Odstąpił na bok i odsłonił jej trumnę. Spojrzała na nią, odwróciła się z kamienną twarzą, utorowała sobie drogę między Nicklinem i Voorsangerem i dopadła drabiny. Przywarła do szczebli i zaczęły nią wstrząsać ostre, suche torsje, regularne i bolesne, rytmiczne jak oddech.

„Nie wiedziała o dodatkowym pasażerze” - doszedł do wniosku Nicklin. - „Oto wesoły statek *Bombonierka*, witaj, kapitanie”.

- Żaden z was w ogóle nic nie wie, jak to było z Coreym i ze mną - powiedział wyzywająco Affleck. Jego czerwony nos ostro odcinał się od nienaturalnie bladej twarzy. - Musiałem zrobić, co mi kazał. Jestem winien Coreyowi życie.

- Już nie - odpowiedział Nicklin. W ciągu ostatniej minuty tyle się działo, że był jak otumaniony, a do tego jeszcze ta nieprzyzwoicie zio-

nąca trumna. Zdołał jednak pojąć, że żaden z nieszczęśliwych przypadków, jakie dotychczas spotkały pielgrzymów do Nowego Edenu, nie może się równać z tym ostatnim ponurym wydarzeniem.

Bez szalupy, mogącej przewieźć ich bezpiecznie na planetę, ponad setka mężczyzn, kobiet i dzieci na pokładzie „Tary” była skazana na pobyt w Kosmosie przez resztę życia.

- Moim zdaniem - rzekł do Afflecka tonem automatu - Corey i ty możecie uważać, że jesteście rozliczeni.

ROZDZIAŁ 20

Montane wiedział, że przez kilka sekund po odłączeniu szalupy będzie musiał działać szybko.

Widział nad sobą cylinder pasażerski *Tary*, którego miedziane krzywizny błyszczały w słońcu Orbitsville. Macierzysty statek hamował, co oznaczało - dzięki arytmetyce szybkości względnych - że próbował przegonić szalupę. Istniało realne niebezpieczeństwo, że mały statek zderzy się z przednim końcem ogromnych cylindrów silnikowych, a potem pokoziołkuje wzdłuż statku i w efekcie zostanie pochłonięty przez niewidzialny lecz morderczy ogień wylotowy.

Upłynęło wiele lat od czasu, gdy Montane pilotował cokolwiek, jednak zachował instynkt pilota. Przerzucił dźwignię dyszy w pozycję Pełna Moc i jednocześnie pchnął w przód jedyny drążek sterowniczy.

Czoło cylindra pasażerskiego natychmiast przesunęło się do tyłu i znikło, a jednocześnie widok z przodu zmienił się radykalnie. Słońce popłynęło ku górze i opuściło pole widzenia. Otaczający je ogromny

obłok pseudoplanet naśladował słoneczne ruchy. Przez jedną zawrotną chwilę kurtyna z drogich kamieni płynęła pionowo, a potem i ona znikła, a przednią szybę sterówki wypełniła czern Kosmosu.

Montane ustawił drążek sterowniczy znów w pozycji neutralnej, co zapobiegło ruchowi szalupy po kolistej trajektorii, która wprowadziłaby ją w strumień gazów wylotowych *Tary*. Gwiazdne pola przed nim posłusznie ustawiły się na swoich miejscach, stabilne i ciche. Montane wiedział, że jeszcze raz ucieka od morderczej sieci, którą Szatan rozpiął dokoła słońca.

Bóg, w swej nieskończonej łasce, rozpostarł przed nim wszechświat ze wszystkimi jego bogactwami i każdy ze świecących punktów widocznych z tego pędzącego pojazdu zawierał obietnicę przyszłych nieograniczonych możliwości.

Montane zaczął się śmiać, a kiedy tak się śmiał, koszmarne lata zniknęły z jego pamięci. Był młodzieńcem - co mogło sprawić, że myślał inaczej? - a optymizm i energia młodości napłynęły do wszystkich części jego ciała.

A Pan wyznaczył go do najbardziej zaszczytnego i satysfakcjonującego zadania, jakie można było sobie wyobrazić.

- Nie zawsze będzie nam łatwo - powiedział do swej młodej żony.
- Możemy napotkać ogromne trudności, kiedy dotrzemy do Nowego Edenu, ale będziemy je przezwyciężać tak długo, jak długo zachowamy wiarę w Niego i jak długo zachowamy naszą wzajemną miłość.

- Wiem o tym, kochanie - odrzekła z lewego siedzenia sterówki Milly, obdarzając go uśmiechem.

Suknia ślubna z perłowego jedwabiu podkreślała szczupłość i doskonałą kobiecość jej ciała, ale on wiedział, że Milly posiada również siłę wewnętrzną, która pomoże jej pokonać każdą przeciwność losu,

jaką przyniosą nadchodzące lata. Jej bliskość przepętniała go radością prawie nie do zniesienia.

- Chyba nigdy tak pięknie nie wyglądałaś - rzekł, dotykając przelotnie jej dłoni.

Nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się szerzej.

ROZDZIAŁ 21

Nieoczekiwanie łatwo Nicklin pogodził się z myślą, że oto skazano go na śmierć.

Nie czuł ani trwogi, ani gniewu, czuł jedynie jakąś smutną rezygnację, która mogła być wynikiem zbyt wielu doznanych wcześniej wrażeń. Z drugiej jednak strony, i to uznał za bardziej prawdopodobne wyjaśnienie obecnego braku emocji, w głębi serca od dawna żywił przekonanie, iż taka chwila jest nieunikniona. Toczyła się ona ku niemu, w dół po wąskiej alejce czasu, już od tamtego słonecznego popołudnia w Altamurze, kiedy po raz pierwszy zobaczył Scotta Hepwortha. Wciąż przyśpieszała, nabierając rozpędu przy każdym niespodziewanym, nowym wydarzeniu - zarówno wewnątrz statku jak i na zewnątrz w Kosmosie - a teraz jej pęd był nie do powstrzymania.

„Staję się fatalistą” - pomyślał Nicklin, stojąc na podeście Pokładu 3. - „I rzeczywiście, znalazłem sobie na to odpowiednią porę!”

- Mógł przy okazji usunąć tę rzecz z przejścia - rzekł, kładąc nogę na końcu trumny Milly Montane. Pchnął mocno, wsuwając trumnę do kabiny, a potem zamknął drzwi. - Mógł przynajmniej zadbać o porządek.

- Corey musiał zwariować - szepnął Voorsanger.
- Nikt ci nie zaprzeczy. Powiedziałbym nawet, że już bardzo dawno stracił kontakt z rzeczywistością.
- Ale dokąd on chce lecieć?
- Leci tam, dokąd lecimy wszyscy, ale dostanie się tam wcześniej - rzekł Nicklin. - W szalupie nie ma jedzenia ani picia. Tlenu jest również niewiele.
- Czy ktoś mógłby łaskawie... wyjaśnić mi, co się dzieje? - Fleischer mówiąc łykała powietrze i próbowała zapanować nad żołądkiem. Czoło pokrywały jej drobne krople potu.
- Żona Coreya umarła dawno temu, ale on nie chciał, żeby pochowano ją na Orbitsville. - Nicklin, który latami przyzwyczajał się do tej dziwacznej historii, nie mógł sobie wyobrazić, jak musi ona brzmieć dla Fleischer, która słyszała to po raz pierwszy w tak stresujących okolicznościach. - Ja... ach... sądzę, że nie mógł znieść myśli o zabraniu jej z powrotem do...
- Jesteś szalony - szepnęła pilotka. Oczy miała pełne niedowierzania. - Wszyscy jesteście szaleni!
- „Niech pani tak na mnie nie wytrzeszcza oczu” - pomyślał Nicklin, a potem uświadomił sobie, że nie ma podstaw, by się oburzać.
- Może masz rację - przyznał. - To by wiele wyjaśniało.
- Żebym tylko wiedziała wcześniej, w co się pakuję - rzekła Fleischer, wycierając czoło.
- Może Corey wróci - Voorsanger spojrzął po zgromadzonych, a w oczach miał jakby błaganie. - Dzieci...
- „Niepotrzebnie o tym wspomniałeś” - pomyślał Nicklin i powędrował myślami poza sferę własnych zmartwień i oczekiwań. Wśród pielgrzymów, którzy wierzyli, że Corey Montane zbawi ich śmiertelne

ciała i nieśmiertelne dusze, było wiele dzieci. Dorośli zrobili poważny błąd i zapłacą za to, ale dzieci - niewinne istoty, które w tej sprawie nie miały nic do powiedzenia - będą zmuszone zakończyć swe krótkie życia w oszołomionym cierpieniu.

„Powinno istnieć jakieś prawo” - myślał Nicklin. - „Ktoś powinien wydać zakaz takich rzeczy. Już dawno temu”.

Czuł narastający wewnętrzny ból, kiedy przypomniał sobie, że Zindee White jest również na pokładzie. Ona, wraz z rodzicami, zaufała innemu fałszywemu prorokowi, w wyniku czego...

Te samooskarżenia przerwał jakiś męski głos, dochodzący tutaj przez górny luk.

- Radio! - Przytulona do drabiny Megan Fleischer uchwyciła ją we właściwy sposób i szybko wspięła się, znikając z pola widzenia Nicklina.

- To Corey. Wiedziałem, że nas nie opuści - rzekł Voorsanger. W jego drżącym głosie pobrzmiwała ulga i przekonanie, że nie zawiódł się w swoich oczekiwaniach. - Chcę z nim porozmawiać.

Podszedł do drabiny i wciągnął się na górę, tuż za pilotką.

Nicklin wyminął Afflecka - oszołomionego i nieświadomego nowych wydarzeń - i poszedł za Voorsangerem do sterowni. Kiedy zszedł z drabiny, Fleischer siedziała w środkowym fotelu i manipulowała coś przy panelu komunikacyjnym. Głos z radia stał się bardziej doniosły i wyraźniejszy.

- Powtarzam, tu wieża kontrolna portu kosmicznego w Silver Plains, P202 - mówił głos. - Odbieramy w paśmie ogólnym waszą automatyczną stację przeszukującą. Czy mnie słyszycie? Jeśli odbieracie nasz sygnał, proszę, natychmiast odpowiedzcie. Powtarzam, tu wieża kontrolna w porcie kosmicznym w Silver Plains, P202.

- Tu W-602874. Odpowiadamy na wasze wezwanie - powiedziała Fleischer głosem lekko chropawym po poprzednich skurczach wymiotnych. - Czy mnie słyszycie?

Nastąpiła kilkusekundowa przerwa, a potem głos w radiu znowu się rozległ.

- Tu wieża kontrolna portu kosmicznego w Silver Plains. Odbieramy w paśmie ogólnym waszą automatyczną stację... - głos kontynuował, potarżając poprzednią wiadomość słowo po słowie.

- Nie słyszają cię - stwierdził nerwowo Voorsanger.

- Daj im trochę czasu - Fleischer rzuciła okiem na konsolę komunikacyjną. - Wywołują nas z odległości około trzydziestu pięciu milionów kilometrów. Nasz sygnał radiowy potrzebuje paru minut, by tam dotrzeć. I tyle samo musimy czekać na odpowiedź.

- Przynajmniej ktoś tam nas słyszy - rzekł Nicklin, próbując ocenić to nowe, doniosłe wydarzenie. - To oznacza, że Scott Hepworth miał rację. Jego Hipoteza o Dobrej Woli potwierdza się lepiej, niż oczekiwał.

- Może też wyniknąć z niej więcej dobrego, niż oczekiwał - Pilotka uśmiechnęła się do Nicklina po raz pierwszy od początku ich znajomości. - Jeśli wszystkie urządzenia starego portu jeszcze istnieją - a wywołanie radiowe to sugeruje - powinniśmy dostać inną szalupę. Może nawet kilka.

- To brzmi... dobrze. - Nicklin, odpowiadając niepewnym uśmiechem na uśmiech Megan, bał się zaakceptować ten bezcenny dar, który mu ofiarowała. - Powiedziałaś „kilka”?

- W Centrum Techniki Kosmicznej w Hilversum przy Portalu 16 są, o ile wiem cztery.

- Działające?

- Latałam w dwóch w zeszłym roku - rzekła Fleischer. - Kiedy rozszerzałam swą ogólną licencję o typ Eksplorera.

- I co...

- I nasz nowy plan polega na znalezieniu Hilversum, wśród tamtej masy - Fleischer gestem dziwnie przypominającym gest Hepwortha wskazała obraz obłoku planetarnego na głównym ekranie. - To powinno być łatwe, jak tylko wezmą się w garść i znowu zaczną nadać, tak jak zrobili to ludzie z Silver Plains. Potem wejdziemy na orbitę wokół świata Hilversum, oni przetransportują nas na ziemię, a co wydarzy się z nami potem, to już sprawa Pana.

- Możemy Go tylko błagać, by nas prowadził i ochraniał - wtrącił Voorsanger głosem ponownie pełnym religijnego zapału. - Teraz, kiedy Coreya nie ma już z nami, sądzę, że właśnie na mnie spada obowiązek organizowania wspólnych modłów za nasze zbawienie.

Nicklin już otworzył usta, by zwrócić uwagę na gwałtowną zmianę statusu Orbitsville - z szatańskich wyników na bezpieczną przystań - ale uznał, że byłby to tandetny sarkazm. Samo to słowo znaczyło pierwotnie szarpanie i pożeranie mięsa, a on nasycił się po gardło w czasie ostatnich trzech lat. A ponadto, gdy pojawiły się znaki i wydawało się, że nadchodzi koniec świata, sam biegł tak szybko, jak wszyscy inni.

- Sądzę, że musimy poczekać na wiarygodną informację, zanim cokolwiek powiesz tym na dole - zauważyła Fleischer po chwili.

- Oczywiście, ale czy stale będziemy mieli czterominutowe opóźnienie podczas rozmowy z kimś stamtąd?

- Nie. Kiedy w końcu znajdziemy się w punkcie, od którego zaczniemy wracać, opóźnienie zwiększy się do około siedmiu minut.

- Czy możesz zrobić coś jeszcze? - Voorsanger ostentacyjnie spojrział na zegarek. - Jak rozmiawiało się dawniej z Ziemią?

Fleischer potrząsnęła głową.

- Statek nie ma sprzętu tachjonowego.

- Co takiego? - Voorsanger zmarszczony spojrział na Nicklina z wyrzutem.

- To pan, jako ekspert finansowy, uznał, że ten sprzęt jest za drogi - wyjaśnił Nicklin. Zdumiało go, jak szybko Voorsanger, uwierzywszy, iż nie grozi mu już nieunikniona śmierć, przybrał znów pozę zirytowanego buchaltera dla którego każda zmarnowana sekunda równała się roztrwonionej fortunie. - Poza tym nie sądzono, by na *Tarze* potrzebny był taki sprzęt - według planu miała opuścić Orbitsville i nigdy nie wracać.

- Plan przewidywał również, że statek będzie zdolny do... - Voorsanger przerwał, gdyż w głośnikach radiowych rozległ się wstępny trzask.

- Tu Silver Plains - rozległ się ten sam męski głos. -Odbieramy was, W-602874. Czy możecie potwierdzić, że jesteście *Tarą*, statkiem klasy Eksplorator? Mamy w spisie, że jesteście zadokowani w P1 w celu remontu i przebudowy. Odbiór.

- Potwierdzam *Tarę* - odezwała się natychmiast Fleischer. - Wystartowaliśmy z P1 na chwilę przed... wydarzeniami. Jedna z naszych jednostek napędowych zepsuła się i obecnie hamujemy, przygotowując się do powrotu do dowolnego osiągalnego portu. Straciliśmy także naszą łódź pomocniczą. Powtarzam, straciliśmy łódź pomocniczą. Czy możecie zorganizować powrót około stu pasażerów z orbity parkingowej? Odbiór.

- To właśnie wielki znak zapytania - rzekł Nicklin, kiedy Fleischer znowu opadła na fotel. - Czy możemy oczekiwać, że Silver Plains będzie miało coś, co może nam pomóc?

- Możemy tylko jedynie wznosić modły i nie tracić nadziei. Nie wiemy nawet, co zaszło, kiedy zamknęły się portale, prawda? Jeżeli był to zwykły proces, jak zwięźenie źrenicy, można oczekiwać, że wszystkie statki, które były w zewnętrznych kołyskach dokujących, zostały odcięte od Orbitsville. Potem, kiedy Orbitsville podzieliła się i - jak to sformułowałeś? - krzywizny uległy odwróceniu, wszystkie te statki znalazły się wewnątrz nowych planet. Czy to właśnie miałeś na myśli?

- Nawet nie pomyślałem o tym aspekcie całej sprawy - odrzekł Nicklin. - Ciekaw jestem, czy wszyscy się zdołali z nich wydostać.

- Dla statków, które właśnie dokowały w kołyskach, było czasu dość. - Pilotka odzyskała swoje zawodowe opanowanie i mówiła teraz prawie niedbale. - Ale jakieś statki musiały przecież w tamtym czasie podróżować między portalami. Chciałabym wiedzieć, co się z nimi stało. Nawet jeśli jakimś cudem zostały wprowadzone na orbitę dokoła nowej planety, jak przetransportowano ludzi z pokładu na powierzchnię tej planety?

Statki powierzchnia - Kosmos są rzadkimi okazami, wiemy o tym bardzo dobrze, a te nadal dostępne, będą jedynie na tych planetach, które akurat miały porty kosmiczne. A takich, nawet w pasie równikowym, jest nie więcej niż jedna na sto.

W miarę jak Megan rozwijała swą myśl, głos jej stawał się nieobecny i cichł aż do granicy słyszalności.

- Zastanawia mnie, do jakiego stopnia Dobra Wróżka jest zdecydowana zachować życie ludzkie. To znaczy, jak starannie opracowuje szczegóły swoich planów?

„To drugi wielki znak zapytania” - pomyślał Nicklin, uświadamiając sobie, że nawet ten ograniczony optymizm, z jakim zaczął patrzeć na losy *Tary*, jest bezpodstawny i przedwczesny. Fleischer powiedział-

ła, że przy P16 były cztery szalupy, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że wszystkie cztery dokowały w zewnętrznych kołyskach, gdy portal się zamknął. Zatem możliwe, jak sugerowała pilotka, że zamknięte są one teraz wewnątrz tego nowiutkiego, zbudowanego na miarę człowieka, świata Hilversum.

I niczym echa często powtarzanego przez Montane'a ostrzeżenia, całość można by sprowadzić do tego, że wszystko przychodziło mieszkańcom Orbitsville zbyt łatwo. Wielka skorupa obracała się z szybkością taką, że portale w pasie równikowym miały prędkość dokładnie równą prędkości statku krążącego po orbicie wokół słońca. Dzięki temu załadunek i wyładunek przez portale był wyjątkowo łatwy. Również dlatego zwykłe statki handlowe nie musiały przewozić niczego, co byłoby odpowiednikiem łodzi ratunkowych na oceanicznych liniowcach.

„Łódź ratunkowa” - zadumał się Nicklin. - „Ratunkowa. Typ, który wymyślił tę nazwę, wiedział dokładnie co...”

Stracił wątek myśli, gdyż z głośników radiowych ozwał się wstępny trzask, znacznie wcześniej niż po czterech minutach, jak oczekiwano.

- Mówi wieża kontrolna kosmoportu w Hilversum, dawniej Portal 16 - odezwał się niepewnie męski głos. -

Odbieramy automatyczny sygnał przeszukiwawczy. Proszę podać swoje dane. Odbiór.

- Jest jeszcze bardziej przestraszony niż my. - Fleischer obdarzyła zebranych krzywym uśmiechem, co u Nicklina spowodowało przyływ ciepłych uczuć. - Ciekawa jestem, kogo on spodziewa się wywołać.

- Odpowiedz człowiekowi - rzekł niecierpliwie Voorsanger.

- Tu statek W-602874, odpowiadający na twoje wywołanie, Hilversum. Czy mnie słyszysz? Odbiór. - Fle-ischer spojrzała na konsolę komunikacyjną i znowu usadowiła się w fotelu. Właśnie to wywołanie miałam nadzieję usłyszeć. Wkrótce będziemy wiedzieć, na czym stoimy.

Voorsanger usiadł w fotelu obok pilotki.

- Ile czasu to zajmie?

- Hilversum jest od nas jeszcze dalej na równiku. Odległość tym razem wynosi prawie siedemdziesiąt pięć milionów kilometrów, tak więc sygnał tam i z powrotem idzie ponad osiem minut.

- To za długo - rzekł Voorsanger grobowym tonem. - Powinniśmy byli używać tachjonów.

- Osiem minut mogę poczekać. Każda odpowiedź, którą otrzymamy, zwiększa nasze szanse przeżycia -i mam nadzieję, że dostaniemy połączenie ze stu portami w ciągu najbliższych stu godzin. Jeśli dwa z nich funkcjonują, nie ma powodu, żeby wszystkie, co do jednego, nie zaczęły nadawać.

Słuchając pilotki, Nicklin odczuwał coraz większy szacunek dla jej trzeźwego sposobu myślenia. Gdy on sam pozwalał sobie na wahania między rozpaczą i optymizmem, ona zachowała zimną krew, wykorzystując całe swe doświadczenie, talent i energię umysłową, by maksymalizować ich szanse przeżycia. Na równiku Orbitsville znajdowało się 207 portali, prawie przy wszystkich istniały kosmoporty. Razem tworzyło to ogromną rezerwę sprzętu i fachowców, których można wykorzystać do wydobycia *Tary* z opresji.

„Ogromne pułki są po naszej stronie” - myślał Nicklin. - „Jeśli tylko zdołałbym zapomnieć o...” - próbował odegnąć natrętną myśl, ale powracała natychmiast z wielką siłą. - „Gdybym tylko zdołał zapo-

mnieć o ograniczeniu czasowym. Obłok planetarny przerzedza się - dokładnie tak, jak przewidział to wągrowaty Scott. Nowe planety przenoszą się gdzieś - zgodnie z Hipotezą o Dobrej Woli - w jakieś dobre miejsca. I jeśli szybko nie siądziemy na którejs z nich, będzie nam tutaj bardzo samotnie... ”

Próbował nie myśleć o losie wszystkich ludzi z pokładu *Tary*, jeśli statek pozostanie na orbicie dokoła jałowego słońca. Jedzenia starczy na dwa lata, ale czy ktoś zdrowo myślący chciałby wałęsać się do samego końca w dryfującym grobowcu, w którym liczba umarłych zaczęłaby przewyższać liczbę żywych? I w którym wyszłoby z mody tabu zabraniające ludożerstwa? Lepiej już skierować statek na słońce znacznie wcześniej, nim nastąpią te niewyobrażalne, przejmujące zgrozą zdarzenia, ale nawet takie rozwiązanie oznaczałoby powolną i bolesną śmierć dla dzieciaków. Najlepszym rozwiązaniem wydawało się rozhermetyzowanie statku, po uprzednim wyłączeniu urządzeń zabezpieczających, co gwarantowałoby zminimalizowanie cierpień.

Nicklin, czując nagle, że się dusi, wciągnął głęboko powietrze do płuc i z wysiłkiem skierował myśli na inny tor. Z ulgą stwierdził, że Voorsanger pytał Fleischer o sposób wprowadzania statku na orbitę parkującą wokół planety i o transport pasażerów na powierzchnię. Temat dotyczył szans przeżycia i Nicklin całkowicie się na tym skupił. Przestał myśleć o upływających minutach, gdy nagle serce skoczyło mu w piersiach, bo głośniki znów wydały swój znany, wstępny trzask.

- Tu kontrola ruchu w Amsterdamie, poprzednio mieszcząca się przy P3 - rozległ się głos kobiety. - Odbieramy w paśmie ogólnym wasz automatyczny sygnał przeszukiwawczy. Proszę, podajcie swoje dane. Odbiór.

- Sprawy stoją coraz lepiej - stwierdziła spokojnie Fleischer.

Sięgała do konsoli komunikacyjnej, kiedy znów zadziały głośniki. Tym razem wezwanie nadeszło z Pekinu P205. Nicklin przyjemnie oszołomiony słuchał, jak Fleischer radzi sobie z dwoma nowymi połączeniami. Rodzina społeczeństw na równiku Orbitsville przeżyła podział i sięgała w Kosmos, by zebrać swoich synów, rozproszonych i zbłąkanych. Jedyną właściwą odpowiedzią było potwierdzenie, że trwają w nadziei - jakakolwiek inna byłaby zdradą ludzkiego ducha.

Gdy Fleischer skończyła posyłać komunikaty identyfikacyjne, po paru chwilach nadeszła druga odpowiedź z Hilversum.

- Tu Hilversum, odpowiada na twoje zapytanie, Tara - powiedział męski głos. - Mamy dwie szalupy Typu 11 w doku lądowym. Obie mają urządzenia cumownicze nadające się do statków typu Eksplorator i obie mogą być gotowe do użytku za cztery dni. Nie przewidujemy żadnych trudności z ewakuacją stu osób. O to możecie więc być zupełnie spokojni. Wydostaniemy was stamtąd, obiecujemy, ale zanim skończę tę transmisję mam dla was jeszcze jedną wiadomość.

Nastąpiła krótka przerwa, podczas której Nicklin Fleischer i Voor-sanger patrzyli na siebie pytająco, a potem rozległ się inny męski głos.

- Tara, mówi Cavan Gomery. Jestem szefem sekcji astronomicznej tu, w kontroli ruchu. Chciałbym potwierdzić wszystko, co powiedział mój kolega - musicie tylko wejść na orbitę, a my już zadbamy o resztę. Tymczasem chciałbym was prosić o pomoc w innym problemie.

Nie muszę was informować, że z Orbitsville zdarzyło się coś wielkiego, ale może nie wiecie o tym, że liczba powstałych planet wciąż maleje. Nie wiemy nawet, jak przystąpić do wyjaśniania tego zjawiska, ale potrzebujemy jak najwięcej danych, aby jakoś zacząć obrabiać ten problem - a wasze położenie z tego punktu widzenia jest wyjątkowe.

Czy możecie nam przesłać szerokokątny widok ogólny powstałej sfery? Potrzebujemy od was dobrego przekazu optycznego, trwającego najdłużej, jak się da. Chcemy otrzymać z komputera najlepszą ocenę szybkości znikania planet. Oczekuję na waszą odpowiedź. Odbiór.

Przez resztę „nocy” Nicklin patrzył i słuchał, jak Fleischer radziła sobie z wciąż wzrastającą liczbą parzeka-zów radiowych. Każdy nowy kontakt był dodatkowym dowodem hepworthowskiej Hipotezy o Dobrej Woli.

W końcu nadchodziły wezwania z kosmoportów, które przedstawiały się liczbami P w okolicach stu. Te wezwania nadchodzące z odległego krańca obłoku planetarnego miały czterdzieści minut opóźnienia - zmuszające do pokoiy przypomnienie o skali, w jakiej zbudowano Orbitsville. Kiedy elektroniczna wieża Babel zmusiła Fleischer do zastosowania procedur komputerowych porządkujących wezwania, Nicklin uświadomił sobie, że słyszy przecież tylko niewielki ułamek z liczby światów zapełniających ekran główny.

Komunikacja radiowa wewnątrz skorupy Orbitsville nigdy nie była możliwa. Dlatego tylko te planety, na których akurat znalazły się kosmoporty, uzyskały głos w tym nowym kongresie. Znacznie większa ich liczba miała w bibliotekach dostęp do odpowiednich opisów technicznych i Nicklin nie wątpił, że pośpiesznie budują one urządzenia, które im pozwolą na rozmowy z sąsiadami w gęsto upakowanym niebie. Nie wątpił również, że będą one poszukiwały jakiejś otuchy.

Wszystkie komunikaty odebrane przez *Tarę* miały jedną cechę wspólną. Przekazy radiowe, mimo lapidarnej formy i stosowanego żargonu, dawały złożony obraz cywilizacji, którą wyrwano z odwiecznego samozadowolenia. Nicklin tak był zajęty własnymi bolesnymi doświadczeniami, że w ogóle nie pomyślał o olbrzymiej większości

rasy ludzkiej, która w chwili, gdy nadeszła przemiana, zajmowała się swoim szarym codziennym życiem. Teraz dochodące przez radio głosy dostarczyły mu pewnych wyobrażeń, jak inni ludzie musieli przeżywać tamten największy koszmar senny.

Wzory na niebie Orbitsville ulegały zniekształceniu, występowały straszne fluktuacje grawitacji, gwałtowne zmiany dni i nocy, przechodzące w stroboskopową gorączkę. Wszystko to powodowało, że zamierała krew w żyłach, a rozsądek odmawiał posłuszeństwa.

A potem nadeszło... pstryk!

Dla niektórych przyszedł po nim nowy rodzaj dnia, w którego świetle widać było przeobrażone znajome krajobrazy i słońce, niesamowicie dalekie od swojego normalnego położenia w zenicie. Dla innych nadszedł nowy rodzaj nocy, w której błyszczące łuki niebios zostały zastąpione przez miliony niebieskich brylantów, układających się w dowolny wzór, jaki obserwator chciał dostrzec. A ci, którzy znaleźli się na najbardziej wysuniętych krańcach świata, po raz pierwszy doświadczyli takiej nocy, jaką znali ich przodkowie na Ziemi - bezpośredniego widoku upstrzonej gwiazdami czerni Kosmosu.

Ludzie na światach z kosmoportami odpowiadali na wezwania *Tary*, ale również komunikowali się między sobą, symbolicznie tułac się do siebie w obliczu nieznanego, poszukując odpowiedzi na pytania, które dzień wcześniej nawet nie mogły być sformułowane. Co się stało? Dlaczego? Co się zdarzy za chwilę? Czy nowe planety zmieniają tylko swoje położenie za sprawą jakiejś ponadwymiarowej magii, czy po prostu kończą one swoją egzystencję? Czy wszystkie w końcu znikną, czy proces rzednięcia obłoku zatrzyma się w końcu i zostawi garstkę nowych globów na stabilnych orbitach?

Dla ludzi na pokładzie *Tary* istniały pytania, wymagające szczególnie pilnej odpowiedzi: jak szybko rozprasza się obłok planetarny? Czy zniknięcia są rozmieszczone w obłoku równomiernie, czy też może da się wyróżnić jakieś strefy, dotychczas jeszcze nie rozpoznane? Czy znikanie odbywa się ze stałą prędkością, czy też może przyspiesza?

Krótko mówiąc - jakie były szanse, że statek dotrze do bezpiecznej przystani w Hilversum, zanim planeta odpłynie w niebyt?

Mimo wysiłków Nicklina, mimo że postanowił on patrzeć w przyszłość pozytywnie i z nadzieją, to właśnie pytanie zdominowało jego umysł.

*

Zamieszkał praktycznie w sterowni. Opuszczał ją bardzo rzadko i tylko na krótko.

W czasie drugiej nocy hamowania, gdy wszystkie dolne pokłady były ciche i oświetlone przyćmionym światłem, zszedł do kantyny napić się kawy i ze zdziwieniem zobaczył Daneę Farthing, siedzącą przy stole w pustym o tej porze pomieszczeniu. Wiedział, że pracowała usilnie przez cały dzień, przekazując wyjaśnienia Fleischer zmartwionym rodzinom. Próbowała wszczepić im coś niecoś ze stoickiego optymizmu pilotki.

Nicklin nie zazdrościł jej tego zajęcia. O ile się orientował, mówiono o tym niewiele, ale niektórzy pielgrzymi gorzko żałowali, że kiedykolwiek los zetknął ich z Coreyem Montane'em. Byli bliscy uzewnętrznienia swego gniewu i goryczy. Nicklin lękał się zwłaszcza konfronta-

cji z Whitehmi - gdyby nie wtargnął on w ich życie, przebywaliby obecnie w przytulnym i najprawdopodobniej bezpiecznym Beachhead.

Wchodząc do kantyny wziął z dystrybutora bańkę z gorącą kawą. W pierwszym odruchu chciał natychmiast cicho odejść, ale wiedział, że Danae obserwuje go z jakimś zagadkowym, smętnym napięciem. Już wcześniej zauważył u niej ten wyraz twarzy. Pełen złych przeczuć postanowił zaryzykować, że znowu zareaguje ona wrogo.

- Widzę, że jesteś sama - rzekł, zajmując krzesło w pobliżu. - Przypuszczam, że tęsknisz za Christine.

Wypowiedział te słowa, zanim mógł cokolwiek na to poradzić i natychmiast przeraził się swoim niestosownym zachowaniem. Zaczął od banału, a zakończył nietaktem.

- Myślę, że ty masz więcej powodów, by za nią tęsknić - odpowiedziała Danae łagodnie.

Nicklin opuścił oczy i utkwiał wzrok w gruszce z kawą, a na policzkach czuł rumieniec zakłopotania. Dlaczego nie wyszedł z kantyny, kiedy był na to czas? Gdyby wstał i odszedł w tej chwili, postąpiłby jak zupełny prostak, ale jeśli pozostanie, sytuacja stanie się coraz bardziej kłopotliwa.

- Co się dzieje na górze? - spytała Danae neutralnym tonem. - Zaszło coś nowego?

- Planety wytwarzają czapki polarne - rzekł Nicklin, wdzięczny za nowy temat rozmowy. - Wiesz, czapy ze szronu lub śniegu na biegunach południowym i północnym. Robią się przez to podobne do tych wszystkich starych wizerunków Ziemi.

- To ciekawe, ale nie o to mi chodziło.

- Wciąż nie wiemy, jak szybko znikają planety. Ale pracuje nad tym zagadnieniem kilka dobrych teleskopów i komputerów. - Nicklin pociągnął łyk kawy. - Myślę, że wkrótce się tego dowiemy.

- To dobrze. - Danea uśmiechnęła się do niego. Jej oczy o ciężkich powiekach spojrzały mu prosto w twarz. - Czy żałujesz, że wyjechałeś z Orangefield?

„Cóż to za pytanie?” - myślał Nicklin z zakłopotaniem. - „Takie pytanie może znaczyć cokolwiek!”

- Daneo, ja... - sięgał, by dotknąć jej ręki, kiedy od drabiny dobiegły jakieś dźwięki.

- Cieszę się, że jeszcze ktoś cierpi na bezsenność. - Czy mogę dołączyć się do towarzystwa?

Mówiący był jasnowłosym, brodatym mężczyzną w mundurze pracownika portu kosmicznego, tym samym mężczyzną, którego Nicklin spotykał już parę razy i który, jak się zdawało, spędzał większość czasu wędrując po statku. Nie czekając na odpowiedź wziął on z dystrybutora bańkę z napojem i usiadł obok Danei.

- Jim, czy znasz Pera Bosshardta? - zapytała Danea.

- Cześć, Jim! - Bosshardt uśmiechnął się szeroko. - Widujemy się ciągle przy rozmaitych okazjach.

Nicklin skinął głową.

- Tak jest.

- Wziąłem pięćdziesięciu dwóch kumpli, by ożywić zabawę - rzekł Bosshardt, wyjmując talię kart z kieszeni na piersiach. - Co myślicie o partyjce?

- Przykro mi - rzekł Nicklin, wstając. - Muszę iść z powrotem do sterowni.

- Wielka szkoda. - Bosshardt pożegnał go wesołym kiwnięciem ręki. - Do zobaczenia, Jim.

Wstępując na drabinę, Nicklin obejrzał się. Bosshardt rozdawał już karty, które z powodu niskiej grawitacji latały po całym stole. Dana śmiała się z zadowoleniem, łapiąc przedramionami kilka uciekających prostokątów.

- Czy żałujesz, że opuściłeś Orangefield? - powtórzył cicho do siebie Nicklin, kiedy wspinał się, mijając górne pokłady. - Co to w ogóle za pytanie?

Pod koniec nocy Nicklin doszedł do wniosku, że prawdopodobnie czułby się lepiej, gdyby spał na swojej koi, zamiast drzemać w fotelu obok Megan Fleischer. I tak już wiódł zbyt nienaturalną egzystencję, żeby jeszcze rezygnować ze snu, ale jakaś wewnętrzna siła trzymała go cały czas obok ekranu głównego. Obraz obłoku planetarnego, piękny w swej symetrii, był jego przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Sprawiał wrażenie, że jest spokojny i wieczny, ale to tylko na skutek ograniczonej ludzkiej percepcji. Przy obłoku pracowała Dobra Wróżka, decydująca o losach całych planetarnych populacji, z szybkością może stu populacji na sekundę i Nicklin czuł, że jeśli będzie dostatecznie intensywnie wpatrywał się w ekran, może odnajdzie oznaki jej działalności.

Miliardy istot ludzkich na tych nowo stworzonych i efemerycznych światach głęboko niepokoiły się o swoją przyszłość. Przerazała perspektywa, że jakaś magia wyrzuci ich z normalnego kontinuum - być może w ogóle przerwie ich istnienie; ale smutny komentarz do cierpień ludzi, znajdujących się na pokładzie *Tary*, stanowił fakt, że modlili się oni, by wziąć udział w tym ostatecznym rozwiązaniu. Skok

w nieznanym był czymś nieskończenie lepszym, niż to, co ewentualnie oczekiwało ich w czasie lotu ku Nowemu Edenowi.

Nicklin czuł rosnącą bezradność, gdyż mimo pozorów statek w gruncie rzeczy leciał do tyłu. Był wycelowany w obłok planetarny, jego jednostka napędowa pchała go w tym kierunku, jednak szybkość osiągnięta uprzednio była tak wielka, że - dwa dni po rozpoczęciu hamowania - *Tara* wciąż oddalała się od swego celu.

- Nie ma sensu wściekać się z tego powodu - powiedziała mu Fleischer. - Ja osobiście dziękuję Bogu za każdą godzinę funkcjonowania napędu.

„Jest to też jakiś sposób dodawania sobie otuchy” - myślał Nicklin, ze znużeniem. Ciekawiło go, czy zdoła rozpoznać moment, kiedy statek w końcu zatrzyma się i rozpocznie właściwy lot. Wciąż hamował, dlatego odczuwało się pewną wagę ciała, ale musiał nadejść moment przełomu, kiedy to statek - z definicji - będzie zupełnie nieruchomy. Jeżeli w ogóle nie będzie ani przyśpieszał, ani hamował, musi przestać generować siłę ciężenia, chociaż silnik nie zostanie wyłączony.

„Ale ten wniosek nie jest chyba słuszny. Muszę być zbyt zmęczony, by myśleć poprawnie. Trzeba po prostu powtórzyć to rozumowanie...”

Z wysiłkiem strząsnął sen, mając niepokojące wrażenie, że coś uległo zmianie w nastroju sterowni.

Zidentyfikowanie tej zmiany zajęło mu kilka sekund: spadł poziom szumów dochodzących z systemu komunikacyjnego. Jego niepokój wzrósł, kiedy uświadomił sobie, że dźwięki wymiany radiowej cichły już od pewnego czasu. Nawet po tym, jak Fleischer musiała skomputeryzować i uregulować strumień nadchodzących wezwań, głośniki wydawały niemal nieprzerwany ciąg sygnałów kodowych między właściwymi przekazami. Jednak teraz głośniki prawie milczały.

Nicklin usiadł prosto i spojrział na inne fotele. Voorsangera nie było, ale Fleischer zamarła w postawie całkowitego skupienia. Obserwowała obraz obłoku planetarnego. Serce Nicklina drgnęło, gdy zobaczył wyraz twarzy pilotki.

- Co się dzieje? - krzyknął. - Czy tam...

Uciszyła go unosząc rękę. Drugą ręką manipulowała przy konsoli komunikacyjnej.

- ... istnieje - mówił męski głos. - Mamy ją! Sfera rezydualna zmniejsza się od zewnątrz. Jest pięć pasów obierania - nazwijcie je, jak chcecie - dwa w półkuli północnej, dwa w południowej i jeden bardzo blisko równika. Wszystkie te pasy bardzo szybko rozszerzają się. Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Nie można przewidzieć, jak długo jeszcze ta rozgłośnia będzie...

W sterowni zapanowała zupełna cisza.

Nicklin zogniskował wzrok na obłoku planetarnym i teraz - kiedy dokładnie wiedział, czego szukać - znalazł dowody pracy Dobrej Wróżki. Wzdłuż równika trwało jakieś subtelne, mrugające poruszenie. Ale w gruncie rzeczy było to coś wręcz przeciwnego do mrugania. Były to zmiany nieruchomego obrazu, spowodowane przez postępujące znikanie drobnych źródeł światła.

Obłok planetarny w sposób widoczny był rozwijany... jak ogromny kłębek włóczki... rozwijany w nicość.

- Nie ma ich już - stwierdziła Fleischer głosem nieśmiałego dziecka. - Nie ma już kosmoportów.

- Nie potrzebujemy kosmoportów - krzyknął Nicklin, wyrzekając się logicznego rozumowania. - Możemy wejść na orbitę wokół jakiegokolwiek pieprzonej planety!

- Co nam to da, skoro nie będziemy mogli lądować?

- To będzie lepsze niż pozostanie... tutaj!
- Może masz rację - Fleischer skinęła głową, rozważając tę możliwość, a potem - co było niewiarygodne - jej twarz rozświetlił wyraz przewrotnego triumfu, kiedy znalazła sposób jej odrzucenia.
- Kłopot polega na tym, panie Nicklin, że nie możemy dotrzeć do żadnej - jak pan to ujął - pieprzonej planety. Sytuacja tam, w obłoku, zmieniła się na gorsze. Tempo znikania wzrosło, kiedy pan spał... i wciąż wzrasta... i za parę godzin nie będzie już tam żadnych planet - ani pieprzonych, ani innych!

ROZDZIAŁ 22

Nicklin uznał, że to, co robi teraz, jest w jakiś szczególny sposób słuszne i właściwe.

Przez dwanaście godzin siedział w sterowni zahipnotyzowany i obserwował, jak obłok planetarny znika ze stale wzrastającą szybkością. Z początku proces ten był prawie niezauważalny, a potem uwidoczniły się ciemniejące obszary rozrzedzeń: pięć rozszerzających się pasów. To zjawisko zwiększało jeszcze grozę i piękno całego spektaklu, nadając obłokowi podobieństwo do po-intylistycznego malowidła na jakiejś olbrzymiej pasiastej planecie. I wtedy rozpływanie obłoku stało się aż nazbyt widoczne, odwijały się z niego w ciemność planetarne warstwy, aż zaczęły przezeń przeświecać odległe gwiazdy. W pewnym momencie *Tara* wytraciła wreszcie swoją odo-błoczną składową prędkość, ale nikt w sterowni tego nie zauważył - obserwujący po prostu nie mogli robić niczego innego, jak obserwować zjawisko.

Zawieszona jakby została ich zdolność myślenia, kiedy rozdrobniony zbiór, tworzący niegdyś Orbitsville, został zredukowany do cieniutkich wstążek, do szybko znikających pajęczych nici i w końcu do pustki. 650 milionów nowych światów zostało zdematerializowanych, a pozostało tylko niewielkie słońce, samotne źródło ciepła i światła w obszarze pustki, który rozciągał się dookoła na wiele lat świetlnych.

„Co teraz nadejdzie? ” - myślał Nicklin w odrętwieniu. - „Dokąd się teraz udamy? ”

To, co zaraz nadeszło, to wezwanie dla Nicklina przez interkom od kobiety, która właśnie we wspólnej łazience na Pokładzie 24 kąpała swe dzieci. Była zła, ponieważ temperatura wody w prysznicach zmieniała się co chwila i troskliwa mamusia chciała, by natychmiast to naprawiono. Chciała również wiedzieć, dlaczego Nicklin sterczy cały czas w sterowni, zamiast pilnować swych obowiązków.

Przypomnienie o tym, że aż do samego końca życie będzie wypełnione codziennymi obowiązkami, jak błogosławieństwo spadło na Nicklina. Opuścił odosobnienie sterowni i - już jako człowiek, mający wypełnić ważną misję - natychmiast ruszył w dół przez najbardziej zagęszczone poziomy statku. *Tara* została wypełniona jedynie w połowie i pasażerowie w dużym stopniu decydowali o swoich miejscach zakwaterowania. Większość - posłuszna instynktowi - wybrała przednią część statku, najdalej jak można od cylindrów silnikowych.

Zanim osiągnął Pokład 14, pierwszy, z którego prowadziło wejście do cylindrów silnikowych, odgłosy ludzkiej krzątaniny niemal prze stały do niego docierać. Sunął nadal w dół, palcami ledwo dotykając boków drabiny, i właśnie mijał Pokład 17, kiedy, prawie samoistnie, jego dłonie zacisnęły się na duralowych prętach. Zatrzymał się gwał-

townie. Przez chwilę stał całkowicie oszołomiony, a potem zdał sobie sprawę, co spowodowało tę odruchową reakcję.

W niewielkiej odległości, na prawo, w krzywiźnie zewnętrznej ściany cylindra pasażerskiego, znajdowały się drzwi prowadzące do sąsiedniego cylindra silnikowego.

Dla kogoś mniej obeznanego z metalowym szkieletem, kiszkami i nerwami *Tary*, widok tych drzwi znaczyłby bardzo niewiele. Dla Nicklina jednak psychicznie równało się to walnięciu młotem. Wiedział bowiem, że na Pokładzie 17 nie ma żadnych drzwi do cylindrów silnikowych.

Zamarł w miejscu na drabinie i rozejrzał wokół. Reszta małego podestu wyglądała tak, jak powinna. Z tyłu znajdowała się para drzwi, prowadzących do dwóch kajut pasażerskich, i oznakowanie wyraźnie wskazywało, że znajduje się tam, gdzie sądził: na Pokładzie 17. Nie potrzebował znaków, by to wiedzieć - otaczające go wzory z nitów i szwów spawalniczych całkowicie wystarczyły - ale oto miał przed sobą drzwi do cylindra silnikowego w miejscu, gdzie żadne wejście do tego cylindra nie miało prawa istnieć.

Drzwi były prawdziwe. Widział zadrapania na zielonej farbie. Wiedział brudne plamy na dziewięciu białych przyciskach klawiatury zamka. Drzwi były najprawdziwsze!

- To sen - powiedział głośno, czując ulgę, że wyjaśnia coś niewyjaśnialnego. - To jest jeden z tych snów na jawie i aby to udowodnić...

Uderzył z całą beztroską w krawędź pokładu i aż jęknął, kiedy ból popędził jego systemem nerwowym, rozchodąc się od miejsca uderzenia. Spojrzał na kostki palców i zobaczył odstające płyty skóry. Na odsłoniętej tkance pojawiły się koraliki krwi.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że wcale nie śpi - a jednak drzwi do silników nadal tkwiły na miejscu.

„Widocznie płaczą mi się liczby” - wyjaśnił sobie naprędce i poszedł ku temu wejściu. - „Kilka szarych komórek odskoczyło, odpadło, czy cokolwiek one tam robią, kiedy się zużywają. Zawsze było można wejść do cylindrów silnikowych z Pokładu 17. Fakt, że o tym nie pamiętam, o niczym nie świadczy i aby tego dowieść...”

Wklepał do zamka kod dostępu - 8949823 -i uśmiechnął się, kiedy usłyszał, że zadziałał zamkowy elektromagnes. - „Wciąż zostało mi kilka liczb!” - Powoli pchnął drzwi i ujrzał za nimi zamkniętą przestrzeń, niewiele większą od budki telefonicznej. W żadnym wypadku nie wyglądało to na *Tarę*, ale Nicklin postanowił dowieść samemu sobie, że to co nieprawidłowe jest właściwe i z pewną dozą zuchwałości przekroczył wysoki próg.

Kiedy drzwi z westchnieniem zamknęły się za nim, zobaczył, że w ścianie po lewej są następne, a obok znajduje się mała nisza, podobna do tych, w jakich normalnie trzyma się sprzęt przeciwpożarowy. W niszy stała srebrna piersiówka, na której ktoś wymalował słowa: WYPIJ MNIE. Litery były przesadnie ozdobne i Nicklin uśmiechnął się, kiedy rozpoznał w nich rękę Scotta Hepwortha.

„Tak więc zapomniałeś o jednej ze swoich skrytek, ty stary pijaczyno!”

Wciąż rozbawiony podniósł butelkę. Była ciepła w dotyku, a kiedy nią potrząsnął, poczuł ruch małej ilości cieczy. Niewiele myśląc wyjął korek i pociągnął łyk płynu, który okazał się ciepłym dżinem.

„Prawdziwy specjał Scotta. Lubił jałowcówkę z zimnym tonikiem i wszelkimi dodatkami, ale w razie potrzeby pił ją w każdej dostępnej postaci. Jak sformułował to jakiś dramaturg: Kiedy nasza go chandra,

piłby z wrzodu. Ręcę, że stary Scott obróciłby się w swym plastikowym opakowaniu, gdyby wiedział, że nie dostał swej ostatniej kropli.

Chociaż jest jedna rzecz, której nie rozumiem.

Jak to możliwe, że dżin wciąż jest ciepły? ”

Poruszając się jak człowiek we śnie, pełen przeczuć, że to co robi, jest rzeczą niewłaściwą, Nicklin otworzył wewnętrzne drzwi. Za nimi była się mroczna przestrzeń, która sprawiała wrażenie zbyt wielkiej, by pomieścić się w cylindrze silnikowym o jedynie pięciometrowej średnicy. Nicklin wszedł, pozwalając, by drzwi zamknęły się za nim. Nad wejściem pojedynczy plafon rzucał nikłą poświatę na półkole pustego pokładu. To również się nie zgadzało, ponieważ większość wolnej przestrzeni cylindra powinny zajmować masywne części silnika. Próbował sięgnąć wzrokiem poza rozmytą granicę oświetlonej przestrzeni, ale panująca tam ciemność była nieprzenikniona. Prąd powietrza poruszył na chwilę jego włosami i ubraniem. Powietrze wydało mu się czyste i świeże, jakby stał o północy na skraju stepu.

Po kilku sekundach z ciemności wychynęła postać i ruszyła ku niemu, a Nicklin głośno jęknął. Dał krok do tyłu i przycinał do ust zaciśniętą pięść. Zobaczył bowiem, że to Scott Hepworth.

- Dobry człowieku, znalazłeś moje lekarstwo - rzekł Hepworth, biorąc butelkę z bezwładnych palców Nicklina. - Gdzie ją zostawiłem?

Nicklin jęknął znowu, kiedy Hepworth podniósł piersiówkę do ust i pociągnął łyk. Szyja Hepwortha, skryta pomiętym kołnierzykiem, wyglądała na nienaruszoną, ale kiedy przełknął, czysta ciecz wytrysnęła przez gors jego koszuli.

- Precz - wymamrotał Nicklin zza swej dłoni. - Jesteś martwy.
- Myślisz jak plebejusz, mój chłopcze - rzekł jowialnie Hepworth.
- Czy wyglądam na martwego?

Nicklin uważnie obejrzał zjawę, którą miał przed sobą, i stwierdził, że jest idealna aż do najdrobniejszych szczegółów, od poplamionego, niechlujnego ubrania aż do niebieskiej otoczki węgla na boku nosa.

- Daj mi spokój, Scott - powiedział błagalnie. - Nie mogę na ciebie patrzeć.

- Bardzo dobrze, ale muszę stwierdzić, że mnie głęboko rozczarowałeś, Jim. - Hepworth zaczął cofać się w ciemność. - Mógłbym ci pomóc w tym, co ma cię spotkać. Inni czekają, by się z tobą zobaczyć i mógłbym ci bardzo przy tym pomóc...

Kiedy widmo Hepwortha zniknęło z pola widzenia, Nicklin uchwycił za gałkę w drzwiach i silnie ją przekręcił. Nie chciała się obracać, dokładnie tak, jak oczekiwał, a teraz nadchodziły dwie inne postacie. Jedną z nich był Corey Montane - na twarzy miał zaśliniony, koślawy uśmiech - a towarzyszyła mu ładna młoda kobieta, wyglądająca na zdrową i normalną, z jednym wyjątkiem: z jej piersi sterczała rączka kuchennego noża, który drgał w rytm bicia jej serca.

- Milly i ja jesteśmy teraz szczęśliwi - rzekł Montane, obejmując ramieniem kobietę w talii. - Pragnę jedynie, byś wiedział, że również możesz być szczęśliwy. Musisz tylko...

- Też jesteście martwi! - krzyknął Nicklin. - Nie podchodźcie do mnie! Jesteście martwi i próbujecie mnie przekonać, że ja też jestem martwy, ale ja żyję, a to wszystko, to tylko sen!

Montane wymienił ze swą żoną zatroskane spojrzenia. Oboje wciąż zbliżali się do Nicklina.

- To okropne, że widzę cię w takim stanie - stwierdził Montane. - A to wszystko niepotrzebnie. Musisz tylko...

- Odpieprzcie się! - zawył Nicklin, zakrywając oczy.

Nie odstępiał ich w obawie, że te okropne istoty wciąż się podkradają, zbliżając swoje współczujące twarze do jego twarzy. Ale gdy nabrał odwagi i opuścił ręce, Montane'a i jego żony już nie było. Nic nie mąciło otaczającej ciemności, ale teraz mógł sięgnąć wzrokiem dalej niż poprzednio i jego wrażenie, że stoi na ogromnej równinie, uległo wzmocnieniu. W tej pozornej, na wpół postrzeganej dali, wyczuwał coś olbrzymiego, jakieś czarne kształty nałożone na czerń. Czy mogła to być góra z obsydianu, odbijająca światło niewidocznych gwiazd?

„Cóż takiego zrobiłem, żeby zasłużyć na to wszystko?” - pytał sam siebie, próbując znowu na próżno otworzyć masywne drzwi w ścianie działowej.

- Powiem ci, co takiego zrobiłeś. - Tuż zza kręgu bladego światła ozwał się znajomy, lecz nieidentyfikowalny głos. - Wypełniłeś swą głowę negatywnymi myślami i fałszywymi koncepcjami, mały Jimmy - a teraz ponosisz tego skutki.

- Kim jesteś? - Nicklin drżał, przepełniony nowymi strasznymi przeczuciami. - I dlaczego mówisz do mnie „Jimmy”? Nikt nie mówił do mnie Jimmy, od czasu...

- Od czasów, gdy byłeś mały, prawda?

W stożku ponurego światła pojawiła się ogromna postać Reynarda, stryjecznego dziadka Nicklina.

Nicklin skulił się, kiedy zobaczył, że nie była to postać ledwie pamiętanego, rzeczywistego Wuja Reynarda. To był budzący lęk Wuj Reynard ze snu, przerażający osobnik, którego matka Nicklina z uporem traktował jako całkowicie akceptowalną istotę ludzką, choć miał ponad dwa metry wzrostu, najeżone, czerwono-brązowe futro, dzikie żółte oczy i długi pysk z nosem przypominającym błyszczącą,

czarną oliwkę, jak u zwierząt Disneya. I, tak jak poprzednio, po tym rozpoznaniu ożywiony obrazek stracił swą dręczycielską siłę.

- Nie przestraszysz mnie - rzekł z wyzwaniem Nicklin.

- A dlaczegoż to ktokolwiek miałby bać się takiego miłego, przystojnego faceta jak ja? - spytał lis muskając swój szeroki dziewiętnastowieczny kołnierz i łatany frak. - Całkowicie rozumiem, dlaczego nie chciałeś mieć nic wspólnego z tamtymi typami - zwłaszcza z kobietą! Widziałeś nóż? Brr! - przez stylizowane rysy lisa przemknął wyraz odrazy. - Między nami mówiąc, Jim, słusznie z twojej strony, że się ich wszystkich pozbyłeś.

- Pozbywam się również ciebie - rzekł Nicklin. - Ty nie istniejesz!

- Co ty mówisz! - Lis rzucił przez ramię zmartwione spojrzenie, a potem zaśmiał się, odsłaniając ostro zakończone zęby. - Nie mógłbyś ze mną rozmawiać, gdybym nie istniał. To logiczne, prawda? Widzisz, to jest przestrzeń mentalna - i istoty mentalne są tu równie realne jak istoty fizyczne. Pamiętasz, co mówiono ci o przestrzeni mentalnej, prawda?

Nicklin potrząsnął głową.

- Nie pozwoliłbym ci na istnienie w żadnej w ogóle przestrzeni.

- Nie rób mi tego, Jimmy. - Wuj Reynard znów obejrzał się w ciemność i niczym na filmie rysunkowym rozsiał w powietrzu krople potu ze swego czoła. - Mogę ci pomóc w tym, co zaraz nadejdzie. Musisz odbyć swoje interview z G. K., i mogę...

- Wynoś się!

Lis postąpił krok do tyłu, jego całe ciało zaczęło falować i nagle stał się chudym, łysiejącym, nieszczęśliwie wyglądającym mężczyzną około czterdziestki. Nicklin poczuł przyływ starych wspomnień. Istota przed nim imitowała jego prawdziwego Wuja Reynarda.

- Też możesz się odpieprzyć - rzekł Nicklin.

- Nie rób mi tego, Jimmy - błagało stworzenie. - Dobrze już, okazywałem, troszeczkę zbytnią poufałość twojej matce po śmierci twojego starego. Może czułeś się jakoś zdradzony - nie mogę powiedzieć, bym cię za to winił - ale to wszystko już minęło. Jesteś teraz dorosły, Jim, i musisz wiedzieć, jak to jest, kiedy zdrowa, młoda kobieta...

- Wynoś się!

- Pozwól mi sobie wyjaśnić coś bardzo ważnego, Jimmy - szepnęło natarczywie stworzenie. - Myślisz, że wszystko to jest snem - ale to nieprawda. Jesteś teraz w przestrzeni mentalnej, Jimmy. Na pewno pamiętasz, co tamtego dnia w biurze w Beachhead powiedziała ci Silwia London. Pamiętasz ją, prawda? Tę z wielkimi zderzakami. Cóż, wszystko, co mówiła, to szczerą prawdą!

Nicklin nachmurzył się.

- To by oznaczało, że posiadasz swoją własną egzystencję, a ja nie mogę ci nic zrobić.

- Tak jest, ale ja nie jestem prawdziwą istotą mindo-nową. - Stworzenie obejrzało się szybko za siebie, w kierunku górującej obecności, która w tamtej czerni mogła istnieć lub nie, a strapiony wyraz jego twarzy zmienił się w wyraz czystego cierpienia. - Twój prawdziwy Wujek Reynard jest gdzie indziej w tym kontinuum. Ja istnieję jedynie dlatego, że jestem projekcją pewnej części twojej dziecięcej osobowości i jeżeli zaczniesz wtrącać się do różnych spraw...

- Chcesz powiedzieć - jeśli dorosnę.

- Dorosłeś przed wielu laty, Jimmy. - Stworzenie uśmiechnęło się przelotnym, przymilnym uśmiechem. - Wspaniale dorosłeś! Sposób, w jaki potraktowałeś te trzy małpoludy w Altamura, był prawdziwą ucztą duchową dla obserwatora. Zwłaszcza tego trzeciego, kiedy już

myślał, że mu się upiekło. I jeszcze ta dziwka Farthing. Powiem ci coś zupełnie bezinteresownie, Jimmy - ona teraz żałuje, że cię tak źle potraktowała. Jeśli byś poszedł do niej natychmiast, mógłbyś...

- Precz! - rozkazał Nicklin. Całą jego świadomość przepełniła nienawiść. - Przepadnij!

Stworzenie warknęło wściekle. Jego twarz zaczęła się rozplýwać... pojawił się zwierzęcy pysk, kły zamiast zębów... ale przemiana nie zdążyła zajść całkowicie, bo cała zjawa zamigotała i znikła.

Nicklin pozostał sam, ale nie sam. Za stożkiem słabego światła, daleko za ledwie widoczną równiną, poruszał się ogromny kształt. Ponieważ brakowało przedmiotów, z którymi dałoby się go porównać, rzeczywiście mógł być tak wielki jak góra, ale również - zali to możliwe? - mógł mieć kształty i wymiary człowieka. Jak nazywała się ta rzeźba? Rzeźba mężczyzny siedzącego z pięścią przyciśniętą do czoła?

- *Jimie Nicklin* - powiedziała istota. Jej głos był cichym grzmotem w skroniach Nicklina. - *Nadszedł czas, byśmy ze sobą porozmawiali.*

- Nie chcę - wyjąkał Nicklin, zdziwiony, że jest zdolny do wydawania jakichkolwiek dźwięków. - Nie chcę mieć z tobą nic do czynienia.

- *To nieprawda. Wiesz, że beze mnie długo byś nie pociągnął.*

Nicklin przywarł plecami do futryny, tego jedyne go nadal istniejącego łącznika z rzeczywistością.

- Kim jesteś?

- *Ależ Jim! Wiesz doskonale, kim jestem.*

- Skąd... Skąd miałbym wiedzieć?

- *Ponieważ obcowałeś ze mną wiele razy w ciągu swego dorosłego życia.*

- Obcowałem? Nigdy nie byłem wierzący. Jedyne bóstwo, jakie uznawałem, to... Gazowy Kręgowiec!

- *Doskonale, zgadłeś, Jim.*

- *Ale to niemożliwe! Jesteś tylko moim osobistym żartem. Mam na myśli to, że cię wymyśliłem!*

- *Nie, Jim - to ja cię wymyśliłem.*

W jakiś sposób Nicklin zdołał wskrzesić w sobie chęć do sporu.

- *Przykro mi, ale nie mogę się na to zgodzić - rzekł. - Nawet zgodnie z logiką snu nie ma to sensu.*

- *Musisz zawsze utrudniać. Po prostu chciałem się spersonifikować dla ciebie. Twoja koncepcja Gazowego Kręgowca... Największego Kawalarza... posunąłeś się w niej najdalej przy wizualizacji istoty wyższego rzędu.*

- *W moim pojęciu to odpowiednik ślepego przypadku.*

- *Tak, ale go personifikowałeś.*

- *Nawiasem mówiąc, czy źle jest o tobie myśleć jako o Gazowym Kręgowcu?*

- *Nie musi to być wcale takie złe.*

- *Czy utrzymujesz, że jesteś Bogiem?*

- *Nie utrzymuję, że jestem Bogiem - ale możesz o mnie tak myśleć, jeśli zechcesz.*

- *To można tak ciągnąć i ciągnąć. Wolę już Gazowego Kręgowca.*

- *Tak więc, po obfitym pustostłowi, wróciłeś tam, gdzie zacząłeś: jestem Gazowym Kręgowcem.*

- *Czy jesteś również Dobrą Wróżką? Czy stworzyłeś przedmiot, który znałem jako Orbitsville?*

- *W końcu postawiłeś rozsądne pytanie, na które mogę dać rozsądną odpowiedź. Nie, nie stworzyłem Orbitsville.*

- *Czy miałbyś coś przeciwko temu, by mnie poinformować, kto je stworzył?*

- *Zupełnie nie mam nic przeciwko temu, Jim. Pragnę dostarczyć całej wiedzy, jaką jesteś zdolny przyswoić. Twój umysł jest częścią mojego, w tym wyjątkowym momencie historii Kosmosu. Jedynym ograniczeniem ilości wiedzy, jaką możesz zyskać, są ograniczenia twej własnej umysłowości.*

- Powiedziałaś, że mój umysł jest częścią twojego umysłu?

- *Nie stawiajmy sobie retorycznych pytań, Jim. Wiesz, co powiedziałem.*

- Ale to dla mnie ważne. Są małe pytania, podobnie jak duże. Na przykład, chciałbym wiedzieć, dlaczego się nie boję. Zawędrowałem w surrealistyczną zmorę i byłem świadkiem okropności...

- *Okropności stworzyłeś sam.*

- W porządku, ale jestem sam, w krajobrazie, który mógłby namalować Dali, z czymś, co można by określić jako czarna rzeźba wielkości góry... a jednak się nie boję. Chciałbym wiedzieć, dlaczego.

- *Znajdujesz się teraz w przestrzeni mentalnej. Istniejesz jako istota mindonowa - i jako taka jesteś odporny na wszystkie lęki, jakie mogą niepokoić istotę cielesną.*

- Rozumiem. Więc właśnie dlatego mogę prowadzić konwersację z rozumnym czarnym wysokościowcem.

- *To nie jest rozmowa. Na tę chwilę twój umysł został ogarnięty i połączony z moim. Musisz brać to, co zdołasz, i zrobisz z tym, co chcesz.*

- Bardzo dobrze. Kto więc zbudował Orbitsville?

- *Orbitsville było zaprojektowane i wykonane przez istoty bardziej zaawansowane w ewolucji niż ludzie. W swym jedynym bezpośrednim spotkaniu z ludźmi nazwały się one Ultanami. Jest to równie dobre imię jak każde inne.*

- Dlaczego Ultanowie zbudowali Orbitsville?

- *Uczynili to, próbując zmienić los całego Kosmosu. Niektórzy z twoich ludzkich bliźnich odkryli już, że umysł jest składnikiem materii. I nie jest składnikiem mało ważnym. Pod niektórymi względami jest on nawet ważniejszy niż grawitacja, ponieważ jego siła przyciągania wystarcza, by zamknąć wszechświat. Sama grawitacja by nie mogła tego zrobić.*

- Pamiętam jak ta kobieta... Żona Ricka Renarda... próbowała powiedzieć mi coś takiego.

- *Tak, ale bardziej zajmował ją efekt uboczny - trwanie osobowości po śmierci fizycznej. Prawdziwe znaczenie klasy cząstek zwanych mindonami leży w ich mocy sklejanania. Bez swego składnika mindonowo-grawitono-wego, rozszerzający się wszechświat rozszerzałby się wiecznie. Jeden z twoich ludzkich bliźnich, o bardzo poetyckim umyśle, oświadczył, że to właśnie myśliciel, w ciszy swego gabinetu, ściąga odдалone galaktyki z nocnych wybrzeży.*

- Nie rozumiem, jaki to ma związek z Orbitsville.

- *Historię Kosmosu można przedstawić jako ciąg Wielkich Wybuchów i Wielkich Skurczów, by użyć nieeleganckich sformułowań, w których tak lubują się wasi uczeni. W chwili Wielkiego Wybuchu tworzą się dwa wszechświaty: jeden złożony z normalnej materii i posuwający się w czasie naprzód; drugi złożony z antymaterii i cofający się w czasie. Oba wszechświaty rozciągają się do swych granic, a potem zaczyna się kurczenie, i w końcu, kiedy czas przebiegnie swą okrężną trajektorię, są łączone, a scena jest przygotowana do następnego Wielkiego Wybuchu. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że terminy materia i antymateria są całkowicie subiektywne.*

- Nie jestem tępakiem.

- Są pewne złożoności - takie jak wszechświaty ta-chjonowy i anty-tachjonowy - którymi nie chcę ci w tych okolicznościach zawracać głowy.

- To miło z twojej strony - rzekł Nicklin. - Mów dalej.

- W chwili ostatniego Wielkiego Wybuchu - który, jak mi się zdaje był osiemnastym z Wielkiego Ciągu - stworzone zostały dwa symetryczne wszechświaty, tak jak zdarzało się to zawsze dotychczas. Ale ich rozwój nie poszedł utartą koleiną, powstała wielka asymetria, ponieważ - z przyczyn, które nie ujawniły się wyraźnie - życie rozumne nie powstało nigdzie we wszechświecie Rejonu 2.

W tych okolicznościach, bez sklejanego mindonowego, wszechświat Rejonu 2 musiałby się rozszerzać wiecznie i ponieważ tworząca go materia nie weźmie udziału w następnym Wielkim Wybuchu, jego charakter będzie radykalnie zmieniony. W konsekwencji cykl kosmicznej odnowy zostanie przerwany.

Niektórzy z Ultanów z przyczyn filozoficznych niechętnie patrzyli na tę perspektywę. I podjęli kroki, by poprawić tę wielką nierównowagę.

- To oni zbudowali Orbitsville.

- Tak jest.

- To był kolektor umysłów! I to wyjaśnia Wielki Skok - Orbitsville rzeczywiście zostało przemieszczone do wszechświata z antymaterii! Kiedy Ultanowie byli gotowi, po prostu je przenieśli!

- Sytuacja była bardziej złożona, ponieważ inni Ultanowie - również motywowani względami filozoficznymi - sprzeciwiali się wtrącaniu do procesów przyrody. Ale, generalnie masz rację.

- I tylko to wystarczyło, żeby zmienić przyszłość całego wszechświata? Nie przywykłem myśleć w tak wielkiej skali, ale efekt jednej sfery wydaje się - mówiąc łagodnie - nieproporcjonalny.

- *Skonstruowano więcej sfer, Jim. By mieć pewność, że złapią dostatecznie wiele istot, Ultanowie umieścili podobne urządzenia w każdej galaktyce wszechświata Rejonu 1. Każda Galaktyka, zależnie od wielkości, zawierała od ośmiu do czterdziestu sfer, wszystkie umieszczone w miejscach sprzyjających powstaniu życia rozumnego. Odkrycie przez waszą rasę jednej z nich nie było całkowitym przypadkiem.*

- *Ale istnieje przynajmniej sto miliardów galaktyk!*

- *Nawet jako istota bezcielesna Nicklin był przytłoczony skalą wysiłków Ultanów, usiłujących wpłynąć na kształt wszechświata. - I jeśli pomnożyć tę liczbę...*

- *Nie zwracaj sobie głowy obliczeniami - wystarczy powiedzieć, że Ultanowie swoją źle umieszczoną ambicję realizowali na tak wielką skalę, że moi bracia i ja byliśmy zmuszeni się temu przeciwstawić.*

- *Ale czy nie jest za późno? Zobaczyłem, że Orbitsville rozpada się na miliony planet i widziałem, jak wszystkie znikają. Jeśli zostały one rozproszone po całej galaktyce...*

- *Wtrąciłem się w to. Nowe planety rzeczywiście uległy rozproszeniu - ale kierowałem tym procesem. Rozsiano je w galaktyce Rejonu 1, z której przybyło Orbitsville.*

Gdzieś w głębi umysłu Nicklin zaczął formułować nowe pytanie, ale nie miał śmiałości go zwerbalizować.

- *Planety tam wróciły?*

- *Tak, Jim. Widzisz Ultanowie nie mieli racji narzucając swoją wolę, swoją z konieczności ograniczoną perspektywę, na naturalny porządek Wszechrzeczy. Nierównowaga między Rejonami 1. i 2. w obecnym cyklu zapowiada wielkie zmiany - to prawda - ale zmiany są instrumentem ewolucji. Przeciwdziałanie zmianom jest złem. Wszechrzecz musi mieć zapewnioną swobodę rozwoju.*

- Czy Ultanowie zostaną... ukarani?

- *Udzielili im się rady i będzie się ich obserwować, ale nie zostaną skrzywdzeni. Moi bracia i ja jesteśmy częścią Życia i służymy Życiu. Etyka wymaga od nas, byśmy zrobili wszystko, co w naszej mocy, by zagwarantować, że żadna z jednostek mentalnych nie zostanie zniszczona w wyniku naszych działań.*

- Właśnie dlatego tu jesteś? Dlatego rozmawiasz ze mną?

- *Jak już mówiłem, dialog zachodzi wyłącznie w twojej świadomości. Jest to część twojej osobistej reakcji na fakt, że twój umysł został ogarnięty przez mój, w czasie, gdy przenoszę wasz statek do wszechświata Rejonu 1. Interpretujesz to doświadczenie po swojemu - inni będą interpretowali je też po swojemu.*

- Zatem dla innych jest to przeżycie religijne? Widzą coś, co uważają za Boga?

- *Widzą to, w co wierzą - tak jak ty widzisz to, w co wierzysz.*

Pytanie, które wcześniej uformowało się w zakamarkach mózgu Nicklina, ponownie dało znać o sobie, ale Nicklin ponownie nie mógł go zadać.

- Czy wszyscy będziemy żyli?

- *Tak, Jim. Zabrałem wasz mały statek z ciała mojego martwo zrodzonego brata i umieściłem go na wyjątkowo gościnnym świecie w waszej rodzinnej galaktyce. Wszyscy będziecie żyć.*

- Dziękuję, dziękuję. - Nicklin poczuł, że musi się śpieszyć. - Czy nasz wspólny czas dobiega końca?

- *W przestrzeni mentalnej nie istnieje czas, tak jak go rozumiesz. W jednej wersji rzeczywistości przemieszczenie zajęło miliardową część sekundy; w innej wersji rzeczywistości zajęło czterdzieści miliardów lat.*

- Ale nasz dialog zbliża się do końca.

- *Osiągasz swoje ograniczenia.*

- Mam jeszcze jedno pytanie. Proszę! Muszę znać na nie odpowiedź.

Po drugiej stronie nocnej równiny ciemna obecność jakby poruszyła się lekko.

- *Słucham cię.*

- Kim jesteś?

- *Ale przecież już nie musisz zadawać tego pytania.* - Na wpół postrzegalna istota poruszyła się teraz, rosła, szykowała do odejścia. - *WIESZ przecież, kim jestem, prawda, Jim?*

- Tak - powiedział cicho Nicklin, a naczynie, które było jego mózgiem, wypełniło się wreszcie po brzegi. - *Wiem, kim jesteś.*

ROZDZIAŁ 23

Sześć samolotów „Curlew” kompanii Woolston Skyways, ustawionych w rzędzie, oczekiwało na grupy pasażerów, by je odtransportować do Rushport, centrum okręgu. Typ Curlew wybrano dlatego, że potrafiły startować i lądować na nie przygotowanych trawiastych pasach. Każdy samolot zabierał maksymalnie dziesięć osób, które po dwóch godzinach miały wylądować w Rushport. Tam wsadzi się je na liniowiec, którym przelecą 8000 kilometrów do Beachhead.

Za Curlewami stały trzy mniejsze i szybsze odrzutowce, należące do agencji informacyjnych, które jako pierwsze przewiozły dziennikarzy na scenę wydarzeń. A dalej wyłaniał się błyszczący, miedziany kałuż Tary, sprawiając, że samoloty wyglądały jak małe zabawki. A za statkiem, aż do horyzontu, rozciągało się jezioro, którego powierzch-

nię pokrywały diamentowe iskierki pobłyskujące w niskim, porannym słońcu.

Nicklin doszedł do wniosku, że bez względu na to, jak długo będzie jeszcze żył, nie przyzwyczai się nigdy do słońca wędrującego po niebie. Poprzedniego wieczora, niewiele godzin po powrocie *Tary*, obserwował pierwszy w swym życiu zachód słońca, nie mogąc odebrać wzroku od palącego dysku zapadającego za horyzont. Razem z wieloma innymi oszołomionymi i zdezorientowanymi pielgrzymami spędził większość nocy na dworze. Patrzył na nowe konstelacje i czekał na pojawienie się słońca.

Wiedział już wcześniej, że pokaże się ono z przeciwnej strony świata, ale gdy to rzeczywiście nastąpiło, przyjął ten fakt z głębokim zdziwieniem. Potwierdzenie, że mieszka teraz na zewnątrz sfery, nadeszło jak doświadczenie na poły religijne dla kogoś przyzwyczajonego do zamknięcia Orbitsville. Był wewnętrznie ożywiony, a jednocześnie czuł się wystawiony na niebezpieczeństwo w tym ogromnym wszechświecie, jak mikroorganizm uczepiony powierzchni kuli, pędzącej przez nieprzewidywalną przestrzeń.

I w skali tego nowego świata, drobnego w porównaniu z Orbitsville, tempo ludzkich spraw zdawało się przyspieszać, jakby usiłując nadążyć, za migającymi, pozbawionymi bezwładności działaniami istot, których całym kosmosem jest kropla wody...

W jednej chwili *Tara* wędrowała przez głęboki Kosmos; w następnej spoczywała na zalanej słońcem, trawiastej równinie.

Zegary statku nie wskazywały upływu czasu, ale wszystkie osoby na pokładzie - łącznie z dziećmi - przeżyły chwile poza czasem. Z tego, czego zdołał dowiedzieć się Nicklin, powszechnie doświadczone - w przeciwieństwie do niego - krótkiej, milczącej jedności z dobroczyn-

nym bóstwem, spowitym w białe światło, niewidzialnym w posplatanych aureolach.

Z tego spotkania wszyscy wyszli jako zasadniczo ci sami ludzie, ale ich poprzednie wierzenia zostały potwierdzone ponad wszelką wątpliwość. Ropp Voorsanger wyprowadził przede wszystkim całą grupę na bujną trawę i odprawił dziękczynną mszę. I nigdy w historii ludzkości nie było kongregacji tak zjednoczonej w swej niewzruszonej wierze. Cóż, wspólnie brali oni bezpośredni udział w niezaprzeczalnym cudzie: wcześniej skazani na zagładę - teraz uratowani, a ich ratunek nastąpił na skutek Boskiej Interwencji. Mogli z całym przekonaniem, jak nikt inny dotąd, wznieść okrzyk „Alleluja!”.

Doświadczenie Nicklina było wyjątkowe - on musiał z niego wyjść jako zasadniczo inny człowiek. Wyniósł ze spotkania nowy zestaw przekonań i musiał zrewidować swój model rzeczywistości. Od tej chwili nie pozostawało mu nic, prócz uznania istnienia istoty wyższej. Czy nazwałby ją Bogiem, Dobrą Wróżką czy Gazowym Kręgowcem nie miało to znaczenia dla podstawowego, zasadniczego faktu, że nie mógł żyć już nadal jako sceptyk.

Czekając samotnie pod gwiazdami zastanawiał się, czy miałyby to większy wpływ na jego osobowość, gdyby przekonano go o istnieniu Judaistycznego Boga - a nie o najwyższej, nie-mistycznej Osobowości.

„WIESZ, kim jestem” stwierdziła Osobowość i niezwykłość tego polegała na tym, że już na długo przedtem Nicklin był gotów na to objawienie. Niemal osiągnął prawdę, gdy pewnego szarego, wietrznego poranka w biurze w Beachhead Silwia London nauczała go, że cała materia ma w sobie składnik mindonowy i że do wytworzenia nieśmiertelnej osobowości wystarczy istnienie dostatecznie złożonej struktury fizycznej, na przykład ludzkiego mózgu.

Nicklin zaczął się spierać, że jeśli do wyczarowania umysłu z niebytu wystarczy tylko fizyczna złożoność, w zasadzie nie musi występować element biologiczny. Powinno być możliwe wytworzenie inteligentnej osobowości przez dowolną, wystarczająco złożoną strukturę. I, jeśli już doprowadzimy argumentację do logicznej konkluzji, jakiegoż lepszego kandydata można znaleźć - w kategorii złożonych, wieloskładnikowych struktur - niż galaktyka?

Koncepcja inteligentnej galaktyki nie była nowa - naukowci wizjonerzy, tacy jak Firsoff, wysuwali ją już w połowie dwudziestego wieku.

Ale zostać skonfrontowanym z jej realizacją!

Nicklin wiedział, że upłyną lata, nim uda mu się zrozumieć, że scenę wieczności dzielą z nim istoty takie jak Ultanowie, tak rozwinięci i tak potężni, że mogą uważać, iż przemodelują cały system wszechświata według swoich życzeń. I że gdzieś nad Ultanami - tak jak Ultanowie są nad ludźmi - istniały istoty, które mógł nazywać Galaktami. Istoty niewyobrażalne, niezrozumiałe, a jednak tak troszczące się o życie, że dbały o pomyślność pojedynczych jednostek umysłowych.

Nicklin musiał przyznać, że istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, iż *Tarę* przeniesiono, na miejsce gdzie teraz stała, gdyż jakieś niejasne i subtelne prawa parafizyczne mówią, że materia powinna być odesłana do miejsca skąd pochodzi na starej skorupie Orbitsville. Ale jego nowy instynkt mówił mu, że Osobowość - która mówiła o pozbawionym inteligencji wszechświecie Rejonu 2 jako o swoim „martwo zrodzonym bracie” - osobiście podjęła w tej sprawie świadomą decyzję.

Wynikało z tego, że wszystkie jednostki umysłowe są wyjątkowe i ważne. Wszystkie były nieśmiertelne i wszystkie wezmą udział w wielkim planie ewolucji i przyswajania, który doprowadzi do osta-

tecznej zbieżności Życia. Następnym wnioskiem dla tych, którzy mogą go przyswoić, był fakt, że żadne życie nigdy się nie zmarnowało i że...

- Dzień dobry, Jim! - Słowa te wypowiedział Cham White. Razem z Norą wspiął się na wzgórek, wybrany przez Nicklina jako punkt obserwacyjny. Teraz obydwójce dyszeli z wysiłku. - Co robisz tutaj na górze?

Nicklin pozdrowił ich gestem.

- To dobre miejsce do myślenia.

- Masz więcej do przemyślenia niż większość z nas, prawda, Jim? - spytała Nora z uśmiechem na twarzy usianej złotymi piegami. - Zdaje się, o ile pamiętam, że dawniej był z ciebie kawał ateisty.

Nicklin skinął głową.

- Masz rację, Noro, muszę wiele przemyśleć.

- Przyszliśmy tu, by ci powiedzieć na jakiś czas do widzenia - wyjaśnił Cham. - Udajemy się z powrotem do Beachhead, a potem jak najszybciej do Orangefield.

- Nie chcecie pozostać tutaj i pomóc Voorsangerowi założyć nowe Święte Miasto?

- Jego poranne kazanie było bardzo inspirujące - Cham musnął swe brudne spodnie z pełnym rozbawienia niesmakiem. - Ale sądzę, że poczekamy, dopóki nie powstaną pierwsze hotele i nie założą się kanalizacji.

- Chamie White! - Nora trąciła go łokciem. - To afront dla Pana Boga!

- Te spodnie to afront dla każdego i nie mogę doczekać chwili, gdy przebiorę się w coś przyzwoitego.

- Już mnie nie ma! - Nora potrząsnęła rękę Nicklina, pocałowała go lekko w policzek i zaczęła schodzić po zboczu.

Cham poczekał, aż nieco się oddali.

- Jim, nie wiem i nie chcę wiedzieć, co zaszło między tobą a Zindee - rzekł szybko. - Ale mam wrażenie, że chciałaby z tobą porozmawiać, zanim wyjedziemy. Czy zszedłbyś pożegnać się z nią?

Serce Nicklina zaczęło walić.

- Oczywiście.

Przeszedł obok Chama, patrząc na to, co się wokół działo. Obok każdego „Curlewa” utworzyły się kolejki, ale sporo rodzin postanowiło na jakiś czas pozostać przy *Tarze*. Dzieci biegały podniecone pomiędzy grupami dorosłych. Dziennikarze szwendali się wokół z kamerami, a urzędnicy miejscy z Rushport - włączając w to ludzi z opieki społecznej i kilku policjantów - również wypełniali swe obowiązki, których nikt nie rozumiał, może jedynie oni sami. Furkot nadlatującego helikoptera wzmacniał wrażenie, że te przypadkowe wiejskie błonia znalazły się w centrum zainteresowania reszty świata.

Komunikacja radiowa nigdy nie była możliwa na starym Orbitsville, ale Fleischer zdołała wywołać port kosmiczny w Beachhead bez żadnych trudności - i widać było, że to, co powiedziała, spowodowało sensację, nawet w świecie, którego mieszkańcy powinni być przesyce-ni cudami. Jest tak, jak to przewidział Hepworth, pomyślał Nicklin. Astronomiczne cuda - to dobre dla tych, którzy interesowali się takimi rzeczami, ale setka ludzi cudownie przywrócona życiu, magicznie zmartwychwstała, była prawdziwą sensacją, jak Boga kocham.

Nicklin przestał patrzeć na to, co się wokół dzieje, gdy dostrzegł ubraną w zieleń postać Zindee, stojącą obok upstrzonego pomarań-czowymi kwiatami bandanowca. Nim zdołał zaprotestować, Cham od-łączył się od niego, skręcając w bok. Bez wątplenia chciał taktow-nie umożliwić mu porozmawianie z Zindee sam na sam. Kiedy pod-

szedł bliżej, dziewczyna spojrzała na niego, dziwnie zamyślona, co w jakiś niewyjaśniony sposób przypomniało mu o jego ostatnim spotkaniu z Daneą.

- Cześć, Zindee - rzekł zmieszany. - Słyszałem właśnie, że wracasz do domu.

- Tak jest. - Wzrok Zindee zawisł na jego twarzy. - Wracam na pewien czas do Orangefield.

- To dobrze - rzekł, nie mogąc spojrzeć jej w oczy. - Ach... muszę już iść, Zindee. Ropp potrzebuje mnie na statku.

- Po co?

- Po co, co?

- Dlaczego pan Voorsanger potrzebuje cię na statku?

- Cóż, widzisz... - szukał gorączkowo, odpowiednich, wiarygodnych powodów odejścia. - Statek nigdy nie miał lądować na tak miękkim gruncie jak ten. Kiedy stoi pionowo, powinien spoczywać w sześciu specjalnych kołyskach podpierających go w głównych stabilnych punktach. Obecnie miękka ziemia naciska na poszycie, zniekształcając ramy konstrukcyjne, a to z kolei może spowodować utratę ciśnienia i rozmaite...

Przerwał zakłopotany, kiedy Zindee zaśmiała się wesoło.

- To są ekstrementy samczego wołu - oskarżyła go. - Jesteś kłamcą, Jimie Nicklinie! To jedna z twoich historyjek. Wymyśliłeś to sobie wszystko.

- Cóż... - Spojrzał jej w oczy, oszacował swą wartość według tego, co tam dostrzegł, i poczuł coś, co mógł jedynie opisać jako powrót radości. - Może masz rację.

Zindee przestała się śmiać.

- Co się z tobą stało, Jim?

- Ja... - rozłożył bezradnie ręce. - Zagubiłem się. To mniej więcej wszystko, co mogę powiedzieć.

- To wystarczy.

Podeszła blisko, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go. Dotyk jej szczupłego ciała był przyjemnie asek-sualny, a w jej włosach odkrył dziecięcy zapach czystego potu. Obejmował ją przez dłuższą chwilę, a potem cofnął się o krok, poszukał w swych kieszeniach i wyjął starą monetę, która kiedyś wisiała na jej szyi.

- Czy przyjmiesz to z powrotem? - zapytał.

- Chciałam właśnie o nią poprosić. - Kiedy brała monetę, śmigła jednego z pobliskich „Curlewów” zaczęły się obracać. - Chyba zaraz wystartują, Jim, musisz działać szybko.

- Działać?

- Tak jest, działać! Samolot Danei odlatuje za parę minut. Czy zamierzasz tak stać i pozwolić jej odlecieć samej do Beachhead?

Spojrzał za jej wzrokiem i zobaczył Daneę, czekającą w tłumie ludzi przy najbliższym samolocie. Obok niej w grupie dostrzegł Pera Bossharda w mundurze.

- Może nie być sama - rzekł Nicklin, zastanawiając się, czy Danea również popatrzyła w jego kierunku.

- Idź tam i sprawdź - Mały podbródek Zindee wyrażał zdecydowanie, które tak dobrze pamiętał z czasów ich wcześniejszej znajomości. - Jimie Nicklinie, jeśli natychmiast czegoś nie zrobisz, nigdy już się do ciebie nie odezwę. Zabieraj się stąd natychmiast.

- Dobrze już, dobrze!

Poszedł powoli przez trawę. W uszach pulsowała mu krew. Zatrzymał się o pięć kroków od tamtej grupy; nie przychodziły mu na myśl żadne słowa. Danea spoglądała na niego spod płaskiego czarnego

sombrera, ale nie ruszała się z miejsca. Stojący obok Bosshardt obdarzył go układnym, lekko pytającym uśmiechem.

- Daneo - rzekł Nicklin z desperacją. - Muszę z tobą pomówić.

Czekał nie ruszając się. Wiedział, że wszystko wisi na włosku. Jeśli Danea poprosi go, by podszedł i będzie zmuszony mówić do niej w obecności innych, rozmowa nie ma sensu. W cieniu sombrera twarz Danei była doskonale piękna i zagadkowa jak zawsze. Minęło kilka długich sekund, a potem ona wyszła z kolejki i podeszła do niego.

- O czym chcesz rozmawiać? - spytała.

Jej oczy o ciężkich powiekach były chłodne i tylko lekko badawcze.

Nicklin uczył pustkę w mózgu.

- Co masz zamiar robić w Beachhead?

- Przez pewien czas - nic. Potrzebuję wypoczynku.

- Wszyscy potrzebujemy wypoczynku - odpowiedział, próbując się uśmiechnąć. - Wiele przeszliśmy.

- Owszem.

- Cóż... Może spotkam cię kiedyś w Beachhead.

- Może. - Danea obejrzała się na obserwującą ich grupę przy samolocie. - Samolot zaraz odleci.

- Tak. - Nicklin wciągnął powietrze głęboko i niepewnie. Zdał sobie sprawę, że żadna inna chwila w jego życiu nie będzie tak brzemienne w skutki jak właśnie ta. - Nie leć tym samolotem, Daneo. Nie leć dzisiaj.

Oczy jej rozszerzyły się.

- Co mówisz?

- Mówię, że nie obchodzą mnie pieniądze. Mówię, że jest mi przykro z powodu wszystkich tych rzeczy, które mówiłem w przeszłości i z

powodu sposobu, w jaki cię traktowałem. Mówię, że nie chcę, żebyś odjeżdżała. Mówię, że cię kocham, Daneo.

- To nie wystarczy, Jim - jej głos był niski, drżący.

- Czegóż jeszcze trzeba?

- Tamtego ranka w Orangefield... kiedy do ciebie przyszłam...

- Tak?

- Czy wierzysz... czy naprawdę wierzysz, że kochałam cię tamtego dnia? Jeśli masz jakieś wątpliwości, Jim... Jeśli masz choćby najlżejszy cień wątpliwości... nigdy nie będziemy do siebie pasować.

- Wierzę w to - odpowiedział gorączkowo, mrugając, żeby wyraźniej widzieć. - Przysięgam...

- Nie przysięgaj - powiedziała cicho, kładąc palec pionowo na jego ustach. - Powiedziałeś to, i to wszystko, co musiałam usłyszeć.

Padła mu w ramiona, a kiedy się całowali, zdał sobie sprawę, że obserwuje ich kilkadziesiąt osób ze wszystkich stron.

- Robimy z siebie przedstawienie - szepnął. - Co myślisz o spacerze?

Później, kiedy leżeli razem - otoczeni pysznymi banda-nowcami - rozmawiali o swych planach na te wszystkie lata, które mieli przed sobą.

- Chociaż Corey nie żyje, wydaje się, że praca, którą rozpoczął wciąż trwa - rzekła sennie Danea. - Podoba mi się pomysł założenia tutaj miasta nowego typu - z *Tarą*, jako elementem centralnym - i będzie tak dużo do zrobienia.

- Będzie to dobry pomnik - Nicklin wrócił myślami do trzech ostatnich lat. - Nie zgadzałem się prawie ze wszystkim, co mówił Corey, ale - i to jest trochę niesamowite - widzę teraz, że miał całkowitą słuszność.

Wszystko polega na doborze słów. On używał języka religii, a ja wolałbym język nauki, ale on wiedział, że Orbit-sville była pułapką... ślepym zaufaniem...

- Zmieniłeś się, Jim. - Danea uniosła się na łokciu i spojrzała na niego. - Na statku... kiedy to się stało... czy widziałeś Boga? Tak jak my wszyscy?

„Czy mam skłamać? ” - pomyślał Nicklin. - „Jeśli mogę zaakceptować ideę inteligentnej galaktyki - gdyż jest to struktura o dostatecznej złożoności, by istnieć jako osobowość mindonowa - cóż mam powiedzieć o całym wszechświecie? Czy nie jest to struktura ostateczna? Czyż nie jest to dlatego ostateczna osobowość mindonowa? I czyż dlatego... nie jest... warta imienia Boga? ”

- Widziałem to, co wszyscy inni - powiedział do swojej ukochanej i uśmiechnął się, kiedy to mówił. - Czy powiedziałbym ci nieprawdę?